

MICHEL FOLCO

Z WOLI BOSKIEJ I KATOWSKIEJ

Nader pouczające i wielce zadziwiające
dzieje Pibraków z Bellerocaille

Osiem pokoleń katów

Przełożył Andrzej Arustowicz

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Dieu et nous seuls pouvons

Data wydania:

1991

Wydanie polskie

Data wydania:

1993

Ilustracja na okładce:

Justynian I, 1663-1755. Obraz Béatrice Turquand d'Auzay

Przełożył:

Andrzej Arustowicz

Wydawca:

Państwowy Instytut Wydawniczy 1993

ISBN 83-06-02320-X

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

Część pierwsza

Rozdział I

Baronia Bellerocaille¹ w królewskiej prowincji Rouergue, sierpień 1683 r.

Błogo wtulone w najbardziej zaciszny, najcieplejszy kąt ula, drzemały trutnie. Jeden z nich obudził się i poczuł głód. Ociężale włókł się ku plastrowi, gdy zauważył nadzwyczaj dużo robotnic w ulu. Tak późnym rankiem już dawno powinny były oblatywać kwiaty. Posuwając się naprzód, duży, brzuchaty i włochaty samiec natknął się na sporą grupkę pszczoł tarasujących drogę. Już chciał je roztrącić bez ceregieli, gdy one – rzecz nie do pomyślenia – utworzyły front i rzuciły się na niego. Jeszcze nie zdążył sobie uświadomić, co się dzieje, a już jedna podcinała mu nasadę tułowia, w miejscu gdzie łączył się z odwłokiem, druga szatkowała mu żyłki na skrzydłach, trzecia zaś, wyszukawszy szczelinę między pierścieniami a pancerzem, wciskała w nią jadowite żądło. Cierpka woń jadu rozeszła się po całej pasiece, dając sygnał do rzezi.

Skoro królowe zostały zapłodnione, a zbliżał się już sen zimowy, w ulu nie potrzebowano tych ospałych, żarłocznych, beзуżytecznych próżniaków.

Pozbawionym żądła, nigdy do tej pory nie zmuszanym do obrony, nie dowierzającym trutniom zaświtała jedna myśl: uciec przez otwory wylotowe. Niektórym to się udało.

Jeden z nich latał przez chwilę nad murami obronnymi grodu, po czym nieopatrznie wpadł do kuchni mistrza złotniczego Abła Crespiageta, uderzając z impetem w prawe oko Piotra Galine, jego kucharza, zajętego przyrządzaniem zupy rakowej. Ten wrzasnął z bólu i wrzucił do wazy całą garść przypraw.

Wyrznąwszy następnie w posadzkę, nieco oszołomiony owad pofrunął dalej i znikł w okienku wychodzącym na ulicę Wielką.

Piotr Galine był w spiżarni i obmywał wodą swe zbolące oko, gdy do kuchni weszła pokojówka. Nie widząc kuchmistrza, chwyciła wazę z zupą i pobiegnęła podać ją państwu, którzy już się niecierpliwi w jadalni.

Kilka chwil później Abel Crespiaget, z oczami w słup, z niemiłosiernie piekącym podniebieniem, gardłem tudzież przetykiem, wtargnął do kuchni wymachując potężnym

¹ Pięknaskalka (przyp. tłum.).

kijem. Nic nie rozumiejąc, Galine rzucił się do ucieczki, najpierw korytarzem, później schodami na dziedziniec, okrążył studnię, wreszcie wyskoczył na ulicę Wielką, gdzie złotnik go dopadł i solidnie wygrzmocił kijem.

– Ajajaj!... Ajajajajj! Czym sobie zasłużyłem, mój zacny panie, na taki basarunek?

– Jeszcze śmiesz pytać, ty trucicielu?! – ryknął Crespiaget zdwajając tempo razów. Przestał dopiero, gdy Galine znieruchomiał.

Potem jacyś dobrzy ludzie zanieśli go do łóżka, w którym spędził kilka dni, zanim mógł powrócić do służby. Co do ocalałych trutni, to przez cały dzień leniuchowały na kwiatkach nad brzegami Dourdou. Wieczorny chłodek oraz głód kazały im zapomnieć o tragicznych wydarzeniach poranka, toteż wróciły do ula, gdzie gotowano im zagładę. Żaden nie uszedł z życiem.

W niedzielę po Wniebowstąpieniu Małgorzata Crespiaget, małżonka mistrza złotniczego, powiła szóste dziecko. Tym razem był to chłopiec, po pięciu córkach oraz kilku pielgrzymkach do Czarnej Dziewicy z Rocamadour i do Św. Napletka z Roumégoux.

Rozpromieniony mistrz Crespiaget nadał mu imię Dezydery i z pompą ochrzcił w kościele Św. Wawrzyńca. Dziecko powierzono następnie żonie woźnicy Mazarda, mamce cieszącej się doskonałą opinią, zamieszkałej nad rzeką, na podgrodziu.

W następną niedzielę, w porze sumy, kucharz Piotr Galine dostał się do domu Mazardowej i udusił ją. Ukrywszy ciało w suszarni na kasztany, chwycił małego Dezyderka i sprawnie go wykrwawił nad kuchennym zlewem. Potem uciął mu głowę, wpakował pokawałkowane ciało do worka i wrócił do kuchni, by je posiekać. Zrobił z niego farsz do pomidorów... których postarał się zanadto nie przyprawiać.

Zgromadzeni, jak w każdą niedzielę, w komplecie, Crespiagetowie zajadali się tym daniem. Gdy półmisek był pusty, zażądali repety. Wówczas Galine podał im głowę Dezyderka, kunsztownie ułożoną na liściach sałaty, z uszami i dziurkami nosa przystrojonymi natką pietruszki, z oczyma otwartymi za pomocą wykałaczek.

Oświadczywszy słodkim głosem, że chcąc odzyskać szczątki dziecka, muszą użyć środków albo wymiotnych, albo przeczyszczających, Piotr Galine wykrzyknął:

– Zemsta jest rozkoszą kucharzy!

Następnie zeskoczył ze schodów.

Wybiegając na ulicę usłyszał przeraźliwe krzyki Małgorzaty Crespiaget, która właśnie pojęła, co się stało.

* * *

W swej rezydencji na pierwszym piętrze starostwa Henryk de Foulques, komendant straży i starosta, akurat kończył potrawkę z kurczaka w sosie korzennym, gdy zapowiedział się mistrz złotniczy z ulicy Wielkiej.

– Na miły Bóg, mistrzu Crespiaget! Co się z wami dzieje? Pomyślałby kto, żeście spotkali Kusego.

– Gorzej, panie starosto, znacznie gorzej...

Bez peruki, z obłędem w oczach, zdyszany po szybkim biegu, złotnik mówił urywanym głosem. Gdy skończył, starosta popatrzył z obrzydzeniem na swój wypchany brzuch.

– Nie przesłyszałem się? Dał wam DO ZJEDZENIA waszego synka?!?

– W pomidorach, panie starosto. Została tylko jego biedna główka...

* * *

Straszliwa nowina rozeszła się z szybkością błyskawicy. Z jej powodu obudzono barona Raula Boutefeux, czternastego dziedzica Bellerocaille, który zażywał wywczasu w jednej z wież zamczyska w towarzystwie służebnej swojej matki. Zrazu nie chciał uwierzyć, że w jego włościach dokonano tak ohydneho czynu, potem zawrzał gniewem na wieść, że sprawcy powiodła się ucieczka.

– Zróbcie wszystko, co możliwe, by go pojmać!

U Crespiagetów rozpacz sięgała zenitu, a defilada okazicieli współczucia już się rozpoczęła. Na zewnątrz, w gromadzie gapiów blokujących ulicę Wielką, krążyły pierwsze pogłoski („podobno Crespiagetowej tak to smakowało, że poprosiła o dokładkę”).

Wtedy właśnie woźnica Mazard, wróciwszy z Rodez, odkrył swą uduszoną żonę w suszarni na kasztany. Oszałały z bólu, wziął ją na ręce i zaniósł na plac Dziurski, gdzie znajdowało się starostwo. Spory tłum ciągnął za nim, wyprzedzając go na podejściach (niektóre ulice grodu były tak pochyłe, że na najbardziej stromych odcinkach trzeba było powykuwać stopnie).

Gdy wchodził na główny plac, budynek starostwa otaczał oddział łuczników z włóczniami gotowymi do użycia. Rok wcześniej banda rozbójników opanowała miasto, powiesiwszy trzech poborców podatkowych. Od tej pory obawiano się wszelkich zgromadzeń. Dopiero widok starosty cokolwiek uśmierzył nastroje.

– Dobrzy ludzie, wracajcie do domu. Wymiar sprawiedliwości pana barona już mu depcze po piętach i niebawem go tu sprowadzi. Przecież nie ma konia i daleko nie zajdzie.

W tej samej chwili w okazałym domostwie mistrza złotniczego okrutne cierpienie ustąpiło miejsca konsternacji. Otóż jeden z uczestników makabrycznej biesiady (dziadek Dezyderka, który sam zjadł cztery faszerowane pomidory) wypowiedział coś, na co nikt jeszcze się nie zdobył: jaką przybrać postawę, gdy nieubłaganie da o sobie znać natura? Aczkolwiek strawione, kąski bobasa zostały wszak ochrzczone.

– Doprawdy, zapytuję was, co mam zrobić ze stolcem, gdy mnie przyprze?

Pilnie wezwany spowiednik rodziny, ojciec Adrian, wysłuchał, zaniemówił na czas dłuższy, by następnie oświadczyć, że nie jest kompetentny, a wreszcie oddalić się po złożeniu

obietnicy, że poradzi się swego przełożonego, księdza Franciszka Boutefeux. Zastał go w stajni zamkowej, własnoręcznie szczotkującego srokatą klacz.

Od ponad pięciu wieków godność opata klasztoru franciszkanów w Bellerocaille była zastrzeżona dla młodszych synów rodu Boutefeux, którzy tradycyjnie otrzymywali imię Świętego z Asyżu, założyciela zakonu.

Tonsurowany od czternastego roku życia, beneficjent od szesnastego, ksiądz Franciszek nie miał w sobie nic religijnego oprócz tytułu i z większą dbałością trwonił swe okazałe dochody, niż czuwał nad materialnym i duchowym życiem swych owieczek. Pozostawiając to ostatnie swemu kanonikowi, chętniej oddawał się koniom i kobietom, które dobierał według takich samych kryteriów (dobra klacz, podobnie jak kobieta, powinna mieć szeroką pierś, pełny zad i długą grzywę).

– Co tam gędzicie? – wykrzyknął nie przerywając bynajmniej swej harówki. – Jakżebym mógł rozstrzygnąć taką kwestię? Niech Crespiagetowie postąpią ze swym stolcem, jak im nakazuje sumienie.

* * *

Piotr Galine szedł drogą do Routaboul, swej rodzinnej wioski, gdy dopadli go i pojмали starościnscy łucznicy. Nie stawiał najmniejszego oporu. Skuli go łańcuchem i co koń wyskoczy dowieźli do Bellerocaille, gdzie po krótkim przesłuchaniu przez starostę został wtrącony do senioralnego więzienia.

Niezdrowa fascynacja, jaką budził jego niedawny występki, przekroczyła rogatki miasteczka. Ludzie przyjeżdżali z Rodez, Millau, Villefranche, a nawet z dalszych okolic. Niebawem wszystkie miejsca w gospodach były pozajmowane.

Pierwsza zwłoka nastąpiła w chwili, gdy marszałek du Sallay, przedstawiciel królewskiego wymiaru sprawiedliwości, pod pretekstem że sprawa tej wagi podlega jego kompetencji, spróbował zakwestionować jurysdykcję senioralnego sędziego Cressayeta, reprezentanta wymiaru sprawiedliwości barona. Spotkał się z twardą odmową barona Raula, bardzo rygorystycznego na tym punkcie.

Podejrzewając, że królewski urzędnik nie da za wygraną, baron przyspieszył postępowanie. Galine'a sądził w dwa dni później właściwy trybunał, którego sędzia wydał wyrok na miarę wzburzenia ludu: Piotr Galine miał być łamany kołem, a następnie wystawiony na widok publiczny, aż wyzionie ducha. Licznie zgromadzona publiczność dała wyraz swemu zadowoleniu.

Gdy nadeszła pora wykonania wyroku, pojawiły się nowe przeszkody.

Dwa wieki wcześniej król Karol VII, pragnąc uporządkować trzysta sześćdziesiąt kilka kodeksów praw stosowanych w całym królestwie, podpisał zarządzenie składające się ze stu dwudziestu pięciu paragrafów. Jeden z nich zakazywał sędziom własnoręcznego

wykonywania swoich werdyktów, jak to się jeszcze zdarzało w niejednej prowincji. Z tego przepisu zrodził się zawód kata. Tymczasem baron Raul, acz upoważniony królewskim dekretem do używania tytułu męża sprawiedliwości dającego mu prawo orzekania w sprawach gardłowych, nie zdecydował się zatrudnić oprawcy na stałe. Jeśli wyłaniała się taka potrzeba (jak to było akurat w tym wypadku), zwracał się o pomoc do mistrza Pradela, rzeźnika z Rodez, który godził ze swym statusem funkcję plenipotentą hrabiego-biskupa tego miasta.

* * *

Jeszcze przed południem wyruszył umyślny, który w ciągu sześciu godzin przebył konno jedenaście mil dzielących miasteczko od stolicy. Nazajutrz powrócił do Bellerocaille, sam jak palec.

– Mistrz Pradel jest niedysponowany. Ma podagrę i nie może się ruszać. Prosiłem jego pachołka, ale ten nie ma prawa go zastąpić.

Pozostawał mistrz Sylwin, egzekutor z Albi, lub mistrz Cartagigue z Millau. Ten ostatni, chociaż mieszkał najbliżej, żądał niebotycznych sum, starosta wysłał zatem swego człowieka do Albi.

Posłaniec pędził galopem przez Las Rybałtowski, gdy wpadł na sznur rozciągnięty w poprzek drogi na zakręcie. Szczęśliwie ogłuszony, nie widział rozbójników, którzy doń podeszli i poderznięli mu gardło. Dokumentnie go obłupiwszy, wciągnęli nagie zwłoki w gęstwinę, gdzie po kilku godzinach znalazły je wilki i spałaszowały z wielkim apetytem.

* * *

Minęło pięć dni, zanim baron postanowił zwołać radę, zapraszając na jej posiedzenie, acz niechętnie, seneszala.

– Nie mam pojęcia, co się mogło stać z naszym wysłannikiem, ale nie mamy już czasu na ponawianie próby – oświadczył starosta Henryk de Foulques. – Miasto trzeszczy w szwach, ludzie przybyli na proces nie wyjeżdżają, tylko czekają na egzekucję. Rośnie podniecenie i krążą pogłoski.

– Pogłoski, jakie pogłoski?

– Mówią, że skazany korzysta z poparcia osób wysoko postawionych i że nigdy nie zostanie zgładzony.

Niskie czoło barona Raula zmarszczyło się pod upudrowaną peruką. Jego ciemne, głęboko osadzone oczy rozbłysły złowrogo.

Nie ulegało dłań wątpliwości, że zniesławienie jest dla duszy tym, czym zatrucie dla ciała. Gorzej, gdyż znacznie łatwiej jest rozpowszechnić opinię rujnącą cześć zacnego

człowieka, niż wmusić weń śmiercionośny napój. Pomny zatem, że nie istnieje żadne skuteczne antidotum na oszczerstwo, znając jednak kilka skutecznych odtrutek, baron rzekł:

– Sprawdźcie, co za jedni tak złorzeczą, i poprzekłuwajcie im języki.

Następnie powrócono do zagadnienia podstawowego: gdzie najszybciej znaleźć kata? Ksiądz Franciszek poddał myśl, by poszukać ochotnika.

– Przy stu liwrach nagrody nie opędzicie się od chętnych.

– Sto liwrów? Spokojnie, ojczulku, spokojnie – zaproponował baron. – Mam lepszy pomysł. Powierzmy robotę mistrzowi Crespiagetowi, ojcu ofiary. Rękę dam sobie uciąć, że połamie go elegancko... i z wdziękiem – dodał zachęcająco, z uśmiechem odsłaniającym liczne zepsute zęby.

Seneszał się obruszył.

– Chyba nie wiecie, co mówicie, toż to by było barbarzyństwo!

– Za pozwoleniem, panie baronie – wtrącił sędzia Cressayet – to by było morderstwo. Tylko egzekutor o potwierdzonych kwalifikacjach może zabijać, nie narażając się na słuszny gniew Boga i prawa.

Wciąż utyskując, baron przystał wreszcie na zatrudnienie ochotnika, lecz zażądał, by zapłatę obniżono do pięćdziesięciu liwrów.

Duvalier, podsędek (a zarazem, zięć sędziego), napisał „obwieszczenie”, a baron przystawił na nim swą pieczęć. Następnie dano je heroldowi, który – poprzedzany przez dobosza – natychmiast wyruszył, by je odczytać na obydwóch placach Bellerocaille i na głównych skrzyżowaniach.

Ci, co przybyli z daleka i których sakiewka chudła z każdym dniem, uznali ogłoszenie oferty za kolejne odroczenie sprawy. A że niejeden poczytywał każdą upływającą godzinę za dobrodziejstwo wyświadczone niegodziwemu kuchmistrzowi, po ulicach krążyło wielu niezadowolonych, domagających się głośno wykonania wyroku. Co ciekawe, żaden z tych niecierpliwców nie zgłosił się na ochotnika. Najzłośliwsze plotki rozchodziły się w najlepsze.

* * *

Nazajutrz, kiedy starosta Henryk de Foulques przeszedł przez zwodzony most i wkroczył na dolny dziedziniec zamkowy, mistrz Bertrand Beaulouis, strażnik więzienny, z pomocą swych synów Bredusia, Kubusia i Lucusia przekłwał języki pięciorgu oszczercom zatrzymanym w przeddzień.

Z nagim torsem pod fartuchem z rudej skóry strażnik, pięćdziesięciolatek (zwany Rygłem Ludzkim), już chciał przerwać pracę, by go pozdrowić.

– Ależ proszę, mistrzu Beaulouis, róbcie swoje – odwiódł go od tego zamiaru funkcjonariusz wymiaru sprawiedliwości, przystając w zewnętrznym krążanku, by nań poczekać w cieniu.

Pośród złych języków były dwie kobiety. Młodsza, praczka z podgrodzia, rozgłaszała wszem i wobec, że Galine był kochankiem Małgorzaty, a więc ojcem małego Dezyderka. Zabił go zaś dlatego, że jego chlebowdawca-rogacz, straciwszy nadzieję na męskiego potomka, pozbawił go syna.

Ponieważ nie chciała otworzyć ust, trzeba ją było do tego zmusić za pomocą rękojeści noża, potem pogmerać wewnątrz obcęgami, by wyciągnąć język, a wreszcie przekłuć go pogrzebaczem rozżarzonym w koksowniku.

– Jeśli nie przestaniecie, to je wam pouciny – pogroził starosta, gdy oszczerców zwalniano.

Pozostawiając synom złożenie narzędzi tortur, Beaulouis podszedł do Foulques'a.

– Czym mogę służyć, panie starosto?

Foulques wyłuszczył mu sprawę. Więziennik wyprostował się jak struna i momentalnie poczerwieniał.

– To niemożliwe, panie starosto, niemożliwe. Nie godzi się mnie o coś takiego prosić.

– Nie bardzo rozumiem waszą odmowę, wszak jesteście oficjalnym oprawcą sądowym.

– Za pozwoleniem, panie starosto. Oprawiać to nie to samo co mordować! Zakuwać w dyby, batożyć, piętnować, kaleczyć jak teraz albo przyparzać czy też zadawać tortury zwyczajne bądź nadzwyczajne: temu wszystkiemu daleko jeszcze do łamania kołem!

Foulques usiłował go udobruchać obietnicą, że nakłoni barona do zwiększenia nagrody: nic tym nie wskórał. Wówczas przypomniał mu, że niebawem upływa termin odroczenia służby wartowniczej, z jakiego korzystają jego synowie, i że może on zostać przedłużony bądź nie. Dla Beaulouisa, który do obsługi klienteli nie zatrudniał żadnych pomocników oprócz swych trzech latorośli, wygaśnięcie zwolnienia oznaczało katastrofę. Skrzyżowawszy ręce na piersiach rzucił się do stóp urzędnika.

– Błagam, panie starosto, nie czyńcie mi gwałtu. Być katem, choć jeden raz, to by mnie skazywało na infamię, i nie tylko mnie, ale całe moje potomstwo. Aż za dobrze wiem, jak to było z mistrzem Pradelem. Skoro tylko zgodził się objąć swą funkcję, musiał zamieszkać poza murami obronnymi, a ilekroć wychodzi z domu, wolno mu ubierać się wyłącznie na czerwono. Córka mogła wyjść za mąż jedynie za syna kata z Nîmes. Nie skazujcie mnie, panie starosto, na taki los, zmiłujcie się!

Foulques się zmitygował. Mógł był odparować, że te wszystkie niedogodności są zawiązką wynagradzane różnymi dyspensami i przywilejami, dzięki którym były rzeźnik stał się już w pierwszym pokoleniu jednym z najbardziej zamożnych mieszczan w Rodez, ale się rozmyślił i pożegnał. Z uczuciem ulgi Rygiel Ludzki wstał, masując sobie kolana pocierane o bruk dolnego dziedzińca.

* * *

Wzniesiony w XIII wieku na szczycie stożka wulkanicznego, zamek Bellerocaille, widoczny z daleka, umożliwiał wartownikom w wieżyczkach nieskrępowaną obserwację okolicy w promieniu kilku mil. Okrągłe wieże były między sobą połączone murami, pod którymi urządzono kordegardę, służbówkę, stajnię, psiarnię, sokolarnię, kuźnię i piekarnię, a także kilka komórek na parterze.

Wbudowana w XVI wieku w mur zachodni, wysoka baszta służyła jako więzienie.

Baron z rodziną zajmował donżon oraz budynki okalające paradny dziedziniec. Wysoki na dziewięć sążni donżon składał się z pięciu izb, zbudowanych jedna nad drugą i połączonych wąskimi, krętymi schodami. Baron Raul i wielmożna Herondyna, jego małżonka, mieszkali w dwóch pierwszych, baronowa Irena, matka, w następnej, podczas gdy czwarta była przeznaczona dla przyjezdnych, piąta zaś – dla najstarszego syna, dwunastoletniego Wilhelma. Ksiądz Franciszek, jeśli tylko nie cwałował przez swe rozliczne posiadłości, kwaterował nad stajnią.

Z donżonu było przejście do wielkiej sali, która w zależności od potrzeb pełniła rolę jadalni, sali recepcyjnej, balowej lub sali obrad. Jej wysokie ściany zdobiły tkaniny o motywach mitologicznych, portrety przodków i obrazy przedstawiające pewne szczególnie chlubne wydarzenia, a także trofea myśliwskie, kolekcja przestarzałej broni palnej i pstrokatych tarcz, nieraz bardzo starych i powyginanych od używania. Co prawda, wojowniczej reputacji rodu Boutefeux nikt nie kwestionował, a mściwy charakter barona Raula bynajmniej nie zadawał jej kłamu.

Siedząc z ponurą miną pod zwieńczonym baronowską koroną herbem rodowym, na którym widniały obok siebie skrzyżowana z mieczem płonąca pochodnia oraz symbol lenna w srebrnym polu – pod spodem można było odczytać dewizę, którą stało się dawne zawołanie bojowe „Gore” – baron pobierał lekcję dobrych manier, miał bowiem wkrótce zostać przedstawiony u dworu. Aczkolwiek cierpiała na tym jego miłość własna, przyznawał, że czuje się lepiej polując na wilki niż przebywając na salonach. Po wielu namowach matki zdecydował się wreszcie skorzystać z usług pewnego młodego mistrza ceremonii z Rodez, którego rad, wypowiedzianych afektowanym głosem, uważnie słuchał.

– Ogląda, panie baronie, musi się wydawać naturalna. Dojdzie pan w tej sztuce do perfekcji, gdy nikt nawet nie będzie podejrzewał, że wymagała ćwiczeń.

Baron possał jeden ze swych zepsutych zębów i machinalnie splunął na posadzkę, po czym rozgniół płwocinę kolistym ruchem stopy.

Młody mistrz ceremonii skierował zniechęcony wzrok ku starej baronowej, która odmawiała różaniec siedząc obok Wilhelma, przyszęłego barona Bellerocaille. Chłopiec nie ukrywał nudy, zabawiając się urywaniem nóżek modliszce schwytej w szuwarach.

– A przecież tyle razy słyszałeś, że tak spluć to już dziś, wśród ludzi obytych, nieprzyzwoite... – powiedziała baronowa Irena do swego syna. – To samo dotyczy twego ohydneho nawyku smarkania w palce, jak ostatni grubianin. Czy wreszcie zrobisz użytek z

tych wszystkich chusteczek, któreś ode mnie dostał?

– Na mą facjatę! – uniósł się baron waląc pięścią w stół. – Na jakież to nadzwyczajne względy zasługuje ta paskudna wydzielina, skoro przeznaczacie tak delikatny, haftowany materiał do jej zbierania? A nawet do jej owijania i czułego przytulania? Nigdy, pani dobrodziejko, przenigdy!

Gwoli uspokojenia wyjął prymkę, odciął z niej spory kawał i zaczął go żuć prawą stroną, tą, gdzie zęby nie były jeszcze w najgorszym stanie.

Nowe beznadziejne spojrzenie mistrza ceremonii, który wszak kategorycznie zalecał brać ledwie szczyptę i wdychać tytoń wyłącznie przez nos, jako że żucie przystoi tylko najgorszej hołocie, podobnie jak fajka – marynarzom. By nie tracić kontenansu, otworzył swój stary egzemplarz *Człowieka ogładzonego, czyli Sztuki podobania się u Dworu* Mikołaja Fareta i przeczytał: „Jeśli traficie na Dwór, siedźcie tam, dopóki nie zrobicie wrażenia. Gdy wrażenie zrobicie, idźcie precz. To najlepszy sposób, by zostać dostrzeżonym...”

– Wolnego – przerwał baron. – Wróćmy jeszcze do tej ogłady. Powiedzieliście, że powinienem się zachowywać tak, jak gdyby była mi wrodzona. Czyżbyście mnie uważali za nieogładzonego?

– Ależ skąd, panie baronie. Ogłada, jaką mam na myśli, sprawia, że wszystko, co robimy, robimy swobodnie. Sposób na osiągnięcie tego celu polega na tym, że w każdej sytuacji okazujemy pewną wyniosłą niedbałość – Włosi nazywają ją *spezzatura* – która przesłania sztuczność i dzięki której widać, że wszystko przychodzi nam bez trudu i omal bez zastanowienia. Ta ogłada winna się przejawiać w rozmowie, w walce, w tańcu, lecz także w grze i w rozlicznych czynnościach codziennych...

Mistrz ceremonii znów musiał przerwać z powodu pomruków rozeźlonej gawiedzi.

Baronowa Irena poruszyła się, nie wstając z miejsca. Zachowała niemiłe wspomnienie buntu pospólstwa sprzed lat.

– Gdybyś nie miał węża w kieszeni, już od dawna nasze lenno miałyby swego kata. Przecież, o ile wiem, nie brak nam pieniędzy.

Aczkolwiek kopalnie srebra, które przyniosły bogactwo Boutefeux, wyczerpały się przed półwieczem, znaczne dochody z licznych majątków ziemskich w połączeniu z podatkami od kasztelanii wchodzących w skład baronii zapewniały rodzinie godziwy byt. Tymczasem gród z wolna podupadał, o czym świadczyła rosnąca liczba nie zamieszkanymi domów.

– Możecie sobie gadać do woli, dobrodziejko. Powiadacie „nam”, ale nie macie na myśli waszych ludwików. A czy chociaż wiecie, ile by kosztowało utrzymywanie takiego urzędu? Może sądzicie, że moim mieszkańcom przypadnie do gustu podatek garściowy?

– Od kiedy to jesteś ciekaw ich zdania? – odparła starsza pani, nerwowo tarmosząc różaniec. – Kiedy wreszcie pojmiesz, że mieć własnego oprawcę to nieomylna oznaka wysokiej władzy sądowniczej? I pomyśleć, że nie mamy nawet szubienicy z prawdziwego zdarzenia, podczas gdy twoja ranga upoważniałaby cię nawet do czterech słupów! Posłuchaj,

do czego nas doprowadziło twoje sknerstwo! – dodała wskazując na otwarte okna, zza których dobiegały wrzaski tłuszczy.

Baron wstał bez słowa, poprawił pendent i wyszedł trzaskając obcasami o podłogę. Mijając mistrza ceremonii splunął, niby mimochodem, śliną zmieszaną z sokiem tytoniowym. Dochodząc do drzwi, dał znak synowi:

– Chodź! Teraz my z kolei nauczymy moresu tych bezczelnych krzykaczy.

Ich pojawienie się konno, bez eskorty, natychmiast stłumiło wrzawę, a wśród setki malkontentów, którzy gardłowali u stóp baszty, żądając bezzwłocznej egzekucji kucharza, zapanowało trwożliwe milczenie.

Podobny kubek w kubek do rodzica, tak jak on siedząc wyprostowany i rzucając wyniosłe spojrzenia, młody Wilhelm z zadowoleniem stwierdził, że wokół nich robi się pusto. W kilka chwil okolice więzienia odzyskały swój zwykły wygląd.

Podążył za ojcem, który zamiast wrócić na zamek, wjechał w ulicę Paparela prowadzącą do rogatki przy bramie zachodniej. Ludzie napotykanii po drodze z szacunkiem zdejmowali nakrycia głowy, a wartownicy bez ceregieli wstrzymali ruch, by ich przepuścić.

Baron z synem przejechali przez Stary Most nad Dourdou, minęli ruiny dawnej garbarni i skierowali się ku Rozstajom Czterech Dróg, znanym z megalitu, jednego z najpotężniejszych w Rouergue.

Gdy się do niego zbliżali, kilku pielgrzymów odpoczywało w cieniu kamiennej płyty grubości trzech sążni, położonej jakimś cudem poziomo, dwa metry nad ziemią, na trzech pionowych, równie masywnych głazach.

Zlekceważywszy ich pokłony, baron nie zsiadając z konia wskazał chłopcu zamek, który w odległości pół mili efektownie wznosił się na wulkanicznym stożku, otoczony przez miasteczko.

– Ponieważ któregoś dnia to wszystko będzie twoje, nigdy nie powinieneś zapomnieć, że co innego urodzić się panem, a co innego nim być. My panujemy tak długo, bo zawsze uważaliśmy, że wszelkie dobra należą przede wszystkim do tego, kto ma dość siły, by je utrzymać. Rozumiesz, Wilusiu, tytuł można odebrać, prawo anulować jednym pociągnięciem pióra, przywilej czy dyspensę przyznać komu innemu, jeśli takie jest widzimisię króla.

Strzelił czarniawą plwociną i ciągnął dalej:

– Tylko nasza moc chroniła nas do tej pory przed podobną samowolą. A skorośmy tacy mocni, ktokolwiek zechce nam w kaszę dmuchać, zastanowi się dwa razy, zanim spróbuje...

Wilhelm przytaknął z powagą. Mając wpojone od najmłodszych lat poglądy i zasady ojca, wierzył w prawomocność swego stanu i uważał się ledwie za ogniwo w długim łańcuchu Boutefeux. Biada słabemu ogniwu, które puści!

– Tę potęgę, mój synu, zawdzięczamy orężowi i złotu. Musisz zrobić wszystko, by utrzymać jedno i drugie.

A wracając niespiesznie do grodu, opowiedział mu raz jeszcze, jak ich przodek Azemard

Boutefeux został panem na Bellerocaille... i nim pozostał.

* * *

Rycerz Azemard żył w epoce wczesnego rycerstwa, w czasach baronów-awanturników: buńczucznych, chciwych, żądnych krwi i dumnych z siebie. W tamtej epoce księstwo warte było czterech hrabstw, hrabstwo czterech baronii, baronia czterech kasztelanii, kasztelania kilku lenn i przysiółków. Sprawiedliwość zmuszała podówczas oskarżonych do walki na śmierć i życie, pod pretekstem że Bóg w żadnym razie nie pozwoliłby zwyciężyć winowajcy. Zresztą wierzyło Weń tak wielu ludzi, że Jego nieistnienie byłoby czymś wysoce niestosownym. Osobliwe to były czasy.

Obowiązywał ustrój feudalny, zrodzony z poczucia nieustannego zagrożenia, które najsłabszym kazało szukać opieki u najsilniejszych, ci zaś, jeśli im zależało na utrzymaniu pozycji, zwoływali pod swój sztandar jak najwięcej wasali. I tak niektórzy, na przykład Rajmund III, hrabia Rodez, ofiarowywali w dożywotnią dzierżawę majątek każdemu rycerzowi, który złoży im przysięgę wierności. Rycerzem zaś był każdy, kto posiadał konia, zbroję, miecz i sztukę ich używania.

Powyższe warunki spełniał Azemard Boutefeux, najmłodszy, nie widzący przed sobą przyszłości syn Guirauda, zawadiaki² w służbie wielmoży z Roumégoux. Wziąwszy kuzyna jako giermka pogalopował do Rodez, ukląkł przed potężnym hrabią Rajmundem, i ucałowawszy mu stopy, wyrecytował:

– Przysięgam wierność, pomoc i radę, a wy mi zapewnicie środki utrzymania.

Na co hrabia, uprzejmie pomagając mu wstać, odpowiedział uroczyście:

– Przystaję. Zobowiązuję się bronić ciebie i twoich przyszłych dóbr, a ty będziesz dla mnie pracował i mi podlegał.

Zgodnie z umową hrabia wręczył mu wówczas garść ziemi symbolizującą przyobiecane lenno, jak również pergamin upoważniający go do założenia tam osady i zagospodarowania okolicznych gruntów.

Kiedy Azemard wyjeżdżał z Rodez, by wejść w posiadanie swoich ziem, towarzyszyło mu ze dwudziestu hołyszów, jeszcze do niedawna niewolników, zachęconych przywilejami związanymi ze statusem udzielnej włości. Na miejscu, jak się okazało, stał tylko megalit, który niekiedy dawał schronienie pielgrzymom lub rzadkim podróżnym wciąż ośmielającym się wyruszać w podróż po niebezpiecznych bezdrożach.

– Na Boży zadek, otóż i niegorsza skałka! – wykrzyknął Azemard na widok masywu zastygłej lawy górującego nad okolicą.

Wspiął się na szczyt i dłuższy czas z upodobaniem spoglądał na panoramę. Teraz to wszystko należało do niego.

² W oryg.: *boutefeux*, również podpalacz, podżegacz (przyp. tłum.).

Postanowił osiedlić się na razie w jednej z grot, którymi podziurawiona była góra, po czym – korzystając z tego, że jego ludzie okadzają wnętrze, by wypłoszyć stamtąd setki nietoperzy – wyruszył konno na objazd swej posiadłości.

Przez kilka dni sporządzał listę gruntów ornych, dzieląc je na pięciohektarowe poletka, które rozdał swoim chłopom, zastrzegając dla siebie, jak każe zwyczaj, dokładnie połowę każdego. Obdarowani winni byli uprawiać jego działkę tak samo jak swoją i terminowo oddawać mu plon. Byli też zobowiązani do licznych świadczeń, na przykład do budowy warownego zamku z drewna na szczycie skały. W zamian za to (jako że dobry pasterz strzyże owce, lecz ich nie obdziera ze skóry) Azemard zwolnił ich z pogłównego, a także z różnych innych feudalnych podatków. Zezwolił im też na pozostawienie pierworodnym w spadku ich własnego kawałka ziemi. Jeśli ktoś nie miał syna, Azemard z urzędu przejmował działkę i mógł ją przydzielić komu innemu.

Życie wnet zaczęło się organizować. Podczas gdy jaśnie pan spędzał czas na polowaniu, poddani wykarczowali wierzchołek góry i otoczyli go podwójną palisadą z prętów o czubkach hartowanych w ogniu. Następnie wzniesli drewniany donżon wysoki na czternaście metrów, po którego dwóch stronach postawili stodołę i stajnię.

Las między wzniesieniem a zakolem rzeki wykarczowano, a teren podzielono na poletka, gdzie każdy wieśniak pobudował sobie chałupę bez okna, krytą strzechą, o ścianach z gliny zmieszanej ze słomą, przylegających do ścian sąsiedniego budynku, co pozwalało utworzyć pierwszą linię obrony warowni.

Ponieważ po okolicy rozeszła się wieść, że nad brzegami Dourdou powstaje nowa osada, niezadowoleni ze swych panów lub uciemżeni podatkami chłopci zaczęli ściągać do Bellerocaille (jak odtąd zaczęto posiadłość nazywać) i prosić o prawo azylu. Wprawdzie zapewniał je status udzielnej włości, Azemard musiał jednak ugruntować je siłą oręża.

Rozpoczął się miesiąc długiego dnia, gdy jeden z tych zbiegów, kowal, wymknął się swym tropicielom i schronił na podzamczu. Jego pan, Guichard du Grandbois, władca kasztelanii podległej biskupowi Rodez, na czele dwudziestki zbrojnych zagroził oblężeniem, jeśli nie zostanie mu wydany jego cenny rzemieślnik.

– Precz, hultaje! To lenno jest posiadłością wielmożnego hrabiego Rajmunda, idźcie swoją drogą! – ostrzegł ich Azemard stojąc na donżonie z rękami zwiniętymi w trąbkę.

Zamiast odpowiadać, niektórzy z intruzów zaczęli łupić wioskę porzuconą przez mieszkańców (ci schronili się na zamku).

– W porządku, przestańcie, mówię wam! – zawołał złażąc ze swej grzędę, by skrzyknąć ludzi i zarządzić stan pogotowia.

Potem polecił skrepować kowala. Ten błagał, by go nie wydawano.

– Zaufaj mi, pocziwino, Bellerocaille jest udzielną włością i pókim żyw, nią pozostanie. Słuchaj mnie, a wszystko będzie dobrze.

Guichard du Grandbois uśmiechnął się z lubością spod hełmu z wyprawionej skóry na

widok otwierającej się solidnej podwójnej bramy, która odsłoniła jego własnego kowala z rękami związanymi z tyłu, a za nim niskiego włodarza tych ziem, bez broni i wielce strapionego. Obmyślając jakiś niecny postępek, pozwolił, by z ufnością się zbliżyli, gdy Azemard chwycił topór ukryty za plecami kowala, po czym rozplątał nim głowę Guicharda, szczerbiąc ostrze o żelazną mykę, jaką ten nosił pod hełmem, i przepoławiając czaszkę aż po zęby.

– Do boju! Do boju! – ryknął Azemard.

Pod wodzą jego kuzyna kmiotkowie hurmem wybiegli z zamku, potrząsając widłami oraz siekierami i siejąc zamęt wśród nieprzyjaciół.

Poza osiodłanym wierzchowcem, pancerzem, a właściwie grubą kolczugą ze skóry i płytek metalowych, tarczą i bronią zgładzonego wielmoży, Azemard wziął ośmiu jeńców. Dwóch (najciężej rannych) uśmiercił dla przykładu, pozostałym zaś darował życie, a także po skrawku ziemi, jeśli zgodzą się mu oddać hołd.

Uciekinierzy opowiedzieli o swej przeprawie biskupowi, który ujrzał w niej nową kość niezgody ze swym rywalem hrabią Rajmundem, sprawującym, po równi z nim, władzę nad Rodez. Wydarzenie wywołało wielki szum: skargę biskupa oddalono. Bellerocaille było udziałną włością, a rycerz Azemard postąpił ściśle według kodeksu honorowego.

Ośmieleni tym rozbójnicy buszujący po głównych traktach, zbiegowie i rozmaici szubienicznicy przybywali do Bellerocaille, by tam szukać schronienia. Ze strony Azemarda doznawali jak najlepszego przyjęcia. Co więcej, dawał im on zatrudnienie. Uzbroiwszy ich w nowiutkie topory i włócznie (wykonane przez świeżo pozyskanego kowala), formował z nich oddziały: pieszych, furażerów i podżegaczy.

Gdy pojawiły się pierwsze pąki, w miesiącu łąk, Azemard dokonał swego pierwszego napadu: na lenno Racleterre, zajmowane przez rycerza Armogasta, wasala wielmoży na Roumégoux, również i jego dawnego pana.

Ruszył do ataku, gdy akurat otwierała się brama, by przepuścić odzianego w myśliwski strój dziedzica, za którym podążało dwóch naganiaczy z oszczepami oraz cztery radośnie poszczekujące psy. Był to najpiękniejszy dzień w życiu Azemarda.

Jakiś wartownik uderzył w dzwon, jakaś kobieta krzyknęła z przerażenia. Pośpiesznie próbowano zatrzaskać ciężkie wrota, lecz poniewczasie: rycerz i jego piesi już się wdarli do środka i wrzeszczeli na całe gardło: „Nuże, Bellerocaille! Bij! Zabij!”

Złamawszy wszelki opór i wzięwszy do niewoli Armogasta, nieustraszony Azemard wypuścił swych furażerów, którzy przystąpili do systematycznej grabieży, poczynając od rozbiórki młyna i tłoczni. Gdy już nic nie pozostało do zabrania, wypuścił swych podżegaczy, którzy z niekłamaną przyjemnością podpalili wioskę i zamek, wydając dzikie okrzyki („Gore! Gore!”).

Zgromadziwszy niedobitków, zgodnie ze swym zwyczajem zaproponował im miejsce w Bellerocaille. Wszyscy na to przystali. Nie lubili swego pana, a jeden z nich, parobek, który w

walce stracił syna i brata, napluł mu w twarz za to, że nie potrafił ich obronić.

Później, jeśli wierzyć legendzie, Azemard zadał mu taki cios, że przeciął go na pół z góry na dół. Prawda to czy kłamstwo, faktem jest, że w mgnieniu oka położył go trupem za uchybienie szlachetnie urodzonemu. Dla Azemarda nie ulegało wątpliwości, że zgodnie z wolą Boga na świecie są panowie i poddani, przy czym pierwsi winni czcić i kochać Boga, drudzy zaś – czcić i kochać swoich panów.

Armogast podziękował mu i zawsze o tym pamiętał, nawet gdy zwrócono go rodzinie w zamian za wygórowany okup. Młyn i tłocznię poskładano w obrębie Bellerocaille, a za korzystanie z nich musieli płacić wszyscy z wyjątkiem uczestników wyprawy i ich rodzin.

Most (z mytem) ponownie połączył brzegi Dourdou, w miejsce promu. Po drugiej stronie rzeki wykarczowano las i wybudowano warsztat garncarski, a w kilka miesięcy później garbarnię.

Gdy Bellerocaille liczyło już ponad dwieście dusz, stało się parafią i hrabia wyznaczył jej księdza, który czym prędzej wznosił pośrodku wioski kamienny kościół, a następnie zarządził dziesięcinę od wszystkich plonów, aby zapewnić mu utrzymanie. Kłopoty zaczęły się z chwilą, gdy spróbował opodatkować także własność wielmoży. Oburzony podobnym roszczeniem Azemard kategorycznie odmówił. Na tym by pewnie poprzestał, gdyby duchowny nie wpadł na fatalny pomysł poskarżenia się hrabiemu.

Wiadomość o tym dotarła do Azemarda akurat w chwili, gdy mierzył wspaniałą zbroję zakupioną niedawno za część ściągniętego okupu.

Wtargnąwszy do kościoła podczas tercji, chwycił nicponia za włosy i brutalnie zawlókł nad rzekę, w której zanurzył mu głowę, tak że ów omal się nie udusił. Nie wypuszczając z ręki jego czupryny, zaciągnął go z kolei do chlewika i zmusił do czołgania się w błocie, a następnie zażądał przysięgi na wierność. Potem wrócił z nim pod kościół i kazał wygrzebać rękoma dół, ponaglając co chwilę kopniakami w sempiternę. Gdy uznał, że dół ma odpowiednią głębokość, powiedział:

– Na mą facjatę! Jeśli znów zapomnisz, kto jest twoim panem, zagrzebię cię tu żywcem!

A zwracając się do swoich chłopów zgromadzonych wokół i oniemiałych z wrażenia, rozładował atmosferę oświadczając rozbawionym głosem, że ksiądz niedokładnie obliczył dziesięcinę.

– Wynosi o połowę mniej, niż wam podano.

Azemard wrócił na zamek pośród wiwatów i oklasków.

Minęło dwadzieścia pięć lat, nim zgodził się na zasypanie dołu. Znacznie później wciąż jeszcze zwano to miejsce placem Dziurskim.

By zapewnić sobie potomstwo, rycerz poślubił w miesiącu żołądzi 1066 roku pobożną Milsendrę du Vieuxchablis, która dała mu dwóch synów i cztery dziewczyny.

Czując, że zbliża się kres (ból w piersiach z każdym dniem coraz bardziej mu dokuczał), podstarzały Azemard udał się do Rodez, by przedstawić swego syna Berangera na

hrabiowskim dworze, z prośbą o potwierdzenie jego tytułu dziedzica Bellerocaille. Życzeniu natychmiast stało się zadość, za sprawą pięciu marek szczerego złota.

Stojąc w obliczu śmierci, szczwany Azemard, który do tej pory uparcie odmawiał zgody na ufundowanie na swoich ziemiach klasztoru, podarował pięć najlepszych działek franciszkanom. W zamian za to opat przyodział go w habit *in extremis*, obmywając tym samym ze wszystkich grzechów i wyjednując dlań życzliwe przyjęcie przez nieustępliwego świętego Piotra. Jednocześnie ustalono, że tylko spośród Boutefeux mogą się wywodzić zwierzchnicy placówki. Tak więc, gdy franciszkanin dosiadał muła, by zawieźć swemu przełożonemu pomyślną nowinę, towarzyszył mu najmłodszy syn dogorywającego, Hugo, który jechał pobierać nauki.

Rycerz Azemard wyzionął ducha pewnego deszczowego poranka w miesiącu błot 1082 roku i został pochowany na dziedzińcu zamku.

Bogobojnie wychowany przez matkę, Beranger kazał wznieść kaplicę nad jego grobem i opłacił usługi zawodowego penitenta odpustowego, aby ten udał się do Rzymu i przez okrągły tydzień modlił się o spokój jego duszy.

Mniej wojowniczy z natury, Beranger zarzucił ekspansjonistyczną politykę ojca i zatroszczył się o dobrobyt swoich ludzi.

Poczytując jego powściągliwość za oznakę słabości, liczni wrogowie, jakich z biegiem lat (i kolejnych eskapad) przysporzył był sobie Azemard, uznali, że wybiła godzina zemsty. Rychło przyszło im tego pożałować. Beranger nie tylko potrafił stawić im czoło, ale dokonał błyskawicznego przeciwnatarcia, podczas którego jego podżegacze puścili z dymem dwie kasztelanie możnowładcy z Roumégoux i lenno podległe biskupowi Rodez. Powrócił spokój, ale nie na długo. Któregoś mroźnego dnia w listopadzie 1095 roku papież Urban II rzucił wezwanie: „O, raso Franków, umiłowana i wybrana przez Boga, oto rasa przeklęta najechała Ziemię Świętą...”

Ochoczo, by nie powiedzieć entuzjastycznie, baronowie królestwa gremialnie odpowiedzieli na wezwanie do świętej wojny oprócz najwyżej z nich postawionego, króla, mającego na pieńku z papieżem z powodu jakiegoś cudzołóstwa. Przygotowania zaczęły się bez jego udziału.

Pobożny Beranger zgłosił się jako jeden z pierwszych i dołączył do wojska hrabiego Rajmunda Saint-Gilles, syna poprzedniego.

Jego wkroczenie do Tuluzy o zachodzie słońca, na czele stu pięćdziesięciu uzbrojonych po zęby ludzi otoczonych ze wszystkich stron podżegaczami, którzy nieśli głownie, wywołało wielkie poruszenie.

Podobnie jak hrabia, który obciążył hipoteką w bankach włoskich środkową część swego lenna w Rouergue (łącznie z Rodez), by pokryć koszty ekspedycji, Beranger musiał zastawić całą swoją posiadłość pod zakup broni, odzieży i żywności dla swego hufca.

Ta pierwsza krucjata była męcząca, długa i zwycięska. Wielu krzyżowców postradało w

niej życie, i w myśl umowy, poszło prosto do nieba. Sam hrabia Rajmund skonał na febrę w Trypolisie. Natomiast Berangera Boutefeux Bóg nie chciał, toteż wrócił on do Bellerocaille po trzech latach wychudzony, ogorzały, z obliczem naznaczonym niewysłowioną udręką. Ze stu pięćdziesięciu ludzi, z którymi wyruszył, towarzyszyło mu teraz ledwie dwunastu.

Korzystając z jego nieobecności Hugo, jego brat, opat franciszkańskiego klasztoru i tymczasowy pan na Bellerocaille, postanowił wyprawić się na opactwo Sainte-Foy, aby je ogołocić z bezcennych relikwii.

Ponieważ Beranger wcielił był do swego oddziału wszystkich mężczyzn zdolnych do walki, Hugo pokumał się ze zgrają brabanckich opryszków grasujących po gościńcach, którzy przy pierwszej okazji zdradzili go, opanowali gród i zamek, po czym zgodzili się z nich wycofać tylko w zamian za okup w wysokości dziesięciu tysięcy dukatów turskich³, co oczywiście powiększyło dług zaciągnięty przez Boutefeux u lombardzkiego bankiera.

Ten, gdy doszły go słuchy o powrocie Berangera, wybrał się w niewygodną trzydniową podróż z Rodez do Bellerocaille, by okazać mu najpierw uszanowanie, a następnie wierzycelności.

Beranger tylko rozłożył ręce, zrogowaciałe jak u oracza od intensywnego używania miecza.

– Nic mi nie zostało, bankierze. Będziesz musiał poczekać.

– W tym cały szkopał, wielmożny panie. Zatem nic nie przywieźliście z Ziemi Świętej? Żadnego skarbu, ani jednej relikwii? – zdziwił się kredytodawca.

Beranger westchnął: to samo pytanie zadali mu już matka i brat.

– Nie, nic.

Przypomniawszy sobie natrętnych przekupniów, którzy nagabywali krzyżowców wokół meczetu Żłobka Pańskiego, Góry Oliwnej i Grobu Świętego, proponując rozmaite relikwie. Ten gbur Gauthier Fendard zbił majątek na przywiezionym stamtąd napletku Jezuska, który wystawił w kaplicy. „Gdybym wiedział”, gorzko pożałował, wspominając ampułkę z dmuchanego szkła zawierającą trzydzieści trzy krople mleka Marii, oferowaną za jedne pół bizanta. A co sądzić o tym sporym kawałku Prawdziwego Krzyża i wciąż jeszcze w nim tkwiącym gwoździu z brązu, poplamionym zaschniętą krwią? Za jego autentyczność ręczył sprzedawca, który zapewniał, że jego przodkowie prowadzili w owych czasach handel oliwą na zboczach Golgoty i że którejs nocy, po ukrzyżowaniu...

Beranger nie miał na niego ochoty, więc nabywca, Bohemond, otrzymał jako naddatek kamień, którym Dawid uśmiercił Goliata. A czyż można nie zazdrościć Baldwinowi z Boulogne, bratu Godfryda z Bouillon, że mu wszystko idzie jak z płatka, odkąd zafundował sobie łuskę jedynej ryby, na którą nieopatrznie nastąpił Chrystus podczas pieszej przeprawy przez Jezioro Tyberiadzkie? Czyż nie został namaszczonej na króla Jeruzalem? Niestety!

Jego wierzyciel zgodził się wreszcie na odroczenie terminu, po którego upływie lenno

³ Bitych w Tours do XIII w. (przyp. tłum.).

Bellerocaille wraz ze wszystkimi beneficjami przejdzie w całości na jego własność. Beranger spokojnie położył pieczęć na umowie. Postanowił zrobić wszystko, by spłacić Lombardczyka, lecz gdyby się to okazało niemożliwe, był gotów raczej przeszyć mu kałdun mieczem, niż widzieć, jak panoszy się w jego włościach.

Kilka nocy z rzędu modlił się na grobie swego ojca, błagając o osobiste wstawiennictwo u Boga, by Ten jakimś cudem wydostał go z opałów. Następnie, na wypadek gdyby jego starania nie odniosły skutku, skrzyknął na nowo swą drużynę pieszych, furazerów i podżegaczy.

Już miało się zakotłować w okolicy, gdy pożądaný cud przybrał postać koźlęcia, co podczas burzy odłączyło się od stada. Pasterz, który ruszył na poszukiwanie, wpadł w szczelinę skalną i na jej dnie połamał sobie nogi. Głośnymi krzykami zaalarmował swoją siostrę, która czym prędzej pobiegła szukać pomocy.

Wyciągając go z rozpadliny, jeden z ratowników odkrył w jej ścianach pierwszą z owych żył srebra, które miały niepomiernie wzbogacić Bellerocaille, a przede wszystkim jego dziedzica.

Nie wiadomo, co się stało z koźlęciem.

Rozdział II

Bellerocaille, sierpień 1683 r.

Na świętego Szczęsnego, czyli w dwa tygodnie po dokonaniu swej potwornej zbrodni, Piotr Galine nadal nie był połamany, z braku wykonawcy. Baron ponownie zwołał radę w wielkiej sali. Panowała powszechna niepewność.

Komendant straży i starosta Henryk de Foulques zaczął nalegać. Ludność Bellerocaille praktycznie się podwoiła od czasu ogłoszenia wyroku skazującego, a ten niecodzienny napływ gości ściągnął z całej prowincji wszystkich rabusiów, obwiesiów, kieszonkowców i innych złoczyńców.

– Moi ludzie nie mogą temu podołać, panie baronie, proszę więc pokornie o wsparcie mnie waszymi zbrojnymi.

Gwardia pretoriańska barona dzieliła się na trzy centurie po pięćdziesięciu ludzi (pozostałość dawnego podziału na pieszych, furażerów i podżegaczy). Jedna z nich, regularna, pełniła straż na zamku; dwie pozostałe, których obowiązkiem były ćwiczenia wojskowe raz w miesiącu, składały się z ochotników zwoływanych w razie potrzeby biciem w dzwony. W zamian baron zwalniał ich z mostowego i opłaty za młyn.

Wszyscy zainteresowali się żywo przybyciem odźwiernego, który oznajmił, że mistrz więziennik Bertrand Beaulouis prosi o posłuchanie.

Rygiel Ludzki wszedł, zdjął czapkę i skłonił się przed baronem mówiąc:

– Jeden z moich więźniów zgłosił się na ochotnika. W dużej sali powstał harmider. Wszyscy mówili na wyścigi.

– Kim jest ten człowiek?

– Nazywa się Justynian Pibrac, panie baronie. To rzezimieszek skazany przez wasz trybunał na dwadzieścia lat galery. Ma wyjechać z konwojem na świętego Michała.

– Nieźle, nieźle. Przyprawdźcie go nam tutaj, mistrzu Beaulouis.

Dozorca więzienny przytaknął, lecz nie ruszył się z miejsca.

– To znaczy jest ochotnikiem, ale pod jednym warunkiem... och, całkiem uzasadnionym, panie baronie – dodał pośpiesznie, ujrawszy złowrogi błysk w oku swego pana. – Chciałby

zostać ułaskawiony.

Oblicze barona pojaśniało. Oczekiwał czegoś gorszego. W odpowiedzi na jego pytające spojrzenie sędzieja Cressayet pokiwał głową z aprobatą. Tak, prawo zezwala na takie transakcje. Cressayet przypomniał sobie nawet podobne orzeczenie sądu w Bordeaux sprzed sześciu czy siedmiu lat.

– Mogliście byli o tym pomyśleć wcześniej – mruknął baron poirytowany, że jemu samemu nie przyszło to do głowy. – Idźcie no po tego złoczyńcę!

– Do pańskich usług, panie baronie – powiedział mistrz Beaulouis rozbawionym głosem.

* * *

Ponieważ przestępczość uważano za swoistą dżumę trapiącą królestwo, sędziowie znali tylko jeden środek zapobiegawczy: amputację zakażonych członków przez skazanie na śmierć lub na galery. Więzienie jako takie nie było karą, lecz raczej miejscem czasowego odosobnienia, gdzie podejrzani czekali na proces, a potem, jako skazańcy, na wykonanie wyroku.

Podobnie jak jego ojciec, dziadek, pradziadek i ojciec tegoż, Bertrand Beaulouis był właścicielem swego tytułu dozorca i prowadził swe więzienie niczym zajazd, traktując każdego z aresztantów sprawiedliwie, to jest stosownie do wagi jego sakiewki. Ci, którzy ją mieli pełną, mieszkali w wygodnych celach baszty. Podawano im pięć posiłków dziennie i mogli korzystać ile dusza zapragnie z wina, tytoniu, a nawet z dziewczek. Ci, których mieszek był pusty, jeśli pominąć królewskiego solida, jakiego musiało im wypłacać starostwo, by nie pomarli z głodu, czeźli w ponurych lochach pod basztą.

Gdy mu brakowało „pensjonariuszy”, mistrz Beaulouis miał prawo kwaterować w swoich płatnych celach gości, których jego synowie werbowali na placu Św. Wawrzyńca, gdy wysiadali oni z dylizansu.

Trzy miesiące wcześniej, w drugą niedzielę kwietnia, straż dostarczyła mu trzech linoskokczków posądzanych o kilka drobnych kradzieży. Jeden z nich, łotrzyk około dwudziestki, miał za ozdobę drewniany nos przytrzymywany sznureczkami związanymi na karku. Beaulouis natychmiast mu go zdjął, odsłaniając przepastną dziurę o postrzępionych, lecz od dawna zabliznionych brzegach, co uspokoiło więziennika, który bał się trądu.

– Kto ci to zrobił?

– Nie wiem, byłem wtedy mały.

To z pewnością nie było dzieło jakiegoś kata czy oprawcy. Żaden fachowiec nie spartoliłby tak roboty. Nie ucięto mu nosa, tylko po prostu urwano.

Strażnik wyjaśnił, że oni doszli do tego samego wniosku, ale z początku podejrzewali go o dezercję. Winnym tej ostatniej istotnie amputowano nosy, ale dopiero po obcięciu uszu. Tymczasem młody złodziejaszek miał je na swoim miejscu, pod długą ciemną czupryną.

– Zatrzymaliśmy ich, bo narobili rabanu szamocąc się między sobą na środku targu. Kiedyśmy przyszli, próbowali się wymknąć, aleśmy ich złapali. Były też z nimi dwie dziewoje, którym udało się zbiec. Kiedy odstawialiśmy tych trzech do starostwa, paru zacnych ludzi rozpoznało ich. Starosta skonfiskował im więc wołu, osła i wóz wraz z jego zawartością.

Beaulouis westchnął, lustrując ich brudną, podartą i zgrzebną odzież.

– Macie chociaż dla mnie jakiś gościniec? – spytał znużonym tonem.

„Gościniec” był trzysolidowym podatkiem pobieranym z urzędu przez dozorcę od każdego nowo przyjętego.

Obwiesie żałośnie pochylili głowy. Naturalnie nie mieli nic.

– Potrącę wam wobec tego z królewskiego solida. Ale ostrzegam, że przysługuje wam tylko jeden dziennie, więc dostaniecie jeść dopiero pojutrze, chyba że zapłacą za was miłosiernicy. Szkoda, że ostatnio tak się rzadko pokazują...

Miłosiernicy, członkowie zakonu troszczącego się wyłącznie o warunki bytowania więźniów, regularnie odwiedzali zakłady karne, nieraz spiesząc z pomocą ich najgorzej sytuowanym lokatorom.

– Tędy – powiedział wskazując parter baszty, na którym było urządzone więzienne biuro.

Siedząc za stołem nad wielkim rejestrem Breduś, najstarszy z Beaulouisów, jedyny, co chodził do parafialnej szkoły, wykaligrafował niewprawną ręką ich nazwiska w skupieniu, o którym świadczyło przygryzanie koniuszka języka.

Młody gagatek z drewnianym nosem zwał się Justynian Pibrac i pochodził rzekomo z Clermont. Jego mały kompan o trójkątnej, pooranej przez syfilis twarzy, Baldomer Cabanon, był marsylczykiem i wykonywał podwójny zawód trubadura-linoskoczka. Ostatni, Witold Calamar, wysoki chudzielec o zgarbionych plecach i zaleknionym spojrzeniu, także pochodził z Marsylii i podawał się za żonglera-akrobatę, „absolutnie nie winnego” czegokolwiek, co mu zarzucano.

Gdy formalnościom stało się zadość, władzę nad więźniami objął mistrz Beaulouis. Strażnik rozwiązał ich, schował sznury, własność starostwa, i pozdrowiwszy całe towarzystwo, wyszedł. Breduś, Kubaś i Lucuś przejęli pałeczkę.

Rygiel Ludzki zapalił żywiczną pochodnię i wskazał drogę schodząc jako pierwszy wąskimi krętymi schodami, które ginęły w podziemnych czeluściach więziennej baszty.

Zeszli gęsiego po mniej więcej czterdziestu wyslizganych stopniach i znaleźli się w izbie rozjaśnionej tylko jednym promieniem słońca wpadającym przez wąską strzelnicę. Z haków wbitych w ściany zwisały żelazne łańcuchy, obroże, naramienniki. Między drabiną a skrzynią wypełnioną zapasowymi obręczami, na kowadle spoczywały młot oraz para obcęgow. Obok – beczka oleju oświetleniowego i stos drewnianych misek. Pośrodku posadzki kłapa zaopatrzona w solidny pierścień wskazywała drogę do właściwego lochu, posepnego pomieszczenia, przylegającego do jednej z grot, jakimi podziurawione było zbcze

wulkanicznego stożka.

Breduś chwycił pierścień, podniósł klapę i spuścił do środka drabinę. Mdły odór ścisnął więźniom gardła. Do jakiejż to kloaki ich teraz wpakują? Beaulouis zszedł pierwszy, w ślad za nim – rzeczony Baldomer (zwany przez przyjaciół Baldem), którego Breduś obarczył kowadłem, podczas gdy Justynian i Witold pospołu dźwigali łańcuchy i obręcze, w które miano ich zakuć.

To, co odkryli u stóp drabiny, okazało się jeszcze gorsze, niż oczekiwali. Obszerny, długi loch był tak zawilgocony, że od strony grotty potworzyły się stalaktyty, z których kapąły krople na ubitą ziemię, zamieniając ją w zimne i lepkie błoto. Druga część lochu, przylegająca do fosy, nie była bardziej zachęcająca. Nieświeże powietrze z trudem wydostawało się przez malutkie okrągłe okienko skąpo sączące światło. Zionęło kałem, moczem i zgnilizną.

Ze skutymi rękami, stopami i szycjami, na cuchnącym czarnym oborniku, który niegdyś był słomianą ściółką, leżeli czterej mężczyźni. Był wśród nich wolarz, który odmówił posłuszeństwa swemu panu, gdy ten zabił jego psa za to, że polizał osełkę masła; bezrobotny najmita aresztowany, gdy zrywał jabłka z gminnego drzewa; lepiarz (taki wiejski murarz wznoszący domy z ziemi i błota), nazbyt skłonny do hulanki, który spiwszy się na ulicy Rusznikarskiej wszczął burdę z patrolem i został przezeń pokonany. Czwartym był cudzoziemiec zamknięty za włóczęgostwo – nie popełnił żadnego przestępstwa, ponieważ jednak nikt nie rozumiał jego gwary, zarobił dożywocie na galerach, gdy tymczasem pozostali trzej dostali tylko po dziesięć lat odsiadki. Od swego procesu czekali na konwój straszliwego kapitana Cabrela.

Przygnębiony tym smętnym widokiem Baldo nagle przypomniał sobie, że ma jakieś oszczędności. Może i niewielkie, ale wystarczające, by zamieszkać gdzie indziej.

Beaulouis i jego synowie uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. Nie po raz pierwszy więzień błyskawicznie odzyskiwał przy nich pamięć. Zresztą niektórzy nawet nie musieli schodzić po drabinie: wystarczył już sam fetor dobywający się spod klapy.

– Cele na górze są po dziesięć solidów dziennie na osobę. Rzecz jasna, posiłki za dopłatą.

– Do diabła! Dziesięć solidów to drogo – próbował się targować trubadur-linoskoczek (jego numer polegał na tym, że śpiewał poematy epickie, akompaniując sobie na lutni i spacerując po linie rozpiętej między dwoma drzewami).

Beaulouis wyciągnął odwróconą dłoń.

– Dziesięć solidów i płatno z góry.

Baldo przybrał natchnioną minę, zaczął się obmacywać, po czym wyjął trzyliwrowego srebrnego talara, którego podał z żalem.

– Płacę i za tego – wskazał na Witolda – ale nie za tamtego – dodał wskazując palcem w stronę drewnianego nosa drugiego kompana, którego to rozsierdziło.

– Szubrawcze! A te talary, któreś mi zwędził? A mój nóż? A moja torba? WSZYSTKO mi zabrałeś, nawet nos! A to to już z czystej złośliwości.

– Dość tych swarów! – przerwał surowo Beaulouis. – Masz czym płacić czy nie?

– Przecież powiadam wam, że zabrali mi wszystko! Tego talara, co wam dał, także. Nie jestem ich współnikiem, tylko ofiarą, ale nikt mi nie wierzy!

– To rozstrzygnie dopiero sędzia. Na razie, skoroś bez grosza, zostaniesz tu.

Kazano mu uklęknąć przez kowadłem, a strażnicy przystąpili do dzieła, zaczynając od szyi, którą uwięzili w szerokiej żelaznej obroży. Musiał przytulić policzek do kowadła, po czym zamknął oczy, gdy Bredus walił młotem w obrożę, by przytwierdzić ją do łańcucha, który z kolei przymocował do pierścienia tkwiącego w ścianie. Podobnie postąpili z kostkami u nóg. Tylko obręcze na nadgarstkach nie zostały przykute.

Baldo i Witold wnieśli kowadło i nie wykorzystane łańcuchy po drabinie. Za nimi weszli młodzi Beaulouisowie. Ich ojciec jako ostatni opuścił ciemnicę.

– I pamiętaj, co ci mówiłem na dziedzińcu! Będziesz pościł do pojutra. Gdybyś zgłodniał, nie ma co krzyczeć. Powiedziałem, i basta.

Justynian zobaczył, jak wchodzi po drabinie i znika. Po chwili drabinę wciągnięto i rozległ się trzask klapy. Słyszał, jak podłoga pod nimi skrzypi. Suchy śmieszek Balda przyprowadził go o wściekłość, był bowiem pewny, że tamten śmieje się z niego. „Zadżgam go przy pierwszej sposobności”, pomyślał nie bardzo w to wierząc. Oparłszy się o ścianę, podkurczył kolana i ukrył twarz w dłoniach, by zaszlochać, szybko jednak woda sącząca się po blokach piaskowca przeniknęła liche płótno jego koszuli i zmroziła mu plecy, zmuszając do zmiany pozycji. Przy najdrobniejszym poruszeniu rozlegało się drażniące pobrzękiwanie. Parę razy wciągnął powietrze przez nos i przestał płakać. Jego oczy przywykły do półmroku, ale chyba tylko po to, by mógł stwierdzić, że jego podściółka roi się od robactwa.

Szczęk innych łańcuchów przypomniawszy mu, że nie jest sam. Najbliższy ze współtowarzyszy niedoli, przykuty o półtora sążnia od niego wolarz Eustachy, któremu zabito psa, wpatrywał się bez życzliwości w jego drewniany nos.

– Myślisz, że to trędowaty? – zaniepokoił się jego sąsiad z drugiej strony, Aproniusz, lepiarz-hulaka.

– Nie, to nie trąd, tylko wypadek, po prostu.

– Pokaż – zażądał Eustachy.

Głęboko westchnąwszy z rezygnacją, Justynian po raz kolejny rozwiązał sznurki swej protezy, skrępowany w ruchach przez okowy.

Uspokojeni sąsiedzi złągodnieli.

– Coś zrobił, że tu siedzisz?

– No właśnie, nic nie zrobiłem. To mnie „zrobili”! Te przekłete linoskoki. Skorzystali z tego, że spałem, i do cna mnie ograbili. To było w Racleterre, a ja idąc ich tropem dotarłem tutaj. Już ich wypatrzyłem, kiedy przyszła straż i nas zgarnęła. Ale nikt nie chce mi wierzyć.

Poruszył się na przegniłej słomie. Łańcuchy znów zabrzczały. I po co się tak spieszył, skoro o wiele prościej (i roztropniej) było podkraść się do ich obozowiska, zakatrupić we śnie

i spokojnie odzyskać swoje mienie! Może i Muszka by z nim poszła? Przypomniał sobie jej naburmuszoną minę i zacisnął zęby. Nagle wrzasnął: szczur ugryzł go w duży palec u nogi. Wściekły, spróbował przetrącić mu grzbiet pięścią, ale żelastwo mu w tym przeszkodziło. Zwierzę dało susa, po czym zastygło w bezruchu o cztery stopy od niego, jak gdyby wiedziało, że długość jego łańcuchów wynosi nie więcej niż trzy i pół.

Justynian rozsznurował jeden sandał i cisnął nim, lecz chybił. Teraz but był już poza zasięgiem jego ręki i trzeba będzie czekać na strażnika, żeby mu go podał.

Gryzoń zbliżył się do pocisku i zaczął nadgryzać skórę, popiskując z zadowolenia. Wkrótce dołączyła doń, jak wolno było sądzić, jego rodzina, która pomogła mu podzielić zdobycz na kawałki i poroznosić je do rozlicznych dziur w lochu.

Justynian mógł już tylko oddać się gorzkim rozmyśleniom o zawsze zgubnych konsekwencjach swej popędliwości.

– Powiniennem zawsze myśleć p r z e d t e m , a nie p o t e m .

Lecz za każdym razem impulsywność niweczyła postanowienie. Wyciągnął stąd wniosek, że zastanawiać się powinien tylko ze spokojem, co jednak zmieniało postać rzeczy: jak ten spokój osiągnąć, gdy się spokojnym nie jest?

Wtedy właśnie ruszyły do ataku pierwsze komary.

* * *

Proces odbył się nazajutrz rano. Aresztowała ich straż, w związku z czym podlegali jurysdykcji senioralnej i sądził ich Cressayet. Ponieważ kilku wiarygodnych świadków formalnie rozpoznało Balda i Witolda (z pewnymi zastrzeżeniami co do Justyniana), sędzia nie uznał za stosowne wszczynać śledztwa i skazał ich na „dostarczenie tudzież zaprowadzenie na królewskie galery, izby ówdzie zostawszy uwięzieni, służyli rzeczonemu Królowi lat dziesięć”.

Tylko złodziejasek o drewnianym nosie sprzeciwił się, z ręką na sercu i gorejącym okiem. Jego protest rozdrażnił sędziego, który nie cierpiał bandytów i chętnie by ich wszystkich powywieszał, gdyby pan Colbert nie ubrał sobie reorganizacji marynarki i nie wystosował do wszystkich sędziów Francji, w trybie pilnym, następującego okólnika:

Jego Królewska Mość pragnie zreformować korpus galerniczy i wszelkimi sposobami uczynić z niego podporę więziennictwa. Jego życzeniem jest, byście skazywali jak najwięcej winowajców, a nawet byście zamieniali karę śmierci na galery.

– Nie mogę być ich współnikiem, panie sędzio, skorośmy się bili, gdy przyszła straż. Może pan spytać wartownika, który nas rozdzielił.

Poirytowany takim uporem i zuchwalstwem, sędzia Cressayet uciszył Justyniana,

zdważając mu wymiar kary, a nawet grożąc jego potrojeniem. Witold zachichotał szyderczo, a Baldo rzucił mu ironiczne spojrzenie.

– Jeśli któregoś dnia twój statek pójdzie na dno, nos utrzyma cię na powierzchni!

Zbyt przygnębiony, by zareagować, Justynian spuścił głowę, z ciężkim sercem, ze łzami w oczach. Dwadzieścia lat galery! A więc jego dziecięce marzenia o morzu i żegludze miały się spełnić w ten sposób...

Strażnicy związali ich i zaprowadzili do więziennej baszty. Na podwórzu Beaulouis i jego synowie czekali na nich krzątając się przy koksowniku, w który wetknięty był długi żelazny pręt do piętnowania. Każdemu skazańcowi wypalano na prawym ramieniu litery GAL.

– Obnażyć ich! – rozkazał Rygiel Ludzki.

Justynian stawiał opór i szamotał się jak opętany, zanim powalono go na ziemię. Bredus i Kubus usiedli mu na plecach, by się nie ruszał, podczas gdy Beaulouis przytykał pręt do jego nagiego ramienia. Justynian wrzasnął.

Baldo i Witold przyjęli swój los z rezygnacją. Zaciskali zęby, gdy skóra skwierczała, wydzielając mocny swąd przypiekanego mięsa. Ponieważ byli nadal przy groszu, powlekli się do swych dziesięciosolidowych cel, natomiast Justynian załamany, zgłodniały, z rozpalonym ramieniem wrócił do swych towarzyszy niedoli.

– Ile? – spytali.

– Dwadzieścia lat.

– Tamci też?

– Nie, tylko ja.

– Toś ty był ich hersztem! Aleś nas nabrał tymi lamentami. Justynian nie odpowiedział. Pogrzeżył się w rozpacz aż do chwili, gdy otwarła się kłapa i zjechała drabina. Ostrożnie zszedł po niej jakiś miłosiernik w rudobrazowej burce. Upewniwszy się, że więzień nie jest trędowaty, opatrzył oparzeliny, smarując je grubą warstwą kitu pszczelego.

– Na miłość Pana naszego, błagam o coś do pisania, bym mógł dopraszać się łaski pana barona. To moja ostatnia deska ratunku. Ale najpierw, bracie, daj mi jeść. Nic nie przełknąłem od dwóch dni i szwankuje mi żołądek.

Miłosiernik przekazał jego prośbę dozorczy, któremu wręczył sześć denarów (pół solida) na zapłatę dla więźnia. Mistrz Beaulouis okazał zdziwienie.

– Ten patentowany hultaj twierdzi, że potrafi pisać? To wśród kuglarzy niepospolita umiejętność.

On sam wprawdzie umiał czytać, ale nie nauczył się pisać: nie mały mankament na stanowisku tak bardzo związanym z pisaniem. Bredus, najstarszy syn, spróbował w tej sztuce swoich sił, ale miał do niej tak małe zdolności, że przy ważniejszych kosztorysach musiał korzystać z usług pisarza publicznego, płacąc jednego obola za linijkę, a jeśli po łacinie, to liarda.

– Weź przybory – polecił synowi zapalając pochodnię.

Zeszli do ciemnicy.

– Miłosiernik mówił mi, że chcesz prosić barona o łaskę. Masz do tego prawo; oto i coś do pisania – powiedział Beaulouis do Justyniana.

Breduś położył mu pulpit na udach.

– Wolalbym najpierw zjeść, taki jestem głodny – odezwał się na to rozczarowany młodzieniec.

Podniósł jednak pokrywę, pod którą były przymocowane fajansowy kałamarz, pudełko z piaskiem, wycierak, temperówka, futerał na pióra, miseczka z gąbką i skrobaczka do błędów. Papier wsunięty był do szufladki w podstawce. Justynian otworzył futerał i skrzywił się na widok źle przyciętego gęsiego pióra.

– Pióro ostrzy się temperówką, a nie zębami. Dozorca z wyrzutem spojrzął na syna, który wydał parę niewyraźnych pomruków. Justynian poprawił czubek tłumacząc, że powinien być bardziej lub mniej spiczasty stosownie do rodzaju pisma, który z kolei zależy od rangi adresata i rodzaju sprawy (istniało ich sześć: drobne, okrągłe, skromne, gotyckie, kanciaste i gryzmoła). Prośba o ułaskawienie wymagała pisma skromnego. Bez wysiłku ani wahania jego ręka poszybowała nad papierem – szybka, lekka, pewna siebie.

Do Najwielożniejszego, Najdostojniejszego, Najszlachetniejszego Pana Barona.

Wasz pokorny sługa ma niniejszym zaszczyt opisać fatalne położenie, w jakim się znalazł...

W czasie krótszym, niż Breduś potrzebował na napisanie jednej linijki, zaczernił arkusz swoją relacją, podpisał go i posypał piaskiem, by wysuszyć inkaust, złożył we czworo i zaadresował do „Najjaśniejszego Barona Raula Boutefeux, Pana na Bellerocaille”.

– Umiesz pisać po łacinie? – zapytał Beaulouis biorąc odeń podanie, podczas gdy Breduś schylał się po pulpit.

Niepomny swego piętna, Justynian wzruszył ramionami i jęknął.

– Umiem.

Dozorca stanął na chwilę pod drabiną i powiedział:

– Miłosiernik zapłacił za zupę. Kubuś zaraz ci ją przyniesie.

A pokazując trzymaną w palcach prośbę, dodał dobrodusznie:

– Jest może sposób, by twój pobyt tutaj uczynić znośniejszym.

Po czym wszedł po stopniach i znikł we włazie. Już na podwórzu rozłożył pismo i przeczytał je na głos, podziwiając pewność linii, kaligrafię i styl.

– Dobrze pisze – podsumował z podziwem Breduś.

– Dobrze? Chcesz powiedzieć: świetnie. To nawet lepsze niż robota kościelnego.

Kościelny był jedynym pisarzem publicznym w Bellerocaille znającym łacinę.

Beaulouis przybliżył petycję do pochodni i popatrzył, jak zajmuje się ogniem na bruku. Gdy splonąła do szczytu, roztrzącił popiół podeszwą, a potem zajął się tą zupą za pół solida.

* * *

Pierwszym pisarskim zleceniem, jakie Justynian wykonał dla swego nadzorcy, był wykaz kosztów piętnowania z dnia poprzedniego.

Do wiadomości Pana Starosty:

Za oznakowanie na ramieniu prawym niejakiego Justyniana Pibraka	liwrów 5
Za oznakowanie na ramieniu prawym niejakiego Witolda Calamara	liwrów 5
Za oznakowanie na ramieniu prawym niejakiego Baldomera Cabanona	liwrów 5
Za wiązkę drew	liwra 1/2
Za worek węgla	liwr 1

Razem liwrów
16 1/2

Beaulouis głośno przeczytał rachunek (aby rozumieć, musiał słyszeć, co czyta) i skinął głową z aprobatą. Brak kleksów, przejrzystość tekstu, lecz nade wszystko szybkość wykonania bardzo mu zaimponowały.

– Czy pan baron odpowiedział na moje podanie? – zapytał więzień widząc, jak dozorca wchodzi z powrotem po drabinie.

Nie otrzymał odpowiedzi, ale w godzinę później zjawili się Breduś i Kubuś z pełnymi rękami. Pierwszy niósł miskę z dymiącą zupą, bochen świeżego chleba i dzbanek czystej wody, drugi – widły z wetkniętą w nie wiązką słomy, by zmienić przegniłą ściółkę.

Zupa w niczym nie przypominała cienkiej polewki z przedednia: była gęsta, tłusta i pływały w niej apetyczne kawałki słoniny wielkości palca. Jej zapach sprawił, że pozostałym skazańcom kiszki zagrały marsza, a skuwające ich łańcuchy zazgrzytały.

Breduś poczekał, aż Justynian skończy, by wypytać go o kaligrafię. Gdzie i jak się jej nauczył? Czy istnieje jakaś metoda, z której i on mógłby skorzystać?

Justynian pomyślał chwilę o Marcinie, swoim przybranym ojcu.

– Nauczyłem się pisać w szkole przytułku Świętego Wincentego, w Clermont – skłamał (ponieważ nigdy stopa jego nie powstała w tym mieście, a tym bardziej w wymienionym zakładzie). – To łatwiejsze, niż się na pozór wydaje. Wystarczy trochę poćwiczyć i dobrze przyciąć pióro...

Po odejściu strażników już miał zamiar uraczyć się okrągłym bochenkiem, gdy jego towarzysze poprosili, by się z nimi podzielił.

Chociaż protestowała przeciw temu część jego duszy, a także całość brzucha, nie miał sumienia odmówić. Przełamawszy chleb, rzucił mniejszy kawałek swemu najbliższemu

sąsiadowi Eustachemu, który natychmiast podzielił go na czworo.

Podczas gdy każdy z rozkoszą żuł swój kęs, Justynian wrócił myślą do Roumégoux i do swego pierwszego dnia w szkole. Przypomniawszy sobie tym lepiej, że przebiegł on jak najgorzej.

* * *

Kiedy mistrz więziennik zszedł do lochu, by podyktować podanie o kolejne odroczenie służby wartowniczej jego trzech synów, więzień odepchnął pulpit.

– Dziś rano napisałem wam rachunek, za co otrzymałem supkę, chleb, wodę i trochę suchej słomy. Niestety, mistrzu Beaulouis, znam taryfy pisarzy publicznych. Wasze są skromniutkie. Za wykonaną dziś rano pracę chcę, by mnie przeniesiono. Rzućcie okiem na moją podściółkę: jest już cała wilgotna. Chcę być przykuty do ściany naprzeciwko, tam gdzie sucho. Poza tym nie życzę sobie obroży. Nie potrzebuję jej, a i łańcuch jest tak krótki, że w nocy nie mogę się nawet wyciągnąć.

„Dopóki nie chodzi o pieniądze...”, pomyślał uspokojony Rygiel Ludzki.

– Czekajcie, to nie wszystko. Chciałbym jeszcze jedną supkę i bochenek chleba, bom wciąż bardzo głodny... i jeszcze plaster na przypalone ramię.

Płótno koszuli przykleiło się do rany i powodowało jej ropienie. Pod wieczór, mając już szyję wolną od oków, Justynian mógł zaskoczyć szczura, drepcącego zuchwale w odległości czterech stóp i roztrzaskać mu czaszkę ciosem drewnianej miski. Współtowarzysze wyrazili mu uznanie. Cisnął im martwego zwierzaka, którego rozszarpali paznokciami i sprawiedliwie podzielili między siebie.

* * *

Ułynęło dwanaście dni i tyleż nocy, aż wreszcie rankiem trzynastego otwarła się kłapa pod solidowymi królewskimi celami, umożliwiając zejście Baldowi i Witoldowi, za którymi zstępował Bredus, przy czym pierwszy niósł kowadło, drugi zaś – łańcuch. Ich sakiewki opustoszały, nie mogli więc już płacić za cele w baszcie. Od poprzedniego dnia padało i poziom fosy tak się podniósł, że woda spływająca przez okienka przekształciła posadzkę w istne grzęzawisko. Widok Justyniana z piórem w ręku, wygodnie usadowionego na poduszce leżącej na desce, która izolowała go od błota, wywołał na ich obliczach grymas zdziwienia. Był wprawdzie nadal przykuty, ale tylko za kostkę jednej nogi, i miał do dyspozycji pulpit, świeczkę oraz niski stolik. Od czasu do czasu sięgał do miski pełnej czereśni.

Baldo, który już obmyślał jakąś uszczypliwość pod jego adresem, nagle osłupiał ze zdziwienia. Ten tępak strażnik pytał ancymonka:

– Gdzie mam ich wpakować?

Przerwawszy swe zajęcie gryzipiórka, Justynian przyjrzał się obu kuglarzom, wspominając igraszki z Muszką na trawiastych brzegach Dourdou.

– W każdym razie nie koło mnie! Umieść ich tam, gdzie ja byłem... o, w tej kałuży.

Wypluł pestkę we wskazanym przez siebie kierunku.

– U włochatego diaska, co to ma znaczyć? Odkąd tu rządzi ten gagatek bez nochala? – obruszył się Baldo, nie dowierzając własnym oczom.

– Ile mi już jesteś winien? – spytał Justynian Bredusia.

– Pięć solidów, ale mówiłem ci, że zapłacę w przyszłym tygodniu.

Najstarszy syn więziennika zadurzył się w Fenalii, córce cynkarza-szlifierza z ulicy Bigorneńskiej, i niemal codziennie układał dla niej wiersze, które Justynian najpierw poprawiał, a następnie przepisywał na czysto – po jednym solidzie za dziesięć linijek (fachowiec żądałby trzy razy więcej).

– Opuszczę ci dwa solidy, jeśli porachujesz kości temu bałwanowi. A jeśli zdrowo go przetrzepiesz, następny liścik napiszę ci za darmo.

Breduś zaczął go okładać z całej siły, aż trubadur-linoskoczek padł na kolana w błoto i poprosił o łaskę.

Breduś wskazał wówczas na Witolda.

– Ach, mnie nie! Przecież ja nic nie mówiłem!

– Jego też – powiedział Justynian, biorąc w usta kolejną czereśnię.

Ci dwaj oszukali go, poniżyli, obili i ograbili. To dla nich nadużył zaufania bliskich i wyjechał z Roumégoux bez nadziei powrotu.

* * *

Dwa dni po Niedzieli Palmowej pocztylion kursujący na trasie Rodez-Millau oznajmił, że widział konwój w Montrozier.

„Będzie więc jutro w Gabriac, a pojutrze tutaj”, wyliczył mistrz Beaulouis drapiąc się w lewy łokieć, co było u niego oznaką zakłopotania.

Na około trzech tysięcy dusz miasto liczyło czterech pisarzy publicznych: byłaby to liczba wystarczająca, gdyby mieszkańcy Rouergue w ogóle, a Bellerocaille w szczególności nie odznaczali się wyjątkowo pieniackim usposobieniem. Ponadto tylko jeden z tych skrybów, kościelny, był w stanie przetłumaczyć tekst francuski na łacinę. Obłożony zleceniami, dawał termin tygodniowy, a nieraz i dłuższy, na ich wykonanie. Mając do dyspozycji swego więźnia o drewnianym nosie, Beaulouis postanowił złamać ten monopol, oferując taniej usługę wyższej jakości. Baron byłby zachwycony, mogąc mu sprzedać urząd pisarza.

Podobnie jak folwark, urząd był towarem sprzedawanym z a g o t ó w k ę . Z chwilą zakupu stawał się dziedzicznym dobrem rodzinnym (za pewną dopłatą). Ponieważ ten

proceder umożliwiał awans społeczny, ludzie szlachetnie urodzeni nazywali sprzedaż urzędów „mydełkiem dla chamów”. By jednak urzeczywistnić swój plan, mistrz Beaulouis musiał znaleźć sposób na wyciągnięcie Justyniana z konwoju kapitana Cabrela.

* * *

Justynian kończył właśnie bilecik z powinszowaniami dla pewnej młodej matki z Sentenac, której poród przebiegł szczęśliwie, kiedy strażnicy przynieśli mu wieczorną zupę.

Gdy solidowi pensjonariusze chleptali swoją wodziankę, krzywiąc się przy tym niemilosiernie, Justynian wybierał między rybą z Dourdou z serem a baranym filetem z grzybami. W końcu zdecydował się na rybę.

– Pogratuluj pani Beaulouisowej: przeszła samą siebie – powiedział z pełnymi ustami do Bredusia, który nalewał mu zakazanego marcillaka (na prośbę cechu hurtowników baron Raul zabronił sprzedaży win importowanych w baronii, dopóki nie zostaną upłynnione zapasy z miejscowych zbiorów).

– Nie powiedziałbym tego o zupie – wtrącił fałszerz soli, niedawno skazany na dożywotnie galery.

Wszyscy parsknęli śmiechem oprócz Balda i Witolda, pożądliwie zerkających na tacę ze swych najbardziej koszmarnych snów.

– Opychajcie się, opychajcie, bydlaki! Zobaczmy jutro, jak skosztujecie zupki kapitana Cabrela!

Nowina zmroziła wszystkich. Spojrzeli na Bredusia tak, jak się patrzy na pożar albo powódź.

– Zbliża się konwój? – wykrztusił Justynian ze ściśniętym gardłem.

– Jest w Gabriac, a jutro rano będzie tu. Baldo zaczął wierzgać na ściółce.

– Koniec przywilejów, drewniany nochalu! – zaskrzeczał głosem zmienionym, odkąd Bredus wybił mu przednie zęby. – Nadchodzi czas porachunków. Od jutra żaden Rygiel Ludzki cię nie obroni.

– Chcesz, żebym go walnął? – zaproponował strażnik.

– Nie, zostaw – odparł Justynian.

Bardzo się bał tej długiej wędrówki aż do Marsylii. Może uda się jakoś uciec po drodze? Gdy chciał dokończyć posiłku, stwierdził, że już nie jest głodny. Ani trochę.

* * *

Justynian spał niespokojnym snem, gdy gwałtowny ból lewej nogi obudził go, aż podskoczył. Krzyknął. Miał złamany piszczel. Ponieważ loch był pogrążony w ciemności, nic nie widział i pomyślał, że Baldo i Witold jakoś rozkuli swoje łańcuchy, gdy trzask zamykanej

nad nim klapy pomógł mu ustalić tożsamość napastników.

* * *

Pierwszy zobaczył konwój wartownik z muru obronnego. Wychodząc ze swej wieżyczki, krzyknął do strażnika na dziedzińcu:

– Konwój skręca na Rozstaju Czterech Dróg! Zawiadom Rygla Ludzkiego!

Może z wyjątkiem procesji wielkanocnych żadne widowisko nie wzbudzało tak powszechnego zainteresowania. Na trasie pochodu zamierała wszelka działalność: wózki zjeżdżały na pobocze, przechodnie stawali w miejscu, sprzedawcy – na progu swych sklepików, kumoszki – w oknach; nawet dzieci zamieniały się w słupy soli: wszyscy wpatrywali się w ponury korowód udręczonych ludzi, przykutych po dwóch obrożami do głównego łańcucha, co w efekcie przypominało szkielet jakiejś fantastycznej ryby.

Z wygolonymi głowami, w czerwonych kaftanach, szli środkiem drogi pod nadzorem strażników uzbrojonych w halabardy. Na ich czele, wyprostowany jak struna, na gniadoszarym koniu jechał stępa dowódca konwoju, kapitan August de Cabrel, nieufny Gaskończyk, były oficer-nadzorca na galerze „Mazarine”, który przerzucił się na transport zbiorowy. Na końcu kolumny potężne woły z Aubrac ciągnęły pięć krytych wozów wyładowanych sprzętem niezbędnym do właściwego funkcjonowania całej maszyny.

Zawiadywanie takim przedsięwzięciem wymagało sprawnej organizacji. By uzyskać koncesję Sekretariatu. Marynarki, kapitan wydał tysiąc sto liwrów na łańcuchy, obroże, obręcze, zwierzęta pociągowe, przybory do piętnowania, a ponadto na zatrudnienie dwunastu zbrojnych do pilnowania oraz kowala, wolarza, kucharza i pomywacza.

Konwój przeszedł przez Stary Most i bramą zachodnią wkroczył na podgrodzie, kierując się ulicą Paparella ku więziennej baszcie. Na dziedzińcu czekał mistrz Beaulouis z synami. Ich więźniowie, ustawieni pod murem obronnym, wyglądali żałośnie. Po kilku tygodniach przebywania w mroku mieli kredową cerę, a ich oczy odwykły od intensywnego światła słonecznego. Nieco na uboczu Justynian, leżąc na wznak na bruku, dygotał z gorączki.

Otworzyła się brama i wszedł kapitan Cabrel. Dowódca konwoju i więziennik pozdrowili się chłodno. Nie cierpieli się wzajemnie, odkąd mistrz Beaulouis łamał monopol, dostarczając więźniów już napiętnowanych. Utrata takiej fuchy, a zwłaszcza zły przykład dawany innym dozorcóm sprawiły, że kapitan Cabrel podał Beaulouisa do sądu senioralnego. Sędzia Cressayet oddalił jednak jego pozew, rozstrzygając sprawę na korzyść Rygla Ludzkiego.

Przed podpisaniem dokumentu kapitan dokonał skrupulatnych oględzin każdego więźnia. Od skarbnika Floty Wschodniej otrzymywał ryczałtem dwadzieścia pięć liwrów za każdego żywego galernika dostarczonego do Marsylii. Ta kwota miała pokryć wszystkie wydatki związane z podróżą: na utrzymanie skazańców, żołd eskorty i całego personelu, paszę dla zwierząt i kopytkowe na niezliczonych mostach, przeprawach promowych, granicach między

lennami, przy bramach grodów i miasteczek, wreszcie na opłaty dodatkowe. Różnica stanowiła jego zysk. Nic więc dziwnego, że kapitan Cabrel był skłonny ograniczać wydatki do niezbędnego minimum. I tak nie wzdragał się przed wydłużaniem etapów, obcinaniem racji i zmniejszaniem eskorty, kompensując te ograniczenia srogim terrorem, jaki szerzył pośród katorżników.

W wypadku opóźnienia lub ucieczki w trakcie podróży regulamin administracji królewskiej przewidywał grzywny. Tylko podróż bez zgrzytów gwarantowała godziwy zarobek. Było więc wykluczone, by Cabrel przyjął więźnia zdolnego uszczuplić jego zysk przez zwalnianie kroku lub, co gorsza, przez śmierć z wyczerpania po kilku dniach marszu, co pociągnęłoby za sobą koszty nie podlegające zwrotowi.

Gdy zaczął obmacywać złamaną nogę Justyniana, ten wrzasnął, płosząc wszystkie ptaki z pobliskich dachów.

– Jak to się stało? – zapytał Cabrel nieufnym tonem.

– Poślizgnął się – odparł sucho Beaulouis.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym dowódca konwoju skreślił Justyniana ze swojej listy.

– Wezmę go następnym razem. Szkoda, bo jest młody i krzepki.

Zanim przeszedł do następnego, sprawdził, czy drewniany nos nie kryje dymienicy.

Wszystkich pozostałych przyjęto. Bredus, Kubus i Lucus pozbierali łańcuchy i przekazali swych podopiecznych Cabrelowi. Mijając Justyniana Baldo skorzystał z okazji i wymierzył mu złośliwie kopniaka w nogę, po którym tamten zemdłał.

Natychmiast po odmarszu konwoju i zamknięciu bram Beaulouis przeniósł młodego człowieka do jednej z cel w baszcie i wezwał Le Clapeka, producenta gwoździ, który podobnie jak wszyscy mający do czynienia z ogniem, był po trosze znachorem. Zręcznie nastawił złamaną kość i uśmierzył gorączkę, podając choremu gorzkie napary, które słodził miodem.

* * *

Justynian był młody, toteż jego piszczel zrosł się szybko.

W suchym miejscu, przyzwoicie odżywiany, już nie przykuty, zarabiał na utrzymanie pisząc listy, w tym miłosne, kosztorysy, podania, prośby, petycje. Gdy nie pisał, lubił opierać łokieć o parapet strzelnicy i marzyć błędząc wzrokiem po łupkowych dachach, murach z różowego piaskowca, rzece i starym na niej moście, a wreszcie ogromnym megalicie hen, w dole, widocznym mimo odległości pośrodku skrzyżowania, na którym się zjawił przed trzema miesiącami, niczego nawet nie przeczuwając.

Pewnego dnia zobaczy tam swój konwój i taki będzie kres egzystencji, która dopiero co się zaczęła. Chyba że wcześniej Rygiel Ludzki znajdzie jakieś rozwiązanie (które nie będzie

polegało na złamaniu mu jeszcze czegoś innego). Albo że uda mu się uciec.

* * *

Miesiąc żniw był w pełni, gdy pszczoły w ulach stojących nad rzeką ogarnęła nieprzeparła żądza wytopienia wszystkich samców. W kilka dni później Piotr Galine dopuścił się tego, co w annałach prowincji Rouergue miało figurować jako bezprecedensowy przypadek „kulinarnego dzieciobójstwa”.

* * *

Uwięzienie Galine’a było nie lada gratką dla jego dozorczy. Ledwo Beaulouis przyjął go do swego zakładu, a już ciekawscy dobijali się do bramy błagając, by ich wpuścił „za wszelką cenę”. Tak więc na życzenie publiczności ulokował skutego winowajcę samego w celi na pierwszym piętrze i zaczął pobierać opłaty za jego oglądanie.

Wobec ogromnego powodzenia widowiska, a także zuchwalstwa niektórych widzów, musiał odgrodzić od nich swego złoczyńcę barierą. Beaulouis wpadł też na świetny pomysł, by od pewnego sądowego podgrzewacza wosku pożyczyć tekst wyroku i dać go Justynianowi do przepisywania. Jego egzemplarze po pięć solidów miały nie mniejsze wzięcie niż ciepłe rożki sprzedawane przy wyjściu z kościoła po sumie.

Gdy się dowiedział, że kat z Rodez nie może przyjechać, a do jego kolegi z Albi nie sposób dotrzeć, podniósł taryfę. Liczył sobie teraz trzy liardy za bilet wstępu (cena jednej nocy z ładacznicą z ulicy Rusznikarskiej). Przedtem pozatykał strzelnice, pogrążając celę w mroku, by móc żądać dopłaty za oświetlenie pochodniami.

* * *

Sąd uznaje Piotra Galine za należycie pojmanego tudzież winnego wielce szpetnej, potwornej i ohydnej zbrodni kulinarnego dzieciobójstwa, popełnionej na osobie nieletniego Dezyderego Crespiageta. Za to przestępstwo skazuje rzezonego Galine’a na doprowadzenie na plac Dziurski, wejście na specjalnie w tym celu postawiony szafot, gwoli powolnego łamania żywcem rąk, nóg i łędźwi, a następnie umieszczenie na kole, twarzą do nieba, by tam konał tak długo i niespiesznie, jako się podobać będzie Panu naszemu.

Justynian kończył swój ósmy egzemplarz od czasu tercji, gdy drapiąc się w łokieć do celi wszedł Beaulouis pogrążony w myślach.

- Chyba jest sposób, abyś uniknął galer. Justynian wzdrygnął się.
- Konwój będzie przed czasem? Już nadchodzi?

– Nie, nie frasuj się, przed świętym Mikołajem nie nadejdzie. Słuchaj, jeśli się zgodzisz na moją propozycję, obiecuję tak omotać sędziego Cressayeta, że cię uniewinni.

– Jeśli się zgodzę na co?

– To całkiem proste. Starosta jeszcze nie znalazł kata dla Galine’a. Każdemu chętnemu daje w nagrodę pięćdziesiąt liwrów. Zgłoś swoją kandydaturę, a jeśli ją baron przyjmie, podziel się ze mną nagrodą i przysięgnij na Biblię, że po ułaskawieniu będziesz przez dziesięć lat moim skrybą: dzięki temu ominą cię galery.

Szalona nadzieja, która na chwilę wstąpiła w Justyniana, teraz przygasła.

– Żarty sobie ze mnie stroicie, mistrzu Beaulouis. Jak możecie myśleć, że ja będę ŁAMAŁ KOŁEM? Nie potrafię... Nigdy własnoręcznie nikogo nie zabiłem, nawet kury... no, z wyjątkiem szczura.

Te argumenty natury praktycznej, nie zaś moralnej, uspokoiły więziennika, toteż zaczął kusić swego rozmówcę.

– Zastanów się, chłopcze. Masz w ręku jedyną szansę wywinięcia się z katorgi. Chyba nie wiesz, że dwadzieścia lat galer mogą przeżyć wyłącznie dobrzy wioślarze. A że są oni na wagę złota, zawsze można ich pod jakimś pretekstem przetrzymać, gdy ich kara dobiegnie końca. Innymi słowy, wyrok terminowy to nic innego jak dożywocie.

Justynian wolał nie pytać, jaki los spotyka złych wioślarzy.

– Powiadam wam, że nigdy nie będę umiał łamać.

– Przecież mówię, że wprowadzę cię w arkana sztuki... Zobaczysz, gdy człowiek wie, gdzie uderzyć, to jest tak proste jak rąbanie drew. Rąbałeś kiedyś drwa? Tak? To wygląda zupełnie tak samo. No więc, zgoda?

* * *

Członkowie baronowskiej rady zamilkli, gdy woźny wprowadził mistrza Beaulouis, popychającego przed sobą Justyniana w kajdankach.

Sędzia Cressayet po drewnianym nosie rozpoznał młodego obwiesia, który tak mu rozstroił nerwy wrzeszcząc o swej niewinności. Zmarszczył brwi i pomiętosił wylóg swej togi. Trapiło go coś, czego nie potrafił określić.

Siedzący pod herbową tarczą, w fotelu o poskręcanych w spirale poręczach, baron Raul zrobił grymas rozczarowania. Łachmaniarska aparycja kandydata, jego młody wiek, ten sztuczny nos, a wreszcie fakt, że miał sandał tylko na jednej nodze – wszystko to mu się nie spodobało.

– Połamać człowieka to nie przelewki – zwrócił się do więziennika. – Czy wasz roztropek chociaż to umie?

– Będzie umiał, panie baronie. Widziałem przy robocie mistrza Pradela z Albi, więc mu pokażę – ufnym głosem orędownął Beaulouis.

Justynian zastanawiał się nad celowością napomknienia o swojej petycji, pozostającej wciąż bez odpowiedzi, gdy baron splunął tytoniowym ekstraktem i wstał, dając tym przykład chłopcu, który musiał być jego synem, tak uderzające było podobieństwo. Zbliżyli się obaj, budząc w nim lęk. Zamknął oczy, spodziewając się najgorszego. Tymczasem oni obchodzili go, jak gdyby był koniem wystawionym na sprzedaż.

– Powiedz, draniu, czemu masz tylko jeden buciór? – spytał wreszcie baron.

Justynian wyprostował kark. Skrzyżowali spojrzenia. Pańskie dobiegało gdzieś z głębi oczodołów.

– Drugi zżarł szczur, panie baronie.

Wilhelm, syn, bardziej zainteresowany drewnianym nosem, grzecznie zapytał, czy może mu się przyjrzeć z bliska. Justynian odwiązał go i podał chłopcu.

Ten obrócił przedmiot w palcach, przyglądając mu się ze wszystkich stron.

– Nie jest dobrze zrobiony.

– To prawda, ale wyciąłem go w wielkim pośpiechu i nie miałem czasu wykończyć. Zresztą, to liche drewno.

Wilhelm oddał nos Justynianowi, a ten szybko założył go z powrotem. Baron wrócił na miejsce, usiadł i oświadczył:

– Skoro ten niechlujny gbur ma reprezentować mój wymiar sprawiedliwości, byłoby nieprzyzwoite, gdyby wyglądał jak strach na wróble. Jest brudny i śmierdzi jak skunks. Niech weźmie kąpiel i godziwie się przyodzieje w dzień kaźni... który wyznaczam na jutro; ta sprawa ciągnie się już za długo.

Beaulouis uśmiechnął się szeroko. Justynian odetchnął. Jego kandydatura została przyjęta: nie będzie galernikiem.

Podczas gdy dozorca rozkuwał łańcuchy i prostował obcęgami obręcze, Duvalier, podsędek, podał baronowi akt unieważnienia przestępstwa, akt łaski anulujący wyrok oraz nominację na wykonawcę najwyższego wymiaru kary na jeden dzień.

Dyżurny podgrzewacz zapalił świecę i przytykając ją do kawałka wosku nad poszczególnymi dokumentami, spuścił na nie parę czerwonych kropel. Baron odcisnął na nich pieczęć Boutefeux, którą nosił na serdecznym palcu lewej ręki, po czym opuścił salę, pozostawiając troskę o szczegóły swemu sędziemu i staroście, za nim zaś podążył Wilhelm – truchtem, by nie zostać w tyle. Wszyscy obecni w wielkiej sali podnieśli się i usiedli, dopiero gdy ojciec z synem znikli.

Justynian lizał przeguby pocierane przez żelazne bransolety, gdy podsędek zapytał go, jakie nazwisko ma wpisać do odpowiedniej rubryki.

– Justynian Pibrac – powiedział zastanawiając się, co by pomyślał o tym przywłaszczeniu tożsamości prawdziwy Pibrac.

Podsędek podał trzy pisma sędziemu, który uważnie je odczytał, a następnie dwa z nich podał Justynianowi. Ten nie ukrywał zdziwienia:

– A moje ułaskawienie?

– Wszystko w swoim czasie. Otrzymasz je po egzekucji. Nagle Cressayet zrozumiał, co go intrygowało od początku w tym hultaju. Skinął na więziennika.

– Słuchajcie, mistrzu Beaulouis, o ile mnie pamięć nie myli, a to się nigdy nie zdarza, skazałem tego strachajłę ze trzy miesiące temu. Wytlumaczcie mi, dlaczego nie poszedł z ostatnim konwojem.

– Kompani złamali mu nogę, panie sędzio, więc kapitan Cabrel go nie chciał.

– Hm, hm, hmmmhmm – chrząknął Cressayet, tarmosząc wyłóg, który na całej długości był upstrzony śladami palców.

Przeczuwał, że Rygiel Ludzki jest w tę sprawę zamieszany, ale nie rozumiał jak i dlaczego.

Starosta Henryk de Foulques przypomniał Justynianowi, że kaźń ma się rozpocząć nazajutrz, punktualnie o nonie, na placu Dziurskim.

– Liczy się każda minuta, nie trać więc czasu, bo najmniejsza zwłoka nie będzie tolerowana. Od tej usługi zależy twoje ułaskawienie.

I już wracał na miejsce, by usiąść i napisać obwieszczenie dla herolda.

Beaulouis i jego niedawny więzień wyszli z milczeniu, przecięli paradny dziedziniec i zeszedli na podwórze pogrążeni w całkiem odmiennych myślach.

Beaulouis triumfował, Justynian medytował. Starościńskie dictum: „Od tej usługi zależy twoje ułaskawienie” nie tylko go nie zmobilizowało, lecz podziało jak zimny prysznic na jego kielkującą euforię. A więc niczego jeszcze nie uzyskał. Wszystko trzeba zdobywać, i to jakie „wszystko”!

– Co mam teraz robić? – zapytał żałośnie Beaulouisa, który właśnie zwoływał swych synów, by polecić im przygotowanie kąpieli.

– Wykonasz polecenie barona, poczynając od zeskrobania brudu, ale zanim nagrzej się woda, chodź wybrać dla siebie jakieś łachy.

Justynian podążył za nim do składu, w którym dozorca wystawiał na sprzedaż odzież i inne przedmioty pozostawione w depozycie przez skazańców. Oniemiał wobec bogactwa oferty.

Dziesiątki kaftanów, surdutów, peleryn, płaszczy zwieszało się spod powały na długich drewnianych drągach.

Część jednej ze ścian była przeznaczona na kapelusze, naprzeciw zaś piętrzyły się półki z rzędami peruk o różnych kształtach i niejednakowej jakości, ciżm w rozmaitych rozmiarach, butów z cholewami, a nawet z kilkoma chodakami. Ze skrzyń ustawionych pod ścianami wysypywały się koszule, pludry, pończochy, mankiety, wstążki, chusteczki, rękawiczki, a w szufladach położonych na rozstawionych stołach zobaczył całą kolekcję tabakierek, w tym ozdobnych, fajek z cybuchem, ubijaków do tytoniu, zapalniczek krzemieniowych, a także wielki wybór noży ze składanym ostrzem. Wśród nich rozpoznał ze wzruszeniem nóż Pibraka

podarowany mu przez Marcina, a zrabowany wraz z pozostałymi rzeczami.

– On jest mój. Spójrzcie, jest na nim moje nazwisko. Istotnie, Beaulouis przeczytał na rogowej rękojeści:

Juliusz Pibrac.

– Przecież nie masz na imię Juliusz.

– To mój ojciec – skłamał wspominając tatę Marcina, który mu go dał cztery lata wcześniej, w przeddzień jego wyjazdu do seminarium Zakonu Czcieli Św. Napletka.

Rozdział III

Już od kołyski Justynian słuchał opowieści o przygodach Marcina Coutouly i jego nieodłącznego kompana Juliusza Pibraka, który żeglował z nim przez ćwierć wieku.

– Byliśmy sobie tak bliscy, że wierz mi albo nie, mój chłopcze: kiedy jeden pierdział, to drugi śmierdział.

Marcin miał szesnaście lat, gdy wyruszył z Roumégoux, by dotrzeć do Marsylii i zobaczyć morze. Tuż przed Nîmes spotkał Juliusza Pibraka, który jechał z Clermont, też żeby zobaczyć morze. Już się ze sobą nie rozstali.

Jako majtkowie na weneckim trójmasztowcu zatopionym opodal Aleksandrii przez berberyjskich piratów, zostali wyłowieni po to tylko, by trafić na kairski targ, gdzie kupił ich zamożny producent eunuchów z dzielnicy Piramid („Możesz mi wierzyć albo nie, chłopcze: ci bisurmanie tak pobłądzili, że z woli Boga wszystko muszą robić na opak... Uśmiechasz się głupawo, bo nie wiesz, że ci ludzie piszą od prawej do lewej i tak też czytają, że noszą suknie jak białogłowy i jak one – siusiają w kucki! Widziałem lepiej, niż teraz ciebie widzę, jak siadają z podwiniętymi nogami, nigdy nie mając przy tym kurczów, a kiedy modlą się do swojego Allaha, pokornie wycierają czołem kurz, zadek wystawiając nieobyczajnie w powietrze, niczym jacyś sodomici. Niech się zamienię w ropusze bobki, jeśli kłamię!”)

Na pozór dziecinnie prosta („miażdży się chłopczkowi jądra w gorącej kąpieli”) technika wytwarzania eunuchów haremowych należała w istocie do najsubtelniejszych; wymagała sztuki, którą Al Hadż Mahmud (Marcin wymawiał „Marmud”) posiadał w małym palcu, zakończonym, jak i pozostałe, długim, malowanym paznokciem. Jeszcze inną jego umiejętnością było zręczne przywracanie dziewictwa niektórym księżniczkom sułtana.

Także Marcinowi i Juliuszowi przez pięć lat groziła kastracja przy najmniejszym uchybieniu. („I on by to zrobił! Możesz mi wierzyć, widzieliśmy na własne oczy, jak swojego niewolnika, którego schwytał podczas ucieczki, uraczył wspaniałym obiadem. Gdy nieborak, który już coś podejrzewał, objadł się po uszy, kazał mu zalepić zadek woskiem. Potem zamknął go w klatce, którą tragarze nosili wszędzie za nim. Zawsze musiał go mieć na oku. Aż nieszczęśnik zgnął pośród robactwa wyhodowanego w jego własnym gównie!”)

Dwaj przyjaciele zawdzięczali swe ocalenie hiszpańskim mercedariuszom z żebraczego

zakonu trudniącego się wykupywaniem chrześcijan z niewoli Saracenów.

Natychmiast po zejściu na ląd w Maladze zamustrowali się na brygantynę pewnego greckiego kapitana, po trosze przemytnika, a jeśli tylko trafiała się okazja, to i pirata. Dla Marcina i Juliusza były to złote czasy. Do tego stopnia, że wzbogaciwszy się kupili sami brygantynę i piratowali na własny rachunek.

Gdy ich okręt znów zatopili muzułmanie, tym razem na wysokości Trypolis, kupił ich Al Dżibril, bogaty właściciel oaz. Dojeżdżał on już ze swoimi nowymi nabytkami do Fezzanu, celu swej podróży, kiedy na jego karawanę napadła banda zamaskowanych rzeźmieszków.

Walnie przyczyniwszy się do ich odparcia, Marcin i Juliusz zyskali zaufanie swego pana. Na oczach wszystkich ucałował ich uroczyście i mianował dowódcami swej gwardii przybocznej.

Pibrac, który przy jednym z zabitych Tuaregów znalazł piękny składany nóż z dziwerowanym ostrzem, osadzonym w przejrzystym niczym bursztyn żyrafim rogu, uzyskał zgodę na jego zatrzymanie.

Nieodmiennie w tym miejscu opowiadania Justynian pytał, czy może dotknąć noża. Marcin, który lubił snuć opowieści, jednocześnie wycinając miniaturki okrętów, przerywał i godził się na to.

Korzystając z podróży Al Dżibrila do jego oaz w Cyrenajce, Marcin i Juliusz uciekli razem z czterema niewolnikami Tuaregami i dwoma eunuchami haremowymi, których zjedli podczas swej wędrówki. („Po tośmy ich zabrali. Byli tłuści i wystarczyli nam na kilka dni.”)

Którejś nocy Marcina obudził jego współtowarzysz uśmiechnięty od ucha do ucha. („Właśnie zarznął czterech Tuaregów. Wierz mi, jeśli chcesz, ale to było tak: albo oni, albo my. Zresztą dopiero od tej chwili mieliśmy dość wody i suszonego mięsa, by wytrzymać do wybrzeża.”) Tam porwali felukę i po trzech tygodniach dopłynęli na Cypr, konając z pragnienia. („To podczas tego dryfowania Pibrac wyrzył na rękojeści swoje imię, posługując się harpunem, który znalazł na łódce. Przez ostatnie dni mieliśmy takie pragnienie, że musieliśmy pić nasz przyrodzony soczek. Może i nie był najsmaczniejszy, zgoda, ale wypilem wszystko... O właśnie, przynieś mi lepiej dzbanuszek cienkusza, zamiast się tak wykrzywiać.”)

Znużeni na dłuższy czas życiem na morzu, Marcin i Juliusz wsiedli na statek wiozący pielgrzymów z Ziemi Świętej, z zamiarem powrotu do kraju i zaciągnięcia się do wojska. („To był raczej jego pomysł niż mój, ale przecież zawsze robiłem to co on.”)

Podczas podróży Pibrac dostał piorunującego zapalenia trzewi, które w ciągu dwóch dni go wykończyło. Marcin owinął go i zaszył w płócienny całun. („Ciąłem nici jego nożem. I sam podniosłem trap. Przeważnie ciało jeszcze chwilę pływa, zanim zniknie, ale on nie: poszedł na dno tak, jak się odchodzi nie odwróciwszy się nawet. Serce mi pękło, poczułem się jak sierota.”)

Marcin powrócił do Roumégoux, ale się nie zaciągnął do żadnego wojska. Po pewnym okresie nieustatkowania ożenił się wreszcie z Eponiną, najmłodszą córką Nawecha, producenta świec. Mieli syna, który przeżył tylko parę dni. By nie zmarnować swego mleka, Eponina została mamką.

A potem któregoś dnia lub raczej wieczoru wstąpił do nich Wielki Czciciel Melchior Fendard i położył na stole duży wiklinowy kosz. Eponina czknęła z wrażenia na widok jego zawartości.

– Na cycki świętej Agaty! Kto mógł zrobić takie łajdactwo?

– Takimśmy go znaleźli. To się z nim stało już przedtem. Nasz medyk przyżegł mu rany. Nie pojmuję tylko, jak on mógł po tym wszystkim zasnąć.

Podnosząc noworodka Eponina sprawdziła, czy stóp nie ma wykrzywionych, a z czółka nie wystaje żaden róg.

– To śliczny bobasek, szkoda tylko, że tak oszpecony. Nagle rysy piastunki się ściągnęły. Pochylona nad niemowlęciem, obwąchała je, po czym oświadczyła z powagą:

– Nic dziwnego, że tak dobrze śpi, skoro jedzie od niego wódą.

Wielki Czciciel aż podskoczył.

– Wódą? Co mi tutaj, córuchno, bajtlujesz?

– Szczerą prawdę, Wasza Wielobność. Powiadam, że ten berbec jest spity na umór. Dali mu posać szmatkę nasyconą rumem. Tak robią niedobre matki, kiedy chcą mieć spokój w nocy.

Mimo powyższych osobliwości Eponina zgodziła się zająć oseskiem za zwyczajową cenę pięciu liwrów miesięcznie. Wielki Czciciel Melchior wrócił natomiast do klasztoru wielce żałując, że nieco przedwcześnie ochrzcił dziecko będące w stanie upojenia alkoholowego, i głowiąc się jeszcze intensywniej niż przedtem nad tożsamością jego rodziców. W chwili gdy je znaleziono, dziecko było nagie, jeśli nie liczyć owiniętej wokół uda haftowanej chusteczki, na której węglem drzewnym napisano: „Przebacz.”

W owych czasach lud wycierał nos palcami, mieszczanie rękawem, a tylko szlachta i duchowni używali chusteczek. Jakość bielizny wyściełającej kosz, delikatność haftu zdobiącego chusteczkę, wreszcie fakt, że kawaler (panna?) umie pisać, doprowadziły Wielkiego Czciciela do wniosku, że może tu chodzić tylko o wysoko urodzonego bękartą, którego pojawienie się na tym padole budzi więcej zakłopotania niż radości. „Kto” nie miał odwagi go zgładzić, „ten” podrzucił go w kruchcie jego klasztoru... Ale czemu go tak oszpecił? Żeby później nie był podobny do swoich rodziców? A dlaczego nos? Ksiądz Melchior na próżno przypominał sobie narządy węchu okolicznej szlachty; żaden nie wydał mu się na tyle nietuzinkowy, by usprawiedliwić podobną niegodziwość.

Prałat już się zbliżał do kruchty, gdy ujrzał sylwetkę bezdomnego psa, który capnął coś spod pomnika jego przodka, a potem na jego widok zawarczał i umknął. Skąd mógł wiedzieć, że zwierzę znalazło nos odgryziony dwie godziny wcześniej i wypluty na ziemię?

Później, wieczorem, ksiądz Melchior otworzył księgę parafialną Roumégoux (zakon prowadził ją od XII wieku) i wpisał do niej dziecko pod nazwiskiem Justynian Znajda. Justynian, z uwagi na basileusa Justyniana Rhinotmeta, cesarza Bizancjum, któremu wrogowie ucięli nos. Znajda, ponieważ podobnie jak Bożydar i Deodat, było to imię nadawane podrzutkom.

* * *

Pod koniec lata Justynian już się trochę uśmiechał i gaworzył, gdy do niego mówiono. Na Trzech Króli chodził na czworakach i brał do ust wszystko, co było w ich zasięgu. Na Wielkanoc reagował na swoje imię i wdawał się w trzy – lub czterowyrazowe rozmowy z psami, kurami, mrówkami, nogą stołową itp.

Na jego pierwsze urodziny, 10 czerwca 1664 roku, Wielki Czciiciel Melchior Fendard znów zawitał do Coutoulych. Okazał zadowolenie znajdując dziecko zgrabnym, puciołowatym, rumianym, a nawet zdolnym do postawienia paru kroków. Gdyby tylko nie ta różowa, przepastna dziura...

– Gratuluję ci, córko, oto malec tryskający zdrowiem. Zaciekawiony wielkim krucyfiksem z połączanego srebra zwieszającym się z szyi jego ojca chrzestnego, Justynian szczebiocząc wyciągnął rączki, by go pochwycić.

– Ten rozkoszny brzdąc mnie poznaje – wzruszył się duchowny, biorąc gest za dobrą monetę.

W wieku dwóch lat Justynian biegał, nie przewracając się zbyt często, a w wieku trzech – jadł już i ubierał się samodzielnie. Mając cztery lata mówił „ja” zamiast „Justynian”, doskonale skakał, zarówno na jednej, jak i na dwóch nogach. Potrafił wskazać dom, w którym mieszkał, ale myliło mu się jeszcze wczoraj, dziś i jutro.

Gdy miał lat pięć, włąził na drzewa, a Marcin uczył go czytać i pisać, najpierw z podręcznika dobrego wychowania dla dzieci, potem z *Iliady* i *Odysei*.

Dziesiątego każdego miesiąca Eponina udawała się po swą należność do klasztoru, a co roku tego dnia w czerwcu Wielki Czciiciel odwiedzał swego podopiecznego, by za każdym razem stwierdzić, że „bardzo urósł i jest nader rozgarnięty jak na swój wiek”.

– Może kiedyś wykierujemy go na czciciela? – rozmarzał się.

* * *

W dniu siódmych urodzin Justyniana ksiądz Melchior nie odstąpił od swojego zwyczaju, lecz tym razem, zamiast poklepać jubilata po policzku i powinszować mlecznej matce, że ma chłopaka na schwał, wziął go za rękę i zaprowadził do parafialnej szkółki.

W tym okresie Justynian nie miał nosa, toteż jego przybycie wywołało przerażenie

uczniów, którzy go wzięli za trędowatego. Trzeba było całej powagi Wielkiego Cziciela, by zaprowadzić spokój w klasie.

– Justynian, którego tu widzicie, padł ofiarą wypadku. To wielkie nieszczęście i byłoby nie w porządku bać się go lub powziąć do niego o to urazę.

Ponieważ dla wszystkich nie starczyło ławek i pulpitów, gruby wychowawca wskazał mu miejsce na ubitej ziemi, usłane trzcina. Justynian usiadł po turecku i spuścił głowę, zakłopotany natarczywością wszystkich spojrzeń. Poczekał do pierwszej przerwy i uciekł z powrotem do Coutoulych, swoich przybranych rodziców.

Eponina, trzymając w ręce nóż z zatkniętą na jego czubku kulką chleba, nie płacząc obierała cebulę, a Marcin, siedząc przy oknie, wycinał dziób hiszpańskiego galeonu (długowłosą syrenę obdarzoną wyzywającymi piersiami), kiedy chłopak wpadł do dużej, nisko sklepionej izby.

– Czemu nie mam nosa jak wszyscy? Małżonkowie spojrzeli po sobie. Oni także chcieliby to wiedzieć.

– Nie mamy pojęcia, chłopcze. Kiedy Jego Wielebność cię tu przyniósł, powiedział tylko, że cię znalazł w kruchcie klasztoru.

– Powiedział, że miałem „wypadek”. Co to takiego „wypadek”?

Eks-marynarz podrapał się po karku ręką noża.

– Hmmm... hmmm... Wypadek, rozumiesz... wypadek, to na przykład jak dyliżans poturbował młodego Toizaka w zeszłym roku. Teraz nie ma jednej nogi i nie może pracować... Jego Wielebność chciał przez to powiedzieć, że to nie twoja wina, jeśli nie masz nosa.

– Nie byłeś wtedy wiele większy od smoczka – dodała Eponina. – Któregoś wieczoru Jego Wielebność wszedł tymi drzwiami, ty byłeś w koszu i już nie miałeś nosa.

– Jak to się stało?

– O, tego to on nie powiedział.

„A więc ja też miałem nos”, pomyślał chłopiec. Dlaczego mu go odjęto? Kto mógł coś takiego zrobić?

Ani Marcin, ani Eponina nie potrafili mu odpowiedzieć.

Odmawiając powrotu do szkoły, Justynian poszedł do warownego klasztoru zbudowanego w XI wieku pośrodku kotliny o milę od grodu.

Przybywszy do wielkiego przedsiönka ozdobionego herbem Fendardów, pociągnął za dzwonek, spoglądając na kamienny posąg wielmożnego Gauthiera Fendarda, fundatora Zakonu Nieustającej Adoracji Św. Napletka. A więc tu był początek jego egzystencji cywilnej!

Opat Melchior Fendard, dwunasty Wielki Cziciel, pogrążony był w medytacjach nad kociołkiem z gotującą się wodą, nieustannie próbując dociec, jakim cudem ciecz ta, doprowadzona do stanu wrzenia, znika nie wiedzieć gdzie, kiedy brat furtian wprowadził do

kuchni jego chrześniaka. Melchior zmarszczył brwi.

– Co ty tu robisz? Powinieneś być w szkole. Chłopiec zbliżył się i pocałował go w rękę.

– Proszę cię, ojcie chrzestny, powiedz, kim są moi rodzice i dlaczego nie mam nosa.

Opat rozłożył ręce.

– Taki już byłeś, gdy Euzebiusz znalazł cię w przedsionku.

– Ale dlaczego, ojcie chrzestny? Zrobiłem coś złego?

– Nic nie zrobiłeś! Byłeś jak łebek szpilki. Za mały, żeby zrobić cokolwiek złego... dobrego zresztą też.

– No to dlaczego Pan Bóg dopuścił?

Prałat westchnął. Nie podobały mu się pytania malca, a jeszcze mniej ton, jakim je zadawał. Co mógł mu odpowiedzieć? Sam nie wiedział wiele więcej: dokładnie siedem lat wcześniej, po nieszporach, brat Euzebiusz ujrzał jeźdźca, kładącego kosz u stóp pomnika fundatora. Stojąc zbyt daleko, by rozróżnić, czy to mężczyzna, czy kobieta, dostrzegł tylko, że jeździec (lub amazonka) waha się, wyjmując z koszyka niemowlę, jakby po to, żeby się z nim na zawsze pożegnać, i jednym kłapnięciem zębów odgryza mu nos. Usadowiwszy się z powrotem w siodle spiął (spięła) konia i popędził(a) drogą na Racletterre.

Opat położył Justynianowi rękę na ramieniu.

– Posłuchaj, chłopcze, niezbadane są drogi Pana. On jeden wie. Może któregoś dnia cię oświeci, ale na razie musisz liźnąć trochę wiedzy w szkole. Pamiętaj, że jeśli nie będziesz umiał czytać, pisać ani dobrze liczyć, to nawet ja nie potrafię ci załatwić miejsca w seminarium. A byłaby to wielka szkoda, gdyż zważywszy na kruchość naszej śmiertelnej powłoki i surowość Sądu Ostatecznego, czyż najważniejszą rzeczą dla chrześcijanina nie jest zapewnienie sobie życia wiecznego? Wierz mi, mój chłopcze, poświęcić się Bogu to dla ciebie najkrótsza droga do osobistego zbawienia. Idź więc z powrotem do szkoły, usprawiedliw się przed wychowawcą i nie przynoś mi więcej wstydu!

Justynian wyszedł, niespokojny o swą przyszłość, niezbyt skory do służby takiemu Bogu, który nie zareagował na obcięcie nosa niewiniątka. Czy ktoś inny mógłby się tak zachować? Wyciągnął stąd wniosek, że z niewiadomych przyczyn Bóg go nie kocha, i postanowił mieć się na baczności. Nie posłuchał swego ojca chrzestnego, nie wrócił do szkoły, lecz spędził czas do wieczora nad rzeką, w poczuciu wielkiej krzywdy.

Nazajutrz, jak również w następnych dniach, pozostał w domu, by słuchać opowieści o tysiącu i jednej przygodzie morskiej Marcina Coutouly i jego nieodłącznego towarzysza Juliusza Pibraka.

Pewnego dnia Marcin zastał go na smarowaniu swoich blizn jakąś szarą maścią wydzielającą niemiłą woń kurzego łajna. Według wędrownego cyrulika, który mu ją sprzedał, dzięki tej maści „wszystko odrasta, zupełnie tak, jak zdarty paznokieć lub ucięty włos”. Domokrążca zaklinał się na głowy dwunastu apostołów, że tajemnicę jej składu poznał z ust pewnego starego mądrego jaszczura.

– Tej samej używają, gdy przypadkiem zgubią ogon.

– Mówi pan ich gwarą? – zdziwił się chłopiec.

– Biegle, łobuziaku. Posłuchaj.

Człowiek wydał z siebie kilka gwizdów podobnych do tych, które towarzyszyły usuwaniu przez tatę Marcina resztek jedzenia spomiędzy zębów.

– A co to znaczy?

– To znaczy: jeśli ktoś w Roumégoux potrzebuje tej maści, to na pewno ty.

– Skąd miałeś na to pieniądze? – zapytał przybrany ojciec.

Justynian poczerwieniał spuszczać wzrok na swe bose stopy. Oddał przecież chodaki.

– Ojoj – wykrzywił się starzec. – W dodatku były nowe. Zobaczysz, jak cię obruga Eponina.

Wtedy Marcinowi przyszedł do głowy pomysł, który miał zmienić życie chłopca. Z drzewa lipowego, najłatwiejszego do obróbki, wystrugał nos, marnując trzy kawałki, zanim rezultat go zadowolił.

Pokazał drewniany nos chłopcu, gdy ten, siedząc przy wygasłym kominku nad workiem fasoli, pomagał Eponinie w jej łuskaniu. Oczy malca rozbłysły, a na widok jego uśmiechu staremu żeglarzowi urosło serce.

– Jak się będzie trzymał?

– Zaraz ci pokażę. Ale najpierw zmierz go, może trzeba coś poprawić. I zetrzyj to śmierdzące mazidło.

Delikatnie naciskając kciukiem ostrze, Marcin wygładził jakąś chropawość, wyprostował skrzywienie, odrobinę powiększył jedno skrzydełko. Potem w obydwóch wywiercił dziurki i przewlókł przez nie skórzany rzemyk, który przewiązał na karku oczarowanego chłopaka.

Ten pobiegł w podskokach do studni i napełnił wiadro wodą, by się w niej sobie przyjrzeć en face, z profilu, z ukosa... Och, to tylko drewniany nos, na który nikt się nie nabierze, ale to już o n i e b o lepsze niż ta różowa jama o postrzępionych krawędziach, której widok przyprawiał ludzi o mdłości.

Nazajutrz Justynian poszedł do szkoły. Gdy minęło pierwsze zdziwienie, otoczyła go cała klasa, łącznie z wychowawcą.

– Zrobiony, że mucha nie siada.

– Patrzcie, ma nawet dziurki...

– Jasne, inaczej musiałbym oddychać ustami.

Od tego pamiętnego dnia Justynian był dobrym uczniem – uważnym, pilnym, choć cokolwiek przemądrzałym.

* * *

Wkraczał już w wiek młodzieńczy, gdy ojciec chrzestny wyprawił go do seminarium

klasztornego w Racleterre, gródka oddalonym od Roumégoux o jakieś dziesięć mil, aby tam odbył nowicjat. W dniu odjazdu Marcin dał mu swój nóż.

Zaskoczony tak cennym prezentem Justynian nie śmiał go dotknąć.

– Mówię ci, weź go, urwisie – nalegał eks-marynarz wciskając mu w garść upominek. – Gdyby coś się stało z twoim nosem, wystrugasz sobie nowy.

– To przecież nóż Pibraka, nie mogę go wziąć.

Jak daleko mógł sięgnąć wstecz pamięcią, zawsze widział Marcina z tym nożem, rzeźbiącego okręty, krojącego mięso, czyszczącego cybuch fajki.

– On by się cieszył, że go masz... i ja też, no więc bierz. Oprócz noża Marcin wręczył mu srebrnego trzyliwrowego talara. Całkiem inaczej niż ten chrzestny, Wielki Czciiciel, który na pamiątkę dał mu starą, brzydtko pachnącą burkę, kawałek sznura w charakterze paska i parę zdartych sandałów. Potem zrobił mu na czubku głowy tonsurę wielkości kciuka – format odpowiedni dla nowicjuszy – i z całą powagą przestrzegł przed demonami, tymi pachółkami Diabła, od których roi się na drogach królestwa i których można spotkać na każdym kroku.

– Widzisz, dziecko, cały kłopot w tym, że taki demon może ci się ukazać pod różnymi postaciami i wywieść cię w pole. Może przybrać kształt konia, psa, kota i naturalnie capa. Ale także człowieka schludnie odzianego, grackiego wojaka albo zgoła hożej dziewoi. Widziano nawet jednego takiego w habicie jezuity.

– To co wobec tego robić?

– Trzeba być czujnym i spostrzegawczym. O ile demon jest zdolny w coś się wcielić, o tyle nie potrafi tego udatnie naśladować. Dlatego jest tylko demonem... Zawsze czegoś będzie miał za mało albo za dużo. Zapamiętaj, że w przypadkach bezspornych czuć go siarką, a jak pierdzi, to kwiaty więdną w promieniu dwudziestu stóp... Musisz się stale mieć na baczności. Nie darmo mówią na niego Zły.

– Nie rozumiem tylko, ojcze chrzestny, czemu od tak dawna Pan Bóg, który jest wszak wszechmocny, jeszcze mu nie dał rady.

Dzwon zwołujący kolejną zmianę permanentnych czcicieli Św. Napletka zwolnił opata od odpowiedzi. Ksiądz zachęcił więc tylko młodzieńca, by przyłączył się do wielbicieli, którzy pojawili się na dziedzińcu i zmierzali do jedenastowiecznej kaplicy, intonując *Veni Creator* i łącząc się w śpiewie z tymi, co stamtąd wychodzili. Nić nieustającej adoracji nie mogła zostać przerwana ani na chwilę. Trwało to od pięciu stuleci i miało trwać aż po dzień Sądu Ostatecznego.

Znalazłszy się w krużganku, młody człowiek z trudem ukrył swą niechęć do dwugodzinnej modlitwy w pozycji klęczącej na posadzce. Poszedł jednak śladem czcicieli i trafił do kaplicy pełnej dymu kadzidlanego. Po drodze nie zapomniał stąpnąć na płytę, pod którą kazał się pochować, z czystej pokory, Jaśnie Wielmożny Gauthier Fendard.

Nawet na moment nie przerywając śpiewu, czciciele uklękli na płytach ułożonych w szachownicę, rozłożyli ramiona i wbili wzrok w święty napletek Dzieciątka Jezus – kawałek

zrogowaciałego ciała, ledwo widoczny w relikwiarzu z dmuchanego kryształu w kształcie fallicznym, oprawnego w złoto i pozłacane srebro. Słynny relikwiarz półmetrowej długości podtrzymywali wyciągniętymi rękami św. Michał i św. Gabriel, wysocy na sześć stóp. Na ścianach i suficie freski z XIV wieku przedstawiały odkrycie relikwii w Ziemi Świętej i budowę, na jej cześć, kaplicy, a następnie klasztoru.

Po dwóch godzinach dzwon oznajmił koniec czuwania i pojawili się nowi czciciele. Justynian mógł wreszcie ruszyć do seminarium zakonnego.

Znajdowało się ono o dziesięć mil od Roumégoux, przy drodze do Racleterre, wędrował zatem do niego półtora dnia nocując w Beaujour, w jednym z licznych folwarków należących do zakonu. Mijał roznosiciele, kominiarzy, traczy zmierzających do Hiszpanii, linoskoczków, najmitów w poszukiwaniu pracy, lecz także wielu pielgrzymów, którzy ze względów bezpieczeństwa podróżowali grupowo, podobnie jak kupcy.

Jedyne znaczniejsze wydarzenia po drodze: doznał lekkiego udaru, gdy słońce przypiekło mu świeżą tonsurę, i odparł atak bezpańskich psów, tak wygłodniałych, że byłyby go chętnie pożarły.

Kawałek drogi odbył z zawodowym penitentem odpustowym udającym się do Czarnej Dziewicy w Rocamadour na zlecenie pewnego wielmoży z okolic Limoges, który niemało nagrzeszył.

Ten wędrowiec około trzydziestki, o rozbawionym wyrazie twarzy, chwalił się, że raz odwiedził Ziemię Świętą, a trzy razy Kompostelę, w tym raz boso (potrójna taryfa). Zdumiała Justyniana jego szczerość, gdy przyznał, że obrał sobie ten zawód raczej z upodobania do podróży niż z pobożności.

– Ja bym też chciał podróżować. Tak bardzo chcę zobaczyć morze... ale nie jestem panem swego losu; Pan Bóg przeznaczył mnie do zakonu. Muszę więc zostać czcicielem.

– Czycielem! Chodzisz do ich seminarium zakonnego? Wszelki ślad rozbawienia znikł z twarzy penitenta odpustowego.

– Tak, jest o milę od Racleterre. Słyszałeś o naszym zakonie?

– Kto o nim nie słyszał?! I więcej złego niż dobrego, jeśli mam być szczery. Podobno tam gorzej niż w wojsku... Mówią, że kto tam trafi, już stamtąd nie wyjdzie.

– To normalne, przecież jesteśmy zakonem kontemplacyjnym, powołanym do nieustającej adoracji świętego napletka.

– Słyszałem, że prawdziwy jest u Świętego Jana na Lateranie, w Rzymie.

– Prawdziwe co?

– Prawdziwy święty napletek. Widziało go tam kilku penitentów i nawet papież potwierdził jego autentyczność. Dlatego mało który pielgrzym ciągnie do Roumégoux.

Chłopca obleciał strach. A jeśli ten osobnik to nie kto inny tylko jeden z tych demonów kusicieli, które tak zaprzętały uwagę jego ojca chrzestnego, księdza Melchiora?

– Lepiej byś zrzucił burkę i pruł do Marsylii. Podasz się za pielgrzymą, któremu

podwędzili paszport. Zawsze jakiś kapitan weźmie cię na pokład.

Paszporty pielgrzymie, wydawane w parafiach przez proboszczów, dawały prawo do żebractwa i do noclegów w placówkach kościelnych. Pozwalały również władzom odróżnić prawdziwych pielgrzymów od fałszywych.

Korzystając z postoju w cieniu olbrzymiego więzu, Justynian dyskretnie obwąchał swego towarzysza podróży, lecz stwierdził u niego tylko przyzwoity zapaszek charakterystyczny dla ludzi, którzy kąpią się jedynie wówczas, gdy wpadną do studni. Nie odniósł wrażenia, jakoby czegośkolwiek brakowało lub było w nadmiarze, ale jak zyskać pewność? Znak rozpoznawczy mógł się kryć pod ubraniem. Wprawdzie dawało się policzyć palce rąk, ale nie nóg, obutych w kamasze. Justynian odkrywał granice wiedzy teoretycznej w konfrontacji z praktyką.

Kiedy już mieli się rozejść, penitent zapytał na rozstaju dróg:

– A wiesz chociaż, do czego naprawdę służy tonsura, którą ci wygolili?

– No pewnie. Robią ją świeckiemu, który wstępuje do stanu duchownego. Jestem nowicjuszem, więc moja jest na dwa palce, ale jak zostanę czcicielem, będzie na cztery.

– Pytałem, czy wiesz, do czego służy.

– ???

– Żeby mieć jakieś gładkie miejsce do cmokania przy stosunku.

To powiedziawszy, penitent zostawił go i ruszył w drogę nawet się nie obejrzawszy.

* * *

Założone w roku „czarnej śmierci”, 1347, przez możnowładcę Rajmunda Fendara, szóstego Wielkiego Czciciela, seminarium w Racletterre podlegało centrali w Roumégoux i miało na celu przygotowywanie czcicieli do nieustającej adoracji. Aby to osiągnąć, od trzech wieków stosowano niezrównane metody wychowawcze, na których wzorował się gość instytucji przez okres kwartału, Ignacy de Loyola, gdy w sto pięćdziesiąt lat później zakładał swe towarzystwo. Jeśli jednak to ostatnie miało za zadanie kształcenie swych postulantów, by mogli stawić czoło światu, zakon sposobił swoich do permanentnego odosobnienia.

Mianowany dożywotnio przez Wielkiego Czciciela, ksiądz rektor rządził i administrował rokrocznie setką postulantów podzielonych na dekurie. Rektor ten miał do pomocy prefekta moralności, przełożonego i dwunastu wychowawców, którzy z kolei mieli asystentów rekrutujących się spośród postulantów. Asystenci musieli się wykazywać nadgorliwością, aby dopingować kolegów. Byli też zobowiązani do szpiegowania i donosicielstwa, jeśli zachodziła taka potrzeba. Nazywano ich dekurionami, a ich dewizą było: „Każdy twój krok śledzi mój wzrok.”

Aby odciąć nowych postulantów od wszelkich wpływów z zewnątrz, izolowano ich wysokimi murami seminarium, a następnie więziono ich umysły niesłychanie surowym regulaminem, organizującym im życie od rana do wieczora. Wszelkie uchybienia rozpatrywał

specjalny sąd duchowny. Kary były proporcjonalne do popełnionych wykroczeń. Winni grzechów śmiertelnych byli skazywani na odkupicielskie pobyty w Parszywej Owcy, więzieniu prowadzonym przez nader srogie siostry.

* * *

Justynian musiał odwiązać swój nos i dać się zrewidować żołnierzom na rogatce, zanim wpuścili go do miasta.

Zapytał o drogę, przemierzył kilka ludnych ulic i doszedł do placu Królewskiego, gdzie wznosiło się seminarium, niewidoczne spoza murów równie grubych jak mury stojącego naprzeciw niego zamku Armogastów.

Podszedł do furty obramowanej dwoma wielkimi stuletnimi dębami i pociągnął za sznur dzwonka. Otworło się okrągłe okienko, z którego wychynęło zarośnięte oblicze.

– Przychodzę z Roumégoux. Jestem nowym postulantom.

Drzwi się uchyliły tylko na chwilę, by go przepuścić. Poczł ukłucie serca, gdy wspomnił słowa penitenta odpustowego. Podążył za bratem furtianem i ujrzał gmazysko zbudowane, tak jak w Roumégoux, wokół kaplicy podobnej jak dwie krople wody do tej pod wezwaniem Św. Napletka. Przeszedł krążankiem do stóp schodów prowadzących na pierwsze piętro, gdzie mieścił się apartament księdza rektora Gedeona. Kiedy Justynian tam wszedł, czytał on właśnie *Mowę o historii powszechnej* Jego Eminencji Bossueta, gubernera Wielkiego Delfina.

Kłaniając się dość niezdarnie, Justynian wręczył mu list polecający z pieczęcią Wielkiego Czciela.

Rektor przeczytał go, przy niektórych akapitach potrząsając głową w peruce i kierując wówczas zaciekawiony wzrok ku nietuzinkowemu nosowi petenta.

– Postulancie Justynianie Znajdo, w zakonie nie ma miejsca dla strachajłów ani słabeuszy, czy to na ciele, czy na umyśle. Masz dwa lata, by udowodnić, że do nich nie należysz.

– Mam nadzieję okazać się godnym zaszczytu... Siarczasty policzek przerwał jego odpowiedź, przesunął mu nos i omal nie ogłuszył.

– Pierwsza reguła – wyjaśnił rektor Gedeon przymilnym tonem – postulant mówi tylko wtedy, gdy mu pozwolą.

Justynian, z rozognioną twarzą, z zamętem w głowie, poprawił nos.

– Wiedz, drogie dziecko, że ten policzek nie jest w najmniejszym stopniu karą za naruszenie regulaminu, którego przecież w ogóle nie znasz; jest on elementem pedagogiki zmierzającej do odświeżenia pamięci nawet największych tępaków. Wyczuwam w tobie pretensję podbarwioną sceptycyzmem, ale mogę cię zapewnić, że na długo popamiętasz regułę numer jeden. Czy zostałem dobrze zrozumiany, postulancie Znajdo? Odpowiedz.

– Tak, księże rektorze – skłamał Justynian, który nawet go nie słuchał.

Bolał go policzek: nikt go do tej pory nie uderzył w twarz. Wcale mu się to nie spodobało.

– Ile masz lat? Odpowiedz.

– Szesnaście, księże rektorze.

Ksiądz Gedeon westchnął. Ubolewał nad tak późnymi rekrutacjami i należał do tych, którzy nakłaniali Wielkiego Czciociela, jedyną osobę władną zmienić regulamin, do zniesienia granicy wieku. „Im młodszy są nasi postulanci, ekscelencjo, tym łatwiej nam ich kształcić. Ich umysł jest jeszcze tak plastyczny jak masa kryształowa i nietrudno im wtedy wybić z głowy myśl o jakimś innym ułożeniu sobie życia.” Ksiądz rektor westchnął jeszcze raz: „Jego musi być twardy jak krzemień”, osądził, spoglądając z powątpiewaniem na nowo przybyłego.

– Pójdź za mną. Przedstawię cię teraz prefektowi moralności.

Ten urzędował na drugim końcu korytarza, w izbie usytuowanej między dwoma dormitoriami. Justynian ujrzał małego człowieka w nieokreślonym wieku, kościstego i niechlujnie odzianego w czarną sutannę wytartą na kołnierzu i rękawach, popatrującego nań bolesciwym wzrokiem. Wyglądał tak, jak gdyby w każdej chwili zamierzał oznajmić jakąś złą nowinę. Był zresztą krótkowidzem. Jego rola w seminarium nie polegała na rozwijaniu umysłów, lecz na trzymaniu ich w karchach. I tak kazał napisać na ścianie nad sobą: *fide et obsequio* – wiara i posłuszeństwo – hasło najtrafniej wyrażające jego oczekiwania względem każdego.

– Księże prefekcie, oto postulant Justynian Znajda, który przybył do nas z Roumégoux. Proszę go zaznajomić z naszym regulaminem – rzekł ksiądz Gedeon. – Zna już regułę numer jeden – dodał, wydając na jego pastwę Justyniana, który rozcierał sobie policzek, jakby chciał z niego wymazać rumieniec.

Prefekt moralności lubił porównywać postulantów do renet, a grzech – do robaka zdolnego zepsuć zawartość całego kosza. Jego misja polegała na tropieniu i usuwaniu robaków. Na widok drewnianego nosa ściągnął brwi.

– Wyrzuc to natychmiast, no! Tutaj takie pretensjonalne ozdóbki są nie na miejscu!

Justynian zadrzał. Wyrzucić nos? To chyba jakaś pomyłka. Co oznaczało podobne przyjęcie? Czemu go z taką zaciekłością ponizano? Nigdy jego ojciec chrzestny nie wspomniał o podobnych otrzęsinach.

– Za pozwoleniem, księże prefekcie, to mój nos i ani myślę go się pozbywać. Mam do niego prawo.

No proszę. Tak powiedział.

Drugi cios w ten sam policzek, znacznie dotkliwszy od poprzedniego, przypomniał mu regułę numer jeden.

– Postulancie Znajdo, skoro tak się nazywasz, wiedz, że od tej pory twoim jedynym prawem jest słuchać. Zdejmij to śmieszne akcesorium i podaj mi je!

Młodzieniec wykonał polecenie zaciskając zęby, by nie wybuchnąć płaczem. Prefekt podszedł do niego, zmrużył oczy i ujrzał paskudną wyrwę. Śmieszkiem pokrył swe zaskoczenie, potem przeprosił go zwracając mu nos.

– Wybacz moją pomyłkę, ale myślałem, że to dla ozdoby. Uuuch... No dobrze, uuuch... Możesz się ubrać... że tak powiem.

Justynian z trudem przewiązał nos, tak bardzo trzęsły mu się ręce. Wówczas prefekt sprawdził, co ma w torbie. Znalazłszy *Odyseję*, przedarł ją na pół, mimo skórzanej oprawy, i cisnął na posadzkę. Tym razem Justynian załkał: obok nosa i noża to była jego najcenniejsza rzecz. Podarował mu ją Marcin.

– Podkasz suknie – zażądał prefekt, pragnąc się upewnić, czy nie chowa czego pod spodem.

Na widok noża wetkniętego w pludry westchnął ciężko.

– Daj – powiedział wyciągając rękę.

Justynian wręczył mu nóż Pibraka. Potem przysła kolej na trzyliwrowego talara. Bandyci w lesie nie byłiby go rzetelniej obrobili.

– Kiedy będę mógł...

Trzeci policzek wydobył zeń tak wściekły wrzask, że prefekt musiał się cofnąć o krok. Ten nowy zdecydowanie mu nie przypadł do gustu.

Ksiądz przełożony, do którego zaprowadził go prefekt, był okrągłutki i wyglądał dobrodusznie. Miał tonsurę wielkości miski do zupy, pozostawiającą mu zaledwie wianuszek siwych włosów. Powiadomiony o naturze jego nosa, powstrzymał się od zadawania pytań na ten temat i tylko przeegzaminował go z łaciny.

– Powiedz dziesięcioro przykazań. Słucham. Justynian wykonał polecenie matowym głosem.

– Nie najgorzej. Teraz pokaż, jak piszesz. Chłopiec posłusznie i z łatwością napisał: „Proszę mi pozwolić coś powiedzieć.”

Ksiądz przełożony przyjrzał mu się uważnie, zanim odpowiedział:

– Mów.

– Ciekaw jestem, czy ksiądz prefekt moralności ma prawo drzeć moją książkę i konfiskować mój nóż oraz pieniądze.

– Co to była za książka? Odpowiadaj.

– *Odyseja* pana Homera.

– Książki świeckie nie są dozwolone, podobnie jak rzeczy osobiste. Po cóż miałbyś je zatrzymać, skoro nie będziesz się nimi posługiwał? Teraz pójdz za mną, przedstawię cię ojcu Vaillantowi, twemu wychowawcy. I przestań ryczeć jak bóbr.

Justynian otarł łzy pięściami. Przełożony zauważył kciuki zbielejące od zaciskania. Podobnie jak prefekt stwierdził, że ten nowy nabytek nie budzi w nim sympatii.

Zszedłszy na parter, podążyli długim krużgankiem i przeszli obok zamkniętej furty.

Justynianowi znowu przypomniał się penitent odpustowy. Weszli do obszernej klasy o niskim stropie, gdzie przebywało ze czterdziestu postulantów, którzy wstali. Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku drewnianemu nosowi.

– To nowy, księżę wychowawco. Dziś będzie nocował w dziewiątej dekurii.

Rozległ się pomruk niezadowolenia pośród tych, których to dotyczyło.

– Cisza! – rozkazał wychowawca chwytając poskręcany bykowiec, insygnium swej władzy.

Książd przełożony wyszedł. Klasa usiadła.

– Napisz swoje nazwisko na tablicy, w ten sposób się przedstawisz, potem usiądziesz koło dekuriona Ravignaka – powiedział nauczyciel wskazując na postulanta siedzącego w pojedynkę za pulpitem w pierwszym rzędzie.

Justynian wziął kredę, którą mu podano, i napisał jak najstaranniej: JUSTYNIAN ZNAJDA, wywołując tym salwę śmiechu. „Dziecina podrzucona, nanana, dziecina znaleziona, nanana”, zaintonowali niektórzy wbrew regule numer jeden. Jakiś głos dorzucił:

– Powinien się raczej nazywać Justynian Patafian.

– W dodatku to by się rymowało – dodał inny. Spuściwszy oczy, cały w pąsach Justynian usiadł obok mniej więcej dwudziestoletniego blondyna odzianego w piękną szarą sutannę z wyszytym na niej czerwonym krzyżem, oznaką jego rangi dekuriona. Wysmukły, o krostowatej twarzy, minie zarazem skromnej i pyszałkowatej, młody człowiek wyjął spod pulpitu zeszyt i wpisał doń nazwisko nowego.

– Chociaż znasz swoją datę urodzenia?

– No jasne. 10 czerwca 1663 roku.

– Łatwo powiedzieć; skąd taka pewność, jeśliś znajdą? Wiesz przynajmniej, w jakim wieku zostałeś porzucony?

Za ich plecami rozległy się parsknięcia. Justynian spostrzegł, że sąsiedzi z prawej strony stroją miny macając się po nosach.

– A teraz – kontynuował dekurion – podaj mi swoje miejsce urodzenia.

Ponieważ nie odpowiadał, Ravignac złągodniał.

– Jeśli nie wiesz, wystarczy miejsce z n a l e z i e n i a . Justynian uparcie milczał. Zwiesił głowę, zgiał kark i wpatrywał się bezmyślnie w swe zaciśnięte pięści. Dziwne stwardnienie splotu nerwowego po pierwszym policzku teraz dało się jeszcze bardziej odczuć. Zawrzał gniewem, a w głowie kłębiły mu się myśli niesłychanie, jak na niego, zuchwał.

Dekurion podniósł palec. Ojciec Vaillant udzielił mu głosu.

– Postulant Znajda odmawia odpowiedzi, księżę wychowawco.

Wychowawca wziął do ręki bykowiec.

– Postulancie Znajdo, podejdź tu! – powiedział wskazując miejsce przy podium.

Justynian ani drgnął. Cały splot nerwowy, i nie tylko on, zwinął się w supeł powodując mdłości. Klasę przebiegł szmer podniecenia. Ci z tyłu podnieśli się, by lepiej widzieć.

– No, bądź posłuszny, bo inaczej napytasz sobie kłopotów, a po co ci to? – pogroził Ravignac i kuksańcem wypchnął go z ławki.

Justynian chwycił go za czuprynę i pociągnął z całej siły, wrywając dwie pełne garści włosów. Dekurion wrzasnął z bólu, co przyniosło Justynianowi ogromną ulgę. By poczuć się jeszcze lepiej, uderzył, mierząc oczywiście w nos, lecz chybił. Klasa zawyła z uciechy. Podbiegł wychowawca.

Obaj młodzieńcy potoczyli się na posadzkę. Niewrażliwy na razy bykowcem wymierzone mu przez ojca Vaillanta, Justynian ponownie złapał Ravignaka za włosy. Aż kilku dekurionów musiało uwolnić ofiarę unieszkodliwiając przy tym napastnika. Ktoś pobiegł po rektora. Pojękującego dekuriona poniesiono do lazaretu, podczas gdy Justynian, przytrzymywany za ręce i nogi, czekał na przybycie najwyższej zwierzchności. W szamotaninie zgubił nos, którego głośno się domagał. Kiedy nadejdzie rektor, wytłumaczy mu, że już nie chce zostać czcicielem i pragnie niezwłocznie opuścić seminarium, najlepiej jeszcze dziś... po odzyskaniu swej podartej książki i cennego noża. Następnie powróci do Roumégoux ku rozczarowaniu swego ojca chrzestnego. Ucałuje Eponinę i Marcina, a potem wyruszy do Marsylii. Tam wsiądzie na pierwszy statek, na którym go zechcą.

Do sali wpadł rektor Gedeon, świeżo upudrowany i z nadętą miną. Tuż za nim podązał prefekt moralności.

– Można powiedzieć: opętany. Nie chciał puścić tego nieszczęsnego Ravignaka. Aby go poskromić, omal go nie zatłukliśmy – wyjaśnił ojciec Vaillant zdyszany.

– Księżę rektorze, chcę stąd odejść i wrócić do domu – rzucił Justynian wciąż się szamocąc.

Rektor schylił się, by mu wymierzyć czwarty już policzek. Reguła numer jeden.

– O tym zadecyduje sąd duchowny, który zbierze się jutro w porze tercji. Tymczasem zamknąć go.

Mówiąc to, ksiądz Gedeon ciekawie się przyglądał szpetnej jamie w twarzy wyrostka.

– Mój nos! Żądam mojego nosa! – krzyknął Justynian, którego już wleczono na korytarz.

Zdażył jeszcze zauważyć, że prefekt moralności rozdeptuje go niczym orzech. Przestał się szarpać, wydał z siebie niemal przedśmiertne tchnienie i jakby zasłabł. Jego tragarze stanęli jak wryci. Położyli go na płytach posadzki w krużganku, a jeden z nich poklepał go po policzkach. Wtedy Justynian zerwał się gwałtownie i pomknął, mając w głowie jedną tylko myśl: wydostać się stąd. Usłyszał krzyki:

– Ucieka!

Na oczach osłupiałej centurii ćwiczącej właśnie klęknięcie, pobiegł przez dziedziniec do furty... zamkniętej na klucz. Ponieważ pędem zbliżali się jego prześladowcy, wpadł do wozowni przylegającej do muru obwodowego, służącej braciom ogrodnikom za skład narzędzi, i zaryglował szpadłem drzwi. Już łomotała do nich ciżba, nawołując, by się poddał.

– Dajcie mi glejt do Roumégoux, a wyjdę – odpowiedział im umacniając swą barykadę

ławą, ciężkim kołem tudzież trzema workami orzechów.

Od strony okien nie miał się czego obawiać: były wysoko, a ponadto zakratowane. Wspiął się po drabinie na poddasze, płosząc gromadkę szczurów, które bardziej słyszał, niż widział. Na dachówkach suszyły się jabłka, wydzielając cierpki zapach.

Justynian otworzył wole oko w pochyłym dachu i wyjrzał przez nie. Dookoła wozowni zbiegło się wielu gapiów. Jego widok wywołał wśród nich poruszenie. Pokazywano go palcami.

– Postulancie Znajdo! – krzyknął doń rektor Gedeon. – Wzywam cię, byś się poddał!

Justynian zignorował apel. Zszedł zabierając kilka jabłek, które zjadł z apetytem. Po razach szpicruty wymierzonych przez wychowawcę piekł go grzbiet. „Gdyby tylko chrzestny się o tym dowiedział”, pomyślał. Próbowano wyważyć drzwi. Sposobiąc się do obrony, złapał motykę. Zaimponował sobie takim męstwem: przywodziło mu ono na myśl dzieje Marcina i Juliusza. Barykada wytrzymała.

– Gorzko tego pożałujesz, wstrętny uparciuchu. W końcu będziesz musiał wyjść – rzucił mu rektor spoza drzwi.

Nagle Justynian usłyszał klucz wkładany do zamka. Zobaczył zasuwę wchodzącą w skobel. Rozległy się śmiechy: oto został zamknięty. Nie mając co robić, zaczął myszkować po pomieszczeniu. Zauważył kilka sznurów, a w kufrze znalazł narzędzia ogrodnicze, w tym trójkątny nożyk do oczkowania krzaków różanych. Naostrzywszy go o metalową obręcz koła, wystrugał sobie nos z ramy wału kruszącego. Rzeźbiąc rozmyślał nad sposobem ucieczki, przerywając niekiedy, by na chwilę zamienić się w słuch albo schrupać jabłko. Miał pragnienie, a w tej wozowni nie było nic do picia.

Wahał się między nosem greckim a zadartym, gdy zadzwoniono na nieszpory.

Po wykończeniu nosa umocował go za pomocą sznurka, którym był przewiązany jeden z worków z orzechami, żałując tylko, że nie ma lusterka, które by mu umożliwiło poprawki.

Nadszedł wieczór i rozległy się dzwony na kompletę. Począł jeszcze trochę, a że morzyła go senność, przepowiadał sobie powrót Odysa na Itakę, wypędzenie zalotników, a także swój ulubiony ustęp: spotkanie po latach z piękną Penelopą.

Gdy zapadła ciemna noc, wspiął się na poddasze, wyjął z dachu parę dachówek i przywiązał do belki kalenicowej jeden ze sznurów znalezionych na dole. Jak najciszej przecisnął się przez otwór i zsunął po ścianie wozowni, w czym przeszkadzał mu trzonek motyki, której ostrze przedtem usunął. Jego stopy już dotykały ziemi, gdy z krużganku nadbiegło z wrzaskiem dwóch dekurionów:

– Mamy go!

Rzucili się na niego. Justynian rąbnął drzewcem pierwszego, a ten zasłonił się przedramieniem i zawył z bólu. Drugi schwycił go wpół i przechylił. Upadli razem. Justynian stracił swą broń. Palce wymierzył w oczy napastnika i trafił w nie. Dekurion wydał ostry krzyk i puścił zdobycz. Justynian oswobodził się i bez namysłu pognał przed siebie.

– Alarm! Alarm! – krzyczano za jego plecami. Trzaskające drzwi, zapalające się świece i nawoływania po piętrach świadczyły o przebudzeniu całego seminarium. Wszyscy biegli pod wozownię.

– Wyskoczył tędy i mnie walnął – wyjaśniał dekurion pokazując puchnące przedramię.

Zdezorientowany Justynian biegł wzdłuż muru obwodowego szukając wyjścia, lecz daremnie. Ponieważ skrzydełka jego nowego nosa były niedostatecznie udrożnione, musiał oddychać wyschniętymi ustami. Mijając jakąś narożną wieżę, ujrzał drzwiczki. Pchnął je, lecz bez skutku. Okrzyki i tupot za plecami przeraziły go nie na żarty. „To już koniec”, pomyślał, jeszcze raz próbując otworzyć. Potem, zamiast popchnąć, pociągnął, i drzwi ustąpiły. Wpadł przez nie i wbiegł po krętych schodach na parapet, od dawna nie używany przez wartę. W dali, po lewej, rozpoznawał ciemne masywy dębów, obramowujących furte. Ostrożnie zaczął się posuwać po murze pokrytym ptasimi odchodami. W dole krzątano się w świetle pochodni. Panował ogólny rozgardiasz. Na wysokości pierwszego dębu Justynian przechylił się między filarami i zmarkotniał. Najbliższa gałązka, wprawdzie tylko o pół sążnia od niego, była tak cienka, że niechybnie by się złamała pod jego ciężarem. Przecierając oczy, by przeniknąć mrok, ocenił na dwa i pół sążnia odległość, w jakiej znajdował się pierwszy konar zdolny go unieść. Już miał się przyjrzeć drugiemu dębowi, gdy pościg pojawił się na murach.

– Tu go mamy!

Nie zastanawiając się zbyt długo, Justynian przewiesił się przez filar i z wyciągniętymi ramionami skoczył ku większej gałęzi, do której zabrakło mu paru cali. Złapał wobec tego tę poniżej, która, urwana, uderzyła w następną łamiąc ją, co opóźniło jego upadek. Wreszcie spadł na najniższą i na niej zawisł. Z góry rozległy się głosy.

– Gdzie on?

– Naprawdę skoczył?

– Jest tam, widzę go!

Nie mogąc się wspiąć wyżej ani nawet się utrzymać, Justynian czuł, że ześlizgują mu się palce. Spadł z pięciu metrów, skręcając w kostce prawą nogę, rozcinając łuk brwiowy o kamień i przygryzając sobie koniuszek języka. Zobaczył plac, zarysy zamku Armogastów, domy. Podniósł się i spróbował pokuśtykać do najbliższego z nich, wołając na całe gardło:

– Do mnie, dobrzy ludzie! Duchem! Duchem!

Lecz w otwierającej się furcie już stał prefekt moralności z całym towarzystwem, które hurmem runęło na Justyniana.

– A jednak się wydostałem – pomyślał na pociechę.

* * *

Justynian odpowiadał przed sądem z nogą obwiązaną w kostce. Skazano go na pół roku Parszywej Owcy, lecz dzięki wstawiennictwu swego ojca chrzestnego odbył karę w

Roumégoux, w jednej z cel wychodzących na kaplicę Św. Napletka, przepisując dziesięć godzin dziennie Ewangelię kredą na tablicy, gdyż papier był drogi.

* * *

Minęła zima i jak co roku po roztopach, drogi w Rouergue stały się znów przejezdne. W Roumégoux pojawiły się ponownie karetki pocztowe, pokazali się domokrażcy o zakurzonych stopach, kaznodzieje z wielkimi kosturami, pielgrzymi z wyciągniętymi rękami, świniopasy, złodziejaszki wszelkiej maści, poborcy podatkowi, powsinogi, niedoszli galernicy...

Zaczął się miesiąc jaj wielkanocnych, gdy pewnego dnia na placu Szczurołapim wystąpiła trupa linoskoków. Był w niej trubadur-ekwilibrysta, który grał na lutni spacerując sążeń nad ziemią, żongler-akrobata, który chodził na rękach, oraz dwie kobiety. Młodsza tańczyła boso tarantelę, druga zaś, o siwiejących włosach, uderzała w tamburyn.

U Coutoulych Eponina, siedząc w niszy św. Agaty, karmiła piersiami dwoje niemowląt jednocześnie i poruszała nogą kołyskę trzeciego, wrzeszczącego z głodu. Nieco dalej Justynian wyciągał z kominka popiół (którego Eponina używała do prania), gdy Marcin przyszedł mu powiedzieć, że „błazny” dają na placu przedstawienie. Justynian skierował na swą mamkę błagalny wzrok.

– Idź, skoro aż się do tego palisz – westchnęła zerkając spode łba na męża, który udał, że tego nie widzi.

Rzuciwszy łopatkę i wiaderko, Justynian wybiegł na ulicę w ślad za Marcinem. Musieli roztrącać łokciami ciżbę ciekawskich, by się dopchać do pierwszego rzędu. Widok tancerki pływającej w skoczny rytm tamburynu podziałał na młodego człowieka jak promień miłości przesywający pierś i trafiający prosto w serce. Krew uderzyła mu do głowy. Ich spojrzenia kilkakrotnie się skrzyżowały. Poczzerwieniał, gdy jej sukienka, unosząc się, odsłoniła smukłe, śniade uda.

Marcin, który mu się przyglądał kątem oka, wyraźnie się ucieszył. Zgodnie z jego życzeniem wyrostek reagował jak chłop z jajami.

Po wydaleniu z seminarium zakonnego i po odsiedzeniu sześciu miesięcy kary, Justynian znowu u nich zamieszkał, ku ich wielkiej radości. Gdy nie pomagał w domu czy w ogrodzie, zarabiał po parę solidów jako prawa ręka wioskowego pisarza publicznego, który często przez pieniądze swych ziomków miał huk roboty.

Tego popołudnia Justynian był roztargniony i popełnił błąd, stosując gryzmołę w podaniu o dyspensę od postu piątkowego, a więc bezwzględnie wymagającym pisma skromnego. Musiał zacząć od nowa, a koszt każdej dodatkowej kartki potrącano mu z pensji.

Słońce zachodziło za dalekie wzgórza Aubrac, gdy wreszcie mógł wrócić na plac Szczurołapi, teraz już opustoszały. Jakiś zbieracz piasku do szorowania i kamieni do

wywabiania płam wyciągnął rękę w stronę mostu Św. Ducha, gdzie, jak twierdził, podążyla trupa. Justynian pobiegł pędem, a zwolnił dopiero przy ostatnich domach skupionych opodal mostu. Zbliżył się i poczuł, jak mu szybciej bije serce, gdy zauważył na brzegu wóz kryty płótnem i pasącego się wołu. Linoskoczki siedzieli przy ogniu płonącym w pobliżu przęsła mostu.

Justynian stanął jak wryty na skarpie. Nie ważył się do nich podejść; przyglądał się tylko ich krzątaniu wokół ogniska, na którym grzał się kociołek z kamionki. Pierwszy dostrzegł go trubadur o policzkach dziobatych od syfilisu. Powiedział coś, czego Justynian nie zrozumiał. Pozostali zwrócili głowy w jego stronę. Tancerka taranteli odłożyła kure, którą właśnie skubała, by mu wyjść na spotkanie.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – powiedziała z silnym akcentem prowansalskim.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do obozowiska obdarzając pięknym uśmiechem, który odślonił śnieżnobiałe zęby tudzież szeroki różowy język.

– Oto Baldo, to jest Witold. A to moja matka zwana Małgochą... A tyś co za jeden?

– Justynian, a... yyy... a pani?

– Ja jestem Muszka.

Młoda kobieta podeszła, przyjrzała się jego nosowi, ale nie poprosiła, by go zdjął. Bez wielkich ceregieli podniosła pstrokaty koc, podała młodzieńcowi rękę i zaciągnęła go do jednego z zagajników porastających brzeg.

Serce waliło mu w piersi, gdy patrzył, jak ona rozkłada na trawie koc, klęka na nim i rozpina stanik, ukazując dwie białe kule z brązowymi sutkami, które okazały się w dotyku przyjemne, ciepłe i jędrne.

Muszce nie brakowało wyobraźni, Justynian był pojętny; nie zauważyli, jak szybko mija czas, ani nie poczuli ukąszeń komarów, które również używały ile wlezie. Była to pierwszozna dla chłopca, lecz nie dla tancerki.

– Chciałbym się znów z tobą spotkać – powiedział w chwili nieuniknionego rozstania.

– Przyjdź jutro – zaproponowała Muszka wyjmując gałązki z włosów. – Wyjeżdżamy najwcześniej w niedzielę. Na razie jesteś mi winien dwa solidy.

– Ojoj! A dlaczego?

– Taki jest zwyczaj. Musisz zapłacić.

– Nie miałem o tym pojęcia.

Przeszukał kieszenie i wyciągnął zaledwie trzy denary i szeląga.

– Daj chociaż to. Udzielam ci kredytu na resztę. Zwrócisz mi jutro... A właściwie co się stało z twoim nohalem?

– Jak byłem mały, miałem wypadek.

– To musiał być dziwny wypadek.

U Coutoulych kończyła się w milczeniu kolacja, kiedy wszedł.

– Na świętą Agatę, nareszcie! A już się piekielnie frasowałam! – wrzasnęła Eponina

zarazem z wściekłością i ulgą.

Marcin uśmiechnął się porozumiewawczo, zauważywszy jego podkrążone oczy, żdzblał trawy we włosach oraz ślady ukąszeń na twarzy i rękach.

Nazajutrz Justynian znów zobaczył kuglarzy na placu. Między poszczególnymi numerami świadczyli usługi dla ludności, ostrząc noże i wypychając słomą krzesła. Obiecujący uśmiech Muszki, która go poznała w tłumie, na resztę dnia wprowadził młodzieńca w stan podniecenia.

Jego pracodawca, pisarz publiczny, poczerwieniał ze złości odkrywając, że napisał gotykiem anonimowy donos (podwójna taryfa) jakiegoś męża na kochankę czyjejś żony, podczas gdy nawet dziecko wie, że taka epistoła wymaga tylko i wyłącznie pisma kanciastego.

Tym razem zjadł kolację w domu i poczekał, aż przybrani rodzice zasną, by wyslizgnąć się na dwór i pobiec opustoszałymi ulicami do biwaku. W rękę mocno ścisnął trzyliwrowego talara, ofiarowanego mu przez tatę Marcina w dniu, gdy wyruszał do seminarium.

Linokoczkowie obozowali w tym samym miejscu co poprzednio. Baldo grał na lutni, Witold kopał marynarską fajkę o długim ozdobnym cybuchu. Przy ogniu Muszka wyciągnęła się na kolorowym kocu, z głową na udach matki, która w świetle paleniska iskała jej wszy.

– No i twój chłopytys z drewnianym noskiem przyszedł, żeby spłacić dług – odezwał się Witold, pokazując cybuchem fajki Justyniana, który właśnie schodził na brzeg.

– A nie mówiłam? – szepnęła Muszka matce, która zgaśniła ją przedtem za udzielenie kredytu.

Wstała, podniosła koc i ruszyła do zagajnika, za nią zaś podążył Justynian. Prowansalce rozbłysło oko, jak u sroki na widok srebrnego talara z wizerunkiem młodego króla Ludwika Czternastego. Rozpięła stanik wyprężając biust, co poważnie zakłóciło oddech młodzieńca, który stał z rozwartymi dłońmi. Przypomniały mu się piersi św. Agaty, dziewicy i męczenniczki, a następnie patronki karmicielek, tak często przezeń podziwianej na rycinach wyobrażających jej katusze (przecięto jej tors na wysokości mostka).

Tego wieczoru Muszka przeszła samą siebie. Dokonywała niesamowitych wyczynów, które go zarazem zachwyciły i przerażały.

– To zbyt piękne – powtarzał sobie za każdym razem, gdy z rozkoszy jeżyły mu się włosy i kurczyły duże palce u nóg. – To może być tylko śmiertelny grzech.

Wciąż zaczynali od nowa, aż po raz pierwszy zapał kur. Żegnając się, Justynian, zmieszany, przypomniał jej, że winna mu resztę z całego talara.

– Nie mam przy sobie... a żal mi budzić matkę, która tak smacznie śpi. Teraz ty mi zaufaj. Przyjdź po te pieniądze dziś wieczór – powiedziała tuląc się do niego, by mu zagłębić w ucho swój język.

Wstawał świt, gdy Justynian wrócił do siebie z podkrążonymi oczami, zmierzwionymi włosami i tak szczęśliwy, że nawet by się nie zdziwił, gdyby całe stadko rozszczebiotanych ptasząt usiadło mu na głowie. Był strasznie zmęczony, więc położył się w ubraniu i już

zasypiał, gdy berbecie zaczęły drzeć się wniebogłosey w sąsiedniej izbie, żądając smoczka. Zjawiała się Eponina i, jak każdego ranka, potrząsnęła nim, by poszedł po drzewo i napalił w piecu.

– Teraz sypiasz w łachach? – zdziwiła się. Później jego zaczerwienione oczy, ziewanie, lecz także pocięte przez owady ręce, policzki i kark wzbudziły w niej podejrzenie.

– Gdzieś się tak dał pokąsać? Przecież tu nie ma komarów, mieszkamy za daleko od rzeki.

Nigdy jeszcze dzień mu się tak nie dłużył; nawet kilka razy miał wrażenie, że słońce wstrzymało swój bieg. Kiedy nie myślał o Muszce, widział jej profil w chmurach, wszędzie czuł jej zapach, a kutas mu stawał jak u jelenia w rui.

Wieczorem, zbyt niecierpliwy, by czekać, aż przybrani rodzice pójda spać, w mig połknął kolację i wybiegł rzucając na pożegnanie: „Mam coś ważnego do załatwienia!” I już był na zewnątrz, poza zasięgiem ich pytań.

Kuglarze radośnie ucztowali, gdy dotarł do ich obozowiska. Jego pojawienie się wywołało salwy śmiechu.

Z niepokojem myślał o reszcie ze swojego talara, gdy Muszka, wargami błyszczącymi od tłuszczu z kurczaka, namiętnie pocałowała go w usta.

Usiadł wśród nich i wypił flaszkę wina, którą mu podał Baldo. W parę chwil później śmiał się do rozpuku z ich złośliwych kawałów na temat jego nosa. Kiedy się dowiedział, że wszyscy pochodzą z Marsylii, zasypał ich pytaniami o morze, statki, perspektywy żeglugi.

Wreszcie nadszedł długo oczekiwany moment: Muszka podniosła kolorowy koc i poszła w kierunku zagajnika. Wstał, by ruszyć za nią, ale zakręciło mu się w głowie, tak że musiał się oprzeć o wóz, by nie stracić równowagi.

– Pytałeś przed chwilą, jakie wrażenie ma się na statku nocą w szkwałach, no więc właśnie takie – powiadomił go Baldo drwiąco.

Gdy Justynian dogonił tancerkę, ta była już nago i cienkim głosikiem śpiewała *Nad przejrzystą fontanną*.

I tym razem czas minął nadzwyczaj szybko, odmierzany ukłuciami komarów.

Była już ciemna noc, gdy wrócił do domu przemykając pod murami, by nie natknąć się na patrol, który niechybnie zdziwiłby się, widząc go w mieście o tak późnej porze.

– O Boże, co ja zrobiłem!!! – rozpaczał nad potwornością popełnionego występku. – Jestem więc nędznym bezecnikiem, obrzydliwym hulaką, co przy pierwszej okazji oddaje się rozpuście!

To, co wydarzyło się nad rzeką, miało wszelkie znamiona grzechu śmiertelnego, który w przeciwieństwie do powszedniego (po łacinie *venialis*, czyli wybaczalny) automatycznie skazywał tego, kto go popełnił, na piekło. Co gorsza, dziś po południu, jak w każdą sobotę, miał iść do klasztoru i wyspowiadać się. Przygnębiała go sama myśl, że mógłby skłamać swemu ojcu chrzestnemu, lecz innego wyjścia nie było. Albo kłamać (przez przemilczenie),

albo się do wszystkiego przyznać i ponieść konsekwencje przewidziane przez prawo, które karało udowodnione porubstwo kastracją, a następnie oczyszczającym stosem.

Kiedy tego ranka Eponina potrząsnęła nim, by poszedł po drzewo, otworzył zamglone oko, wymamrotał coś bez sensu i znów zasnął.

– Może chory? – zaniepokoił się Marcin podchodząc do niego.

– Boję się, że coś gorszego. Chodź, powąchaj... Eks-marynarz pochylił się i wciągnął parę razy powietrze nad półotwartymi ustami chłopca.

– Wygląda, jakby wychylił kubek czy dwa jakiegoś cienkusza.

– Wiesz, tak samo jak ja, że on nigdy nie pije. Musieli go namówić, ale kto? Z nikim się nie widuje.

Dobrze pamiętając, że był pijany na umór owego wieczoru, gdy go do nich przyniósł ksiądz Melchior, Eponina bała się, że ten incydent zrodzi w nim pociąg do kieliszka.

– Musiał sobie golnąć wczoraj z linoskoczkami. Widziałem, jak pożądliwie gapił się na tę, co tańczyła tarantelę, a to niezła pierdoletka, dalibóg. Cóż, Eponinko, jest już mężczyzną, a teraz mamy wiosnę.

– Bredzisz, kochasiu, to jeszcze szczawik! Nawet nie ma zarostu.

– Nie sprzeczasz się, moja miła. Ona nie dziwka, on chłop z jajami, a znasz chyba porzekadło: „Puszczam kogucika, pilnuj swoich kurek.” Zresztą i tak wyjadą w poniedziałek... Więc daj mu spać, a ja już pójdę po to drzewo.

Justynian obudził się, gdy minęło południe. Przybrani rodzice jedli obiad.

– Powinieneś się pospieszyć, chłopcze, bo inaczej nic dla ciebie nie zostanie z tej potrawki baraniej – powiedział Marcin.

Młodzieniec posłuchał rady, unikając badawczego wzroku swej piastunki.

– Przepraszam, nie obudziłem się na czas.

Był im wdzięczny za to, że nie zasypują go pytaniami, i jadł ochoczo, już licząc godziny dzielące go od zachodu słońca.

Gdy przyszła pora spowiedzi, był tak zdenerwowany, że przez całą drogę do klasztoru opukiwał swój nos, przekonany, iż Wielki Czciciel niechybnie go zdemaskuje.

Kłamał nader nieudolnie, powtarzając słowo w słowo spowiedź z poprzedniego tygodnia, lecz ksiądz był roztargniony i niczego się nie domyślił. Rozgrzeszył go, zadając jako pokutę dziesięć *Ojciec nasz* i tyleż *Zdrowaś Mario* oraz aktów skruchy.

– Czy Pan Bóg wie o wszystkim, co się dzieje? To znaczy nawet w Roumégoux?

– Pan Bóg wie o wszystkim, co się dzieje w całym wszechświecie, mały nieuku.

– A więc Pan Bóg może być tu, w tym konfesjonale, a jednocześnie na placu Szczurołapim i na brzegach rzeki?

– W pewnym sensie. Posłuchaj, Justynianie, to nie lekcja religii: inni czekają na rozgrzeszenie. Przyjdź do mnie po niesporach, a wytłumaczę ci, co to jest Boża wszechobecność...

Justynian nie miał dość cierpliwości, by czekać aż do nabożeństwa o osiemnastej. Podążył od klasztoru krętą dróżką w stronę miasteczka, gdy rozległ się dzwon oznajmiający zmianę warty Nieustającej Adoracji.

W domu Coutoulych zastał, podobnie jak w każde sobotnie popołudnie, tłum matek odwiedzających raz w tygodniu swe latorośle. (Eponina, chociaż się przed tym wzbraniała, okazywała pogardę tym zwyrodniałym rodzicielkom nie wahającym się powierzyć jej swego potomstwa, by móc bez przeszkód zbijać baki. Żadne zwierzę, nawet najmniej wdzięczne, nie pozwala innemu karmić swoich małych.)

Z własnej inicjatywy narąbał drzewa i powyrywał rosnące na podwórzu chwasty, które rozdał królikom w klatkach.

Pod wieczór umył ręce i twarz, po czym skierował się ku mostowi Św. Ducha, chowając pod koszulą flaszkę hiszpańskiego wina, ukradzioną z zapasów taty Marcina, co tylko wydłużyło listę jego śmiertelnych grzechów. Teraz już było mu wszystko jedno!

Linokoczkowie powitali okrzykiem radości butelkę napoju pochodzącego ze znakomitego szczepu i zaprosili Justyniana na kolację.

Potem, podchmielony, z sercem przepełnionym tkliwym uczuciem, którym był gotów się dzielić, zaferował im swoje towarzystwo, dokądkolwiek by się udawali.

– Myślałem o tym cały dzień... Pozwólcie mi pójść z wami, chociaż do Marsylii... Tak bardzo bym chciał zobaczyć morze – dodał, wbijając wzrok w piersi Muszki wydymające jej stanik.

– Co potrafisz? – zapytał Baldo.

– Potrafię czytać i pisać, nawet po łacinie. Umiem też liczyć.

Wybuchnęli śmiechem. Nawet Muszka, która właśnie napełniała kubek.

– Potrafisz śpiewać i tańczyć, żonglować, wykonywać salto mortale w tył? Albo przynajmniej chodzić na rękach? Powiedzmy, że byśmy cię przeszkolili, ale terminując musiałbyś płacić za utrzymanie. Wierz mi: nasze życie nie jest usłane różami. Częściej kładziemy się spać z pustym brzuchem niż z pełnym, no więc jedna gęba więcej do wyżywienia...

– No więc... zgoda? Przyjmujecie mnie? – wykrzyknął Justynian klaszcząc z radości.

– Wolnego, wolnego! Powiedziałem, że musiałbyś opłacać swoje utrzymanie. Masz pieniądze?

– Zależy, jaką sumę – odpowiedział wspominając swoją resztę z trzyliwrowego talara.

Nie widział, jak Małgocha daje córce znak, by napełniła mu kubek.

– Dziesięć solidów za kwaterę, dwadzieścia za wyżywienie i siedemdziesiąt za naukę: wszystko miesięcznie. Najlepiej, gdybyś zapłacił z góry za pół roku.

Chociaż podchmielony, Justynian obliczył, że to wyniesie sześćset solidów, czyli trzydzieści liwrów!

– To dużo.

– Tyle musi być.

– Jeśli znajdę te pieniądze, powinniście mi oddać resztę z mojego talara.

Uważał, że jeśli nawet liczyć poprzednią noc podwójnie, i tak należy mu się liwr z okładem. Wzmianka o tym wywołała grymas zawodu na twarzy Muszki.

– Myślałam, że mi go dałeś w prezencie.

Na próżno Justynian szukał w pamięci bodaj śladu takiej obietnicy.

– To nieporozumienie...

Obrażona mina młodej kobiety zbiła go z pantałyku. Wówczas Baldo zaproponował następującą umowę:

– Przyjdź jutro wieczorem i przynieś tylko piętnaście liwrów albo jakąś równowartość tej kwoty, a będziesz mógł z nami chodzić przez trzy miesiące.

Muszka napełniła kubki. Trącili się nimi, by przypieczętować układ.

Baldo zaczął grać na lutni jakąś smętną melodyjkę, podczas gdy Witold zonglował żagwiami z ogniska. Małgocha chrapała przez sen. Ponieważ Muszka nie kwapiła się z podniesieniem kolorowego koca, Justynian okazał pewne zniecierpliwienie.

– Dziś wieczór nie – powiedziała ponuro. – Mam w głowie jakby płonące kamienie.

– Ale ja mam ochotę.

– A ja nie.

To powiedziawszy znikła w wozie i zasznurowała plandekę.

Justynian otrzeźwiał, wstał na równe nogi, i nie skorzystawszy z zachęty Balda do wychylenia jeszcze jednej szklaneczki wina, wyszedł z obozu.

Czuł się tak upokorzony, że nieodwołalnie postanowił już nigdy się z nią nie spotkać. I mniejsza o resztę z jego talara, mniejsza o podróż do Marsylii. Morze zobaczy kiedy indziej.

Nie dość że się położył późno tego wieczoru, to jeszcze miał wielkie kłopoty z zaśnięciem.

Nazajutrz, w dniu Pana naszego, pościł. Wdział ubranie z sukna i sprawił swej piastunce ogromną radość, towarzysząc jej w kościele na prymie.

Chociaż wiedział, że konsekrowana hostia może spalić język kłamcy, wydzielając przy tym zielony, mdły dymek (język rozpustnika po prostu przekłuwa), przystąpił wraz z Eponią do komunii, zamykając oczy, gdy ksiądz wsuwał mu opłatek do ust.

Nic się nie stało. Hostia miała swój zwykły smak: mączny, bez soli ani drożdży. Gdy się normalnie rozpuściła, przełknął ją, nie krztusząc się ani nawet nie kaszłąc.

A więc, wbrew powtarzanym wciąż twierdzeniom Wielkiego Czciociela, możliwe byłoby oszukiwanie Boga, wymykanie się Jego wszechogarniającej czujności? Czyż Lucyfer nie był aniołem nieustannie zbuntowanym przeciw swemu Stwórcy? Niewątpliwie aniołem upadłym, lecz mu to wcale nie przeszkodziło w wykrojeniu sobie pokaźnego Imperium z Królestwa Niebieskiego. Imperium, z którego nikt go do tej pory nie wykurzył... Zresztą nie jeden Lucyfer bezkarnie czyni zło. Według najświeższych informacji, otaczają go arcyksiążę

Belzebub, łatwo rozpoznawalny po niesympatycznym profilu, wielki książę Astarot, który bez ustanku pokazuje język, hrabia Lucyfag Rofokal, premier, odpowiedzialny za cyrografy i obdarzony trzema głowami: ropuchy, młodzieńca oraz czarnego kota; wreszcie Marchocjasz, wielki marszałek szatańskich legionów, który nie zna alfabetu, a swe rozkazy podpisuje rysunkiem pewnego jadowitego motyla występującego wyłącznie na prawym brzegu Styksu.

Justynian dostrzegał możliwość bezkarnego grzeszenia, byle tylko nie dać się przyłapać na gorącym uczynku.

Jego mocne postanowienie, by przestać się widywać z Muszką, powoli słabło, odkąd usłyszał, że trupa zjechała na plac Szczurołapi.

By skuteczniej oprzeć się pokusie, spędził cały dzień w przyklasztornych lasach, zbierając grzyby i jeżyny.

– Nawet gdybym miał zamiar z nimi pójść, a przecież ani mi to w głowie, i tak bym nie mógł, bo brak mi pieniędzy, a nie mam zielonego pojęcia, w jaki sposób je zgromadzić do wieczora... chyba że bym je ukradł.

Wracał do miasteczka, a rozwidlające się konary drzew coraz natrętniej przypominały mu uda Muszki.

Zamiast pobiec na plac, co go niesłychanie korciło, ominął go szerokim łukiem.

Siedzący na progu Marcin rozkoszował się ostatnimi promieniami słońca i wycinał z gałęzi cisu stępkę królewskiej fregaty. Justynian usiadł opodal i przyjrzał mu się w milczeniu. Z dała docierała do nich wrzawa bawiącego się na placu tłumu, rosnąca w chwilach rześzystych oklasków.

Po pewnym czasie, wystarczająco długim, by upiec podpłomyk, Marcin podniósł nos znad swojego dzieła i rzekł:

– To przez tę tancereczkę wyglądasz jak zbity psiak? Może nie skosztowała naszego wina? A przecież wybrałeś nie najgorsze.

Policzki chłopca przybrały barwę koguciego grzebienia. By go uspokoić, stary żeglarz się uśmiechnął.

– Nie gryź się, Eponina niczego się nie domyśli. Ale powinieneś był mnie zapytać. Mam nadzieję, że chociaż było warto, bo patrząc na ciebie można wątpić.

Justynian nadal milczał. Marcin nie nalegał i powrócił do swej dłubaniny, by po chwili znów ją przerwać.

– Nie jesteś chory?

– Chory? Nie, nie sędzę.

Jeśli ta dojmująca ochota na oglądanie, a zwłaszcza na dotykanie Muszki, nie była chorobą.

– Robisz swawolną minkę, ale czas już, byś wiedział, że takie figielki mogą mieć przykre następstwa. Nazywa się to rzeżączka, bo przy sikaniu aż rzeżysz, tak cię piecze. Pibrac znał niezawodną metodę leczniczą: pościł trzy miesiące, a pił tylko deszczówkę.

– I dlatego nigdy się nie ożenił?

– Nie.

Rzuciwszy okiem do wnętrza, by upewnić się, że Eponina go nie słyszy, Marcin wyznał:

– Ja też bym się nie ożenił, gdyby on wciąż żył. Opowiadałem ci, jakeśmy chcieli się zaciągnąć do wojska hrabiego-biskupa. Zawsze mówił, że z kobietami, jak z melonami: trzeba ich spróbować ze sto, zanim się trafi na dobrą. Na wszelki wypadek my poprzysięgliśmy sobie wypróbować tysiąc.

Justynian westchnął pomrukując, chyba już po raz milionowy:

– Szkoda, że mnie z wami nie było. Sądziś, że i ja będę miał takiego przyjaciela jak Pibrac?

Oczy starego zaszyły mgłą.

– To najlepsze, czego ci mogę życzyć, chłopcze...

Po okropnej nocy, podczas której nieustannie wiercił się na sienniku, Justynian, odrobiwszy tradycyjną poranną pańszczyznę, nie mogąc już wytrzymać, pobiegł do mostu. Brzegi były opustoszałe: kuglarze zwinęli obóz.

Błąkał się wokół jeszcze ciepłych popiołów paleniska, a gardło ścisnęło mu się boleśnie na widok wciąż wygniecionej trawy w miejscu, gdzie Muszka rozkładała swój pstrokaty koc.

Gdy wracał do grodu, zdążył już powziąć nową nieodwołalną decyzję: wszelkimi sposobami zdobędzie pieniądze, dogoni linoskoczków, spotka się z Muszką.

Znał trzy schowki: u klaszornego ekonoma, u pisarza publicznego i u Coutoulych.

Ten ostatni w ogóle nie wchodził w rachubę, wybrał więc pierwszy, najbardziej zasobny.

Podczas niesporów dostał się do klasztoru po drzewie rosnącym przy murze zewnętrznym: drogą, z jakiej korzystali czciciele, ilekroć chcieli wyjść bez zezwolenia.

Wślizgnąwszy się do ekonoma, podnieść posążek Dzieciątka Jezus, tak jak tamten robił to na jego oczach całymi latami, po czym wyjąć szkatułkę ukrytą pod cokołem – nie było rzeczą trudną. Przecież zawsze zabierała go z sobą Eponina, kiedy tylko szła po swoje wynagrodzenie za usługi karmicielskie.

W szkatułce był tylko sześcioliwrowy talar oraz dwa liardy. Wsunął te trzy monety do kieszeni, odłożył szkatułkę i szykował się do ucieczki, gdy spostrzegł ogarek płonący nieustannie przed figurką. Jak w transie, postawił go pod kotarą zasłaniającą regały, na których mieściła się cała księgowość klasztoru. Gdy wychodził, kotara zajmowała się ogniem.

Był już daleko, kiedy usłyszał dzwon bijący na trwogę. Od tej pory już nic nie mogło być tak jak przedtem.

Wieśniacy, poderwani przez dzwon na równe nogi, ruszyli pędem do klasztoru. Justynian schował się w ruinach starego młyna, gdzie poczekał, aż droga będzie wolna, by pójść dalej.

Państwo Coutouly głęboko spali, gdy Justynian podniósł ciężką żeliwną płytę kominka i wyjął cztery cegły, za którymi był ukryty skarb jego przybranych rodziców. Z początku miał zamiar odliczyć sobie dziewięć liwrów brakujących do piętnastu. Skoro jednak zobaczył ich

na dnie szkatułki ponad trzysta, nie oparł się pokusie i dokradł jeszcze dwadzieścia. „Nigdy nie myślałem, że jestem zdolny do takiego draństwa”, powiedział do siebie przerażony, kładąc cegły z powrotem na miejsce. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na dom, który mu dawał schronienie przez dwadzieścia lat, zagłębił się w mrok, słabo rozświetlony przez sierp księżyca.

Szedł przez całą noc, często się oglądając i dygocąc przy byle pohukiwaniu puszczyka.

Wstawał dzień, gdy dotarł do skraju wioski Cantabel. Obudził grupę pielgrzymów, którzy spali ciasno przytuleni do siebie opodal głównej bramy, i zapytał, czy nie minęli po drodze kuglarzy na wozie. Rozeźleni, że im w ten sposób przerwał sen, naubliżali mu grożąc nawet, że go zatłuką kamieniami, jeśli im nie da spokoju.

Potem, usiadłszy pod drzewem, zjadł chleb, ser i kiszkę z czosnkiem, które porwał ze spiżarni Eponiny przed wyjściem... O tej porze już się domyślali, że porzucił ich na dobre.

Czy jego kradzież już odkryto? Z pewnością. Co sobie o nim pomyślą? A dlaczego podpalił tę zasłonę? Oczywiście, żeby zatuszować swój występki. Co zresztą zda się psu na budę, gdyż braciszek ekonom nie omieszka poszperać w zgliszczach w poszukiwaniu pieniędzy, których przecież pożar nie mógł strawić.

– A więc jestem nie tylko rabusiem, ale jeszcze nedorajdą – ocenił siebie surowo czując wstyd, naprawdę wstyd.

Niedaleko Beaujour (gdzie nocował podczas poprzedniej wędrówki) spotkał sprzedawcę almanachów, który – jak zapewniał – widział wóz linoskoków na drodze do Racleterre. Opis jego pasażerów, a szczególnie Muszki, nieomylnie wskazywał na ich tożsamość. Przyspieszył kroku. Minęło jeszcze dziesięć długich godzin, zanim dostrzegł obóz między rzeką a wałami obronnymi grodu. Była noc, a oni spali jak susły.

Opierając się plecami o kamień w pobliżu młodej kobiety, Justynian czekał na wschód słońca przygryzając sobie policzki, by nie zasnąć. Chwilami uśmiechał się na myśl o ich zaskoczeniu, kiedy się obudzą.

Niebo różowiało powoli ponad drzewami, gdy nie będąc już w stanie przemoc zmęczenia, zwałił się jak kłoda i zapadł w sen.

* * *

Z letargu wytrąciły go muchy, słońce oraz mrówki wążące mu do ucha. Zrazu silnie zabolęła go głowa, potem spostrzegł, że kuglarze zwinęli obóz, wreszcie stwierdził, że sam jest goły jak go Pan Bóg stworzył. Obrabowali go ze wszystkiego, dosłownie ze WSZYSTKIEGO, nawet z nosa. Obmacując obolałą głowę, wyczuł guz wielkości kurzego jaja i zastanowił się, kto z całej czwórki tak go grzmotnął. Na samą myśl, że mogła to być Muszka, zrobiło mu się nieprzyjemnie. Włókł się do rzeki, by obmyć guz, gdy gwar głosów przeraził go nie na żarty. Spróbował się ukryć za skałką, ale go wypatrzone.

– To on! – krzyknął jakiś człowiek, za którym szło czterech strażników miejskich z Racleterre. – Mówiłem wam przecież! Tylko że kiedym go widział, leżał nieruchomo. Myślałem, że go zadźgali.

Strażnicy wymierzyli stalowe ostrza swych włócznie w Justyniana.

– Ktoś ty? Czemu się chowasz? Co to ma znaczyć? Psiakość, w dodatku nie ma nosa!

Przysłaniając jedną ręką przyrodzenie, drugą zaś dotykając pękającej z bólu czaszki, młodzieniec wyłonił się spoza skały, usiłując na poczekaniu wymyślić coś wiarygodnego.

– Zdawało mi się, że to moi grabieżcy wracają mnie dobić.

Kłamał jak z nut. Podał się za pielgrzyma rodem z Clermont, zmierzającego do sanktuarium w Rocamadour.

– Kiedym przyszedł tu wczoraj, było ciemno i zastałem bramy miejskie zamknięte. Zobaczyłem ten obóz kuglarzy nad rzeką i tam sobie przycupnąłem dla większego bezpieczeństwa. Wszyscy spali, a ponieważ drałowałem cały dzień, byłem zmęczony, usnąłem, no i właśnie...

Jego młodość, rezolutna mina (mimo braku nosa), łatwość wysławiania się, a zwłaszcza pokaźny guz, który każdy mógł pomacać, przekonały zbrojnych, którzy podnieśli swe włócznie.

Wzruszony jego nieszczęściem, kowal Childeryk Trykotyn – ten, co go wziął za nieboszczyka i powiadomił straż – zachęcił go, by podążył za nim.

– Nie możesz tak wyglądać, dam ci parę łachów. Na razie radź sobie z tym – powiedział wręczając mu kilka gałązek, które ułamał z pobliskiego dębczaka.

Tak więc Justynian wparadował do Racleterre w przyodziewku godnym dzikusa z Nowego Świata.

Jego nos, a właściwie miejsce, gdzie powinien się znajdować, zostało poddane szczegółowym oględzinom przez podejrzliwą straż rogatkową. Kiedy doszli do placu Kuszniczego, przy którym Trykotyn miał swą kuźnię, towarzyszyła im czereda gapiów zasypujących ich eskortę pytaniami.

– Nie mam dla ciebie ani butów, ani ciżm – tłumaczył się mistrz kowalski dając mu kaftan z podłego szarego płótna, wytarty na kołnierzu i mankietach, oraz parę pludrów, wprawdzie pocerowanych, lecz – podobnie jak kaftan – idealnie czystych.

Pani Trykotynowa podała mu pełną misę zupy cebulowej z masłem i omlet z czterech jaj ze słoniną, podczas gdy jej mąż schodził do piwnicy po dzbanek cienkusza.

Następnie Justynian pożyczył od kowala składany nóż i, w braku lepszego surowca, wystrugał sobie nowy nos z kawałka sosny rozłupującego się na drzazgi. Na oczach swoich oniemiałych gospodarzy oraz ich licznego potomstwa drażył właśnie pierwszą dziurkę, gdy ponownie zjawił się strażnik, tym razem w towarzystwie komisarza ze starostwa, który chciał wysłuchać jego zeznań i dowiedzieć się, jak wyglądali sprawcy rabunku.

– To byli kuglarze. Gdy przyszedłem, oni spali, a kiedy ja spałem, oni omal mnie nie

ukatrupili.

Odpowiedź ta nie zadowoliła komisarza, skoro przybrał podejrzliwą minę.

– Jak się nazywasz? Skąd przybywasz?

Justynian przestał wiercić dziurkę, by móc tym swobodniej kłamać.

– Nazywam się Justynian Pibrac, a przybywam z Clermont.

Powtórzył swoje dyrdymałki o pielgrzymie spieszącym do Rocamadour.

– Gdzie twoi rodzice? Justynian spuścił głowę i odrzekł:

– Jestem podrzutkiem. Wychowałem się w przytułku Świętego Wincentego.

Komisarz wyszedł, pozwalając mu w spokoju wykończyć sosnowy nos.

Serdecznie podziękowawszy Trykotynom za gościnę, wyruszył z Racleterre w porze nony, tak mu było śpieszno dognać rabusiów i odebrać im pieniądze, ubranie i nóż.

Nienawykły do chodzenia boso, szybko pocierał sobie stopy o kamienie na drodze, co zmuszało go do częstych odpoczynków.

Gdy znalazł się w lesie, jakiś beżpański pies próbował go pożreć żywcem. Bardzo się przestraszył, lecz odpędził zwierzę, trafiając je w nos sporym kamieniem. Potem znalazł gałąź i zrobił z niej pałkę, z grubsza ją ociosawszy.

Nocował w klasztorze Maneval u cystersów, których wzruszył opowieścią o swych niedolach oraz znajomością łaciny, jaką się wykazał podczas komplety (wyniesioną, jak twierdził, z przytułku w Clermont). Nazajutrz podarowali mu parę skórzanych sandałów, funtowy bochenek chleba i owczy ser, równie twardy jak jego nos.

Przechodził właśnie przez Tras-la-Carrigue, gdy spostrzegł niewielką grupę ludzi żywo dyskutujących na placu. Podszedł, grzecznie ich pozdrowił i zapytał, czy nie widzieli trupy linokoczków podróżujących krytym wozem ciągniętym przez wołu. Pochwycony za ręce i nogi, został mimo swych głośnych wrzasków zawleczony do starostwa, gdzie zagrożono mu wydaniem na tortury, jeśli nie ujawni kryjówki swoich współników. Dowiedział się przy okazji, że w przeddzień trupa dała przedstawienie i że od tego czasu donoszono o licznych kradzieżach.

– Nie należę do nich, tylko sam jestem ich ofiarą. Dali mi w łeb i półżywego zostawili na pastwę losu pod murami Racleterre! Gdyby nie pewien kowal i poczciwi zakonnicy z Maneval, wciąż byłbym golusienki. Jeśli was pytałem, to po to, by odnaleźć tych drani i odebrać moją własność. Gdybym wiedział, gdzie się zaszuli, nie pytałbym was.

Znowu opowiedział o pielgrzymce, Pibraku, Czarnej Dziewicy z Rocamadour, przytułku dla podrzutków... Nie we wszystko uwierzyli, aczkolwiek przyznali, że ma guza („Wczoraj był większy!”). Przed zwolnieniem go starosta chciał sprawdzić jego prawdomówność. Do zakonu cystersów udał się konno jeden ze strażników, a w oczekiwaniu na jego powrót starosta usiłował dociec, co się kryje pod sztucznym nosem zatrzymanego. Justynian mu to pokazał.

– Musiałeś przejść trąd – powiedział oficer dając znak, by założył nos z powrotem.

Zbliżała się godzina niesporów, gdy wrócił strażnik i oznajmił, że mnisi potwierdzili w każdym szczególe relację młodego człowieka.

Zwolniono go zatem i dano coś do jedzenia, a w tym czasie jakiś dzieciak pobiegł na plac po jego kij (wyrwany mu podczas aresztowania). Dziękując miejscowemu proboszczowi za zaproszenie, rażno ruszył w dalszą drogę.

Sypiał pod megalitami stojącymi wzdłuż głównego traktu, a dwa razy obudziły go bezpańskie psy, które widocznie pienły się w całej okolicy. Nazajutrz zbliżył się do Bellerocaille. Ujrzał je z daleka, osadzone na dziwnym wulkanicznym stożku, któremu zawdzięczało swoją nazwę. Był akurat dzień targowy, toteż droga roiła się od chłopów niosących na sprzedaż swoje produkty.

Nie mając żadnego towaru do oclenia, Justynian przekroczył roгатkę na moście nic nie płacąc, lecz pod bramą zachodnią, zanim wszedł do miasta, musiał zdjąć swój nos.

Wmieszany w tłum, szedł pod górę ulicą, na której pojazdy utworzyły korek, aż dotarł do zatłoczonego placu. Torował sobie drogę między straganami uginającymi się pod stosami wędlin, serów, rozmaitych korzeni i owoców. Dalej sprzedawano powiązane między sobą kury, skrupowane świny, owce i nieliczne kozy, które żałośnie meczały, gdy tylko ich dotykano.

Przez chwilę Justyniana zaciekała postać, którą zrazu wziął za wyjątkowo szpetne dziecko, a która odziana na modłę turecką, uwiązana na łańcuchu, gięła się w pokłonach, aż wreszcie uświadomił sobie, że to małpa, przywieziona – jak twierdził jej pan – ze Wschodu. Dalej stał wóz, a wysoko na nim siedział dentysta w żółto-niebieskim stroju i kapeluszu markiza. Na dowód swej biegłości nosił potrójny naszyjnik z trzonowych, siekaczy i kłów. Niektóre były tak okazałe, że nawet trudno było sobie wyobrazić ich byłych właścicieli. Z dółtem do usuwania próchnicy w jednej ręce, a obcęgami do ekstrakcji w drugiej, zapewniał zgromadzonych, że na widok tych instrumentów „nawet wściekłe bóle zębów uśmierzają się u jego stóp”, kiedy Justynian zadrżał na dźwięk tamburynu. Kierując się słuchem, przeszedł przez plac dołączając do cizby otaczającej kilkoma rzędami kuglarzy, którzy właśnie produkowali się tam w najlepsze.

Baldo trącał struny swej lutni przygryzając sobie wargi z natchnioną miną, Witold natomiast popisywał się chodzeniem na rękach, jednocześnie podrzucając nogami sześć kolorowych drewnianych kul. Małgocha z werwą, udzielającą się otoczeniu, bębniła w tamburyn, Muszka zaś, bardziej olśniewająca niż kiedykolwiek, tańczyła boso szatańską tarantelę. Jej barchanowa sukienka unosiła się o wiele wyżej, niżby nakazywał rozsądek.

Widok tego „o wiele wyżej” zmałpiał chłopakowi wzrok i wprawił mu krew w stan wrzenia. Przestał się wahać i z kijem w ręku wtargnął między nich.

– Oddajcie, co moje, złodzieje!

Lutnia z tamburynem umilkły, a Muszka poznając go zrobiła grymas, który nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości co do jej uczuć. Drewniane kule potoczyły się na

ziemię, i Witold jednym ruchem lędźwi stanął na nogi. Nie dość, że się bynajmniej nie przestraszyli, to jeszcze z całej siły natarli na intruza.

– Do mnie! Mordują! – zaskomlał do Muszki, która wprawdzie podeszła, ale tylko po to, by mu złośliwie wymierzyć kopniaka w podbrzusze. W przystępie wściekłości zapamiętałe zagłębił zęby w jej łydkę, smakując z niekłamaną przyjemnością krew ciekącą mu do ust z rozszarpanego ciała. Nadzwyczaj bolesne ciosy obcasem w krzyż sprawiły, że puścił zdobycz. Jeszcze raz wrzasnął, że go chcą uśmiercić.

– Wezwijcie straż! – krzyknął ktoś.

Kręcący się w pobliżu, jak zwykle w dzień targowy, łucznicy pod dowództwem halabardnika przepchnęli się przez tłum, roztrzając go rękojeściami włóczni.

– Przejdźcie dla straży! Przejście! – poszczekiwał komendant pogardliwie.

Muszce z matką Małgoczą udało się wymknąć, lecz Baldo, Witold i – wbrew jego kategorycznym protestom – Justynian zostali brutalnie związani, a następnie zaciągnięci do starostwa na pobieżne przesłuchanie.

Justynian, oniemiały z przerażenia, wysłuchał oświadczenia Balda i Witolda, że należy do ich paczki.

– Łżą w żywe oczy, panie oficerze, jest akurat odwrotnie!

– Śledztwo wszystko wyjaśni – rozstrzygnął oficer dyżurny podpisując nakaz ich aresztowania.

– Przecież mówię, że to oni są złodzieje, a ja ich ofiara! Ze wszystkiego mnie ogołocili w Racleterre. Wystarczy poszperać w ich rzeczach, a znajdziecie nóż z moim nazwiskiem na rękojeści.

– To prawda – przyznał Baldo – ale onegdaj przegrał go w durnia.

– Przecież ja nie umiem w niego grać!

– Dość – straciwszy cierpliwość, oficer dał znak, by ich zaprowadzić do mistrza Bertranda Beaulouis, Rygła Ludzkiego.

Rozdział IV

Bellerocaille, sierpień 1683 r.

– Nawet jeśli jest twój, musisz go ode mnie kupić, bo sam za niego zapłaciłem. Teraz sobie nawet przypominam, że kosztował sporo – uprzedził Beaulouis Justyniana, pozwalając mu włożyć do kieszeni nóż Pibraka. – Zresztą – dodał dobrodusznie – nie martw się o pieniądze. Wybierz, co ci się podoba, a zwrócisz mi ze swojej nagrody.

Justynian nie kazał sobie tego powtarzać. Wahał się między trzema kaftanami, z których jeden już chciał zmierzyć, gdy Beaulouis przedstawił mu harmonogram zajęć na najbliższe godziny.

– Najpierw musisz znaleźć cieślę, co zgodzi się wnieść szafot, i to bez zwłoki.

Jeżeli najważniejszym celem egzekucji było zabić dla wykazania, że zabijać nie należy, jej widok musiał oddziaływać odstrasząco; stąd potrzeba szafotu, który umożliwiłby jak największej liczbie widzów skorzystanie z tak pogładowej przestrogi.

– Pójdę zobaczyć ten, którego użył kat z Rodez za swej ostatniej bytności w Bellerocaille.

– Mistrz Pradel zawsze przywozi własny szafot. Ustawiają go jego czterej pomocnicy. Musisz więc sam poszukać jakiegoś cieśli. Powinien on także wykonać dla ciebie krzyż świętego Andrzeja, do którego przywiążesz skazańca. Następnie trzeba znaleźć koło od wozu i pal, długi na jakie osiem stóp, na którym je osadzisz. Potem potrzebny będzie żelazny pręt długości pięciu stóp, gruby na półtora cala. By go przywiązać do krzyża, musisz mieć sznury. Aha, i jeszcze potrzebna ci drabina, żeby go podnieść na kole, gdy zostanie złamany. Ostrzegam cię już teraz: to najtrudniejsze. Skoro nie masz pomocnika, musisz delikwenta wciągnąć sam. I nie licz, że ci ktokolwiek pomoże: wprawdzie każdy chce się przyjrzeć, jak kona, ale nikt do tego nie przyłoży nie tylko ręki, ale nawet palca.

Justynian, który mierzył już drugi kaftan, okazał zdumienie.

– To niesprawiedliwe. Jeśli się skazuje na śmierć, to ktoś musi ją zadać. Hańbę przynosi zły uczynek, nie karanie. Kat jest więc pożyteczny.

– Oprawcy padliny i czyszciciele latryn też są pożyteczni, a któż chciałby się żenić z ich córkami? Nawet jeśli są ładne... Z katem jest jeszcze gorzej!

Beaulouis liczył, że zgodnie z powszechnym przesądem jego ułaskawiony skryba sam się odetnie od świata, by uniknąć głębokiej pogardy ogółu, co pozwoli mu spełniać z oddaniem swe obowiązki pisarza.

Justynian mierzył buty, swego czasu własność żołnierza skazanego na dożywocie za zaciągnięcie się do dziewięciu różnych pułków (a co za tym idzie, pobieranie dziewięciu żołdów), kiedy do magazynu wszedł Breduś oznajmiając, że woda jest już gorąca.

Chociaż jego ostatnia kąpiel datowała się z poprzedniego roku (w szczerym polu zaskoczyła go wówczas ulewa), Justynianowi nie sprawiło szczególnej przyjemności szorowanie się w wąskiej krótkiej wanience, przyniesionej przez synów Beaulouisa do komórki sąsiadującej ze składzikiem, w którym trzymali swoje narzędzia tortur.

– I cóż mi po ułaskawieniu, skoro zawsze będę nosił to piętno? – powiedział do swego dozorczy, z goryczą pokazując mu trzy litery wypalone na prawej łopatce. Beaulouis wzruszył ramionami.

– Takie jest prawo, że piętnuje się galerników natychmiast po wyroku. To nie moja wina: robię tylko to, co mi każe starosta. A zresztą ułaskawiony nie znaczy niewinny.

Justynian westchnął, powierzchnia wody się zmarszczyła.

Gdy był już czysty i wytarty do sucha, związał włosy tasiemką, potem włożył prawie nową koszulę z delikatnego płótna, którą wcisnął w zamśzowe pludry barwy cielistoróżowej. Dobrał sobie do nich pomarańczowy kaftan o rozciętych rękawach, z marszczonego atłasu, oraz parę czarnych butów o poszerzanych cholewach i wydłużonych noskach, które z całą pewnością wyszły z mody od czasu śmierci króla Ludwika Trzynastego. Na przegubach związał jedwabnymi wstążkami płócienne mankiety wykończone koronką. Głowę nakrył połyskującym brązowo-zielonkawym filcowym kapeluszem, w który dla ozdoby wetknięty był strusi pióropuszczyk nie pierwszej już świeżości. Wybrał ten kapelusz z uwagi na szerokie rondo, w którego cieniu mógł się skryć jego drewniany nos. Potem zrobił parę kroków żałując, że nie może się przejrzeć w lustrze, wreszcie oświadczył, że jest gotów wyruszyć na poszukiwanie dostawców.

– Cieśli znajdziesz na ulicy Dłutowniczej, a kuźnie na Kowadlanej. Do powroźników będziesz musiał zejść na podgrodzie, na Konopną.

Gdy pora była iść, wzięli go między siebie halabardnik i czterech ludzi w mundurach straży.

– Rozkaz pana starosty. Gdybyś przypadkiem chciał wziąć nogi za pas – wyjaśnił Beaulouis fatalistycznie.

Justynian wzruszył ramionami (istotnie, przyszło mu coś takiego do głowy), głęboko westchnął i ruszył w drogę. Od swego procesu po raz pierwszy przeszedł zwodzony most, opuszczony w czasie pokoju od świtu do zmierzchu, i znalazł się poza warownią. Jak zwykle przy pięknej pogodzie, na ulicach rojno było od ludzi, niczym w dzień targowy, a w powietrzu czuło się jakby świąteczną atmosferę.

– Przejdźcie dla straży! Przejdźcie! Przejdźcie! – skandował strażnik, halabardą odpychając najbardziej opiesziałych.

To długie drzewce zakończone szerokim tasakiem było zarazem bronią i atrybutem jego rangi (jego podwładni mieli pospolite włócznie z żelaznymi ostrzami).

– Przejdźcie! Zrobić przejście!

Wszystkie spojrzenia kierowały się ku Justynianowi, który niczym jakiś dygnitarz kroczył pośród swej eskorty.

Zdziwienie budził jego nos, ale zastanawiano się też nad jego tożsamością.

– Co to za fircyk? – dało się słyszeć.

Doszli tak aż do ulicy Dłutowniczej, niemal w całości zamieszkaną przez osiemnastu członków cechu ciesielsko-stolarskiego. Ulica ta zaczynała się przy placu Dziurskim i wiodła w dół, do bramy północnej, przez którą przybywały transporty drewna z rozległych lasów porastających wapienny Płaskowyż Azemardzki.

Żaden z osiemnastu rzemieślników nie przyjął zlecenia. Wystarczyło wymówić słowo „szafot”, a chmurzyły się najbardziej życzliwe oblicza. Nawet najgorsi partacze wyniośle odmawiali i gdyby nie obecność eskorty, mistrz Calzins, starszy cechu, dałby mu chętnie kilka kopniaków w pośladki za to, że miał czelność złożyć tego rodzaju zamówienie.

– Nie ma co próbować – powiedział Justynian do strażnika, który pocił się w swym mundurze. – Zaprowadźcie mnie do starosty: tylko on potrafi przekonać tych ludzi.

Podeszli na plac Dziurski, gdzie znajdowało się starostwo o fasadzie upstrzonej zarządzeniami porządkowymi, edyktami królewskimi, ogłoszeniami o zgubie oraz obwieszczeniami o publicznym wykonaniu kar.

W sieni panował wielki rwetes: ludzie wchodzili, wychodzili, zbiegali po schodach z naręczami akt; trzaskały drzwi, żołnierze nawoływali się po korytarzach.

Justynian podszedł do pedla w peruce, siedzącego na warcie za biurkiem pod drzwiami gabinetu starosty.

– Proszę o pilne posłuchanie.

– Coście za jeden? – zapytał tamten, nietaktownie przypatrując się jego drewnianemu nosowi.

Justynian pokazał mu swoją nominację i nie bez satysfakcji zauważył, że woźny czytając zadrzał.

Wprowadzono go do głównego stróża porządku publicznego, który również zadrzał, acz z całkiem innego powodu.

– A niech to diabli! Gdyby nie ten sosnowy nos, to bym cię nie poznał. Całe szczęście, że ci nie strzeliło do głowy włożyć perukę!

– Czy mam przez to rozumieć, panie starosto, że dokonałem niewłaściwego wyboru?

– Niezupełnie... Młodość musi się wyszumieć. No, dość tego. O co chodzi?

Foulques wysłuchał go bez słowa, niezbyt zdziwiony postawą wszystkich cieśli.

Potrząsnął dzwoneczkiem, wydał polecenie, a w kilka chwil później zjawili się woźny sądowy i oficer straży pana barona.

– Pójdziecie z tym oto oprawcą i dopilnujecie, by mu niezwłocznie wydano narzędzia niezbędne do wykonywania jego zawodu – powiedział wskazując im Justyniana, który zdjął już kapelusz i obracał go w ręce. – Żadna odmowa nie będzie tolerowana. Każn musi się odbyć jutro w porze nony. Nie pozwolimy na najmniejsze opóźnienie. W razie potrzeby nie patyczkujcie się i rekwirujcie.

Gdy oficer wychodził, by zwołać swych podwładnych, woźny podsunął staroście pod nos parę nakazów rekwizycji in blanco, które Foulques podpisał. Justynian włożył kapelusz.

* * *

Mistrz Calzins uczył swego najmłodszego syna ociosywać znacznikiem kawałek drewna orzechowego, gdy narastający łomot kazał mu nadstawić ucha. Wyglądało to na przemarsz wojsk.

– To przybocznicy barona! – wykrzyknął czeladnik, który wyszedł na próg. – Chyba idą tutaj.

Mistrz Calzins miał zamiar sprawdzić informację, lecz już zbrojni wypełnili jego warsztat, a wśród nich dostrzegł tego niewydarzonego trzpiota z nosem z ostatniej sośniny, którego przegonił nieco wcześniej.

– Znowu ty, drzazgo mego życia! A zmiatajże stąd, bo inaczej poznamisz się z moim młoteczkami!

Justynian schował się za pedla, który władcym gestem nakazał stolarzowi milczenie.

– Odmawiać współpracy z oprawcą znaczyłoby nie wykonać rozkazu Pana Barona Raula, a nie śmiem nawet przypuszczać, żebyście chcieli uchybić naszemu władcy.

Oficer postawił u wejścia trzech ludzi, a pozostałych rozesłał po całej obszernej pracowni. Mistrz stolarski dał za wygraną.

– Posłucham, panie woźny, posłucham, ale taki mi gwałt zadajecie! Biorę swych pomocników na świadków: wykonam ten haniebny szafot i nie mniej haniebny krzyż, lecz niech wszyscy wiedzą, że uczynię to pod przymusem.

Justynian przeszedł się po zakładzie, szukając czegoś wzrokiem.

– Skoroście zatem się zgodzili, zechciejcie, proszę, przystąpić migiem do dzieła. Czas nagli.

Powściągając gniew i przybierając ton przymilnie ironiczny, mistrz Calzins zapytał:

– W jakim miejscu Jaśnie Wielmożny życzy sobie ujrzeć zamówioną konstrukcję?

– W sentencji wyroku napisano: „na placu Dziurskim”.

– Ale on jest ogromny. Muszę wiedzieć, gdzie dokładnie.

Justynian szukał pomocy u woźnego i oficera, ale oni odwrócili głowy.

– Hmm... W takim razie postawcie ją tam, gdzie zwykł rozgaszczać się kat z Rodez.

– W tym sęk, że zazwyczaj robi to na placu Świętego Wawrzyńca. Dopiero pierwszy raz kaźń ma się odbyć na placu Dziurskim.

– No to na środku! Na samym środku!

Odwróciwszy się do cieśli plecami, Justynian kontynuował oględziny warsztatu, aż wreszcie znalazł w stosie obrzynków kawałek drewna lipowego pięciocalowej długości, który nic nie mówiąc schował do kieszeni.

Ruszyli w stronę ulicy Kowadlanej, gdzie znajdowały się kuźnie, lecz wiadomość, że „kat robi zakupy”, zdążyła już się rozejść po mieście. Ludzie szybciej usuwali im się z drogi.

Justynian wybrał kuźnię mistrza Lenègre, starszego cechu kowali-szlifierzy. Rozegrała się taka sama scena jak poprzednio i, podobnie jak mistrz Calzins, kowal nie mógł odmówić woźnemu sądowemu spełnienia nakazu. Obiecał wykucić drąg i umieścić koło od wozu na maszcie, „dwa sążnie nad szafotem”.

– Komu mam przysłać rachunek?

– Panu staroście. I weźcie ze sobą drabinę – przypomniał przed wyjściem Justynian.

Po czysto formalnej odmowie mistrz Méjean, starszy cechu powroźników, dostarczył mu sześć powróselek długich na dwie stopy, grubości małego palca, ale nadzwyczaj mocnych.

* * *

Dzwony Bellerocaille były właśnie dwanaście razy na sekstę, gdy Justynian powrócił do więziennej baszty.

Opowiadał o swoich utarczkach z rzemieślnikami podczas obiadu za pięć solidów, jaki mu podał Beaulouis (zupa z królika, wielki dzban marcillaka). Jadł bez apetytu: abstrakcyjna do tej pory myśl, że ma kogoś uśmiercić, nabierała kształtu i ścisła mu krtań.

– A co będzie, jeśli ja nie potrafię łamać?

– Nici z ułaskawienia; powędrujesz z wrześnieowym konwojem, a ja stracę pisarczyka. Ale powiadam ci: nie zadręczaj się. Jak tylko Lenègre dostarczy drąg, to ci pokażę.

– Boję się przede wszystkim, że odejdzie mnie odwaga. Chociaż stale sobie powtarzam, że on popełnił straszliwą zbrodnię i że zasługuje na karę, jakoś nie mogę go znienawidzić. Przecież mnie ten kucharz nic nie zrobił, więc uderzać tak na zimno...

– Wystarczy, byś pomyślał o kimś, kogo nie cierpisz. Na przykład o tym, kto ci uciął nos – zasugerował Beaulouis. – Tak czy inaczej, gdy nadejdzie pora, Bóg cię poprowadzi.

– Może i poprowadzi, ale cios zadam ja, nie On. Do celi wszedł Breduś.

– Ojcie, wzywa cię wielebny ksiądz Franciszek. Przyszedł z jakimiś gośćmi do Galine’a.

– Znowu? Od wczoraj już po raz trzeci... a w dodatku nigdy nie płaci.

Beaulouis wyszedł za swoim synem, nie zamykając drzwi.

– Skoro jesteś prawie wolny, zostawiam cię prawie zamkniętym. Ale nie wolno ci

wychodzić poza mury bez eskorty.

Niemal nie tknąwszy dań, Justynian usiadł przy okienku strzelniczym i żując kęsy chleba maczanego w winie, przystąpił do wycinania, z kawałka drewna lipowego „zarekwirowanego” u cieśli, nowego nosa, już czwartego, odkąd prefekt moralności w seminarium wściekle rozdeptał podarunek taty Marcina. Drugi, dębowy, który sam sobie wystrugał, ukradli mu kuglarze” w trzecim, pospiesznie wykonanym w Racletterre u kowala Trykotyna, sośnina zwilgotniała, kiedy był na królewskim garnuszku.

Popluwając na klingę, wyostrzył ją o narożnik kamiennego muru i po raz kolejny wspomniął, z jaką przykrością żegnał się z nim Marcin, kiedy on wyruszał do seminarium.

Gdy nóż był już dostatecznie ostry, Justynian nakreślił tuszem kształt swego nowego nosa, potem tnąc ostrożnie, jak go uczył tata Marcin, zaczął strugać klocek. Niebawem Beaulouis wrócił z zadowoloną miną po oprowadzeniu gości.

– Dobra wiadomość. Słyszałem, że mistrz Calzins i jego pomocnicy stawiają już szafot na placu. Zebrał się podobno taki tłum, że starosta wysłał całą kompanię straży, żeby mogli pracować w spokoju.

Widok nietkniętego posiłku zmartwił go.

– Dlaczegoś nic nie jadł? Nie smakowało? Nadziawszy nożem plaster wystygłej baraniny, włożył go do ust, a następnie zainteresował się tym, co Justynian robi ze swego kawałka drewna. Rozpoznał zarys nosa i uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Ale, ale... czy ty w ogóle coś czujesz?

– Tak, węch mam w porządku.

– Jak to możliwe, skoro straciłeś nos?

– Nie wiem jak, ale jakoś czuję.

Ponieważ w owych czasach nie wiadano, że nos jest tylko wyrostkiem umożliwiającym przesłanie zapachu do okolicy węchowej usytuowanej w dołach nosowych (u Justyniana nie naruszonych), uważano go za naturalne siedlisko zmysłu powonienia (podobnie jak w sercu lokalizowano uczucia, a w żołądku – złość. Niektórzy umieszczali rozsądek w stopach argumentując, że to jedyne części ciała opierające się o stałe podłoże.).

* * *

Tej nocy Justynian nie mógł zasnąć i korzystając ze swej ograniczonej wolności wdrapał się na wieżę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Tam, siedząc między dwoma filarami na parapecie i dyndając nogami wysoko nad ziemią, czekał na świt i rozmyślał nad swym smętnym losem, o który oskarżał już to Boga („nigdy mnie nie kochał”), już to diabła (tylko on mógł mu nasłać Muszkę), lecz także samego siebie („nie powinienem był dać się skusić tej spryciarze”). Piętnaście metrów niżej wszystkie żaby w fosie rechotały chórem, jak gdyby kpiąc z jego łatwowierności.

Niebo przeszła spadająca gwiazda. Jego ojciec chrzestny tłumaczył, że to potępiona dusza leci do piekła. Ale dlaczego nie widywało się ich nigdy w zimie? Czyżby to znaczyło, że piekielny most zwodzony opuszcza się tylko na lato? Kwestia ta nurtowała go tym bardziej, że w jego przekonaniu taki właśnie koniec był mu pisany. Wynikał on jednoznacznie z sumy grzechów śmiertelnych popełnionych przezeń od początku roku. Prędzej czy później jego gwiazda spadnie z nieba i zastanawiał się, czy ktokolwiek będzie owej nocy śledził jej tor.

* * *

Wszystkie dzwony były na prymę, kiedy Justynian wrócił z blanków do swej celi. Otworzył się bramy miasta, a jeszcze przed zaśnięciem usłyszał zgrzyt mechanizmu podnoszącego kratę, następnie zaś opuszczającego zwodzony most.

W godzinę później Beaulouis z synami obudzili go, stawiając na stole miskę rosółu z peklowanej wieprzowiny, talerz kiszki pasztetowej, pieczonego kurczaka (w całości), a także owoce w dużym wyborze i dzbanuszek cienkusa.

Spożył ten ośmiosolidowy posiłek, gdy tymczasem dozorca ze swoimi synami przyglądał się nowemu nosowi, który sobie wyrzeźbił, prostemu jak duże „i”, nadającemu jego obliczu bardziej energiczny wyraz.

Kiedy już się najadł, Beaulouis poprosił, by poszedł z nim na dziedziniec.

– Mistrz Lenègre dostawił drąg; zaraz ci pokażę, jak się nim posługiwać.

Łamanie kołem, choć nie było wyjątkiem, stosowano jednak dość rzadko, toteż doświadczenie Rygla Ludzkiego w tym względzie sprowadzało się do wspomnienia dwóch egzekucji dokonanych przez mistrza Pradela. Ten po raz pierwszy łamał protestanta, który wrzucił do studni swego syna, zamierzającego się nawrócić, a w kilka lat później – truciciela z Sèverac, który zamordował swego dobroczyńcę, by móc po nim dziedziczyć.

– Przede wszystkim pamiętaj, że możesz zadać najwyżej jednaście ciosów: takie jest prawo. Cztery w nogi, cztery w ręce, dwa w klatkę piersiową, a ostatni w pas. Tempo agonii będzie zależało od sposobu, w jaki je zadasz. Nie zapominaj, że jego śmierć musi napawać przerażeniem, wystrzegaj się przeto uderzenia w okolicę serca, w szyję, w głowę, jeśli go nie chcesz zabić od razu.

Wyciągając rękę w kierunku baszty, Beaulouis zaproponował:

– Chodźmy, pokażę ci, jak to wygląda na nim.

– Dziękuję! Pokażcie mi tylko, gdzie dokładnie mam uderzyć.

Justynian bał się chwili, w której skazaniec dowie się, że on jest jego katem. Na samą myśl o tym czuł się nieswojo.

– Jak sobie życzysz. Z kończynami sprawa jest prosta: walisz w środek kości długich.

Dotknął swego ramienia, przedramienia, uda i łydki.

– W pierś rąbiesz tutaj. Zabębnił palcami o swój mostek.

– A w pasie celujesz w pępek. Ale uwaga: ten cios musisz zadać silniej niż tamte, jeśli chcesz mu złamać krzyż.

Wykręcając ramię, Beaulouis dotknął swego kręgosłupa.

– Jeśli chcesz, sprzedam ci barana, żebyś się na nim powprawiał.

Justynian wolał wiązkę słomy. Podczas prób stwierdził, że przydałyby mu się rękawice, aby mocniej uchwycić żelazny drąg. Porozmawiał o tym ze swoim dozorcą, a ten wyraził zgodę.

– Teraz, kiedy mi to mówisz, przypominam sobie, że mistrz Pradel zawsze je nosi. Wracajmy do magazynu, mam ich pełen kufer.

Justynian, którego wybór padł na parę błękitnoszarych, z jeleniej skóry, uznał za stosowne wybrać się na plac Dziurski, by sprawdzić, jak zaawansowane są przygotowania.

Otoczony, jak poprzednio, czterema wartownikami z halabardnikiem na czele, przeszedł zwodzony most, z lubością dudniąc obcasami o jego deski.

Mimo porannej pory na placu tłoczyło się sporo ludzi.

– Oto i kat! – zapowiedział go jakiś głos.

Wieść szybko się rozniosła. Wszyscy przepychali się, by go zobaczyć, a zbrojni musieli się opędzać rękojeściami włóczy.

– Miejsce dla straży, hołoto! Na bok! Na bok!

Pośrodku placu, pod ochroną kompanii straży ustawionej wokół nich w kwadrat, mistrz Calzins z pomocnikami przysuwał schodki o ośmiu stopniach do imponującej platformy. Skoro jego „klient” ograniczył się do obstalowania „szafotu”, mistrz ciesielski, korzystając z okazji, nie poskąpił drewna (najlepsza prowansalska dębina, jaką miał: długość sześć metrów, szerokość – cztery, wysokość – dwa).

O dwa sążnie od potężnej konstrukcji kowal Lenègre wbił słup. Na jego szczycie było osadzone koło, na którym Galine, już złamany, miał wyzionąć ducha. Justynian podszedł do słupa. Beaulouis miał słuszość: nigdy mu się nie uda samemu wciągnąć tam człowieka. Mistrzowi Pradelowi asystowało przy tym aż czterech ludzi.

– Jeśli nikt mi nie chce pomóc, to trudno; zostawię go rozpiętego na świętym Andrzeju i niech sobie z nim radzą. Nie wymagajmy cudu... A właśnie, gdzie jest ten krzyż?

Okrążywszy szafot, nic sobie nie robiąc z niezbyt życzliwego popatrywania mistrza Calzinsa na jego nowy nos, znalazł krzyż na bruku koło drabiny oraz skrzynki z gwoździami i kołkami, z której wystawała piła ręczna. Wszystko wydawało mu się w porządku. Jednak raz jeszcze obszedł dookoła szafot przybierając niezadowoloną minę, by dokuczyć cieśli. Swój cel osiągnął. Potem, podchodząc do halabardnika, który rozmawiał ze swym kolegą ze straży miejskiej, dał znak powrotu do więziennej baszty, z której miał wyjść dopiero o feralnej godzinie.

* * *

Justynian nie tknął posiłku za dziesięć solidów, przygotowanego przez żonę Beaulouisa.

– Mam za bardzo ściśnięte gardło. Nic nie przejdzie.

– To normalne, odłożymy ci na później. Mistrz Pradel ucztuje zawsze potem.

Dozorca napełnił jednak cienkuszem jego kubek.

– Chociaż popij, to dobre.

Justynian z trudem przełknął haust i z grymasem odstawił kubek. Z dala dały się słyszeć owacje.

– To z placu Dziurskiego. Pewnie hrabia-biskup Rodez zasiada na balkonie starostwa.

– Przyjechał hrabia-biskup?

– Z całą swiątą, dziś rano. Jest też gubernator prowincji oraz komisarze administracyjni Rodez, Villefranche i Millau. Och, można rzec, że to wydarzenie narobi wiele hałasu, nigdy nie widziałem w mieście takich tłumów! Nawet na jarmarku świętego Wawrzyńca, a przecież... Ale co z tobą? Dziwną masz minę!

Jeżeli ludzie przyjeżdżali z tak daleka jak Millau, to pewnie i ze znacznie bliższego Roumégoux. A jeśli ktoś go rozpozna i o tym doniesie? Znow go aresztują i osądzą. Tym razem skazą na stryczek, a może na ścięcie toporem; nie wiedział dokładnie, jaką karę przewidziano dla winnych zbrodni, jakich on się dopuścił przed ucieczką z Roumégoux w pogoni za Muszką.

– Wynajęto wszystkie okna wokół placu – ciągnął Beaulouis głosem, z którego przebijała zazdrość. – W gospodzie „Smaczne Jadło” te, co wychodzą wprost na szafot, poszły po pięć liwrów. Pięć liwrów! Nie do wiary... O właśnie, widziałem szafot. Jest co najmniej dwa razy większy niż mistrza Pradela! Chciałbym zobaczyć minę starosty, gdy Calzins wystawi mu rachunek.

Justynian nie słuchał; myślał o Muszce. Opróżnił kubek, który Beaulouis znow napełnił.

Rozdział V

– Nadeszła pora – oświadczył kapitan baronowskiej milicji, wręczając nakaz wydania skazańca jego oprawcy.

Breduś wypisał więźnia, jego bracia zapalili pochodnie, a Beaulouis zszedł pierwszy do celi Piotra Galine.

Ten, odwiedzany tak często jak święta relikwia, nawet nie drgnął, gdy małe okrągłe pomieszczenie, w którym gnił od dwóch tygodni, wypełniło się ludźmi.

Jak wszyscy, którzy płacili, by go obejrzeć, Justynian był rozczarowany jego nader pospolitym wyglądem. Średni wzrost, tuzinkowe rysy, spojrzenie bez wyrazu – nic nie świadczyło o popełnionej przezeń zbrodni.

Kubuś i Lucuś przesunęli drewniane bariery służące do powstrzymywania tłumu ciekawskich („gdyby im pozwolić, powyrywaliby mu włosy, żeby sobie na nich warzyć napoje miłosne”), Breduś i jego ojciec rozkuli łańcuchy krępujące członki i szyję więźnia, a potem kazali mu się rozebrać.

– Zostań w samej koszuli.

Z nieobecny wrokiem, jak gdyby myślał o sprawach bez związku z jego aktualną sytuacją, Galine milcząco wykonał polecenie.

– Możesz je wziąć – powiedział do Justyniana Beaulouis wskazując na kaftan, pludry, pończochy i buty skazańca. – Poza koszulą, którą musi zachować ze względu na obyczajność, wszystkie jego rzeczy przechodzą na własność kata. Takie jest prawo.

Na dźwięk słowa „kat” Galine obrócił głowę ku młodemu człowiekowi wpatrując się dłużej, podobnie jak wszyscy, w jego nos. Justynian spuścił oczy. Nie tknął odzieży leżącej na posadzce.

– Szybciej, szybciej! – naglił kapitan.

– Nuże! Teraz należy do ciebie, możesz go skrepować – powiedział Rygiel Ludzki.

Unikając jego wzroku, Justynian chwycił pocierane okowami nadgarstki Galine’a i związał mu je na plecach, mocno zaciskając węzły.

Ze schodów dał się słyszeć pospieszny tupot sandałów. Do lochu wpadł brat miłosierdzia w burce, pocąc się pod ciężarem krucyfiks niemal tak dużego jak on sam.

– Po tysiackroć przepraszam, że się spóźniłem, ale dookoła więzienia zebrała się taka cizba, że niewiele brakowało, a byłbym utknął na amen.

Kapitan okazał żywe niezadowolenie.

– Na Boga! Myślałem, że już jest wypowiedziany! Spóźnimy się!

Galine ukląkł przed krucyfiksem, z miną jeszcze mniej przytomną niż przedtem.

Beaulouis z synami i Justynian wyszli na korytarz. Kapitan pozostał na progu parszając z niecierpliwości i bębniąc palcami po rękojeści rapieru.

– Nie można by go rozwiązać – poprosił miłosiernik – przynajmniej na czas spowiedzi?

– Bogać tam! Nie ma co się z nim cackać! Ten potwór nie zasługuje na takie względy. Pospiesz się, braciszku, i tak straciliśmy mnóstwo czasu.

W wąskim korytarzu Beaulouis gładził ręką ubranie Galine'a. Było z doskonałego sukna z Saint-Geniez.

– Byle wszystko dobrze poszło – mruknął Justynian poklepując się po lipowym nosie.

– A jakże by mogło być inaczej? Pokazałem ci, gdzie i jak uderzać. Rąbiesz i kwita.

– Wiem, co trzeba robić, ale boję się, że mi to nie wyjdzie.

– Przestań się turbować. Powiadam ci, że to łatwe. Spójrz, jakie z niego chucherko.

– Szybciej, bracie, szybciej! – zagrział kapitan tupiąc nogami.

Po odmówieniu litanii konających miłosiernik pobłogosławił skazańca i pomógł mu wstać. Justynian stanął za nim i wszyscy ruszyli w drogę.

Na nasłonecznionym dziedzińcu oczekiwało ich czterdziestu milicjantów w dwóch rzędach. Kapitan dosiadł konia.

– Gotowicie? – spytał patrząc na Justyniana.

– Chyba tak...

Oficer już miał wydać rozkaz otwarcia bramy, gdy młodzieniec mu w tym przeszkodził.

– Wybaczcie, panie kapitanie, ale czegoś zapomniałem. Wbiegł do baszty i niemal natychmiast z niej wypadł rozgorączkowany, z drągiem, postronkami i rękawicami. Kapitan spiorunował go spojrzeniem, lecz nie zwrócił mu uwagi. Dał znak stojącym przy bramie. Ciężkie wrota obróciły się na zawiasach. Rozbrzmiał potężny wrzask:

– To on! To on! – ryknął tłum, z trudem powstrzymywany przez szpaler żołnierzy.

W wydzielonym miejscu dwudziestka zakapturzonych pokutników w czarnych habitach zaintonowała *Salve Regina*, stając na czele pochodu. Za nimi ruszył kapitan, potem Justynian ze swym więźniem, eskortowani przez milicjantów; orszak zamykał miłosiernik obarczony krucyfiksem. Grona ludzi uczeplonych okien pokazywały ich sobie palcami.

– Oto i potwór! Do piekła z nim! Do piekła! Justynian, który szedł nieco z boku, nasunął kapelusz na czoło. Nagle Galine, jakby w przystępie szału, zaczął tańczyć jakąś osobliwą sarabandę. Gdy zrozumiano jej powód (rozpalone kamienie parzyły go w stopy), zapanowała powszechna wesołość.

– W piekle będzie gorzej! – krzyknął doń człowiek siedzący na okapie nad farbiarnią.

– Patrzcie na kata! Wygląda, jakby szedł łowić kielbie! – krzyknął inny wskazując Justyniana idącego z drągiem na ramieniu.

Śmiech przybrał na sile. Nawet ci, co nic nie widzieli, zachichotali na wiarę.

Pokutnicy przemaszerowali z ulicy Paparela na ulicę Wielką, u której wylotu znajdował się plac Dziurski, kiedy Galine, podskakujący tak, by stopami trafiać między gorące brukowce, mruknął z całą powagą:

– Zabij mnie szybko, a dostaniesz od mojej rodziny dziesięć złotych ludwików.

Dziesięć złotych ludwików! To jest dwieście czterdzieści liwrów, cztery tysiące osiemset solidów, pięćdziesiąt siedem tysięcy sześćset denarów lub sto piętnaście tysięcy dwieście oboli... Suma była na tyle pokaźna, że Justynian z trudem uwierzył. Nie odrzekł nic.

Wyszli wreszcie na plac, nad którym górował imponujący szafot mistrza Calzinsa. Baron i jego dostojni goście zasiadali na balkonie starostwa, bogato przystrojonym herbami Boutefeux i hrabiego-biskupa Rodez.

Pośród nich krążyła służba roznosząc napoje chłodzące, anyżowe ciasteczka, owczy sernik o zapachu pomarańczowym, puchary poziomek z Lasu Rybałtowskiego marynowanych w winie bordeaux (bądź co bądź nie dopuszczonym do sprzedaży w baronii). U ich stóp już od świtu ogromny tłum jadł, pił, śmiał się, śpiewał, wynajmował ławki, aby lepiej widzieć.

Pokutnicy zgromadzili się opodal szafotu, podczas gdy kapitan i jego oddział cofnęli się, by przepuścić oprawcę, skazańca, miłośnika i jego wielki krucyfiks do stóp pięknych schodków z prowansalskiej dębiny.

Justynian, który pocił się w swoim kaftanie, usłyszał, jak braciszek pociesza Galine'a, wcale o to przez niego nie proszony.

– Bądź mężny, synu, gdyż trzeba ci będzie wychylić ten kielich goryczy równie odważnie, jak Pan nasz Jezus Chrystus wypił Swoją na krzyżu. A był przecież równie niewinny, jak tyś jest winny.

– Zostaw nas teraz, bracie, odsuń się – powiedział Justynian, wzbraniając mu wstępu na schody.

Pojawienie się Piotra Galine na platformie wywołało nieopisaną wrzawę.

– Piekło! Piekło! Piekło dla potwora.

Z kolei widok Justyniana z drągiem przywrócił ciszę. Słyszano, jak ktoś oferował „za jednego liarda stołek, iżby spojrzeć na potwora”. Wszystko zaczęło się gmatwać, kiedy kat spróbował zdjąć Galine'owi pęta, by ten mógł się położyć na krzyżu w kształcie litery X. Supły były zbyt mocno zaciśnięte: nie mógł się z nimi uporać.

– Dziesięć ludwików, jeśli mnie zgładzisz raz-dwa. Moja rodzina da ci je natychmiast – powtórzył kucharz pochylając głowę, by nikt nie dostrzegł ruchów jego warg.

Nadłamawszy sobie boleśnie kilka paznokci bez pożądanego skutku, Justynian rozejrzał się wokół przerażony. Ujrzał kapitana siedzącego wciąż na koniu, w odległości dziesięciu

sążni. Zbliżył się do krawędzi i zawołał:

– Panie kapitanie, proszę, pożyczcie mi swój sztylet.

Zakłopotany tym, że teraz on jest w centrum zainteresowania, oficer nie śmiał odmówić. Podjechał do szafotu i, unosząc się w siodle, podał broń.

– Zostawiłem swój w lochu – wyjaśnił Justynian dziękując mu spojrzeniem.

Gdy przecinał więzy, Galine ponowił swą propozycję.

– Dziesięć złotych ludwików. Wyobraź sobie, co można mieć za tyle złota! Mój ojciec za chwilę ci je wypłaci. Właśnie na ciebie patrzy...

Udając głuchego, Justynian popchnął go łagodnie w stronę krzyża polecając, by się na nim położył.

Galine wyciągnął się posłusznie na przedłużeniu ukośnie skrzyżowanych belek, przy czym głowa pozostała bez oparcia.

Ponownie skrepowany przez swego młodego oprawcę, uporczywie zagadywał:

– Przetnąć mi kark czym prędzej, a nie minie godzina, jak zostaniesz bogaczem. Będziesz sobie mógł sprawić nos choćby i ze szczerego złota.

Czując ciężar setek spojrzeń śledzących każdy jego gest, Justynian skupił się na krępowaniu. Kiedy Galine był już solidnie przytwierdzony, oprawca wstał i otarł spoczone czoło. By mieć większą swobodę ruchów, zdjął kaftan, po czym złożył go starannie obok sztyletu i zapasowych postronków. Następnie wdział rękawice i podniósł ciężki drag. Tłum wstrzymał oddech. Wszyscy usłyszeli trzask desek pod jego butami, gdy stawał tyłem do słońca, by go nie oślepiało.

Nadeszła decydująca chwila. „Pomyśl o tym, kto ci uciął nos”, radził Rygiel Ludzki, ale jak sobie wyobrazić tego (tę?), którego (której?) nigdy nie widział? Wolał już przypomnieć sobie Balda, Witolda, a nawet Muszkę.

Mierząc w lewe przedramię, Justynian uderzył, jak rozłupuje się kłodę na pół. Z głuchym stukiem drag złamał kości promieniową oraz łokciową i rykoszetem wyrznął w belkę, wskutek czego on sam zadrżał od stóp do głów. Rzucił drag i wydał z siebie krzyk bólu, który zmieszał się z wrzaskiem Galine’a.

Mimo tej niezręczności pierwszy cios wywołał entuzjazm. Tłum wiwatował wniebogłosy.

„Musiałem walnąć zbyt silnie i za bardzo na ukos”, pomyślał Justynian podnosząc drag.

Zerknął z niepokojem na balkon starostwa.

Odpowiednio wymierzony, drugi cios złamał kość ramieniową ofiary, która dziko zawyła, naciągając sznury. Tłum skomentował:

– Dobra robota!

Trzecie i czwarte uderzenie strzaskały kości prawego ramienia. Krzyki skazańca były tak przenikliwe i długie, iż nawet wartownicy przy wszystkich trzech bramach przysięgali później, że je słyszeli.

Justynian złapał oddech i otarł sobie czoło mankietem. Galine’owi też było gorąco. Pot

zalewał jego bladą twarz i zwilżał koszulę, przyklejając ją do wymizerowanego ciała, uwydatniając żebra i genitalia (dziwnie skurczone pod wpływem bólu). Nie miał już nieprzytomnej miny i charczał wykrzywiwszy usta. Istotnie, cierpiał jak potępieniec, którym zresztą był.

– Litości... Dobij mnie... Na miłość Pana naszego... Dobij!... Aaach!...

Justynian w rekordowym czasie połamał mu nogi.

– Wolniej! – zaprotestował jakiś kobiecy głos. Ciało wokół więzów spuchło, pod skórą pojawiły się fioletowe plamy. Dały się słyszeć żalosne jęki Galine'a, które niekiedy przypominały kwilenie niemowlęcia, co szalenie podniecało gawiedź.

Dziewiąty i dziesiąty cios zgmiotły mu klatkę piersiową i wydobyły zeń długi skowyt śmiertelnie ranionego zwierza. Głowa, pozbawiona oparcia, zwisała do tyłu, pot ściekał kroplami po włosach parując w zetknięciu z rozgrzаныmi deskami.

Jedenasty i ostatni cios Justynian z całej siły zadał w pępek, druzgocąc skazańcowi stos pacierzowy, przerywając kilka nerwów i miażdżąc jedną nerkę o dwunaste żebro.

– W porządku – mruknął zwracając się w stronę balkonu starostwa. Ujrzał barona Raula wstającego i oświadczającego gromkim głosem:

– Sprawiedliwości stało się zadość.

Rzesze były brawo. Wówczas baron zaprosił hrabiego-biskupa na zamek, gdzie czekała na nich uczta, potem gry towarzyskie, a wreszcie bal.

Justynian rozwiązał pocharkującego cichutko skazańca, z którego ust ciekła różowawa ślina.

Kapitan zgłosił się po swój sztylet. Justynian mu go zwrócił.

– Moglibyście mi pomóc? Nie dam rady, jest za ciężki. Urażony oficer odwrócił się doń plecami. Pokutnicy podeszli do szafotu śpiewając, jak poprzednio, *Salve Regina*, podczas gdy miłosiernik wdrapywał się na platformę, by pocieszyć konającego.

– Błagam, pomóżcie mi... – poprosił oprawca. Braciszek zgodził się, acz niechętnie. Bez trudu spuścili Galine'a, lecz sprawa się skomplikowała, gdy trzeba go było podnieść dwa i pół metra nad ziemię. Załadowawszy sobie rozczłonkowane ciało na plecy, Justynian wgramolił się na drabinę, którą mocno trzymał zakonnik. Ten dołączył swój głos do chóru pokutników i nie przestał śpiewać przez cały czas operacji, nawet wtedy, gdy Galine wypróżnił się nań, obryzgując go całego odchodami.

Bliski omdlenia, Justynian w końcu ułożył skazańca na kole twarzą do nieba, jak stanowił wyrok. Teraz egzekucja dobiegła kresu. Był znów wolnym człowiekiem.

Tłum nie dość, że się nie rozchodził, to jeszcze natarł, przerywając szpaler milicjantów i strażników. Ciżba tłoczyła się wokół słupa, wyciągając szyje i wyglądając śladu wzruszenia na twarzy umierającego. By się lepiej przypatrzeć, niektórzy wspięli się na szafot, gdzie z daleka omijając kata, który akurat wkładał z powrotem kaftan, stwierdzali ze zdumieniem, że pod szerokim rondem kapelusza nosi on nos z drewna.

Okna i balkony powoli się wyludniały. Niektórzy uświadomili sobie wówczas, że podczas całego widowiska grasowali kieszonkowcy.

Na dachach pojawiły się kruki, które w jakiś tajemniczy sposób wyczuły żer.

Chociaż teraz już nie towarzyszyła Justynianowi eskorta, tłum rozstał się jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kiedy schodził z szafotu i kierował kroki ku starostwu, by prosić o łaskę oraz wynagrodzenie.

Kiedy pedel wprowadził go do obszernego gabinetu, Foulques rozmawiał z sędzią Cressayetem, który trzymał w ręku pergamin z baronowską pieczęcią.

– Przychodzę po akt łaski.

– Oto on – rzekł sędzia podając mu pergamin, który trzymał w ręku. – Jeśli umiesz czytać, radzę ci zapoznać się ze świeżo dopisanym uzupełnieniem.

Justynian przeczytał:

Po wykonaniu swego zadania rzeczony Justynian Pibrac musi opuścić mury naszego miasta przed zachodem słońca i nie wolno mu pod żadnym pozorem wrócić do naszej baronii, pod groźbą unieważnienia niniejszej łaski.

Uśmiechnął się szeroko, wyobrażając sobie rozczarowanie swego dozorca.

– A nagroda? Foulques rozsierdził się:

– Ty to masz tupet! Ta nagroda miała skusić zanego ochotnika, a nie bandytę skazanego na więzienie! Łaska w zupełności ci wystarczy. Teraz zejź nam z oczu! A jeśli się stąd nie wyniesiesz przed zamknięciem bram, warta ma rozkaz cię pochwycić. Co w tym takiego zabawnego? Śmiesz sobie dworować, ty włóczykiju?

– O nie, panie starosto, bynajmniej! Myślałem o mistrzu Beaulouisie. Chciał sobie z tej sumy powetować. Zresztą obiecałem zostać jego pisarczykiem.

„Więc to o to chodziło!”, pomyślał sędzia Cressayet.

Przed wyjściem Justynian położył drąg na biurku woźnego, który tylko na niego popatrzył, nie wając się go tknąć. Omijając nader ruchliwy plac, opustoszałymi uliczkami skierował się w stronę więziennej baszty. Jego dozorca, drapiąc się w łokieć, czekał na niego na dziedzińcu.

– Och, już mi się czas trochę dłużył. Masz pieniądze? Kiedy Justynian wyłuszczył mu stanowisko starosty i sędziego, Beaulouis spurpurowiał. Dobiła go lektura aktu banicji jego niedoszłego skryby. Wydało mu się, że wieżyczka odpadła od muru i runęła mu na głowę.

– Tak być nie może! – zagrzmiął. – A kto mi zapłaci, hę? Winieneś mi z góry dwadzieścia liwrów: musisz zapłacić!

– Ale jak? Wicie równie dobrze jak ja, że nie mam nic. Oddajcie mi stare łachy, a ja wam zwrócę te.

– A moje wystawne posiłki? A roztropne rady, bez których byłbyś pozostał galernikiem?

– Weźcie odzież skazańca.

– Bardzo pięknie, ale i tak nie wyjdę na swoje – zamruczał pod nosem Beaulouis popatrując nań spode łba.

Jeszcze na podwórzu dołączyli do nich Bredus z Kubusiem. Wracali z placu Dziurskiego, gdzie przyglądali się kaźni. Powinszowali mu.

– Nieźle się spisałeś. Podobno baron jest rad. Chociaż, gdy z początku upuściłeś drąg, nie zrobiło to dobrego wrażenia.

Ich ojciec wybałuszył oczy.

– Upuścił drąg?

– Bom go rąbnął za bardzo na ukos. Drąg odbił się od krzyża, a ból przeszył mnie na wskroś.

Opowiedział im o propozycji Galine'a.

– Chciał, żebym go zabił od razu. Jego ojciec dałby mi dziesięć złotych ludwików za pośpiech... Może trzeba było się zgodzić, teraz byłbym bogaty.

Beaulouis zaśmiał się szyderczo:

– Byłbyś teraz na królewskim garnuszku. Po pierwsze wszyscy by to widzieli, po drugie nikt by ci grosza nie dał, bo Galine nie ma rodziny. Dobrze znałem jego ojca: był rybakiem na jeziorze Pareloup. Przychodził sprzedawać nam szczupaki. Zmarł ponad dziesięć lat temu.

Justynian z żalem zdejmował swoje piękne ubranie, gdy mistrz więziennik oznajmił mu, że udaje się do starostwa, by wyświetlić przyczyny nieszczęsnego uzupełnienia do aktu łaski.

– A ty nie opuścisz tych murów przed moim powrotem. Jeszczem nie powiedział ostatniego słowa.

* * *

O niecałe sto sążni stamtąd, w wielkiej sali zamkowej hrabia-biskup gratulował baronowi Raulowi wspaniałego przykładu zadośćuczynienia, jaki właśnie miał okazję obejrzeć.

– Z wyjątkiem tej wpadki przy pierwszym ciosie, nawet mój oprawca by pozazdrościł. A chłop ma trzydzieści lat praktyki. Zresztą starzeje się, a jego syn to patałach. Uważaj, kuzynie, żebym ci go nie podkupił. Mimo dziwnego nosa całkiem wdzięcznie się prezentuje. Poza tym ma krzepę. Jedenasty cios był niesamowity: myślałem, że go przepołowi.

Baron Raul przytaknął. Podobnie jak hrabia-biskup uważał, że młody szubrawczyk poradził sobie niezgorzej.

– Ale, ale... dlaczego w twojej baronii jest tylko zwykły pręgierz? Twej randze przysługuje prawdziwa szubienica o dwóch słupach, o ile mi wiadomo.

– O czterech, eminencjo. Mojej randze przysługują cztery słupy – odparł sucho baron.

Szubienice wyglądały wówczas jak portyki połączone poziomymi belkami.

Lennicy mieli tylko dwa słupy. Hrabiowie mogli mieć sześć, książęta i markizowie osiem. Król tyle, ile mu się podobało.

– Wierzaj mi, kuzynie: budujący widok paru wisielców dziobanych przez kruki jest znakomitą przestrogą. Jak dawno temu odbyło się u ciebie ostatnie łamanie kołem?

Oblicze barona spochmurniało.

– To było pierwsze, eminencjo. Moja milicja jest skuteczna, a ludność spokojna. Rzadko kiedy wielka zbrodnia daje nam powód do zmartwienia.

– To jeszcze nie wystarczy. U nas rokrocznie łamiemy dwa lub trzy razy, a wieszamy bądź palimy przynajmniej raz w miesiącu. Zapewniam cię, że nic nie zastąpi dobrego przykładu... Może wasz potwór z chochlą zastanowiłby się dwa razy, gdyby wcześniej obejrzał takie widowisko jak to, w którym sam wystąpił.

– Z pewnością, eminencjo, z pewnością, lecz któż zaręczy?

– Zaraz ci powiem.

Kładąc mu upierścienioną dłoń na ramieniu, hrabia-biskup odciągnął na bok swego nieufnego wasala.

– Policz wpływy z akcyzy od początku tej sprawy i porównaj wynik z ubiegłorocznym, a lepiej zrozumiesz moje upodobanie do najwyższego wymiaru kary.

Baron, który nie lubił tajemnic, chyba że sam je obmyślał, wezwał swego głównego poborcę, który mu oznajmił, że od chwili aresztowania Galine'a dochody ze wszystkich trzech rogatek pobiły wszelkie rekordy. Zysk był tak okazały, że baron mógł zakupić sto muszkietów dla swojej milicji.

– Pójdźcie po Foulques'a – rozkazał zacierając ręce. Starosta stawiał się bez zwłoki modląc się, by to wezwanie nie miało nic wspólnego z kradzieżami dokonanymi podczas egzekucji, podkopującymi jego przekonanie o przykładności imprezy.

– Foulques, postanowiłem, że i u nas będzie szubienica. Zlecam wam jej wykonanie. I pośpieszcie się.

– Rozkaz, panie baronie. Gdzie życzyście sobie ją postawić?

– Myślałem o Rozstajach Czterech Dróg. Foulques skinał głowę.

– Rozsądny wybór, panie baronie. Miejsce jest bardzo uczęszczane, a w dodatku będzie ją widać z daleka. Ale nie mamy nikogo do obsługi, a jak mogliście się przekonać, kandydatów na oprawcę można by ze świecą szukać.

– Żaden kłopot. Zatrzymamy u siebie naszego złodziejzka z drewnianym nosem; całkiem dobrze sobie poradził. Nawet stąd jeszcze słychać jęki dogorywającego potwora.

– Za pozwoleniem, panie baronie. Wydaliliśmy go z miasta. Obecnie musi już być daleko.

– Schwytajcie go. Liczę na to, że znajdziecie argument, który przemówi mu do rozumu.

– Rozkaz, panie baronie.

* * *

Justynian szedł już cztery godziny.

Odziany w stare szmaty, boso (wyrzucił swój jedyny sandał, który bardziej mu przeszkadzał, niż pomagał) kuśtykał drogą na Rodez z zamiarem dotarcia do Bordeaux i popłynięcia stamtąd do Nowego Świata, kiedy dogonili go łucznicy ze straży.

– To ani chybi on – powiedział jeden z nich pokazując jego drewniany nos.

– Czego chcecie? Jestem wolny. Oto akta: uchylenia aresztu, darowania winy i ułaskawienia. Spójrzcie na pieczęć barona.

– Wszystko jedno, musisz pójść z nami. Rozkaz pana barona.

Łucznik wyciągnął rękę, by pomóc mu dosiąść konia. Ich było czterech. Justynian posłuchał z ciężkim sercem. Droga powrotna była długa i zaczęły go ogarniać najgorsze przecucia. Ktoś go rozpoznał i wydał. Skażą go na śmierć za wszystkie przewiny... Zastanawiał się, kogo tym razem namówią do egzekucji.

Minęła północ, gdy stanęli u bramy zachodniej, przez którą wpuszczono ich do uspiętego miasta.

– Dokąd mnie prowadzicie?

– Do starostwa.

Na placu Dziurskim Piotr Galine jeszcze nie wyzionął ducha. Ponieważ kobiety chciały mu utoczyć krwi, porozstawiano patrole, by uniknąć ekscesów. Niekiedy Galine milkł: wydawało się, że już nie żyje, ktoś przystawiał drabinę, by się przekonać, a wówczas on znów zaczynał jęczeć.

– Dajcie nam zebrać choć parę kropelek – błagały kobiety, które mimo późnej pory krążyły wokół wartowników, trzymając w jednej ręce nóż, a w drugiej naczynie.

Krew skazańca bardzo pomagała na gorączkę, padaczkę, udary księżycowe i, oczywiście, na wszelkie możliwe złamania.

Starosta spał. Nie śmiano go budzić. Justyniana zaprowadzono do sali, gdzie żołnierze grali w kości na beczce. Halabardnik wskazał mu ściółkę i polecił położyć się na niej. Nie skuto go ani nie zabrano mu noża, co było znakiem dobrym, lecz nie spuszczano go z oka, co było znakiem złym.

Spróbował ich wypytać, lecz nikt mu nie odpowiedział. Uzbroiwszy się w cierpliwość, usiłował zasnąć.

Przez otwarte okna wychodzące na plac słyszał od czasu do czasu pojękiwania Galine'a, który na swoim kole czepiał się kurczowo życia, jak chwytałby się gałęzi nad przepaścią.

Rozdział VI

Bellerocaille, nazajutrz po kaźni

Justynianowi śniło się, że dosiada Muszki cwałując na koniu podobnym do tego, na którego wskoczył poprzedniego dnia, kiedy jakaś dłoń potrząsnęła jego ramieniem.

– Wstawać! Starosta czeka.

Ze zmierzwionymi włosami, z zapuchniętymi od snu oczami, ruszył za strażnikiem poprawiając sobie nos, który przekreślił mu się w nocy.

Pedel czuwający pod drzwiami biura lekceważąco spojrział na jego łańchmany i na słomki w potarganej czuprynie. Beaulouis skonfiskował mu wszystko, nawet warkoczyk, a on zaprotestował tylko przy nożu Pibraka. „NIGDY”, warknął głosem tak zdecydowanym, że tamten wołał nie nalegać.

Justynian wszedł do starosty, który właśnie sprzeczał się hałaśliwie z mistrzem ciesielskim Calzinssem.

– Bredzicie! Za taką sumę baron mógłby sobie kupić cały las! Ostrzegam, mistrzu, nie damy się puścić z torbami.

To mówiąc Foulques wymachiwał przed nosem cieśli kilkustronicowym rachunkiem.

– Nie otrzymawszy żadnych szczególnych dyspozycji (mistrz Calzins zwrócił się w stronę Justyniana) sądziłem, że należy przede wszystkim mieć na uwadze prestiż pana barona. Chyba nie chcieliście sośniny?

– Rozumiem, mistrzu Calzins, ale pięćset pięćdziesiąt liwrów! Bez przesady!

– Za pozwoleniem, panie starosto, to bardzo piękny szafot, który będzie służył, ilekroć zajdzie potrzeba, oczywiście byle go należycie konserwować.

Cieśla znów zerknął na młodego człowieka.

– To piękny sprzęt, zgoda, ale pięćset pięćdziesiąt liwrów... Nie ma mowy! Musicie opuścić, bo inaczej zlecimy komu innemu wykonanie szubienicy i budowę mieszkania dla niego.

Tym razem Foulques wskazał na Justyniana, który podniósł brwi nic nie rozumiejąc. Jego mieszkanie? Jakie mieszkanie? Zrobił krok naprzód.

– Panie starosto, protestuję. Dochodziłem właśnie do Boussac, kiedy wasi łucznicy mnie dopadli i przywlekli tu siłą.

– Wiem. Rozkaz barona. Słuchaj uważnie. Twoja wczorajsza usługa zyskała dobrą ocenę wyższych władz. Pan baron Raul postanowił zaoferować ci stałą posadę oprawcy. Sam widzisz, że dla takiego złodziejaszka jak ty jest to niepowtarzalna szansa aktywnego włączenia się w życie społeczności naszego nadobnego grodu.

Ze swego biurka zawalonego papierzyskami chwycił i podał mu pergamin. Nie dotykając go, Justynian pochylił się, próbując odczytać treść. Zobaczył, że jest to akt mianowania go wykonawcą najwyższego wymiaru kary w Bellerocaille.

– Ani myślę zostać katem. Absolutnie. A wy nie możecie mnie do tego zmusić. Spełniłem, czegoście ode mnie żądali; baron mnie ułaskawił, jestem więc wolny. Nie sądzę, by był z tych wielmożów, co za nic mają swoją pieczęć.

– Powiadam ci, żeś przypadł baronowi do gustu. Chce cię mieć za oprawcę. Nie pożałujesz, ta posada wiąże się z rozmaitymi przywilejami, i to nie byle jakimi.

Nie dowierzając mu Justynian nerwowo rozwinął swój akt łaski i pokazał pieczęć barona.

– Popatrzcie tutaj: jestem wolny! Nie chcę zostać katem! Chcę zostać... hmmm... marynarzem, jak mój ojciec Juliusz Pibrac... Chcę spróbować szczęścia w Nowym Świecie.

– Spokojnie, głuptasie. W twoim wieku i w twojej sytuacji nie odrzuca się urzędu przynoszącego sto dwadzieścia liwrów rocznie netto. Nie mówiąc już o dodatkach! Masz, uparciuchu, podpisz, jeśli potrafisz, a jeśli nie, to narysuj krzyżyk.

– Umiem pisać, i to na pewno lepiej od was! I nigdy nie podpiszę tego zobowiązania; to by było niesprawiedliwe! Odwołam się do rady baronowskiej.

Zanim cokolwiek uczynił Foulques wyrwał mu z rąk ułaskawienie i darł je na tysiąc drobniutkich kawałków.

– Więc potrafisz pisać lepiej ode mnie! A potrafisz lepiej drzeć?

Justynian pojął. Bez ułaskawienia, z piętmem na ramieniu nie sposób było odtąd wędrować po okolicy, nie narażając się na poważne kłopoty przy pierwszej kontroli jakiejś warty, straży czy milicji. Rzut oka na cieśnię przekonał go, że z tej strony nie może liczyć na pomoc. Czuł, że jest w potrzasku.

Jego rozpacz wzruszyła Foulques'a, który go natychmiast pocieszył.

– Ta nominacja jest ważna rok. Podpisz, a do tego czasu znajdą ci następcę. Masz moje słowo.

Ze łzami w oczach Justynian wziął od niego pióro i podpisał. Mistrz Calzins pogardliwie pociągnął nosem. Na placu zarżał koń.

– Nieźle, panie oprawco, nieźle. Zechciejcie teraz udać się do biura pana podsędka Duvaliera, który pouczy was o prawach i przywilejach przysługujących waszemu urzędowi. Nauczcie się ich na pamięć i stosujcie się do nich, bo trzeba wam będzie sprostać wielu wymaganiom, a nikt nie będzie wam pobłażał.

– Tytułować panem tego chłystka! Żarty sobie stroicie, panie starosto – zaproponował cieśla, którego policzki i czoło przybrały z oburzenia barwę szkarłatną.

– Wiedźcie, czy wam się to podoba, czy nie, że podpisując nominację mistrz Pi-brac stał się funkcjonariuszem baronowskiego wymiaru sprawiedliwości. Innymi słowy, stoi w hierarchii społecznej o cztery szczeble wyżej od was. Wszelkie względem niego uchybienie, jako nadzwyczaj poważne, będzie też stosownie karane. Czy to jasne, mistrzu ciesielski?

– Jasne jak słońce, panie starosto – zapewnił Calzins z miną trędowatego, któremu odebrano dzwoneczek.

Woźny zaprowadził Justyniana do klitki bez okien, cuchnącej stearyną, gdzie gryzmołiło trzech sekretarzy i podsędek Duvalier, którego twarz okalała czarna broda. Oczy miał podkrążone, strawił bowiem noc na pisaniu karty oprawcy baronii Bellerocaille wzorowanej – z niewielkimi odstępstwami – na analogicznym dokumencie z Rodez dotyczącym tamtejszego kata, mistrza Pradela. Ponieważ nie było żadnego krzesła, Justynian stał dyndając rękami, a myśli kotłowały mu się w głowie.

– Po pierwsze wiedźcie, panie oprawco, że wasza nominacja obejmuje tylko najwyższy wymiar kary, to znaczy wykonywanie wyroków na szafocie, szubienicy lub stosie. Niższy wymiar, zwany tak dlatego, że obejmuje kary stosowane na ziemi, a niekiedy na kolanach, jest w gestii mistrza Bertranda Beaulouisa, dozorca baronowskiego więzienia. Wprawdzie do was należy ścinanie, wieszanie, palenie i łamanie, nie wolno wam jednak w żadnym razie stawiać pod pręgierzem lub zakuwać w dyby ani też ściągać grzywny, piętnować, biczować, kaleczyć czy stosować tortury zwyczajnej bądź nadzwyczajnej.

Podsędek wręczył mu listę.

– Oto spis narzędzi niezbędnych do sprawowania waszej funkcji. Musicie się w nie jak najrychlej zaopatrzyć. Do was należy też ich konserwacja. Będą kontrole.

Justynian przeczytał: topór, miecz, kłoc, drąg do łamania, krzyż św. Andrzeja, szafot, szubienica o czterech słupach, konopie.

– Przyznajemy wam roczną pensję stu dwudziestu liwrów – ciągnął Duvalier – a każda kolejna usługa będzie wynagradzana zgodnie z taryfą obowiązującą w Rodez. Za ucięcie głowy: osiemdziesiąt liwrów. Za powieszenie: trzydzieści liwrów plus sznur. Za doprowadzenie na stos, spalenie i rozrzucenie popiołów na wietrze: siedemdziesiąt liwrów plus koszt chrustu i innych rzeczy niezbędnych do rzeczonyj egzekucji. Za łamanie kołem: pięćdziesiąt liwrów plus dziesięć za wystawienie na kole i pięć za zanieśenie pod szubienicę. Rachunki winniście przedkładać w ciągu tygodnia po wykonaniu zadania. Potraficie pisać?

– Tak.

– Świetnie. Dzięki temu zaoszczędzicie na pisarzu publicznym... W porządku. Wiedźcie także, iż natura waszego urzędu wymaga, byście się wynieśli poza mury naszego miasta.

– Też coś! A gdzie mam mieszkać? W szczerym polu?

– Mieszkanie dla was jest przewidziane opodal szubienicy, a ta zostanie wzniesiona na

Rozstajach Czterech Dróg.

– Bardzo pięknie, ale na razie? Duvalier ściągnął usta z powątpiewaniem.

– Ten szczegół wymaga rozstrzygnięcia przez pana starostę Foulques’a. Wracając do naszej karty, pamiętajcie, że winniście nosić nieustannie, nawet w dni świąteczne, przepisowy strój, nie pozostawiający najmniejszej wątpliwości co do waszego stanu, uspokajający ludzi prawych, a napawający trwogą złoczyńców.

Justyniana przygębowała konieczność noszenia od tej pory ubrań w kolorze byczej krwi, przyprowadzającym o migrenę.

– Nawet kapelusz?

– Nawet kapelusz. Teraz, jeśli pozwolicie, omówimy środki podjęte, by wam ulżyć w dźwiganiu straszliwego brzemienia waszego urzędu. Baron zwalnia was z pogłównego, z dziesięciny i podatku od soli. Podobnie darowuje wam pańszczyznę, służbę wartowniczą, opłaty za młyn i tłocznię, kwaterowanie wojowników. Żadne myta w baronii was nie obowiązują, a przeprawy są darmowe. Ponadto, z uwagi na szczególny charakter waszego urzędu, baron upoważnia was do noszenia przy sobie broni zaczepnej i obronnej gwoili osobistego bezpieczeństwa.

– Będę miał prawo do szpady?

Tylko szlachetnie urodzeni korzystali z tego przywileju. Duvalier wręczył mu rozporządzenie z baranowską pieczęcią i kontynuował wyliczankę:

– Gdy tylko skazaniec zostanie wam wydany, musicie zadbać o wszystko. Przejmiecie jego ubranie, z wyjątkiem koszuli, którą musi zachować ze względu na obyczajność. Jego ciało należy umieścić i zostawić na szubienicy, nigdzie indziej. Aż nastąpi rozkład... Dopiero po spełnieniu co do joty wymienionych warunków, panie oprawco, wolno wam pobierać podatek garściowy.

Tak więc nie tylko miał prawo nosić broń jak szlachcic, ale jeszcze był upoważniony do ściągania podatków niczym jakiś wielmoża.

– Ten podatek w naturze będzie pobierany trzy razy w tygodniu od kupców, rzemieślników oraz innych osób, których pełną listę wam wręczam.

Była ona długa i obejmowała cztery kolumny. Justynian przeczytał, że w każdy poniedziałek, środę i sobotę będzie mógł brać po garści pszenicy i pozostałych zbóż, jaj wszelkiego ptactwa domowego, masła, sera, chleba, owoców, miodu, korzeni, drobiu, drewna w szczapach, jako też w wiązkach, świec, węgla itp. Podatek będzie dwa razy wyższy w dniach egzekucyjnych, targowych i świątecznych.

– Co rozumiecie przez „garść”?

Podsędek pozwolił sobie na znaczący uśmiech. Pytanie to dowodziło, że mimo niechlujnego wyglądu i błędnego spojrzenia ten łachmaniarz o drewnianym nosie uważnie słuchał jego wyjaśnień.

– W tej kwestii wzięliśmy przykład z prawa garściowego obowiązującego w prowincji

Limousin. Wasz podatek ograniczy się do tego, co potrafi pochwycić i zawrzeć w sobie wasza dłoń. Ni mniej, ni więcej.

Justynian, nieco zakłopotany, spoglądał na swoje ręce, gdy do izby przez uchylone drzwi wśliznął się woźny.

– Pan starosta was wzywa – powiedział do młodego człowieka, którego uwagi nie uszła bardziej uprzejma forma.

– Jeszcze nie skończyłem – tłumaczył się podsędek.

– Pan starosta powiedział: natychmiast – nalegał pedel z miną i intonacją właściwymi tym, co wykonują polecenie nie rozumiejąc, dlaczego zostało wydane.

Urzędnik sądowy skłonił się.

– Doskonale. Nie każmy czekać panu staroście. Musicie jednak wiedzieć, panie oprawco, że pod żadnym pozorem nie wolno wam opuszczać Bellerocaille bez zezwolenia pana barona, i tylko tego wielmoży. Poza tym drobnym ograniczeniem możecie sobie chodzić, dokąd wam się żywnie podoba.

„Tak jak mogłem się swobodnie poruszać po moim lochu”, pomyślał ponuro Justynian idąc korytarzem za pedlem. Gabinet Foulques’a był pusty.

– Pan baron po niego przysłał. Właśnie poszedł na zamek – poinformował ich jeden z podgrzewaczy wosku.

Justynian usiadł na taborecie, usiłując uporządkować myśli. Po godzinie był już skłonny przyznać, choć nie bez oporów, że nie jest całkiem niewrażliwy na tytuł funkcjonariusza wymiaru sprawiedliwości nadany mu właśnie przez starostę, gdy ów zjawił się z miną jeszcze bardziej zakłopotaną niż przedtem.

– Galine skołał, a przy takim upale strasznie cuchnie, co przeszkadza mieszkańcom. Przystąpisz zatem... o, przepraszam... przystąpicie od zaraz do swych czynności urzędowych i przewiezicie czym prędzej to ścierwo na Rozstaje, gdzie ponownie umieścicie je na kole. I proszę też rozebrać szafot.

– Nie mogę wszystkiego zrobić sam! Potrzebuję pomocy.

– Wiem, że macie prawo do dwóch pachółków, ale to wy musicie ich zatrudnić. Radźcie sobie, jak umiecie.

Po chwili namysłu Foulques dodał:

– Co do kosztów, zrobimy tak, jak przedwczoraj. Złożycie zamówienia, a rachunki przyślecie tutaj. Ale uwaga, tym razem przestrzegam! Sprawdzajcie ceny, bo nie ma mowy, abyśmy płacili za szczerozłoty topór albo za hebanowy kloc... Ale najpierw uwolnijcie nas od tego smrodu... Nie, najpierw musicie się przyzwoicie ubrać. Pan baron nie zniósłby widoku swego oprawcy w tak nędznym przyodziewku. Co z tym fikuśnym stroikiem, któryście mieli na sobie podczas kaźni?

Justynian wyjaśnił, gdzie jest jego wdzianko. Foulques posłał po nie halabardnika.

– Na razie będziecie w nim chodzić, dopóki nie dostaniecie takiego, jakiego wymaga

wasz status.

– A co z moim zakwaterowaniem? Pan podsędek powiadomił mnie, że muszę mieszkać w pobliżu szubienicy, która stanie na Rozstajach. Ale kiedy tamtędy przechodził wczoraj, nic tam nie było, i wątpię, żebym do wieczora miał dach nad głową.

– Wiem, wiem... Przypomnijcie mi o tym dziś wieczór, mistrzu Pibrac, wówczas się o to zatroszczę.

Foulques wracał z zamku, dokąd baron wezwał go, by zażądać przyspieszenia budowy szubienicy.

– Jego eminencji hrabiemu-biskupowi podoba się w naszym mieście, toteż przedłuża on swój pobyt. Weźcie tyle brygad, ile trzeba; tyrajcie w nocy, jeśli to konieczne, ale moja szubienica musi być gotowa przed jego wyjazdem. Pragnę, by swą obecnością uświetnił jej inaugurację. A skoro o tym mowa... co z naszym oprawcą?

– Odnaleźliśmy go i podpisał swoją nominację. W tej chwili studiuje swą kartę wraz z panem podsędkiem Duvalierem. Na kiedy planujecie, panie, tę uroczystość?

– Niech wszystko będzie gotowe na pojutrze rano. Przyszykujcie też dwóch czy trzech złodziejasków do powieszenia przy tej okazji.

– Ależ nie mamy ani jednego delikwenta!

– Polecam wam ich wyszukać, panie de Foulques.

– Rozkaz, panie baronie.

* * *

Justynian poszedł ze starostwa w kierunku koła, odzyskawszy swoje stare ubranie i eskortę dowodzoną przez oficera milicji. Plac był jeszcze pełen gapiów wpatrzonych w tuzin kruków dziobiących Galine'a. Słychać było, jak dzielą się uwagami na temat pracowitości owych ptaków, otwierających właśnie jamę brzuszną trupa, by skosztować jego wnętrza. Niektórzy, chroniąc się przed fetorem, zasłaniali nos chusteczkami nasyconymi olejkiem jaśminowym.

Zamiast się zająć nieboszczykiem, wbrew poleceniom udał się najpierw do mistrza Favaldou, starszego cechu rusznikarzy-płatnerzy w Bellerocaille, i zamówił u niego duży miecz oraz topór zdolny skrócić o głowę każdego. Pierwszy był przeznaczony do ścinania szlachty, drugi – wszystkich pozostałych.

Mistrz Favaldou poznał Justyniana, którego widział przy robocie w przeddzień po południu, nie miał zatem takich skrupułów jak jego koledzy rzemieślnicy. Wieść o perypetiach mistrzów Calzinsa i Lenègre'a rozeszła się już po mieście.

– Gdzie mam je dostarczyć?

– Na Rozstaje Czterech Dróg.

– Przecież tam nikt nie mieszka! – zaniepokoił się płatnerz, szukając poparcia u oficera

milicji, który stał za nim.

– Baron Raul kazał tam wznieść szubienicę.

– A więc pogłoska się potwierdza! To radosna wiadomość: już od dawna brak tego urządzenia dawał się odczuć w baronii... Migiem zrealizujemy wasze zlecenie.

Zafascynowany od chwili wejścia do sklepiku szpadami i pistoletami wszelkich marek, wystawionymi na sprzedaż, Justynian niespiesznie odłożył na bok sewilski rapier o rękojeści w kształcie muszli, ozdobionej figurkami psów ścigających jelenia, włoski sztylet, parę pistoletów, które wybrał po to, by sobie dodać powagi, a także pomalowany na karminowo skórzany pendent do zawieszenia całego tego oręża.

– Proszę dopisać te zakupy do rachunku, mistrzu. Biorę też ten woreczek na proch i ten pojemnik na naboje.

– Nic nie bierzecie. Zechciejcie zostawić tę broń i odsunąć się od niej! – polecił mu płatnerz lodowato.

Nawet oficer uznał za stosowne się wtrącić.

– Tylko szlachetnie urodzeni noszą szpadę – przypomniał tonem pana łającego psa, który za dużo sobie pozwala.

– Szlachetnie urodzeni ORAZ oprawcy – oznajmił triumfalnie Justynian szperając w papierach, by wyciągnąć rozporządzenie barona.

Z twarzą poczerwieniałą z oburzenia oficer skłonił się na widok woskowej pieczęci, a płatnerz musiał pomóc młodemu katu przewlec i zapiąć pendent, który założył on z niewłaściwej strony.

Wyekwipowany jak zabijaka z komedii buffo, Justynian udał się do kwatermistrza Piotra Calmejane'a, który wynajmował konie (z zastrzeżeniem, że nie wolno ich gnać galopem) oraz ciężkie pojazdy kołowe.

Wyposażony w wózek i muła w nieokreślonym wieku, młody człowiek wrócił na plac Dziurski z zamiarem zajęcia się zwłokami Galine'a.

Jego eskorta pozostała z tyłu, gdy przywiązywał muła do słupa i próbował zdjąć z siebie ryszczunek. Następnie ściągnął kaftan i kapelusz, przystawił do słupa drabinę i wszedł na nią płosząc kruki.

Widok pustych oczodołów i podziurawionego brzucha, z którego wylaziły kawałki jelit upstrzone zielonymi muchami, przyprawił go o skurcz żołądka, pustego od przedednia. Szybko zbiegł po szczeblach i padł na kolana wymiotując na szary bruk żółcią. Gdzieniegdzie dały się słyszeć drwiące śmieszki.

„Muszę się posilić, bo inaczej nie dam rady”, pomyślał ubierając się i rychtując od stóp do głów.

Dostrzegłszy szyld oberży „Smaczne Jadło”, wkroczył do niej zamasyście, przewracając wszystko, co znajdowało się w zasięgu jego rapieru.

Karczmarz Sébrazac nie chciał go obsłużyć.

– Wypraszam sobie takie zachowanie!

Justynian zasiadł za jednym z długich stołów oznajmiając, że nie wstanie, póki nie napelni brzucha. Zdjąwszy kapelusz zaczął ładować swoje pistolety tak, jak mu pokazał mistrz rusznikarz. Najbliżsi sąsiedzi poprzesiadali się, a oficer milicji wołał nie wchodzić ze swymi ludźmi.

Justynian jadł ochoczo i pił tego. Niebawem popadł w niepokojący błogostan. Określił swą sytuację jako „nietuzinkową” i ku własnemu zdziwieniu szczerze się roześmiał. Wystarczyło mu spojrzeć na leżące przed nim pistolety, by się przekonać, że to nie sen. Ciężar rapieru dostarczył mu również niewysłowionych wrażeń, w większości dość przyjemnych.

Skinał na karczmarza i zamówił jeszcze jeden dzban wina.

Oburzony taką nonszalancją Sébrazac przeszedł przez plac i poskarżył się staroście.

– Ten kat ucztuje u mnie już od godziny! Płoszy klientelę, a kiedym mu odmówił drugiego dzbanu wina, postraszył mnie pistoletami.

– Ma pistolety?

– Czy ma pistolety? Do kaduka! Ma nawet koncerz, którym wszystko strąca. To niedopuszczalne! A oficer milicji, który mu towarzyszy, nie interweniuje.

– Od dziś rana nasze miasto posiada swego własnego oprawcę, tak jak Rodez, Nîmes, Albi czy Paryż. Ma on rangę funkcjonariusza baronowskiego wymiaru sprawiedliwości.

– Czemuż więc nie usunie tego ścierwa, które śmierdzi jak cała trupiarnia? Zbliża się pora obiadu, a koło jest naprzeciw wejścia do mojej gospody. Nawet nie mogę otworzyć okien!

– Jakoś wczoraj na toście nie narzekali. Powiadają, że miejsce na waszym balkonie kosztowało dziesięć liwrów?

– Pięć, panie starosto. Tylko pięć. Ci, co powiadają, przesadzają.

Justynian już się prawie uporał z drugim dzbanem, kiedy w karczmie „Smaczne Jadło” zjawił się starosta. Jego surowe spojrzenie padło na obiboków przy stole, a potem na iberyjski rapier zawieszony na karminowoczerwonym pendencie.

– Co to znaczy? Czy nie kazałem ci najpierw sprzątnąć trupa? Jak śmiesz tu hulać i robić z siebie fanfaron? Tam do licha, tyś się spił, niegodziwcze!

Justynian roześmiał się jak dziecko.

– He, he! Pan starosta się zapomniał. Od tej pory należy do mnie mówić „mistrzu Pibrac” lub też „panie oprawco”.

Wstał jednakowoż, by się usprawiedliwić.

– Zrozumcie mnie, panie starosto: wykonałem wasze polecenie. Wszedłem na koło, ale kiedym zobaczył, co z tym nieszczęśnikiem zrobiły kruki, zabrakło mi odwagi. Od wczoraj rana nic nie jadłem, więc przyszedłem tutaj.

– A ta broń? Skąd ona pochodzi?

– Sprzedał mi ją mistrz rusznikarski Favaldou. Zawsze chciałem nosić coś takiego.

Zwłaszcza szpadę. Więc skoro tylko dowiedziałem się od pana podsędką, że wolno mi się uzbroić... Kiedy będę miał czas, nauczę się nią posługiwać i wtedy biada temu, co krzywo spojrzy na mój nos!

Taka prostoduszność, nawet u podchmielonego, rozbroiła starostę, który zachęcił go, by usiadł, i sam się przysiadł.

– Oderint, dum metuant! – zagrział młody człowiek wyciągając w groźnym geście palec wskazujący, jak zwykł robić prefekt moralności w seminarium.

Potem roześmiał się głośno.

Foulques przypomniał sobie, że on bez trudu czyta i pisze.

– Jakim cudem taki złodziejaszek jak ty zna łacinę? Młodzieniec nagle spowaźniał.

– Nie jestem żaden złodziejaszek! Tak samo niesłusznie skazano mnie na galery, jak na katowski los u was. Teraz, panie starosto, sprzątnę zwłoki, jakieście mi polecili. Karczmarz!

Wstał, wcisnął za pas pistolety, poprawił włosy i godnie się skłoniwszy, wyszedł, kosząc po drodze rapierem kubek i dzban z winem, które roztrzaskały się o terakotową posadzkę.

– Przepraszam – powiedział na stronie – jeszcze nie mam wprawy.

Na zewnątrz już powstało zbiegowisko. Wyjście Justyniana wywołało pewne poruszenie. Na jego obliczu, zasepionym po rozmowie ze starostą, pojawił się lekki uśmiezek. Przypadło mu do gustu to zaciekawienie, bo czuł, że jest podszyte strachem.

Zmierzał najkrótszą drogą do wózka pozostawionego pod kołem. Był już najwyższy czas, ponieważ muł omal nie przegryzł upręży, którą był przywiązany do słupa. Justynian zacisnął węzeł zastanawiając się, w jaki sposób sam znieśie Galine'a z koła i ułoży go w pojeździe. Wysiłek zdał mu się tytaniczny.

Kiedy ponownie zdjął z siebie cały rynsztunek, przyszedł mu nagle do głowy pomysł, którego nigdy by nie śmiał urzeczywistnić na trzeźwo. Wszedł po drabinie. Kruki z żalem odfrunęły. W tłumie rozległ się pomruk. Na progu gospody stanęli starosta z karczmarzem. Również i oni byli świadkami jego wspinaczki do zwłok, lecz ku ich osłupieniu zamiast zarzucić je sobie na plecy i znieść po drabinie, zepchnął je do dwukółki stojącej pod słupem.

Skutki zastosowania tej metody nie dały długo na siebie czekać. Spadając z takiej wysokości sześćdziesięciokilogramowy nieboszczyk wybił dno wehikułu i wystraszył muła, który wierzgnął, gwałtownie naprężając uzdę mocno przywiązaną do słupa. Niczym przejrzały owoc, Justynian, sposobiący się już do zejścia, spadł z impetem na bruk i boleśnie się potłukł.

Część publiczności uznała za niezbyt chrześcijańskie takie potraktowanie doczesnych szczątków człowieka, resztę natomiast ta scenka rozbawiła. Równie zmartwiony jak poturbowany, Justynian z wysiłkiem wstał. Że sobie niczego nie złamał, zakrawało na cud. Bolało go ramię, a także lewe biodro.

– To był niefortunny pomysł – przyznał sprawdzając, czy nos tkwi na swoim miejscu. – Powinienem był go zrzucić na ziemię, a dopiero potem włądować na wózek.

Chciał uspokoić muła, który usiłował go ugryźć swymi wielkimi pożółkłymi zębami, nie przestając trząść słupem. Nagle rozległ się okrzyk: – Uwaga!

Za późno. Po kolejnym, silniejszym wstrząsie koło spadło ze szczytu słupa i wylądowało na grupie ciekawskich, poważnie raniąc dwóch spośród nich w twarz i w pierś. Na placu zapanował przez dłuższą chwilę niesłychany bałagan. Podczas gdy starosta z pomocą stróża porządku organizował transport rannych do szpitala franciszkańskiego, Justynian okiełznał zwierzę.

Chociaż dno dwukółki ucierpiało od uderzenia, pozostało w nim dość desek, by przewieźć Galine'a bez obawy, że wypadnie po drodze. Justynian wdział swój kaftan, zapiął pendent, pozawieszał na nim broń, pocesał się i opuścił plac na czele swej przegrupowanej eskorty, stada kruków i chmary much, za nimi zaś biegły, rzecz jasna, wszystkie spojrzenia.

Podążając ulicą Wielką minął dom Crespiagetów, w którym pokawałkowany trup pełnił przez osiem lat rolę mistrza patelni, potem skręcił w ulicę Paparela, przemierzając w odwrotnym kierunku trasę z przedednia. Najwyraźniej nie ochłonawszy jeszcze z przerażenia, muł nie był skory do współpracy i co chwila bez powodu przystawał, nawet najgorszymi pogrozkami nie dając się nakłonić do podniesienia kopyta. Uznawszy ulicę Paparela za zbyt stromą, stanął jak wryty i odmówił dalszego marszu.

Tyle złej woli rozjuszyło Justyniana i skłoniło go do wypróbowania swej kosztownej sewilskiej klingi z damasceńskiej stali. Dobywszy jej z pochwy, dźgnął nią zad upartego zwierzęcia, które ze wściekłym rykiem pognało przed siebie pod górę. Torujący drogę oficer ledwo zdążył uskoczyć, by przywrzeć całym ciałem do drzwi mijanej właśnie apteki.

Dopiero interwencja pewnego wolarza powstrzymała szaleńczą galopadę i zapobiegła następnej tragedii. Odkrywszy zawartość wózka, człowiek zbladł.

„Jeszcze jeden fatalny pomysł”, ubolewał Justynian chowając długą klingę.

Ze zdenerwowania nie trafił w otwór iomal sobie nie uciął czterech palców.

Dziękując wolarzowi, który z wyrazem kompletnego zaskoczenia w oczach wpatrywał się teraz w jego nos, chwycił uprzęż i lekko ją pociągnął. Muł raczył posłuchać.

Żałobny konwój minął więzienną basztę i opuścił miasto bramą zachodnią. Uprzedzeni przez oficera strażnicy rogatkowi zatrzymali ruch, by przepuścić orszak.

Przeszli Stary Most, przez chwilę podążali brzegiem Dourdou, porośniętym topolami, po czym skręcili ku Rozstajom, których nie mógł ominąć żaden podróżny udający się do Rodez, Clermont, Pont-de-Salars i Millau.

Od wieków w tym miejscu stał potężny megalit, znany w Rouergue i dalszych okolicach z tego, że przynosił szczęście każdemu, kto go obszedł dookoła. Początki tego przeświadczenia ginęły w pomroce dziejów, ale nawet niedowiarkowie pocztylioni nigdy by się nie odważyli ruszać w dalszą drogę, nie dopełniwszy obrzędu.

Gdy Justynian i jego eskorta tam dotarli, na skrzyżowaniu wrzała praca pod nadzorem mistrza Calzinsa, który dzięki obniżeniu rachunku za szafot o dwieście liwrów uzyskał tytuł

głównego wykonawcy. Po wyrwaniu krzaków porastających rozległy teren przed głazem, brygada kopaczy wyrównywała ziemię, podczas gdy cieśle wytyczali sznurem miejsce pod szubienicę, a także pod domek dla kata i pomieszczenie na jego narzędzia. Na prawo od megalitu w ognisku płonęły powyrywane jeżyny i inne krzewy. Naprzeciwko, obok licznych wozów i stosów desek oraz kłód, spokojnie pasły się muły.

Nadejście Justyniana i jego ponurego korowodu zakłóciło nieco rytmiczny przebieg robót. Jeszcze większe zamieszanie zapanowało, gdy podszedł do mistrza i polecił mu udać się na plac Dziurski, rozebrać szafot, a następnie przenieść go na Rozstaje.

Widok chwatów, a także rapieru, wywarł na Calzinsie wielkie wrażenie, toteż przełknął urazę i wyznaczył sobie do towarzystwa sześciu chłopa.

– Pamiętajcie o słupie, kole i drabinie. Pomyślcie też o sporym brezencie, by przykryć szafot w razie deszczu. Nie odpowiadając, mistrz ciesielski dołączył do robotników, którzy już zdążyli zaprząć największy wóz.

Justynian zachichotał widząc, jak sumiennie obchodzą megalit przed wyruszeniem w stronę Bellerocaille. On sam też kiedyś go okrążył i najwyraźniej wyszło mu to nie na dobre.

Krytycznym wzrokiem obrzucił skrzyżowanie. A więc tutaj wybrano dla niego ustronie: to pełne kamieni, cierni i ostów odludzie, pod czujnym okiem grodu, który rysował się w krajobrazie w odległości zaledwie pół mili.

Nie wiedząc, co uczynić z Galine'em, pozostawił go na dwukółce i tylko wyprzągnął muła, który dołączył do swych pobratymców skubiących trawę. Oficer spytał, co teraz będą robili. Justynian wzruszył filozoficznie ramionami.

– Trzeba czekać, aż ten partola wróci ze słupem i kołem, na którym musimy położyć zwłoki. Wcześniej nie możemy wracać do miasta.

Oficer rozsiadł się ze swymi podkomendnymi pod płaskim poprzecznym kamieniem megalitu, w jedynym ocienionym miejscu na całym terenie, i uzbroił się w cierpliwość.

Zanosilo się na dłuższe oczekiwanie. Justynian usiadł zatem na stosie desek i zaczął się bawić pistoletami. Nie oparł się pokusie i, ku przerażeniu wszystkich, wystrzelił do kruków, które już zdążyły wrócić. Chybił. Oficer podszedł doń i upomniał rozeźlony:

– Co się z wami dzieje? Nie wiecie, że ich zabijanie jest zabronione?

Nawiązywał do baronowskiego rozporządzenia chroniącego kruki, wrony i inne ptactwo uważane za użytecznych miejskich śmieciarzy.

– Celowałem obok. Gdyby nie, to przecież bym parę ukatrupił... – skłamał, podnosząc lufy do swoich lipowych nozdrzy i upajając się ostrym zapachem prochu.

– Nie wolno im też w żaden sposób przeszkadzać. Pan baron nie życzy sobie, żeby się stąd wyniosły.

Zmarkotniały Justynian schował swoją broń. Oficer wrócił pod kamień, gdzie jego podwładni rozpoczynali partyjkę durnia.

Justynian wyciągnął szpadę i dokładnie ją obejrzał od czubka klingi po wierzch rękojeści,

na którym widniało, inkrustowane srebrnym drucikiem, nazwisko jej twórcy, Sebastiana Hernandeza, następnie zrobił kilka kroków i wykręcił młynka w powietrzu, urzeczony świstem stali. Paru lekcji szermierki udzielił mu swego czasu tata Marcin, który używał kija dla zapoznania go z techniką walki w abordażu – jedyną, jaką znał.

Ściął kilka polnych maków, po czym przez chwilę popastwił się nad ostami. Jego niewprawne ramię szybko osłabło, mimo że broń nie była ciężka. Wytarłszy ostrze o rękaw, schował ją do pochwy.

Podróżni przechodzący przez skrzyżowanie nieodmiennie wypytywali rzemieślników o przyczynę tego rozgardiaszu. Uzyskawszy odpowiedź, niektórzy zmykali gdzie pieprz rośnie, nie dowiadując się o szczegóły, inni, przeciwnie, ociągali się z odejściem, płosząc kruki, by się przekonać, co je wabi do tej dwukółki. Jeden z nich, wioskowy kramarz, przechylił się przez drabinkę wózka i urwał strzęp koszuli nieboszczyka.

Oficer upomniał go spod megalitu.

– Zostaw to, powsinogo, i idź w swoją stronę! Potem, zwracając się do Justyniana, który zadumał się na swej kupie desek, powiedział:

– Ten umrzyk jest wasz. To wy musicie go pilnować. Justynian podszedł do domokrażcy, który miał swój przenośny kramik przytroczony do pleców.

– Co to za brewerie? – zapytał pokazując palcem zakrwawiony skrawek materiału, który tamten trzymał w ręku.

– Znam wytwórców talizmanów, którzy sownie płacą za taki surowiec.

– Wobec tego możesz to zachować, ale winieneś mi... hmmm... opłatę w wysokości... nie wiem, powiedzmy... dziesięciu solidów. To przecież niedrogo.

– Na mnisi syf! Dziesięć solidów, a ugryź się w zadek! Z jakiej racji miałby ode mnie pobierać opłatę taki lebiega jak ty?

– Z takiej, że jestem katem Bellerocaille, a te zwłoki należą do mnie.

Wędrowny handlarz upuścił szmatkę do wózka i ile sił w nogach pognał drogą na Millau... by w parę chwil później znów się pojawić i obejść dookoła megalit, o czym zapomniał był w pośpiechu.

Justynian wrócił na swój stos desek nucąc *Trzech doboszyków powracało z wojny...*

– Ram pam pam, ram papapapam – przedrzeźniali go chórem cieśle, stawiający w pewnej odległości pierwsze elementy konstrukcji.

Młody człowiek najpierw spiekl raka, potem stanął naprzeciw nich i, jak gdyby nigdy nic, zaczął ładować pistolety. Śpiew ucichł. Niebawem na drabinkach wózka znów siadły kruki. Czas mijał.

* * *

Ponieważ zwłoki Galine'a stamtąd znikły, na placu Dziurskim nie było już gapiów, gdy

nadszedł ze swoją brygadą mistrz Calzins, by przystąpić do rozbiórki szafotu. Ciekawscy znów się pojawili.

Ze starostwa wyszedł halabardnik i powiadomił cieślę, że starosta czeka na niego w swoim gabinecie.

Foulques był w zaczepnym nastroju. Rozsierdziła go wizyta mistrza rusznikarza Favaldou i przyniesiony przezeń nader słony rachunek („Nic dziwnego, że drogo, skoro wasz kat nie zadowolił się sebastianem hernandezem, ale wziął też parę angielskich pistoletów przytraczanych do siodła, marki Herman Barne!”).

– Jak tam wasze roboty, mistrzu?

– Posuwają się rażno naprzód. Gdyby nam nie wchodził w paradę wasz jegomość opravca, byliśmy gotowi na czas.

– Cicho sza! Powiadam wam, że ten chłopak jest odtąd naszym opravcą, z wszystkimi uprawnieniami przysługującymi jego stanowi. Zresztą radzę wam uważnie przeczytać kartę, którą żeśmy rozplakatowali i rozgłosili po mieście. Zapoznajcie się z fragmentem dotyczącym podatku garściowego i uwzględnijcie go przy wystawianiu rachunków.

– Co to znaczy? Nie rozumiem, panie starosto.

– Baron postanowił, że pokaźne koszty związane z ustanowieniem tego urzędu zostaną częściowo pokryte przez gildię.

Gildia była stowarzyszeniem rzemieślników i kupców w Bellerocaille, tak potężnym, że baron Raul nie mógł nałożyć żadnego podatku, nie zasięgnąwszy jego opinii.

– Gildia nigdy tego nie uchwali.

– Uchwali, gdy zostanie jej przedstawiony wykaz wpływów od czasu aresztowania Piotra Galine’a.

Do biura wszedł woźny, który oznajmił, że na korytarzu czeka karczmarz Sébrazac.

– Czegóż on jeszcze ode mnie chce?

– Chyba przyszedł z rachunkiem, panie starosto.

– Niech poczeka.

Foulques obszedł gabinet i zbliżył się do cieśli, który przez okno patrzył na swych robotników rozmontowujących schodki szafotu.

– Kiedy myślicie skończyć domek dla opravcy?

– Jutro po południu, panie starosto.

– Ile czasu potrzebujecie na ustawienie szafotu?

– Mniej więcej trzy godziny.

– Doskonale. Wnieście go zatem na Rozstajach. Jest tak duży, że pomieściłby całą kompanię dragonów. Musi wystarczyć naszemu opravcy jako tymczasowe mieszkanie.

* * *

Justynianowi, drzemiącemu przy stosie desek, śniło się, że po zacieklej walce pchnął sztychem Balda i gotował taki sam los Witoldowi (Muszka, przykuta łańcuchem do drzewa, czekała na swoją kolej), gdy obudził go turkot kół na drodze. Wstał, otrzeźwiały, z ciężką głową. Ponieważ we śnie zsunął mu się kapelusz, jego lewy policzek opalił się na karmazynowo. Zobaczył dojeżdżający do skrzyżowania wyładowany po brzegi wóz ciesielski, za którym ciągnął sznur ciekawskich, bynajmniej nie zniechęconych odległością, w jakiej się ono znajdowało. Niektórzy zbliżali się już do pojazdu, który obsiadły kruki, i pożądliwie spoglądali na koszulę nieboszczyka. Kruki odleciały. Oficer opuścił swe zaciszne miejsce, a jego podwładni przerwali grę i chwycili włócznie.

Justynian, pocierając obolałe skronie, wyszedł przed tłum.

– Zmiatajcie stąd, niegodziwcy! Zostawcie zmarłego w spokoju.

Ludzie poznali go, odsunęli się, lecz tylko o parę kroków, a ponieważ każdy zacny człowiek ma to do siebie, że drży na widok tego, kto w majestacie prawa morduje bliźniego, zadrżeli.

Justynian skierował się ku Calzinsowi, który nadzorował rozładunek szafotu. Jeszcze raz rozdrażnił rzemieślnika, polecając jego ludziom postawić słup, założyć koło i umieścić na nim ciało.

– Oni nawet nie tkną tego potwora.

– Zrobią, co im każe, albo pan oficer tu obecny dopilnuje tego za mnie.

Podczas gdy jeden z robotników kopał dół, Justynian wrócił do zwłok i otaczających je coraz ciasniej gapiów. Pierwsza odważyła się przemówić jakaś kobieta.

– Dam wam solida, jeśli mi pozwolicie urwać strzęp jego koszuli.

Mówiąc to, włożyła mu do ręki monetę.

Justynian wahał się tylko przez chwilę (niezbędną do zaczerpnięcia powietrza).

– Za solida może być tylko kawałeczek.

Natychmiast pojawiły się inne dłonie z monetami. Przyjął wszystkie, własnoręcznie podzielił nożem koszulę kucharza, która znikła w ciągu trzydziestu zdrowsiek. Niebawem na koło umieszczone dwa metry nad ziemią wznosił się Galine, nagi jak w dniu, w którym przyszedł na świat.

Kruki znów przyfrunęły.

Z gołą głową, nie przejmując się słońcem, Justynian zaniósł kapelusz, do połowy wypełniony pieniędzmi, w pobliże desek i postanowił podliczyć utarg, układając w osobnych kupkach srebrne solidy, liardy i miedziane szelągi. Wynik wprowadził go w osłupienie. Sto dziesięć solidów! Pięć i pół liwra: wystarczy na tuzin koszul!

– Powinienem był ją pociąć na jeszcze mniejsze kawałki.

Tymczasem o dziesięć sążni od przyszej szubienicy, już niemal ukończonej, robotnicy, zawzięcie waląc młotkami, stawiali szafot.

– Czy to naprawdę było konieczne? Nie lepiej byłoby pozostawić go w częściach? –

spytał Calzinsa, który uśmiechnął się złośliwie.

– Ja też tak uważałem, ale pan starosta wyznaczył go na mieszkanie dla was: na razie, zanim otrzymacie coś stałego.

Czując, że jest przez wszystkich obserwowany, Justynian przemógł się i nie stracił zimnej krwi.

– Szafot jako mieszkanie dla kata to rzecz najbardziej naturalna w świecie! Czym prędzej idę do miasta zaopatrzyć się w meble, zanim zapadnie zmrok.

Zaprzęgnął muła do wózka i podążył do Bellerocaille, demonstracyjnie rezygnując z okrażenia megalitu. Najpierw zwrócił dziurawą dwukólkę oraz zwierzę właścicielowi. Gdy ten na widok połamanych desek zrobił zagniewaną minę, Justynian bez ceregieli wpadł mu w słowo:

– Oszczędźcie mi swoich lamentów. Wystarczy, jeśli podwyższycie rachunek... co zresztą i tak byście zrobili. Poza tym każcie swoim stajennym przygotować mi nowy powóz. I tym razem niech do niego zaprzęgną konia, a nie zgrzybiałego, upartego muła. Niech stoją pod starostwem, kiedy będę stamtąd wychodził.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do kwatermistrza plecami i zdecydowanie ruszył ku placowi Dziurskiemu z obstawą idącą za nim krok w krok.

Woźny, zanim go wprowadził do gabinetu Foulques'a, pokazał mu metalowy drąg leżący pod ścianą.

– Nie zapomnijcie go zabrać wychodząc, dobrze? Aj!

– Przepraszam – powiedział Justynian, który nieopatrznie trącił go rapierem.

Zastał Foulques'a piszącego, z miną bardziej zafrasowaną niż kiedykolwiek (musiał wyszukać trzech skazanych na śmierć).

– Panie starosto, czy to prawda, żeście mi wyznaczyli szafot na mieszkanie?

– A czemu nie? To zakwaterowanie jak najbardziej tymczasowe, skoro najpóźniej pojutrze, w piątek, będzie gotowe wasze mieszkanie służbowe.

– Czy nie byłoby przyzwoiciej umieścić mnie tymczasowo w zajeździe „Smaczne Jadło”?

– Przeczytajcie swoją kartę, panie oprawco. Obowiązuje ona od chwili jej wręczenia zainteresowanemu. Nie wolno wam nocować w obrębie murów naszego miasta nie naruszając...

– Niech zatem tak będzie. Teraz, za waszym pozwoleniem, poszukam sobie siennika i paru innych sprzętów, żeby się jakoś zagospodarować.

– No właśnie, panie oprawco, no właśnie. Ale na przyszłość powściągnijcie nieco wasze upodobanie do zbytku. Jeśli wierzyć tym oto rachunkom (położył rękę na stosie pergaminów), winniście mi z górą za pięć lat pełnego utrzymania.

– Nic dziwnego, panie starosto. Skoro nie mam nic, potrzebuję wszystkiego. Choćby własnego konia... Dlaczego? Otóż dlatego, że mieszkając tak daleko od miasta, będę musiał na nim jeździć w tę i z powrotem w swoim ohydny czerwonym ubranku.

– Co do tego, to zobaczymy: wszystko w swoim czasie. Na razie ograniczycie się do minimum, później o wszystkim pomyślimy... Co takiego powiedziałem, że się tak szeroko uśmiechacie?

– Czyście nie powiedzieli, że moje mieszkanie będzie gotowe pojutrze, w piątek?

– Powiedziałem.

– Wobec tego dziś mamy środę.

– Owszem... do północy. Do czego zmierzacie? Justynian rozwinął swój egzemplarz karty i odczytał triumfalnie passus dotyczący dni podatkowych: poniedziałek, ŚRODA, sobota.

– Skorzystam więc z przysługującego mi prawa. Jeśli pozwolicie, panie starosto, czy mógłbym prosić o przydzielenie mi herolda, żeby mnie zapowiadał i czytał kartę kupcom?... Podwojenie mojej eskorty także byłoby wskazane... Powinien mi również towarzyszyć komornik do spisywania protokołów w przypadku odmów płacenia.

Starosta Henryk de Foulques zrozumiał, że stanowczo nie doceniał tego złodziejzaka o drewnianym nosie. Kiedy młody oprawca opuszczał gmach w towarzystwie obwoływacza, dobosza, komornika w białym kołnierzyku, kapitana milicji i pięciokrotnie zwiększonej eskorty, poprosił swojego sekretarza o przyniesienie z rejestru karnego akt rzeczonoego Justyniana Pibraka.

* * *

Tuż przed zachodem słońca brygady wraz ze swym mistrzem powróciły do Bellerocaille, zostawiając Justyniana tylko w towarzystwie wynajętego konia i trupa Piotra Galine'a, zniekształconego nie do poznania. Nikt mu nie życzył dobrej nocy, a gdy ostatnia podwoda znikła między nadbrzeżnymi topolami, młody człowiek popadł w przygnębienie. Przespacerował się po skrzyżowaniu myśląc o bezpańskich psach oraz wilkach, które niechybnie zwabi rozkładające się ciało.

Wypłoszone ludzkim harmidrem świerszcze wróciły i teraz nadrabiały opóźnienie, a setki wróbli wirowały w zbitych stadkach po niebie, na którym gromadziły się chmury.

Wdrapawszy się na megalit, Justynian położył się na wznak, zwiesił głowę do tyłu i podziwiał widok całego skrzyżowania do góry nogami. W powietrzu czuć było świeżo skoszoną trawę, choć od czasu do czasu z koła osadzonego na pobliskim słupie w podmuchach wiatru docierał do niego odór zgnilizny.

Trzy ary oczyszczono z krzewów, a częściowo i z kamieni. W ziemię były już wbite dwa słupy z planowanych czterech, prezentujące się na razie całkiem niegroźnie.

Powierzchnia jego przyszłego mieszkania była wyznaczona sznurami rozciągniętymi od jednej tyczki do drugiej, dalej zaś, po prawej stronie, wznosił się zrekonstruowany szafot, który miał mu posłużyć za schronienie na noc.

„Jestem ich psem, a to moja buda”, pomyślał, obrzucając niechętnym spojrzeniem

wynajętą szkapę pasącą się opodal dwukółki, której użył do przewozu swoich mebli oraz produktów zebranych tytułem podatku. Było ich tyle, że musiał obrócić dwa razy. Wszystko to złożył pod szafotem, w braku lepszego miejsca.

– Widocznie mają do mnie całkowite zaufanie, skoro zostawiają mnie samego.

Istotnie, nic nie stało na przeszkodzie, by stąd odejść i maszerować całą noc. Gdy stwierdzą jego nieobecność, on będzie już daleko. Wyobraził sobie, że przybywa do Bordeaux i wsiada na statek odpływający do Nowego Świata.

Zeskoczywszy z kamienia, wrócił do szafotu, którego wewnątrz zdążył jako tako urządzić: na ziemi rozłożył brezent, który mu zastąpił podłogę; na nim postawił łoże z kolumnami, stół, ławę i skrzynię na ubrania. Dużo miejsca zajęły towary skonfiskowane kupcom. Rzecz jasna, wszyscy głośno protestowali, stanowczo odmawiali, surowo wygrażali, ale w końcu dawali za wygraną. Niemal za każdym razem musiał wkraczać do akcji komornik i tylko zimna krew kapitana milicji pozwoliła uniknąć rozruchów na ulicy Nasiennej (gdzie uznano dłoń poborcy za zbyt dużą i domagano się jej zbadania przez władzę kościelną) oraz na ulicy Amforowej, zamieszkiwanej przez cech instynktownie sprzeciwiający się temu niespodziewanemu podatkowi.

Chociaż Justynianowi przysługiwało tylko po garści wszystkiego, łup był imponujący. Rzeczywiście, uciążliwość dróg i czyhające na nich niebezpieczeństwa sprawiły, że do Bellerocaille przeniosły się sklepiki, wytwórnie i warsztaty. Od wieków produkcja w mieście zaspokajała potrzeby nie tylko jego mieszkańców, lecz także i okolicznych chłopów.

Justynian wyciągnął nóż i odkroił plaster wędzonej szynki, który zjadł popijając winem z flaszki pochodzącej z piwnic franciszkańskiego opactwa. Nawet debil by zrozumiał, że pobierając należność trzy razy na tydzień, w rekordowym czasie zgromadzi spore zapasy, które będzie mógł albo spieniężyć, albo wymienić na inne towary.

Dzięki trunkowi odzyskał optymizm. W wyobraźni ujrzał, jak po roku odmawia dalszego sprawowania swej funkcji, kłania się na odchodnym i rusza do Bordeaux z sakiewką wypchaną złotem. Już widział oczami duszy gigantyczne imperium, jakie sobie wykroi z Nowego Świata. Nawet Bóg nie będzie się posiadał ze zdziwienia! Zresztą okaże się władcą tak sprawiedliwym, że kochający poddani będą ucinali nosy swemu potomstwu, byle tylko się do niego upodobniło!

Flaszkę wina zagryzł kozim serem, który uznał za „wielce smakowity”, potem otworzył drugą i wyszedł na dwór, by skorzystać z ostatnich promieni słońca.

W nagłym przypiływie natchnienia podpalił po kolei wszystkie sterty zarośli powyrywanych przez kopaczy, a następnie usiadł na szafocie, by – niczym Neron podziwiający ze swego balkonu pożar Rzymu – rozkoszować się widokiem ognisk rozświetlających widnokrąg, z których dobywały się kłęby białego dymu. Znów wyobraził sobie, że jest cesarzem Nowego Świata. Tym razem podbijał Stary Kontynent na czele armii czerwonoskórych (bo takiej barwy byli tamtejsi kmiotkowie, o czym się dowiedział z jakiegoś

almanachu taty Marcina), siejąc popłoch po drodze.

Tętent koni przyprawił go o dreszcz. Żaden przyzwoity człowiek nie podróżował o tak późnej porze; mogli to zatem być tylko bandyci dybiący na jego majątek. Z bijącym sercem zbiegł pospiesznie z szafotu, ukląkł za schodkami i załadował pistolety. Strzelił w powietrze i wrzasnął na całe gardło:

– Stój! Jeszcze krok, a rozplątam ci czaszkę!

– Jesteśmy strażą, do kaduka! Jeśli się nie pokażesz, ancymonie, to my ci rozplątam czaszkę!

Justynian odważył się wyjrzeć i z ulgą rozpoznał mundury w barwach barona. Wyszedł z kryjówki. Jeźdźcy otoczyli go na swych głośno parszkających wierzchowcach.

– To tylko krzaki się palą – powiedział jeden z łuczników po oględzinach.

– I dlategoście przygnali? – Młody człowiek zdziwił się i uśmiechnął. – Myśleliście, że podпалиłem swoją „budę”?

Pokazał ciemny masyw szafotu.

Wartownicy z wieżyczek na zamkowych murach pierwsi wypatrzyli ogień i wykrzyknęli: „Gore na Rozstajach!” Starosta wysłał patrol straży dla oszacowania strat.

– Dlaczego ta pożoga? – spytał szorstko strażnik nie zsiadając z konia.

– Primo, jestem stróżem porządku tak jak wy i w związku z tym proszę o więcej szacunku dla mojej osoby. Poza tym jestem tu u siebie, jeżeli jeszcze tego nie wiecie. Podpalam więc, co mi się żywnie podoba. Bynajmniej nie życzę wam dobrej nocy.

Odwróciwszy się do nich plecami, wszedł wyprostowany pod swój szafot, mierzący sążęń wysokości. Ponieważ dawno zapadł już mrok, wykrzesał ogień krzemienną zapalniczką i zaświecił kilka świec o bawełnianych knotach. Na dworze strażnicy wycofali się.

Odkroiwszy gruby plaster udźca, zjadł go na pajdzie miękkiego pulchnego chleba o złocistej skórce pociągniętej żółtkiem, posypanej ziarnem pszenicy, jaki piekła co niedziela Eponina i za którym przepadał. Zadrżał na myśl, że Roumégoux znajduje się w odległości zaledwie trzech dni od Bellerocaille, no, może czterech dla maruderów. Wcześniej czy później ktoś go rozpozna. Z takim nosem to nieuniknione.

Pociągnął spory haust i znów spróbował się przedzierać w cesarza obojga Ameryk, ale czar przysł. Rozległ się pisk myszy schwytanej przez kunę. Pomyślał o wilkach i załadował pistolety. By nie dać się pożreć we śnie, zabarykadował wejście pod szafot deskami, których mnóstwo leżało na terenie budowy.

Położył rapier i nabite pistolety na stole, pod łóżkiem umieścił drag, a pod poduszkę wsunął włoski sztylet. Tak zabezpieczony, usiadł przy stole i przeliczył pieniądze. Do pięciu i pół liwra ze sprzedaży koszuli zmarłego dodał osiem liwrow pobranych od kupców, którzy nie zgodzili się, by dotknął ich towarów ręką uważaną przez nich za nieczystą, odkąd zadała śmierć.

Przez chwilę przyglądał się kupkom miedzi i srebra. Bynajmniej nie na wszystkich

monetach widniał wizerunek barona Raula. Tu można było rozpoznać profil poprzedniego dawnego króla Ludwika Trzynastego, a obok – młodego Ludwika Czternastego. Ówdzie, na dublonie – niezbyt sympatyczne oblicze króla Hiszpanii Karola II. W królestwie było w obiegu ponad trzydzieści osiem rodzajów monet. Wypił za tych wielkich mężów, potem poukładał ich w swej nowej sakiewce z zamszu.

Gdy wtargnęły wilki, spał jak suseł. Rumor barykady walącej się pod ich naporem postawił go na nogi.

– Kto idzie? – krzyknął, chwytając po omacku pistolety i strzelając do kilku czarnych sylwetek o długich spiczastych uszach.

Jeden wilk odskoczył ze skowytem, drugi wlaźł na stos desek. Justynian rzucił rozładowane pistolety i schylił się po żelazny drąg. Ten ruch go ocalił. Wilk, który skoczył, przeleciał nad nim i z całej siły wyrznął w ściankę z prowansalskiej dębiny, wyjątkowo twardej. Justynian wymierzył mu cios drągiem w czaszkę i powalił go na brezent. Usłyszał, jak wynajęty koń rży najpierw ze strachu, potem z bólu, ale nie ważył się wychynąć ze swej kryjówki.

Ponieważ już go nic nie atakowało, skrzesał ogień i zapalił świece, by ponownie nabić swoje spluwy, rzucając niespokojne spojrzenia w stronę wejścia, a także na wilka o pokrwawionym łbie, który nie był martwy, lecz dyszał nieprzytomny.

Z załadowaną bronią podszedł do schodków i spróbował wyrzeć na dwór. Była ciemna noc, niczego nie zauważył, miał więc zamiar zrobić następny krok, gdy usłyszał nad sobą trzask desek i zrozumiał, że czyha na niego wilk. Wystrzelił, i jeśli nawet ołowiana kula nie przebiła na wylot grubego drewna, to przynajmniej wystraszyła zwierzę, które zeskoczyło z szafotu. Justynian strzelił po raz drugi w jego kierunku i znowu chybił.

Jeszcze raz załadował pistolety i przygotował się do odparcia następnego ataku, ten jednak nie nastąpił. Poprawił barykadę i podparł ją ławą, stołem tudzież kufrem. Już miał dobić ogłuszonego wilka, gdy zabrakło mu odwagi. Aczkolwiek chude, zwierzę było przepiękne. „Wilki to wolne psy”, mówił o nich z podziwem Marcin. Justynian założył mu na kark pętlę i przywiązał go do belki podtrzymującej strop.

Wyczerpany, rzucił się na łóżko i zasnął. Na dworze początkowo spadło parę kropel, a później oberwała się chmura i lunęły strugi wody. Deszcz przenikał między deskami i wkrótce kapał w całym wnętrzu, tworząc w fałdach brezentu kałuże, gasząc świece i przyskajac na Justyniana, który znów się obudził przerażony.

Na burzę nie było innego sposobu, jak przeczekać ją, zabezpieczając najmniej trwałe produkty.

Gdy światło dnia sprowadziło na Rozstaje brygady mistrza Calzinsa, robotnicy nie wierzyli własnym oczom, widząc oprawcę (w mieście mówiono teraz już tylko o nim) wykrawającego z nadżartego konia kwatermistrza Calmejane'a („zakazuje się gnać go galopem”) kawałki mięsa i karmiącego nimi wielkiego, szarego, trzyletniego wilka

przywiązanego do słupa.

Tak przebiegły pierwszy dzień i pierwsza noc wykonawcy najwyższego wymiaru kary w Bellerocaille, Justyniana Pibraka, który zapoczątkował jedną z najstarszych i najznakomitszych dynastii katów wszechczasów.

Część druga

Rozdział I

Bellerocaille, siedziba władz kantonalnych w departamencie Aveyron, maj 1901 r.

– Panie Pibrac, wózek wyładowany po brzegi obornikiem wywalił się na środku jezdni. Jest teraz zatkana aż do mostu Republiki.

Leon rzucił chłopakowi monetę i zawrócił konia. Przejechał ulicą Proszą i skręcił w Smoczą mijając piekarnię, z której chwilę wcześniej wyszedł. Od śmierci swego szwagra Arseniusza Bouzouka, przed trzema laty, Leon był mistrzem piekarskim. A jednak nie mógł się zdecydować na wymianę szyldu „Arseniusz Bouzouc – Piekarnia”. Poprzestał na dołączeniu słowa „ciastkarnia”.

Spojrzał do wnętrza sklepika. Jego żona Hortensja obsługiwała gospoście mera. Gdy ona z kolei go zobaczyła, pokuśtykała do drzwi i zerknęła nań pytająco.

– Prosta jest zakorkowana, przejadę przez zamek – wyjaśnił, dodając tonem niemal błagalnym – proszę, Hortensjo, postaraj się przyjść do katowni. Przecież twoja matka mogłaby przynajmniej raz zająć się sklepem.

– Powiedziałam, że nie, i już.

Z miną bardziej zaciętą niż kiedykolwiek odwróciła się do niego plecami i kulejąc wróciła za ladę.

Jeszcze smukła mimo swych trzydziestu pięciu lat, Hortensja walczyła jednak dzień w dzień z otyłością umartwieniami, które tylko pogarszały jej charakter, i tak dość trudny, odkąd urodziła się z jedną nóżką krótszą od drugiej. Zmarnowałyby to jej młodość i skazało na staropanieństwo, gdyby Leon, czeladnik jej ojca, nie poślubił jej przed czternastoma laty. Wydała na świat dwie córki i syna, na szczęście bez żadnych ułomności. Leonowi natomiast udało się potroić obroty dzięki ciasteczkom, którymi wabił klientelę. A jednak Hortensja wcale nie była szczęśliwa, o nie... Jak kochać kogoś, kto wybrał cię „z braku laku”? Z drugiej strony, jeśli nikt w departamencie Aveyron nie chciał kulawej, choćby i ładnej, któż by zechciał jednego z Pibraków?

Leon smagnął batem konia. Bryczka znów ruszyła w kierunku ulic Wielkiej i Paparela. Przechodnie mijani po drodze odwracali wzrok lub pozdrawiali go ukradkiem. Niektórzy, w

większości starzy, żegnali się, macając swój medalik ze św. Benedyktem... Nic się zatem nie zmieniło!

Leon był pierwszym ze swego rodu, który ożenił się z miejscową dziewczyną i próbował, w b r e w t r a d y c j i , wrosnąć w środowisko. Jak wątle, nieśmiałe dziewczę, które go tak oczarowało, mogło się przedzierać w świętoszkowatą megierę? Co się takiego stało? To, że był Pibrakiem, nie tłumaczyło wszystkiego... Może nie doceniała siły i trwałości uprzedzenia, wciąż żywotnego mimo przymusowej emerytury, już trzydziestoletniej, jego ojca Hipolita Pibraka Siódmego. Dekret Crémieux z roku 1870 zniósł zlecenia prowincjonalne i przyznał monopol najwyższego wymiaru kary egzekutorowi ze stolicy.

Przeszedłszy ulicę Wielką, konik zaczął się ostrożnie posuwać spadzistą ulicą Paparella biegnącą wzdłuż zamku Boutefeu, nie zamieszkanego od czasu jego splądrowania w 1792 roku; istniały plany jego odbudowy i przeniesienia tam muzeum miejskiego, ścięzionego obecnie w ratuszu, dawnym starostwie.

Zjechał na bok, by przepuścić chłopską rodzinę objuczoną jak muły, wspinającą się z trudem na zbocze. Dziesiątki i setki wieśniaków opuszczały nieurodzajne płaskowyże Ségala i Aubrac, by zbierać chrust i sprzedawać go w mieście, ku oburzeniu handlarzy węglem i drewnem, którzy skarżyli się głośno na nieuczciwą konkurencję. Magistrat znajdujący się w rękach republikanów („czerwonych”) przymykał oko.

– Tylko po dziesięć solidów wiązka! Żeby nam zaoszczędzić wspinaczki! – rzucił mężczyzna gardłowym akcentem.

Leon odmówił, acz z żalem. Jego piec zużywał drewno w wielkich ilościach, toteż nie przepuściłby takiej okazji, gdyby w przeddzień, po południu – fakt bez precedensu – nie zjawił się w jego sklepie, z szerokim uśmiechem na ustach, doktor Oktawiusz Beaulouis, przywódca konserwatystów („białych”).

– Proszę pana, dobry człowieku, o dwie przysługi. Okrągłymi oczami Leon wpatrywał się w prominenta.

– Mnie?

– Ależ tak, pana.

Pierwsza przysługa polegała na zaprzestaniu zakupów chrustu u zbieraczy z wyżyn, druga – na podpisaniu petycji mającej skłonić Bartłomieja Boutefeu, „czerwonego” mera, do przedsięwzięcia środków zmierzających do powstrzymania tej codziennej inwazji łachmaniarzy.

– Z początku wystarczyło im zbieranie, ale od niedawna łamią gałęzie i dewastują nam Las Rybaltowski, nie mówiąc o innych.

Wymamrotawszy kilka nieskładnych zdań, w których wspomniął o „niesłychanym zaszczyście” figurowania obok nazwisk najznamienitszych obywateli miasta, Leon podpisał podanie, nie dziwiąc się zbytnio, że na pierwszym miejscu widnieje parafa prezesa gildii kupców węglowych i drzewnych.

– A przy okazji, drogi Pibraku, nasze towarzystwo przyjmuje w niedzielę znakomitego profesora Marguerite. Wygłosi on odczyt na temat: „Czy potrzeba spokoju jest u człowieka bardziej naturalna niż potrzeba wolności?” Niech pan do nas przyjdzie. Liczę na pana.

Założyciel i prezes Stowarzyszenia Miłośników Starych Dobrych Czasów, doktor Beaulouis, intensywnie przygotowywał się do najbliższych wyborów, postanowiwszy tym razem wyrugować z merostwa tego „dobrego wujaszka”, tego „bezbożnika” Boutefeux, eksbarona de Bellerocaille, który prowadził miasto do zguby.

„Czyżby to był koniec ostracyzmu? No, przynajmniej początek końca”, pomyślał Leon mijając fosy (obecnie zasypane) i narożną basztę, w której swego czasu więziono jego protoplastę. Gdy był dzieckiem, jego ojciec Hipolit często prowadził go do ruin zamku, kończąc nieodmiennie przechadzkę zwiedzaniem baszty, gdzie był trzymany w okowach ich przodek, w czasach gdy mieściło się tam senioralne więzienie.

– Spójrz, Leosiu, spójrz – mówił za każdym razem Hipolit – przez to okienko strzelnicze mógł patrzeć na megalit, na Skrzyżowanie Sądu Ostatecznego.

– Lasu Wstydliwego jeszcze wtedy nie było?

– Nie, posadzili go specjalnie za czasów Czwartego, żeby z miasta nikt nas nie widział.

Bramą zachodnią, pozostawioną po rozebraniu fortyfikacji, co umożliwiło rozbudowę miasta, Leon przejechał Stary Most i przez chwilę podążył dawną drogą, nie używaną, odkąd wybudowano, w górze rzeki, most Republiki, następnie skręcił i wjechał w Lasek Wstydlivy; niebawem między konarami wiązków zamajaczyła potężna sylwetka megalitu.

Chociaż Wielka Rewolucja usunęła ze skrzyżowania szubienicę i pręgierz wraz z ich pomostami, a także garkuchnie i stragany pamiątkarskie, to dwór pana na tych włościach stał na swoim miejscu, ukryty za wysokim murem najeżonym ostrzami halabard.

Leon wyjechał z lasu, okrążył głąz, wokół którego rosły stokrotki i chwasty, po czym skierował konia na ścieżkę wiodącą do wielkiego kamiennego portalu, nad którym widniał herb rodu i jego dumna dewiza: „Z woli boskiej i katowskiej”. W szczelinach między blokami różowego piaskowca, takiego samego jak w katedrze w Rodez, rosły czerwone trzykrotki.

Zsiadł z bryczki i otworzył ciężkie skrzydło bramy, bojąc się uwag, jakie niechybnie wywoła, w dniu takim jak ten, nieobecność Hortensji. Ukazała się katownia, w kształcie litery U, obwarowana dwiema okrągłymi blankowanymi wieżyczkami, bliźniaczo podobnymi do stojących jeszcze wież zamkowych.

Fasada z dużymi oknami nie była zwrócona ku miastu, lecz wychodziła na wybrukowane podwórze i rozległy park, szczelnie otoczone murem. W oddali, pośrodku wysokopiennego zagajnika, widać było romańską kaplicę, której krypta zawierała posągi przodków odlane z brązu. Wyrzeźbiony Justynian Pierwszy, protoplasta rodu, był przykuty do Wilhelminki, swej umiłowanej małżonki.

Trzymając konia za uzdę, Leon przeszedł przez ganek łączący wieżę południową z lewym skrzydłem katowni, długiej budowli o łupkowym dachu, podzielonej na stajnię, szopę,

wozownię i skład na przybory do wykonywania najwyższego oraz niższych wymiarów kary, w tym „maszynię” Justyniana III, rozmontowaną i poukładaną w skrzyniach. Skrzydło prawe obejmowało oborę, stodołę, kurnik, królikarnię i, za przegródką, chlew dla wieprzków Wiktora i Hugo.

Gdy Leon wyszedł na obszerne podwórze, jego ojciec Hipolit, młodszy brat Henryk, dawny pacholek szafotowy Kazimierz i bracia Lambert, dzierżawcy folwarczku, wyprowadzali z wozowni pułkowy ambulans, zakupiony w 1868 roku od intendenty 122 liniowego, a zmyślnie zaadaptowany przez Hipolita, zdarzało się bowiem często, że oberżyci odmawiali mu noclegu podczas jego rozjazdów służbowych po departamencie. Gilotyńę i rozmaite akcesoria umieszczał w skrzyniach pod podłogą, tak że zostawało dość miejsca na pokoik, salonik, toaletę i kuchenkę. Tak urządzony ambulans służył niedługo: dwa lata po oddaniu go do eksploatacji za sprawą dekretu Crémieux stał się bezużyteczny.

Witając się z nimi Leon pospieszył z pomocą.

– Hortensja źle się czuje i przeprasza, że nie może przyjść – powiedział żałośnie.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom nikt nie wytknął mu kłamstwa. Wszyscy tutaj znali jego żonę i wiedzieli, że wolałaby zgubić pełną portmonetkę, niż gdyby ktoś ją zauważył w drodze do jej niechlubnych powinowatych.

A przecież dziś Henryk, Adela oraz ich dzieci Antoni i Saturnin wyjeżdżali do Bordeaux, gdzie mieli wsiąść na statek płynący do Ameryki. Pomoc Hortensji byłaby bardzo cenna w kuchni, gdzie Berta, mimo nadwątłego zdrowia, krzątała się przy ostatnim posiłku. „Jej serce jest jak pęknięty garnek. Może wytrzymać sto lat, jeśli nikt nim nie potrząśnie”, zawyrokował lekarz, kiedy zachorowała po raz pierwszy poprzedniej zimy.

Wyciągnąwszy furgon na środek podwórza, Hipolit wysunął stopień i rażno wskoczył do pojazdu, by pootwierać okienka i przewietrzyć go.

Hipolit świetnie się trzymał jak na swoich sześćdziesiąt pięć lat, jednak bardzo był nierad, że się starzeje, i robił, co mógł, by powstrzymać ten podstępny proces. Odkrycie pierwszego siwego włosa na prawej skroni, gdy miał trzydzieści cztery lata, z pewnością nie mniej go zaskoczyło, niż znalezienie śladu stopy na bezludnej wyspie zdumiało Robinsona Cruzoa. Wyrwał ten włos. Lecz gdy pojawiły się następne, zmienił taktykę i ufarbował je. Podobnie zrobił z kolejnymi, w wąsach i dwuspiczastej brodzie.

Leon wrócił do bryczki i wyjął spod siedzenia torbę z jeszcze ciepłymi pięciofuntowymi bochnami oraz pudło po biszkoptach pełne chałek na miodzie, które swego czasu wywołały entuzjazm klienteli i zmartwienie dwudziestu kilku piekarzy i ciastkarzy, jakich liczyło Bellerocaille.

– Masz, na podróż – powiedział dając je bratu, który się uśmiechnął.

– Dziękuję, Leonie. Najbardziej będzie nam tam brakowało twoich chlebów i ciastek.

„Tam”, czyli w Kalifornii, dokąd inni młodzi Pibrakowie wyemigrowali znacznie wcześniej i na nich czekali.

– Dałem przepis Adeli. Będzie wam je piekła. Weszli razem do kuchni. Leon ucałował Bertę, ich matkę, która obierała kartofle, doglądając koźlęcia obracającego się na rożnie nad paleniskiem. Aż poczerwieniała stwierdzając ze zdziwieniem, że nie widzi Hortensji. On powtórzył swoje kłamstwo, otworzył scyzoryk z Laguiole i zaczął obierać ziemniaki, podczas gdy Henryk dołączył do Adeli i dzieci, kończących się pakować w swym pokoju. Henryk pozamykał kufry podróżne i skrzynie, potem przez okno zawołał braci Lambert, by pomogli mu je znieść i poustawiać w furgonie.

Posiłek upłynął w atmosferze wymuszonej radości, która jednak nikogo nie wprowadziła w błąd. Oczy Berty wilgotniały za każdym razem, gdy jej wzrok padał na Antoniego i Saturnina, których nigdy więcej nie zobaczy. Pierwszy w wieku sześciu, drugi pięciu lat, jedli z apetytem, kłócąc się o to, kto rzuci koźle kości Pazurowi, wielkiemu brytanowi, który wychował się razem z nimi. Hipolit mógł sobie wyliczać wesołkowatym głosem Pibraków, którzy wyemigrowali przed nimi: za grosz nie było w tym zapachu.

– Zresztą, gdyby Szósty tak nagle nie umarł, też bym tak na pewno zrobił. Ale ja wolałbym się osiedlić w Australii.

Nadeszła chwila pożegnania, której tak się wszyscy bali. Wyszli na podwórze. Bracia Lambert zaprzęgli Zefira i Pompona do furgonu. Nastąpiły pocałunki i uściski, popłynęły łzy, dało się słyszeć pochlipywanie.

To rozstanie było tym okrutniejsze, że odbierało Hipolitowi resztkę nadziei: teraz, gdyby państwo znowelizowało dekret Crémieux i przywróciło zlecenia departamentalne, nie byłoby już ani jednego Pibraka gotowego objąć funkcję. Z trzech synów, jakich dała mu Berta, najstarszy, Justynian, zmarł na tężec. Leon w zasadzie wyparł się rodziny, zostając piekarzem, a dziś Henryk emigrował do Nowego Świata wraz z przemiłą Adelą i ich obydwoma synami.

Po raz ostatni pogłaskawszy Pazura, Antoni i Saturnin wdrapali się z tyłu. Adela usadowiła się na przedzie obok Henryka, który zwolnił hamulec. Furgon potoczył się w kierunku bramy, którą właśnie otworzył Kazimierz. Stary pacholek szafotowy – miał już siedemdziesiątkę – zdjął kapelusz i długo nim machał, podczas gdy wóz objeżdżał megalit dookoła i pogrążał się w Lasku Wstydlwym.

Wówczas Leon pożegnał się z rodzicami, co niebawem uczynili też bracia Lambert. Stojący nieruchomo na podwórzu Hipolit, Berta i Kazimierz wymienili między sobą posępne spojrzenia: zostali sami. Z dala dobiegał stukot dziecięcia uderzającego dziobem w pień z regularnością wahadła.

Leon wrócił nazajutrz, przynosząc im straszną wiadomość.

* * *

Małgosia i Beata były w szkole Czcicielek Św. Napletka, Pafnucy – przy piecu wraz z ojcem, kotka Księżniczka baraszkowała na podwórzu, gosposia robiła zakupy, a Hortensja i

wdowa Bouzouc, jej matka, szykowały się do największego napływu klientów o jedenastej, układając w gablotach ciastka, kiedy do sklepu wkroczył komendant żandarmerii Calmejane. Hortensji zamarł na ustach powitalny uśmiech, kiedy zobaczyła jego przygnębiłą minę.

– Dzień dobry paniom. Czy jest Leon?

– Zaraz go poszukam, panie komendancie – powiedziała Hortensja kuśtykając na zaplecze, by tam zawołać na całe gardło:

– Leon! Szybko!

Z kroplami potu na czole, z zaróżowionymi od gorąca policzkami, Leon odszedł od pieca, mając wąsy i brwi przyprószone mąką. Na widok żandarma uśmiechnął się. Calmejane był jednym z nielicznych notabli w Bellerocaille utrzymujących przyjacielskie stosunki z Pibrakami.

– Cieszę się, że pana widzę, komendancie. Czym mogę służyć?

Bez ogródek, lecz ze współczuciem, oficer opowiedział mu, jak wczesnym rankiem brygada wędrownych traczy odkryła w lesie Palanges zwłoki Henryka i chłopca.

– Skąd ci tracze wiedzieli, że to mój brat?

– To ja go rozpoznałem. Ale dla potwierdzenia chciałbym, żebyś i ty go zobaczył.

Ciała leżały pod brezentem rozpostartym w rogu dziedzińca nowego gmachu żandarmerii przy placu Republiki. O parę kroków od nich, obok wózka, z którego wystawały kozły i długie piły, brygada traczy czekała paląc; zamilkli na widok syna kata Pibraka.

Leon schylił się, podniósł skraj plandeki i niemal natychmiast wypuścił go z ręki, z wyrazem przerażenia na twarzy.

– Jak to możliwe? O Boże... A gdzie Adela i Saturnin? Komendant skinął na traczy, by podeszli.

– Czyście przeszukali okolicę?

– Zajrzeliśmy tylko do lepianki, w której leżeli, ale nie rozglądaliśmy się dookoła. Skąd mieliśmy wiedzieć, że byli jeszcze inni?

– Ani śladu furgonu? Koni?

– Wszystko, cośmy znaleźli, tośmy przynieśli – powiedział mężczyzna wskazując na brezent. – I straciliśmy pół dniówki.

– Wygląda na to, że twój brat padł ofiarą palipiętów kapitana Tomasza. Donoszono nam już kilkakrotnie w tym miesiącu o ich wyczynach: zawsze w lesie Palanges... Moim zdaniem zabrali wszystko: furgon, Adelę i drugiego malca. Zarządziłem obławę i powiadomiłem żandarmerię w Laissac. Och, Leonie, czy ty mnie słuchasz?

Leon oderwał wzrok od plandeki przykrywającej ciała.

– Myślałem o moim ojcu. Pan go zna, trzeba mu natychmiast o tym powiedzieć. On będzie wiedział, co robić.

Już zmierzał do wyjścia, pełen goryczy. Na wszystkich świętych, dlaczego te zbóje uwzięły się też i na chłopaka?

Nie wstępując do piekarni, skinął na dorożkarza, który skrzywił się, gdy go poznał, lecz zgodził się na kurs. Po upływie pół godziny Leon zjawił się w katowni. Jego matka jak co wtorek warzyła polewkę w starym miedzianym pobielanym garnku, Kazimierz cerował skarpetki podziurawione zbyt długimi paznokciami wielkich palców, a Hipolit pracował w bibliotece nad projektem *Traktatu o krzyżowaniu*.

Wiadomość spadła na nich jak grom z jasnego nieba. Hipolit omal nie zwał się z nóg. Leon podprowadził go do krzesła, Kazimierz zapłakał zgrzytając zębami, Berta zostawiła na ogniu zupę, która zagotowała się i przypaliła.

Hipolit pierwszy wziął się w garść i wydał polecenie:

– Wy dwaj zaprzęgniecie Pędziwiatra do landa – powiedział do Leona i Kazimierza. – Ty, Berto, przygotuj nam prowiant na dwa dni. Musimy dowiedzieć się, co się stało z Adelą i Saturninem.

Podczas gdy wszyscy krzżeli się w milczeniu, zdjął mannlichera podarowanego mu przez Ottona Gutmana, scharfrichtera z Monachium, którego w poprzednim roku spotkał u Deiblerów, po czym zaczął uzupełniać ładownicę. Pazur pomełdał ogonem na znak radości: uwielbiał wyruszać na polowanie.

Gdy wszystko było gotowe, Hipolit zapiął pas swego dziesięciostrzałowego lefauchaux i wsiadł do powozu z Pazurem i karabinem. Uzbrojony w dubeltówkę Kazimierz usiadł obok Leona, który trzymał cugle. Berta otwarła bramę, lando wyjechało z katowni. Leon skierował się na Bellerocaille.

– Co robisz? Jedź na Rodez! – rozkazał Hipolit wysunąwszy głowę przez okno.

Jego czarne włosy związane w koński ogon powiewały przez chwilę na wietrze.

– Nie chcesz ich najpierw zobaczyć na komendzie?

– Po co? I tak są martwi. Najpierw zajmijmy się tymi, co może jeszcze żyją.

Minęli młynarza Halsdorfa, który ledwo miał czas uskoczyć na pobocze, by nie znaleźć się pod kołami rozpędzonego czarno-czerwonego powozu.

– Leon poganiał konia ile sił, a obok widziałem Kazimierza uzbrojonego po zęby. W środku siedział Pibrac. Mówię wam, że miał nieszczęśliwą minę – opowiadał później zafascynowanym słuchaczom.

* * *

Dotarli do miejsca zwanego Wkłęśłym Kamieniem – od wielkiej płaskiej skały, pod którą znajdowały schronienie całe pokolenia pobożnych pielgrzymów – Leon, zgodnie ze wskazówkami traczy, naprowadził Pędziwiatra na leśny dukt obrzeżony krzakami jeżyn i pokrzywami.

Kilometr dalej odkryli polanę, gdzie wznosił się piec na węgiel drzewny, częściowo zburzony i zarośnięty. Na skraju lasu stała chatka, w której znaleziono ciała; gałęzie z jeszcze

zielonym listowiem w dachu, podobnie jak ściółka ze świeżo skoszonej trawy wewnątrz, świadczyły o tym, że całkiem niedawno mieszkało tam kilka osób. Leon zadrżał widząc kamienie i popiół paleniska, w którym bandyci pewnie spalili na węgiel stopy Henryka i Antoniego.

– Nie rozumiem, dlaczego skrzywdzili malca – zapytał na głos samego siebie, wspominając okaleczone ciała pod plandeką.

– Może Henryk zdążył schować forszę, a oni chcieli, żeby powiedział gdzie? – zasugerował Kazimierz, który myszkował po klepisku w poszukiwaniu śladów.

– Może ich torturowali, bo wiedzieli, że to Pibrakowie? – powiedział ponuro Leon zwracając się do ojca. – Może kiedyś zgilotynowałeś jakiegoś ich krewnego czy przyjaciela?

Hipolit przecząco pokręcił głową.

– Nie. Sakiewkę miała Adela. Henryk jest tak roztargniony, że zanim by dojechali do Rodez, już by ją zgubił. Wiem, że włożyła ją do specjalnej kieszeni wszytej w suknię od spodu. A jeśli Adela wpadła w ich łapy, myślicie, że pozwoliłaby dręczyć Antoniego i nic by nie powiedziała? Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem pewien, że jeżeli nie znaleźliśmy ich tu, to dlatego, że udało im się uciec... Żyją i są gdzieś w tym lesie.

„Chyba że ich ścigali, schwytali, zabili i porzucili”, pomyślał Leon. Pazur hałaśliwie niuchał ściółkę, od czasu do czasu przestając, jakby w coś wąpił. Wyszli z lepianki i zrobili obchód polany, zauważając ślady różnych kół, między innymi eks-ambulansu: szersze i łatwiej rozpoznawalne.

– Wyruszyli z katowni zaraz po południu i o zmroku musieli dotrzeć do lasu. Moim zdaniem napad nie mógł nastąpić tutaj. Henryk pewnie urządził biwak przy głównym trakcie... Ci łajdacy, żeby mieć spokój, przywlekli ich na tę polanę... Chodźcie, wracamy do Wklęsłego Kamienia.

Zbliżali się do ogromnego głazu, gdy Pazur, który biegł przed koniem, stanął jak wryty, z ogonem na sztorc, z uszami w słup i dygocącymi nozdrzami. Leon szarpnął cugle Pędziwiatra, który się zatrzymał. Nagle brytan radośnie zaszczekał, potem rzucił się w gęstwinę paproci. Wyskoczywszy z landa na środku drogi, ludzie pospieszyli jego śladem, z bijącym sercem przedzierając się przez jeżyny.

– Gdyby nie żyli, on by tak nie ujadał! – krzyknął zdyszany Kazimierz.

„Byle tylko nie biegł za dzikiem”, pomyślał Leon, urodzony pesymista.

„Byle tylko Saturnin żył!”, westchnął Hipolit.

To, co odkryli i co musieli zrobić, pozostało ich absolutną tajemnicą. Później żaden z nich nie pisał o tym słówka... nigdy i nikomu.

Rozdział II

Zanim został kapitanem, hersztem bandy krwiożerczych palipiętów, Tomasz Lerecoux urodził się jako piąte z jedenaściorga dzieci w rodzinie drobnych chłopów z okolic Roumégoux, uprawiających poletko tak pochyle, że w niektórych miejscach trzeba było przywiązywać się do pala, by móc żąć.

Pewnego dnia sąsiad wystawił na sprzedaż przyległy hektar ziemi, bardziej płaskiej i korzystniej usytuowanej.

Od Tomasza, który przy poborze do wojska wyciągnął dobry numer, ojciec zażądał, by poszedł go sprzedać handlarzowi ludźmi w Rodez.

– Ale ja nie chcę być żołnierzem, to prawdziwa niewola!

– Z tym kawałkiem gruntu nadarza się wyjątkowa okazja. Musisz iść, Tomaszu, nie jesteś pierworodnym.

– To niesprawiedliwe.

– Taki jest zwyczaj.

Młody człowiek usłuchał. W towarzystwie ojca udał się do Rodez, gdzie handlarz ludźmi sporządził umowę o zamianie numeru z nie mającym szczęścia w tym losowaniu synem bogatego posiadacza ziemskiego. Tomasz podpisał, jego ojciec zgarnął pieniądze, a on już tego wieczoru został wcielony do 102 Pułku Piechoty.

Obdarzony żywym temperamentem i nienawykły robić dobrą minę do złej gry, Tomasz z miejsca okazał się oporny na tresurę pod jakąkolwiek postacią. Oskarżony o stawianie oporu podoficerowi, który uderzył go w twarz, Tomasz Lerecoux został surowo ukarany. Przeniesiono go do fortecy pod Besançon i na jego przemoc odpowiedziano jeszcze większą przemocą, która go upokorzyła, a nawet wypaczyła mu charakter, czyniąc zeń osobnika pozbawionego skrupułów, nieczułego jak grabie porzucone w trawie, złośliwego jak łasica złapana w potrzask.

Minęło siedem lat, zanim władze zgodziły się wreszcie go uwolnić, rzucając na pastwę losu w środku zimy, z ogoloną głową i kilkoma frankami w kieszeni.

Z mglistym zamiarem powrotu w rodzinne strony Tomasz ruszył pieszo na południe.

Kiedy wyczerpały mu się pieniądze i dokuczył głód, napadł na domokrażcę, który bronił

się jak lew wrzeszcząc nierozważnie: „Widzę cię, zbójcu, widzę i rozpoznam!” Tomasz strzaskał mu czaszkę kamieniem, zabrał sakiewkę (niestety, całkiem płąską), potem długo sycił swe żądze jego ciałem, by wreszcie wrzucić je do rowu i przysypać zwiędłymi liśćmi.

Szedł nocą, sypiał za dnia i tak posuwał się naprzód, zabijał i zgwałcił już to cynkarza z Berri, już to tropiciela kretów z Delfinatu.

W pewien śnieżny wieczór, dygocąc z zimna, napadł na małe gospodarstwo, gdzie związawszy kobiety i dzieci, przypiekał stopy mężczyźnie, aż ten wydał mu swój skarb. Wzbogacony o zaledwie trzydzieści franków, przezornie zgładził wszystkich, zgwałcił jedną z kobiet, dla odmiany, po czym puścił chałupę z dymem.

Przedzierał się przez pola i chaszczę, przywierając do ziemi, gdy tylko kogoś spostrzegł, i snując ambitne plany powrotu w rodzinne strony, zakupu dwudziestu hektarów pszenicznej roli (bezwzględnie płaskiej), ożenku i budowy dworku dla swego przyszłego potomstwa.

Kontynuując wędrówkę na południe, Tomasz zabił sabaudzkiego kominiarza i sprzedawcę sznurowadeł. Pierwszy miał tylko pięć franków, drugi – dwa. To było mało, ale zawsze więcej niż nic, a w dodatku przyszło tak łatwo. Wystarczyło porozmawiać, nawiązać nić sympatii, poczekać na sprzyjającą chwilę i buch! Zawsze od tyłu, zawsze z całej siły w głowę, by uniknąć ryzyka kontrataku. Momentem kulminacyjnym było przeszukanie (ile mu się trafi tym razem?), po czym następował gwałt: długi, hałaśliwy, wyczerpujący.

Idąc dalej, mordując wszystko, co słabe, samotne, bezbronne, uznał wreszcie, że uzyskiwane korzyści nie są współmierne z podejmowanymi wysiłkami i że będzie musiał przez wiele miesięcy gromadzić sumę niezbędną do realizacji swego planu życiowego. Zamarzyły mu się wielkie skoki wraz z bandą, którą by dowodził tak, jak kapitan swoją kompanią.

* * *

Gdy Tomasz Lerecoux dotarł do Aveyronu, by ustanowić swoją kwaterę w lesie Palanges, już sześć lat upłynęło, odkąd go wypuszczono z wojskowej katorgi. Został nie właścicielem ziemskim pod Roumégoux, lecz groźnym wodzem bandy palipiętów, poszukiwanym przez policję całej Francji i Nawarry. Chociaż nieraz był o krok od aresztowania, nigdy nie wpadł, a zimował w ukryciu, by pojawić się znów na wiosnę wraz z pąkami na drzewach i krzewach.

W owym maju 1901 roku kapitan Tomasz, jak kazał siebie nazywać, wybrał spośród wielu kryjówek wypatrzonych w rozległym lesie dawne obozowisko węglarzy w pobliżu Wklęsłego Kamienia. Grał w kości z Raflette'em, swym przybocznym pochodzącym spod Limoges, podobnie jak on byłym więźniem wojskowym, gdy Zek, Cygan z Estremadury, postawiony wraz z Mariuszem na czatach na skraju gościńca, doniósł, że przy Wklęsłym Kamieniu zatrzymał się furgon.

– Ilu ich jest?

– Małżeństwo i *dos chicos*. Widziałem *también* wielkie kufry.

– Dobra nasza, dobra nasza! – ryknął Tomasz. – No to idziemy.

Oprócz Raflette'a, Zeka i Mariusza do bandy kapitana Tomasza należeli Guez z Nîmes, były osiłek jarmarczny, który miał wytatuowane na szyi: „Zastrzeżone dla Deiblera”, Ducasse, stajenny z Tuluzy, nicpoń, który zajmował się końmi, i Bretończyk Kénavo, bigot i ponurak, który pełnił obowiązki kucharza. Odkąd ubiegłego lata wzięli szturmem posterunek w Saint-Luzon, zabijając trzech żandarmów, poważnie raniąc dwóch, a pozostałych zmuszając do ucieczki, każdy z nich miał powtarzalny karabin marki Lebel – najnowocześniejszy model, który zastąpił w wojsku i żandarmerii stare odtylcowe gwintówki.

Gęsiego za swym „kapitanem”, palipiętowie podążali leśną ścieżką, słabo oświetloną przez księżyc, który niekiedy przesłaniały chmury.

Taktyka Tomasza była dość prymitywna. Miał zamiar obezwładnić podróżnych, zatrzeć ślady napadu, przeciągnąć furgon do obozowiska, by tam dokonać podziału łupów spokojnie i bezpiecznie, następnie wygodnie przenocować, a nazajutrz czmychnąć do następnego biwaku i oczekiwać kolejnej gratki.

Zgromadzeni wokół ogniska płonącego obok furgonu, podróżni szykowali się do kolacji przy zaimprovizowanym stole utworzonym z dwóch przylegających do siebie kufrów przykrytych obrusem z wyhaftowanymi dobrymi wróżbami. Nie opodał dwa uwiązane konie ochoczo skubały trawę. Dzieci goniły ćmy, wabione światłem lampy wiatrowej. Kobieta, ładna blondynka, nalewała im zupę do talerzy, mężczyzna kroił pięcioletowy bochen chleba, mówiąc coś, czego Tomasz, niewidoczny spoza gęstwiny, nie słyszał. Podszedł bez hałasu, dając swym ludziom znak, by byli gotowi. Zek uśmiechnął się do niego, odsłaniając szerokie białe zęby, które błysnęły w mroku.

– Tato, Saturnin mówi, że księżyc jest bardziej pożyteczny niż słońce. To prawda?

– Skąd ci to przyszło do głowy? – spytał mężczyzna chłopca.

– Księżyc świeci w nocy, a słońce w dzień: to nie sztuka. „Całkiem niegłupie”, pomyślał Tomasz, podczas gdy mężczyzna, kiwając głową, zwrócił się do kobiety:

– Ciekawe, skąd on bierze takie wiadomości?

– Powiedział mi to Kazimierz.

Tomasz wyprostował się i ruszył ku ognisku. Jego ludzie podążyli za nim. Rozległ się szcęk karabinowych zamków.

– Ducasse, Zek! Konie! – rzucił, mierząc lufą swego lebela w mężczyznę, który wstał z niezadowoloną miną, trzymając w rękach talerz jeszcze pełen zupy.

Były stajenny i Cygan podeszli do koni, by je rozpętać.

– Zostawcie te konie! – zaoponował Henryk; stał jak wryty, wpatrzony w karabin, którego model rozpoznał.

Calmejane sprzedał taki jego ojcu poprzedniego roku.

– Czego chcesz? – zapytał Tomasza.

– Wszystkiego.

Palipiętowie właśnie odwiązali Zefira i Pompona i zamierzali je zaprząć do furgonu, gdy Henryk chlusnął na nie gorącą zawartością swego naczynia. Pompon zarżał z bólu szarpiąc się w zaprzęgu i wystraszył Zefira. Ten popędził na oślep przed siebie, przewracając Cygana, który wymamrotał w swym narzeczcu: *Hijo de puta!*

– Złapcie je! – ryknął Tomasz, uderzywszy z całej siły Henryka kolbą w splot słoneczny.

Jeden z chłopców, Antoś, rzucił się wówczas na Tomasza, który powalił go uderzeniem kolby wymierzonym w czoło, a następnie dołożył mu jeszcze parę ciosów. Podbiegła Adela, ale Raflette chwycił ją za włosy i brutalnie pociągnął, aż krzyknęła z bólu. Uciszyło ją dźgnięcie kolanem w krzyż.

Mariusz i Guez z Nîmes wrócili z kwitkiem. Konie pognały zbyt szybko i nie dały się złapać.

Srodze rozczarowany, bo zwierzęta były okazale, Tomasz poczęstował kopniakiem Henryka, leżącego na ziemi bez tchu. Potem wpadł na lepszy pomysł: chwycił kociołek stojący na rozżarzonych węglach i wylał mu na głowę okropnie go parząc.

– Henryk! – krzyknęła Adela.

Do tej pory nieruchomy, Saturnin przytulił się do niej, przerażony widokiem powalonego Antosia.

– Szkoda, bo była smaczna – zauważył Raflette umoczywszy kawałek chleba w jednym z na pół opróżnionych talerzy stojących na kufrach.

– Teraz, skoro konie zwiały, trzeba będzie zaciągnąć furgon na polanę. Ale ten skurczybyk za to zapłaci. Zaprzęgnijcie go i niech ciągnie, a wy popychajcie od tyłu! Nie można sterczeć w nieskończoność na głównym trakcie.

Wszyscy z rozbawieniem patrzyli, jak Ducasse i Zek przywiązują Henryka do hołbli furgonu, kiedy Adela, przyciskając Saturnina do piersi, zdobyła się na odwagę i wybiegła z kręgu światła rzucanego przez lampę wiatrową, by zanurzyć się w ciemnych zaroślach.

Tomasz wystrzelił, a po chwili zrobili to i jego podwładni. Kule posiekały listowie, połamały gałęzie i utkwily w pniach, wzbijając w powietrze kawałki drewna, równie śmiercionośne jak odłamki pocisku.

– A to dziwka! Ten, co ją złapie, weźmie ją sobie na całą noc! – obiecał Tomasz swym ludziom wyprawiając ich w pogoń.

Podrapana cierniami, z kulą w górnej części uda, ledwo dysząc (gdyż nie nawykła do biegu) Adela doczołgała się pod gęste zarośla jeżyn, gdzie przycupnęła szepcząc do ucha synkowi:

– Bądź cicho, kochanie, bądź cicho.

Czuła, jak krew ścieka jej po udzie, i zastanawiała się, czy rana jest poważna. O Boże, co zrobią Henrykowi i Antosiowi? Dlaczego to się zdarzyło akurat w chwili, gdy byli tak

szczęśliwi? Na wspomnienie twarzy Henryka, opuchniętej, pokrytej bąblami, omal nie zemdląca.

Nie przypuszczając, że mogła się schować tak blisko Wkłęśłego Kamienia, jej prześladowcy okrążyli ciemny masyw jeżyn.

Po dłuższej chwili Adela usłyszała, jak wracają. Jeden z nich przeszedł raptem o parę cali od niej, biadoląc z silnym akcentem prowansalskim:

– A to się dopiero kapitan zmartwi!

Istotnie, w kilka chwil później usłyszała człowieka, który okaleczył jej małżonka.

– Safanduly jedne! Przez to musimy związać obóz już w nocy! W dodatku niczegośmy przy nich nie znaleźli. Ludzie, którzy podróżują w prawdziwym domku na kółkach i jadają na haftowanych obrusach, muszą mieć forszę. Ten skurwysyn wreszcie puści farbę. Ale na razie trzeba dać dyla na naszą polanę. No już, nicponie, popchnijcie no ten furgon, i to migiem!

Saturnin poruszył się obok matki, łamiąc kilka źdźbeł trawy.

– Siedź spokojnie. Przecież mogą nas usłyszeć, skoro i ja ich słyszę. Śpij, jeśli możesz.

Rozległ się krzyk bólu. Wydało jej się, że poznaje głos Henryka. Słabnący turkot żelaznych obręczy kół po kamieniach świadczył o oddalaniu się niebezpieczeństwa. Teraz bała się mniej i odzyskała przytomność umysłu. Zrobiło jej się zimno.

Pośród nocy zapadła cisza. Chciała wstać, lecz ledwo się uniosła, opadła z sił. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Trzeba znaleźć pomoc, powiadomić żandarmerię, ruszyć w pogoń za bandytami, ratować Henryka i Antosia. Jęknęła. Znieczulenie spowodowane uderzeniem pocisku słabło i coraz bardziej doskwierał jej promieniujący ból, który przez jakiś czas wykorzystywała do walki z nieprzemyślnym znużeniem.

Bezpiecznie wtulony w pierś o tak dobrze znanym zapachu, Saturnin wreszcie usnął i miarowo oddychał.

Gdy się obudził, było widno; na jeżynach perliła się rosa, a ptaki szczebiotały nad nimi w gałęziach drzew.

– Jeść mi się chce – powiedział unosząc głowę, by spojrzeć na matkę.

Ta, w milczeniu, choć z rozdziawionymi ustami, wpatrywała się weń szklistymi oczyma, jakich jeszcze nigdy u niej nie widział.

– Mamo, chce mi się jeść. Kiedy stąd idziemy? Ponieważ nawet nie drgnęła, pomyślał, że zasnęła. Potem z przerażeniem spostrzegł mrówki wędrujące przez jej usta i dziurki nosa.

– Tędy nie wolno! – krzyknął na nie i wierzgnął, by wydostać się z dławiącego uścisku ramion.

Nie udało mu się. Były tak sztywne, że poczuł się jak w potrzasku. Znow spróbował się uwolnić, lecz na próżno. Zawył, gdy poczuł mrówkę spacerującą mu po szyi. Potem drzemał, dopóki nie wyrwał go ze snu turkot dylizansu Millau-Rodez pędzącego obok Wkłęśłego Kamienia. Słońce stało wysoko na niebie, a jego promienie przenikały między liśćmi drzew i krzewów jeżynowych.

– Chcę wracać, mamó, daj mi jeść... Tu jest brzydko... Załkał, po czym znów zapadł w niespokojną drzemkę.

Gdy otworzył oczy, było ciemno. Ogarnęło go przerażenie na myśl, że zaczajone wśród otaczających go cieni potwory szydzą z niego.

– Mamó, mamó – szepnął popadając w letarg, który mu przyniósł ulgę.

Usłyszał traczy maszerujących o świetle krętą leśną drogą w pobliżu jeżynowych zarośli, lecz przestraszył się i zastygł w bezruchu. O wiele później, gdy dobiegły go poszczekiwania podobne do Pazurowych, pomyślał, że to mu się śni. Następnie spomiędzy pni dotarły doń głosy biegnących ludzi. Nagle usłyszał:

– Widzę ich! – To był wrzask Hipolita. – Adelo, Saturninie, to my!

– Na świętego Jana Chrzciciela, wyglądają jak martwi.

– A skąd, spójrz, ruszają się.

Z trudem wyciągnęli ich kalecząc się o ciernie. Stwierdzili zgon Adeli i zaniepokoiili się ośpieniem malca.

Kazimierz wskazał na suknię, na której widniała brunatna plama skrzepłej krwi.

– Kula musiała przebić kość udową. Ona się wykrwawiła.

– Już po wszystkim, Satciu, chodź do mnie, chłopcze – powiedział Hipolit kłękając, by mu pomóc wydostać się z ramion matki.

Dopiero wówczas dziecko zrozumiało.

– Ramiona Adeli są twarde jak żelazo. Musimy je złamać, jeśli chcemy go uwolnić. Pomóżcie mi, nuże, zamiast stać z rozdziawioną gębą. A ty, chłopcze, zamknij oczy.

Kości ustąpiły z przeraźliwym trzaskiem, który na zawsze pozostał im w pamięci.

Dygocący z zimna, zbyt słaby, by iść, malec został zanieiony do powozu i otulony w koc. Podczas drogi powrotnej stopniowo się uspokajał, aż w końcu zgodził się połknąć kilka łyżeczek miodu i odrobinę wody z sokiem cytrynowym. Gdy późno w nocy dojechali na miejsce, okna katowni jarzyły się światłem. Dwaj żandarmi pili w kuchni kawę, a trzeci, obok paleniska, drzemał podparty łokciami. Berta spoczywała w swojej izbie, wyciągnięta na łóżku, jeszcze w butach, z otwartymi ustami i oczyma, tak zeszywniała, jak całkiem niedawno Adela.

– Przyszliśmy zapytać, co zrobić ze zwłokami, i znaleźliśmy ją na schodach: nie żyła już od jakiegoś czasu. Doktor powiedział, że pękło jej serce – wyjaśnił podoficer. – Ponieważ nie było tu nikogo, komendant kazał nam czekać na was.

Wstrząśnięty Hipolit pogładził czoło nieboszczki, potem bezskutecznie próbował zamknąć jej oczy.

– Mogliście zawiadomić moją synową: przyszłaby ją oporządzić i przy niej posiedzieć.

– Komendant powiedział, że ona to robi, ale nikt się nie zjawił.

Policzki Leona spurpurowiały. Wolalby być gdzieś indziej.

* * *

Pogrzeb Berty, Henryka, Adeli i Antoniego odbył się w dwa dni później w kościele Św. Wawrzyńca, gdzie Pibrakowie mieli od dwustu lat zarezerwowany klęcznik (za Ancien Régime'u w drugim rzędzie, od czasów Rewolucji w pierwszym). Ten przywilej zawdzięczali nie swemu statusowi, lecz majątkowi.

Następnie cztery trumny poniesiono do rodzinnej krypty i ustawiono za innymi, z których ostatnia zawierała szczątki Klemencji, wdowy po Justynianie V tudzież matki Justyniana VI i Hipolita, zmarłej dwa lata wcześniej na dusznicę bolesną.

Tego samego dnia przed wieczorem Hipolit wrócił do Bellerocaille i udał się na posterunek żandarmerii, by zapytać, jak postępuje śledztwo. Obławy urządzone na bandę do niczego nie doprowadziły; odnaleziono tylko Zefira i Pompona.

– Ale nie tracimy nadziei. W razie potrzeby skorzystamy z pomocy wojska – zapewnił Calmejane, odprowadzając go do drzwi. – Jakie są pańskie zamiary wobec wnuczka?

– Zamieszka u swego stryja... na razie – powiedział były egzekutor z pewnym wahaniem.

Komendant pochwalił decyzję. Dzieciak był za mały, by mieszkać w katowni, mając za całe towarzystwo dwóch starców oraz psisko wielkości żrebaka.

* * *

Od odkrycia dokonanego przez traczy minął tydzień, a już połowy bił w bęben na skrzyżowaniach i placach oznajmiając wszem i wobec, że imć Hipolit Pibrac ofiaruje nagrodę w wysokości pięciu tysięcy franków w złocie („powtarzam: pięć tysięcy franków w złocie”) każdemu, kto dostarczy jakichkolwiek wiadomości prowadzących na trop morderców jego syna, synowej i wnuka.

Hipolit na tym nie poprzestał. Udał się do Rodez, do siedziby redakcji „Dziennika Aveyrońskiego” (organu „białych”) i „Kuriera Republikańskiego” (gazety „czerwonych”), by przez tydzień zamieszczać na ich łamach ogłoszenie na całą stronę. Następnie zamówił tysiąc plakatów, na których kwotę wydrukowano czerwonymi cyframi na czarnym tle, by mogli ją zrozumieć nawet niepiśmienni, i sownie opłacił przedsiębiorstwo przewozowe Cabrela, by zleciło swoim woźnikom kolportaż w całym departamencie i poza jego granicami. Zatrudnił także setkę wiejskich bezrobotnych, którzy poprzybijali je na pniach drzew wzdłuż głównego traktu przecinającego las Palanges.

O ile proceder nikogo nie zdziwił (został już przezeń zastosowany w innych okolicznościach), o tyle wysokość nagrody wywołała sensację. Za pięć tysięcy franków w złocie można było pobudować sobie dwork i kupić sporą posiadłość. Można było sobie nawet zafundować pięknego konia, by móc ją objeżdżać dookoła...

* * *

Od tygodnia banda czała się w opuszczonej zagrodzie w Puech de Saint-Félix, gdy Tomasz posłał Raflette'a i Mariusza do Laissac, by kupili trochę artykułów pierwszej potrzeby. Kiedy wrócili, przynieśli na dodatek parę egzemplarzy obwieszczenia o nagrodzie. W ten sposób Tomasz poznał tożsamość swoich najświeższych ofiar. Jego ludzie przerazili się tym, że pobladł jak nigdy dotąd. Ponieważ żaden nie pochodził z Rouergue, nazwisko Pibrac nic im nie mówiło. Natomiast Tomaszowi, który w tej prowincji się urodził, kojarzyło się ono ze strzygami, wilkołakami, ludojadami tudzież dziadami z różgą: nieustannie straszono nim nieposłuszne dzieci („Jeśli nie będziesz grzeczny, zawołam Pibraka, a wiesz, co on robi z wisusami takimi jak ty!”). Przypisywano też Pibrakom moc rzucania uroków. Przypomniał sobie, jak matka opowiadała mu, że mieszkańcy katowni przy Skrzyżowaniu Sądu Ostatecznego wydają rozkazy nietoperzom, które – jak wiadomo – oślepiają do końca życia każdego, na kim się załatwią.

– Pięć tysięcy franków w złocie, cholera! Będziemy mieli na karku całą okolicę – mruknął Ducasse.

Tomasz przytaknął. Na jego twarzy malował się niepokój. Całkiem uzasadniony, zważywszy na liczbę osobników gotowych zaciukać ojca i matkę za jedno sto franków, i to papierowych... na czele z jego dobraną paczką przydrożnych rzezimieszków.

– Może lepiej pójść na jakiś czas na zieloną trawkę... Na przykład na Czarne Pagórki. Znam tam grotty, gdzie się łatwo ukryć – zaproponował Mariusz. – Co o tym myślisz, kapitanie?

– Żeby się zadekować, w porządku. Ale nie w grotach.

– A dlaczego nie, do licha? Są obszerne i prawie suche. Znam je, chowałem się w nich, kiedy pracowałem z zakrystianem.

– Ja też je znam, tam pełno nietoperzy.

– No to co? Zawsze tak było. Są nieszkodliwe.

– Były kiedyś. Ale teraz, skorośmy ukatrupili Pibraków, wszystko jest możliwe. Trzeba być BARDZO przezornym. Bardziej niż zwykle.

Palipiętowie popatrzyli po sobie, niektórzy zmarszczyli brwi. Czyżby kapitan zbzikował? Nigdy go w takim stanie nie widzieli.

– Pięć tysięcy franków w złocie! Wyobrażacie sobie? Nigdy nie myślałem, że kacisko może być tak nadziane! Ech, kapitanie, sądzisz, że on ma aż tyle złota?

– Zawsze słyszałem, że Pibrakowie to krezusy. Mają posiadłość w Sauveterre i parę domów czynszowych w Rodez i Albi.

– A to złoto... myślisz, że on je trzyma u siebie? Tomasz zerknął na niego złośliwie. Przejrzał jego zamiary. Pozostali otoczyli ich ze wszystkich stron.

– A skąd mogą wiedzieć?

– Skoro tyle daje, znaczy: ma więcej – powiedział Zek. Tomasz rozsierdził się.

– Nawet za milion nie zadzierałbym z Siódmym. Widać, że nie jesteście stąd i że go nie znacie.

Guez, osiłek, splunął na ziemię.

– Kat nie kat, ja cykora nie mam. Za pięć tysięcy franiów w złocie pomyszkowałbym pod wyrkiem samego Lucyfera.

Tomasz spojrział nań z politowaniem.

– Powtarzam wam, że Pibrakowie przynoszą pecha! Spójrzcie, do czego doszło! Teraz musimy się ukryć, i sezon mamy z głowy.

Zgodnie z rytmem prac polowych cykl rozboju ulegał przyspieszeniu wiosną i latem, by osłabnąć w martwym sezonie, a w porze śniegów ustać.

– To nic... ale tyle złota!

Tomasz popatrzył przez chwilę na Gueza i potrzęsął głową z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

– Pamiętasz naszą umowę. Każdy może się odłączyć, kiedy mu się żywnie spodoba. Nikogo nie zmuszam do zostania. Jeśli masz ochotę, idź, chłopie, ale nie licz, że ja się dobioreę któremuś Pibrakowi do skóry... A na razie ostrożność nie zawadzi. Zwijamy obóz. Może już was wypatrzyli w Laissac, może doszli za wami trop w trop aż dotąd – rzucił w stronę Raflette'a i Mariusza, którzy wobec takiego zakwestionowania ich zawodowej sumienności z oburzeniem wzruszyli ramionami.

* * *

Następne dni były ciężkie: nigdzie nie czując się bezpiecznie, Tomasz każdego wieczoru zmieniał kryjówkę, co tylko denerwowało jego ludzi. Większość miała zamiar go zdradzić i zgarnąć nagrodę, ale nie potrafiła się zdecydować, w jaki sposób; bo faktycznie: jak podkablować, nie kablując na samego siebie? Żaden nie był na tyle naiwny, by sądzić, że otrzyma złoto na piękne oczy; istniało natomiast prawdopodobieństwo, że zostanie wynagrodzony, gdy cała banda znajdzie się za kratkami...

Zek, młody Cygan z Estremadury, pierwszy zdobył się na odwagę, gdy mu powiedziano, że Hipolit Pibrac, którym tak bardzo przejmował się jego herszt, jest starym człowiekiem na emeryturze i mieszka na odludziu, we dworku, w towarzystwie tylko jednego służącego, jeszcze starszego od siebie.

Trzydziestoletni zawadiaka, pełen animuszu i ambicji, pewien swej dobrej gwiazdy, Zek gotów był zrobić wszystko, by któregoś dnia wrócić z podniesioną głową i mnóstwem złota w kieszeniach w okolice Badaj oz, gdzie koczował jego klan. Za pięć tysięcy franków w złocie mógł sobie sprawić wspaniały wóz mieszkalny, parę koni, które by go ciągnęły, oraz piękną kobietę, która by w nim gospodarowała. Mając tyle złota, odzyska szacunek starszych, a może

nawet – w dalszej przyszłości – zasiądzie w ich Radzie. Tak więc na Skrzyżowaniu Sądu Ostatecznego zjawiał się pewnego ranka i podszedł do kamiennego portalu osobnik wyjątkowo zdeterminowany.

Kazimierz kursował między studnią a warzywnikiem, który podlewał Hipolit, kiedy zadzwieczał dzwonek u wejścia. Spojrzeli po sobie z błyskiem nadziei w oczach: nikogo nie oczekiwali, a rzadcy goście, którzy mogliby przyjść z nienacka, wiedzieli, że brama nigdy nie jest zamykana na klucz.

Po chwili, która mu się dłużyła, Zek ujrzał, jak uchyla się skrzydło, zza którego wychynęła łysina siedemdziesięciolatka sprawiającego wrażenie raczej zgrzybiałego. Zek się do niego uśmiechnął. Wszystko układało się po jego myśli.

– Czego chcesz? – spytał sucho Kazimierz.

– Chcę mówić z Señorem Pibrakiem.

Jeśli, jak słyszał od oszustów spotkanych na targu w Séverac, drugi mieszkaniec jest w tym samym typie, to rekonesans potrwa krótko i od razu będzie można przypuścić atak. Wystarczy wejść i upewnić się, że są naprawdę sami.

– Czego od niego chcesz?

Zek uśmiechnął się szeroko, odsłaniając dwa złote siekacze. Znał czarodziejskie zaklęcie. Obmacał się i wyciągnął plakacik.

– Ja po nagrodę.

Kazimierz rozwarł bramę, zaprosił go do środka i błyskawicznie za nim zamknął. Zek wzdrygnął się, dostrzegając drugiego starca, którego nie było widać z zewnątrz. Ten ostentacyjnie nosił zatknięty za pas rewolwer, a co gorsza, miał u swego boku brytana o pysku poznaczonym bliznami. Mimo pomarszczonej twarzy jego broda o dwóch szpicach i czupryna były kruczoczarne, bez najmniejszego siwego włoska.

– Ja jestem Hipolit Pibrac. Słucham cię.

Zek z trudem przełknął ślinę, z miejsca tracąc pewność siebie. Z tych dwóch emanowało coś nie dającego się określić, co w połączeniu z wysokim murem obwodowym i wznoszącymi się ku niebu halabardowymi ostrzami sprawiało, że czuł się nieswojo. Nawet nie drgnął, gdy obwąchiwał go pies.

– No więc? Chciałeś ze mną mówić?

– Znam *escondite* tych, których szukacie.

– Co znasz?

– Mówię, że wiem, gdzie jest kapitan Tomasz.

– Skąd wiesz, że to jego szukamy? Na plakacie nie ma żadnego nazwiska.

– Słyszałem, jak oni o tym mówią.

– Co mówili?

– *Bueno*, mówili o napadzie przy Wkleśłym Kamieniu, i stąd się dowiedziałem, co to za jedni.

Starzec o włosach farbowanych jak u kokietki zrobił krok w jego kierunku i spojrzał mu prosto w oczy. Zek poczuł na twarzy jego oddech. Cofnął się o krok i wpadł na łysęgo, który, jak się okazało, stał za nim. Jego oddech poczuł na szyi. Po prawdzie, nie tak sobie to wszystko wyobrażał.

– Gdzie oni są? Spróbował grać na zwłokę.

– Nie tak prędko! A skąd mam pewność, że mi dacie nagrodę, gdy wam ujawnię *escondite*?

Nazbyt zadufany w sobie, nie pomyślał o przygotowaniu jakiejś wiarygodnej historyjki. Jego plan polegał na wejściu do warowni, przekonaniu się, że są sami, unieszkodliwieniu ich i wydębieniu złota, nie tylko tego przeznaczonego na nagrodę, lecz i reszty, którą przecież musieli gdzieś trzymać. Zek nie dawał za wygraną: skoro ofiarowali pięć tysięcy, to znaczy, że mają dużo więcej. Gdyby tylko nie to potężne psisko, które nań warczało, no i jeszcze ten rewolwer za pasem byłego kata...

– A skąd my mamy pewność, żeś nie jest jednym z nich i że po prostu ich nie sypiesz? Żeś na nas nie zastawił ordynarnej pułapki?

Zek pobladł, co uszło uwagi tamtych z powodu jego oliwkowej cery. Przypomnił sobie przerażoną minę Tomasza, ilekroć wymawiał nazwisko Pibrac. Przypomnił sobie owo „nawet za milion nie zadzierałbym z Siódmym”. Zerknął ukradkiem na zamkniętą bramę, co upewniło Hipolita o jego złych intencjach. Wyciągnął swego dziesięciostrzałowego lefauchaux i odbezpieczył go.

– *Hombre, no!* – wykrzyknął Zek wybałuszając oczy, zaskoczony tempem rozwoju sytuacji.

– Przeszukaj go! – rozkazał Hipolit.

Zek stracił nadzieję. Kazimierz znalazł sześćstrzałowy rewolwer, długi zagięty nóż o rękojeści z macicy perłowej i piękny srebrny zegarek, który Cygan otrzymał przy podziale łupów. Był to zegarek подарowany przez Hipolita Henrykowi w dniu, gdy chłopiec potrafił już odczytać na nim godzinę.

Mając z tyłu depczącego mu po piętach Pazura, a z przodu wycelowane w pierś czarne oko lufy, Zek chcąc nie chcąc powłókł się za obydwojma starcami do kuchni o niskim belkowanym stropie, z którego zwieszały się warkocze czosnku, kiełbasy, szynki, woreczki z szalotką, kaczany kukurydzy.

Zręczność, z jaką Kazimierz posadził go i przywiązał do krzesła, uświadomiła mu, że wpakował się do jaskini byłego kata. Ujrzał, jak ów zabezpiecza broń i wkłada ją do brązowego skórzanego pokrowca, po czym z uśmiechem mówi do swego sługi:

– Idź po dyby. Wiesz, te po Drugim, są w lepszym stanie. Ale najpierw zrób nam kawy.

Pozostawiwszy więźnia, Kazimierz zakrzętnął się przy palenisku. Hipolit poszedł na górę, do swej pracowni-biblioteki, gdzie spodziewał się znaleźć rozprawę założyciela rodu o stosowaniu tego rodzaju kary, zniesionego w 1780 roku. Pazur ułożył się u stóp Cygana i

pozorował drzemkę.

Otworzył biblioteczkę o półkach uginających się pod ozdobnymi woluminami, Hipolit wziął do ręki gruby rękopis oprawny w szkarłatnoczerwony safian, na którym widniał herb rodu, i otworzył go na rozdziale: *O rzetelnym stosowaniu tortury zwyczajnej tudzież nadzwyczajnej.*

Ponieważ jego biurko było zavalone notatkami i dokumentacją do opracowywanego właśnie przezeń *Traktatu o krzyżowaniu*, wrócił do kuchni, usiadł przy stole w pobliżu Zeka i zaczął studiować drobiazgowo szkice założyciela rodu.

Po wypiciu kawy Kazimierz wstawił filiżanki do szaflika i wyszedł z kuchni, by powrócić do niej parę chwil później, niosąc cztery dębowe dziurkowane deseczki, osiem również dębowych klinów i posrebrzany młoteczek, które położył na stole.

– *Hé! Qué es todo esto?* – zaniepokoił się Zek.

Wbrew jego gwałtownym protestom obaj starcy założyli okulary i zaczęli wiązać deszczułki parami wzdłuż jego nóg, mocując je skózanymi rzemykami, które przewlekali przez dziurki.

– Dobra – powiedział Hipolit, gdy wszystko było gotowe. – Teraz poddamy cię torturze zwyczajnej, czteroklinowej. A jeśli to nie poskutkuje, zastosujemy nadzwyczajną, ośmioklinową. Zobaczysz: jak powiada mój przodek, nie ma lepszego sposobu, by wyznaczyć nawet to, czego się samemu nie wie...

– *Lo sento mucho, Señor Pibrac, pero no entiendo nada de lo que dice.*

– Co on mówi? Nic z jego szwargotu nie rozumiem.

– On chyba mówi, że nie kapuje, o co nam chodzi – przetłumaczył Kazimierz.

Hipolit wetknął pierwszy klin między dwie pierwsze deseczki i wbił go młoteczką, co spowodowało ściśnięcie nogi pozostałymi deszczułkami. Cygan wrzasnął. Pazur zerwał się, nastawiając uszu.

Swym siedemnastowiecznym młoteczką Hipolit wbił następny klin, jeszcze większy. Zek ponownie zawył, po czym zemdlał. Ocuciło go parę dźwięcznych policzków. Jeszcze jeden klin, i jego kości trzasnęły jak suche drewno. Załkał. Nigdy jeszcze tak nie cierpiał. Ból ogarnął jego udo, przeszył pachwinę i sięgnął do wnętrzości, skręcając je tak, jak wyżyma się wypraną bieliznę.

– Przestańcie, *por favor*, powiem wszystko. Wszystko, wszystko...

Zek określił lokalizację wszystkich kryjówek bandy, wymienił imiona i przydomki każdego po kolei, szczegółowo opisał ich wygląd i długo wyliczał ich występki, nie wyłączając ostatniego, przy Wklęsłym Kamieniu.

– Po co było dręczyć dziecko?

– To Tomasz! Kapitan! Chciał się dowiedzieć, gdzie jest forsa. Mówił, że podróżni zawsze ją mają przy sobie. Myślał, że gdy przypiecze *niño*, to *cabrón* wygada... hmmm, znaczy jego tatuś. Ale on nic nie powiedział...

W oku Hipolita zaświeciły łzy.

– W ten sposób chronił Adelę – powiedział do Kazimierza, też bardzo wzruszonego. – Gdyby ci mordercy wiedzieli, że to ona ma sakiewkę, przeszukaliby cały las, aż by ją znaleźli. Milcząc, gdy na jego oczach torturowano Antoniego, ocalił Saturnina i byłby ocalił Adelę, gdyby nie została ranna...

„Mój biedny Henryk, to musiało być potworne”, pomyślał stary człowiek, wcisnął czwarty klin i z całej siły uderzył w niego, łamiąc kości piszczelową i strzałkową Cygana, który wydał z siebie przeciągły, ochryply jęk i znów stracił przytomność.

– Przodek pisze, że nie spotkał kości, która by wytrzymała czwarty klin. Widzisz, i tu ma rację.

– Robimy drugą nogę? – zapytał Kazimierz szczypiąc policzki Zeka, by go ocucić.

– Mam lepszy pomysł. Jeśliś się jeszcze nie zmęczył, montujemy maszynię i tniemy go przepisowo. To prawie legalne, my tylko uprzedzamy wyrok.

– Ja zmęczony? – spytał Kazimierz z udanym oburzeniem. – Gdzie ją ustawiamy?

Hipolit wyszedł na podwórze, by przyjrzeć się niebu i chmurom.

– Nie będzie padało, więc można ją poskładać na dworze. Chodź, przypomnimy sobie naszą piękną młodość.

Kazimierz wskazał na straceńca.

– Zostawimy go w kuchni?

– Nie, zabierzemy go. Będzie miał czas zrozumieć, co go spotyka.

Jak powiedzieli, tak zrobili: były kat i jego sługa wzięli na ręce wciąż nieprzytomnego Cygana i zanieśli go do szopy, w której przechowywali przybory do wykonywania najwyższego oraz niższych wymiarów kary. Kazimierz otworzył podwójną bramę i zablokował kamieniami jej obydwie skrzydła.

Rozrzutność nie była u Pibraków w zwyczaju, toteż wszystko, czego używały poprzednie pokolenia w ramach swych obowiązków służbowych, zakonserwowano, skatalogowano i przechowywano. Słupy szubienic wraz z drabinami, pręgierz, a nawet belki krzyża św. Andrzeja, na którym łamali trzej pierwsi Justynianowie, zanim zniesiono tę karę – wszystko to było rozmontowane i poukładane na szerokich, solidnych regałach. Starannie ponumerowane deski z prowansalskiej dębiny, odzyskane z szafotu mistrza Calzinsa, piętrzyły się obok składanego szafotu pomysłu Justyniana III (Mściciela), w którym poszczególne części zazębiały się ze sobą bez jakichkolwiek kołków, gwoździ czy śrub. Było też z dziesięć pieńków katowskich z wyłobieniami pośrodku od ciągłego używania – ustawionych wzdłuż ściany. Trochę dalej poskładana w skrzyniach osobista rodzinna gilotyna wynaleziona i wykonana również przez Justyniana III, bezsprzecznie najbardziej pomysłowego z całego rodu. Nawiasem mówiąc, jego innowacje lepiej świadczyły o zamiłowaniu do majsterkowania niż o czysto ludzkiej wrażliwości.

Gdy Zek odzyskał przytomność i otworzył oczy, nie od razu pojął, co ci dwaj straszliwi

starczy wyprawiają z tymi wszystkimi kawałkami drewna. Wciąż ściśnięta dybami jego prawa noga była już tylko masą połamanych kości i posiekanych mięśni. Jego stopa podwoiła objętość i przybrała barwę fioletową.

– *Mi pierna, mi pierna* – wybełkotał.

Ból przyprawił go o mdłości, w uszach mu gwizdało. Nagle zastygł w bezruchu: Hipolit i Kazimierz ustawili dwie podpórki, które rozpoznał ze zgrozą. Trzy lata wcześniej był przejazdem w Bourg-en-Bresse, gdy na tamtejszym Polu Marsowym wykonywano wyrok na Józefie Vacher, rozpruwaczu pasterek. To wówczas Zek ujrzał po raz pierwszy gilotynę.

– *No, hombre, eso no se puede...* Potem ryknął.

Niechętnie odrywając się od roboty, podeszli, by go uciszyć. Jak oszalały, Zek niczego nie przyjmował do wiadomości i zawodził w najlepsze, denerwując kury dziobiące ziarno na podwórzu.

Zakneblowali go, potem wrócili do dzieła, które ukończyli po pół godzinie. Zek zobaczył, jak wchodzi do katowni, a po jakimś czasie z niej wychodzą umyć i przebrani. Hipolit miał na głowie cylinder, Kazimierz zaś – melonik.

Zdjęli z niego dyby i odwiązali go od krzesła. Z ozdobnego, skórzanego pokrowca Kazimierz wyciągnął parę wielkich srebrnych nożyc o zaokrąglonych końcach, po czym obciął mu włosy na karku, a także kolorowy kołnierzyk, który Hipolit włożył do kieszeni.

Ponieważ nie mógł iść o własnych siłach, ponieśli go na rękach do gilotyny, gdzie bez ceregieli ułożyli go na desce, która przechyliła się do przodu. Zek wyprężył kark, wygiął grzbiet. Nóż spadł, a głowa wleciała do cebrzyka z brązu ozdobionego herbem Pibraków.

– Widzisz, Kazimierzu, to nam ich nie przywróci, ale przynajmniej przyniesie ulgę.

Zeka pogrzebali w parku, pod młodym dębczakiem, by użyłnił ziemię.

– W ten sposób, choć raz w życiu, na coś się przyda – skomentował Hipolit.

Maszynę rozmontowano, wyczyszczono i złożono w szopie. Kazimierz wymył bruk chlustając nań całymi wiadrami wody, a Hipolit zasiadł przy swoim biurku, otworzył rodzinną księgę, którą skrupulatnie prowadził, odkąd ukończył czternaście lat, i szczegółowo opisał ów pamiętny dzień 22 maja 1901 roku.

Dzięki informacjom dostarczonym przez imć Pibraka żandarmi w parę dni później wytropili bandę Tomasza wypoczywającą w ruinach młyna w Roquelaure, gdzie się zadekowała po zniknięciu Cygana z Estremadury.

Po dwudziestu minutach zacieklej regularnej bitwy palipiętowie poddali się z braku amunicji. Ducasse i Kénavo zginęli na miejscu, Mariusz był lekko ranny w udo, Guezowi, Raflette'owi i Tomaszowi nic się nie stało.

Dowiedziawszy się z lokalnej prasy, że jeden z najstarszych katowskich rodów jest zamieszany w całą sprawę, paru dziennikarzy ze stolicy wybrało się w uciążliwą podróż, by śledzić przebieg procesu. Nigdy, od czasów sprawy Fualdèsa, osiemdziesiąt trzy lata wcześniej, prowincja Rouergue nie cieszyła się tak powszechnym zainteresowaniem.

Niecierpliwie oczekiwane zeznanie Hipolita, a szczególnie jego zakończenie, wywołało mieszane reakcje. Zwracając się ku ławie oskarżonych, stary człowiek wymierzył w nich palec wskazujący i rzucił ochryłym głosem:

– Drżycie, zbrodniarze, jesteście przekłeci! Uprzedziłem Belzebuba: czeka na was we własnej osobie u wrót piekła!

Tomasz padł na kolana i ukrył twarz w dłoniach. Na wypełnionej po brzegi sali wszystkie kobiety jednocześnie się przeżegnały, kilku mężczyzn zrobiło to samo. Dziennikarze natomiast nie posiadali się z uciechy. Po takim dictum ich delegacja musi się opłacić. Nikt nie zwracał uwagi na Leona, który – pełen wstydu – wymknął się z sądu ze szkarłatnymi policzkami, uszami i czołem.

Jeszcze gorzej poczuł się nazajutrz, gdy przeczytał w gazetach: *Skandal w sądzie, Przekleństwo kata Pibraka*. Osiodłał konia i pogalopował do katowni.

– Mogłeś nam zaoszczędzić takiego skandalu! – rzucił ojcu, ciskając gazety na stół. – Pewnie ci mało ostracyzmu, trzeba nas jeszcze wystawić na pośmiewisko departamentu i całej Francji.

Wskazał na paryskie publikacje.

Hipolit z Kazimierzem rozłożyli gazety i pograżyli się w lekturze, wybuchając śmiechem przy niektórych fragmentach, wymieniając między sobą strony i z rozbawieniem oglądając zamieszczone tam szkice z sali sądowej.

– Przecież poznałeś tradycję – zdziwił się Hipolit. – Co cię obchodzi obmowa? Zawsze istniała i istnieć będzie. Czyżby ci już nic nie zostało z ćwiczeń uodparniających?

Wprowadzone przez Justyniana Pierwszego, polegały one na przyzwyczajaniu się do ostracyzmu pod każdą postacią poprzez jego analizowanie, a także wprawianie się w odpowiedziach (przeważnie beczelnych) na sześćset kilkadziesiąt możliwych pytań sklasyfikowanych i systematycznie aktualizowanych przez kolejnych siedmiu Justynianów.

– To, co wypisują te gryzpiórki, nie ma najmniejszego znaczenia. Robią to zresztą nie po raz pierwszy. Idzie o to, Leonie, że przeklinając to ludzkie robactwo, napędziłem im stracha nawet w ostatniej godzinie. Zwłaszcza ich hersztowi. Widziałeś jego minę?... To się liczy, rozumiesz? A przecież to dopiero początek...

Leon zachnął się.

– Ojczy, zaklinam cię. Przestań się popisywać. Pomyśl o Saturninie, który w tym roku pójdzie do szkoły.

– Myślę, o to się nie martw. Pamiętam jednak również o Henryku, Adeli, Antosiu i Bercie. Czyżbyś już zapomniał, ile oni się przez nich nacierpieli? A jeżynowe zarośla, Leonie? Pamiętasz, cośmy w nich musieli robić?

* * *

Proces palipiętów z Aveyronu trwał aż osiem miesięcy. Tomasz Lerecoux, Raflotte, Guez z Nîmes i Mariusz zostali skazani na śmierć. Ich adwokaci wrócili pociągiem do Paryża i poprosili o łaskę prezydenta Loubeta, który jej odmówił. Wyznaczono datę wykonania wyroku. Do Auteuil, gdzie mieszkał Anatol Deibler, udał się policjant, by mu wręczyć nakaz wyjazdu na poczwórną egzekucję w departamencie Aveyron.

Anatol uśmiechnął się.

– Dokąd to? – zapytał Ludwik, jego ojciec, który ze swego fotela rozpoznał różowy formularz.

– Do Bellerocaille. Palipiętowie z Aveyronu. Poczwórna.

Poszarzałe oblicze emerytowanego kata rozjaśniło się.

– Pozdrów ode mnie Siódmego i Kazimierza. A jeśli będziesz miał czas, poproś, żeby ci pokazał swoją Ludwinę, „maszynię”, jak ją nazywa: istne cudenko.

* * *

Skrzyżowawszy ręce ponad swoim lefauchteux, w niemodnym cylindrze, ze świeżo ufarbowanymi włosami i brodą, Hipolit ciekawie przyglądał się lokomotywie wjeżdżającej na nowy dworzec w Bellerocaille. Obok niego, przewiesiwszy przez ramię dwururkę, w butach z wysokimi cholewami stał Kazimierz, zauroczony widokiem maszyny, przez którą, jak powiadano, krowom kwaśniej mleko w wymionach.

Chociaż na peronie było tłoczno, wokół nich wytworzyła się „naturalna” próżnia oddzielająca ich od tłumu.

Pośród zgrzytu hamulców i syków buchającej pary pociąg stanął. Podróżni wysiedli. Zapanowało ożywienie. Powoli dworzec pustoszał i wkrótce pozostali tylko Hipolit z Kazimierzem, którzy nie ruszyli się nawet o krok. Wówczas otwarły się drzwiczki wagonu pierwszej klasy i po stopniach zszedł mężczyzna około czterdziestki, przyzwoicie ubrany, krępy, o twarzy ozdobionej wąsikiem i rudą bródką. Nosił matowy cylinder, a za nim kroczyło czterech ludzi w melonikach.

– Nareszcie – powiedział Hipolit wychodząc im na spotkanie i witając ich z uśmiechem.

Ostatni raz widział się z Anatolem Deiblerem w poprzednim roku podczas Wystawy Światowej.

Dobre stosunki między egzekutorami z Rouergue a ich paryskimi kolegami po fachu nawiązane zostały jeszcze w 1689 roku, podczas pierwszej podróży Justyniana Pierwszego do stolicy. Zaprzyjaźnił się tam z Karolem Sansonem, także pierwszym w swojej rodzinie katem i również zmuszonym przez okoliczności do przyjęcia tego statusu. Gdy w 1847 roku odwołano ostatniego z Sansonów, Henryka Klemensa VI, za to, że oddał pod zastaw w jakiejś grze hazardowej swoją służbową gilotynę, Pibrakowie podtrzymywali bliskie kontakty z jego następcami. Protoplasta poznał też Andrzeja Ferey, sześćdziesięciodwuletniego

Normandczyka, głównego egzekutora w Rouen, tak samo zdjętego ze stanowiska wskutek poważnego uchybienia zawodowego. Był akurat w teatrze, gdy go wszędzie poszukiwano, by mu wręczyć nakaz pięciokrotnej egzekucji. Trzeba ją było przełożyć, co wywołało nieopisaną wrzawę. Jego miejsce zajął Jan Franciszek Heidenreich, dobry znajomy Hipolita. Ściął on sto osiemdziesiąt dwie głowy, a umierając pozostawił jako następcę swego pomocnika Mikołaja Rocha, któremu dane było ściąć ich ledwie osiemdziesiąt dwie, zanim trafiła go apopleksja. Wtedy nominację otrzymał Ludwik Deibler, jego asystent pierwszej klasy, potomek starego rodu oprawców i katów z Wirtembergii.

Zgromadziwszy na swym koncie sto pięćdziesiąt cztery głowy w ciągu dziewiętnastu lat, Ludwik, gdy przestało mu dopisywać zdrowie, przekazał pałeczkę swemu synowi Anatolowi, który mu pomagał już od dziesięciu lat.

– Jak się miewa twój ojciec? – zapytał Hipolit po serdecznym uścisku dłoni.

– Jako tako – odrzekł Anatol. – Ale kiedy się dowiedział, że jadę tu ścinać, chciał się ze mną zabrać. Rozalia musiała wezwać lekarza, żeby mu tego zabronił.

Zawiadowca stacji przerwał tę wymianę uprzejmości, by zapytać, co zrobić z „bagażem” jegomościów. Nie śmiał wymówić słowa gilotyna.

– Po prostu załaduj go do naszego furgonu. Specjalnie nim przyjechaliśmy – zaproponował Hipolit Deiblerowi. – Zostawimy ją w ratuszu, a potem pojedziemy do katowni.

Anatolowi przypadły do gustu takt i zapobiegliwość gospodarza. Dusigrosz w każdym calu, bał się, że będzie musiał wynająć powóz, z niemałym uszczerbkiem dla swojego portfela. Czyż w Paryżu nie powiadano, że jeden Aveyrończyk wart jest dwóch Owerniaków?

– Tłumaczyłem im na wszystkie sposoby, że praktyczniej i oszczędniej byłoby, gdybyś używał naszej, ale do tych bałwanów urzędasów nic nie dociera – wyjaśnił Hipolit, nadzorując rozładunek skrzyń na peronie i przenoszenie ich do furgonu, świeżo pomalowanego, odkąd zwrócili mu go żandarmi po odebraniu palipiętom.

Po drodze z dworca na plac Dziurski, w górnym mieście, gdzie znajdowało się merostwo, paryżanom nie zbywało na atrakcjach.

Podobnie jak w przypadku Larague-Garou, czarownicy, która zjeżdżała niekiedy do miasta, by zaopatrzyć się w ostre przedmioty, rzadkie przejazdy Hipolita budziły zawsze żywe zainteresowanie. „Widziałem kata”, mówili ci, którzy go minęli, takim samym tonem jak: „Widziałem czarnego kota, co przechodził pod drabiną.” Wyprostowany w swym powozie, z obliczem nieprzeniknionym pod rondem kapelusza, odpowiadał skinieniem głowy tym, którzy ośmielali się go pozdrawiać: przeważnie ludziom, których wyleczył lub którym przyniósł ulgę dzięki swym zdolnościom znachorskim.

– Patrzcie na staruchę! – krzyknął Leopold, asystent pierwszej klasy. – Przeżegnała się na nasz widok. Toż to prawdziwe średniowiecze.

Anatol natomiast był bardziej wrażliwy na uniżoność, z jaką inne wehikuły ustępowały z

drogi czarno-czerwonemu furgonowi. Przecież w Paryżu czegoś takiego by nie uświadczyl. Zresztą w Paryżu, z wyjątkiem sąsiadów i dziennikarzy, nikt go nie rozpoznawał... Pozazdrościł temu staruszkowi, który tak spokojnie dożywał swoich dni jako wyrzutek społeczeństwa. „Mam nadzieję, że w jego wieku będę równie krzepki, nie wiem jednak, czy starczy mi tupetu, by farbować sobie włosy, jeśli mi jeszcze jakieś zostaną, zważywszy na tempo ich wypadania. A ten Kazimierz, jak on się trzyma i jaki butny! Prawdziwy pacholek szafotowy z czasów Ancien Régime’u. Och, ci dwaj są niezrównani...”

Po złożeniu gilotyny w zamykanej na kłódkę wozowni przy merostwie i dopełnieniu formalności administracyjnych furgon ruszył ulicą Proszą i zjechał ku dolnemu miastu i mostowi Republiki.

– Do diabła! – wykrzyknął Anatol, gdy ze skrzyżowania Sądu Ostatecznego ujrzeli katownię. – Nawet sobie nie wyobrażałem, że jest tak okazała. To prawdziwa forteca.

* * *

Kolacja dobiegała końca w dobrym nastroju. Hipolit i Anatol gawędzili pałac, asystenci, rozpiąwszy pasy, słuchali ich popijając śliwownicę. Gospodarz o wszystko zadbał: najpierw podano im pyszną zupę czosnkową z grzankami, następnie w dużym wyborze wędliny, które pochłonęli na chlebie smakującym jak ciasto, z kolei przyniesiono pieczeń z zająca w pikantnym sosie, do tego purée z kasztanów podlane oliwą i posypane przypiekanym czosnkiem. Potem była sałatka z cykorii, pięć gatunków sera, a na deser ciepłe ciasto z nadzieniem migdałowym, rozkosz dla podniebienia najwybredniejszych smakoszy. Pili znakomite czerwone wino. Na zakurzonych butelkach widniał herb rodu i napis: „Winnice Pibraków”.

Wprawdzie wszyscy zauważyli, że Hipolit pije tylko czystą wodę, jednak nikogo to nie zdziwiło. W środowisku powszechnie znane były powody jego abstynencji: otrzymawszy polecenie ścięcia młodej i ładnej aborcjonistki, dwudziestoletni Hipolit uznał za stosowne uspokoić nerwy paroma kieliszkami rumu. Wszystko przebiegało gładko do chwili, gdy zobaczyła gilotynę. Wtedy rzuciła się do ucieczki i trzeba było użyć wobec niej siły. Ponieważ alkohol przytępił mu refleks, Hipolit popełnił niezręczność, którą szelma wykorzystała gryząc go okrutnie w rękę. Tak okrutnie, że trzeba było amputować jeden paliczek serdecznego i dwa – małego.

Na dworze wiatr dał i hulał po kominach, wyjąc niczym smok w potrzasku. Kazimierz dorzucił dREW do paleniska. Hipolit wypił haust pokrzywowego naparu i podjął swą tyradę przeciw prawu z 1872 roku, które likwidując szafot zmusiło egzekutorów do pracy bezpośrednio na ziemi.

– Pamiętam, że pomyślałem: „To początek końca.” Bo przecież, Anatolu, szafot symbolizuje przykładność. A przykładność nie da się oddzielić od reklamy. Można by

pomyśleć, że oni wstydzą się swoich wyroków i próbują zniechęcić ludzi do oglądania ich następstw. Weź chociażby tę niesłychaną porę, o której każą ci ciąć jutro: siódma rano! Czemu w takim razie nie o północy, jak jakiegoś mordercy?

– Nie sposób tego lepiej wyrazić. Od jakiegoś czasu po kancelarii chodzą rozmaite słuchy: podobno mają zamknąć dostęp dla publiczności i dokonywać egzekucji w murach więzienia, na dziedzińcu.

Hipolit szeroko otworzył oczy.

– Zadziwia mnie taka nieodpowiedzialność. Niestety, najgorsze jeszcze przed nami, jeśli ten bałwan Fallières zostanie wybrany.

– Wiem, wiem – odrzekł ponuro Anatol.

Armand Fallières był zdecydowanym abolicjonistą. Podobnie jak Wiktor Hugo, znieawidzony przez Hipolita. Po śmierci poety w roku 1885 na mszę za jego duszę w kościele Św. Wawrzyńca Hipolit przyszedł ubrany na czerwono, śmiał się szyderczo podczas kazania i wyszedł przed końcem waląc podkutymi butami w kamienną posadzkę. Dzienniki napiętnowały jego zachowanie. Kazimierz powycinał artykuły i powklejał je do specjalnej księgi. U Pibraków naprawdę niczego nie wyrzucano.

Anatol skrzył kolejnego w tym dniu papierosa, powtarzając sobie po raz nie wiadomo który, że za dużo pali, gdy Hipolit zagadnął go bez ogródek:

– Chcę cię poprosić o przysługę. Ale trzeba ci wiedzieć, że jeśli odmówisz, nie będę miał do ciebie najmniejszego żalu.

– Słucham.

– Chciałbym ci pomagać jutro.

Jako naczelny wykonawca wyroków kryminalnych, Anatol był władny zatrudnić, kogo tylko chciał. Aczkolwiek pomysł nie przypadł mu do gustu (przeczuwał komplikacje), zgodził się, by nie sprawić przykrości jednemu przyjacielowi swego ojca. Ponadto Hipolit był prawdziwą żyjącą legendą w tym hermetycznym światku sześćdziesięciu pięciu katowskich rodzin i zawsze bardzo mu imponował.

* * *

Szary i chłodny świt wstawał nad Bellerocaille, gdy Kazimierz zatrzymał lando przed dawnym starostwem, na którego frontonie kamienny herb Boutefeux sąsiadował z trójkolorowym sztandarem. Oddział 122 Pułku Piechoty czekał, złożwszy broń w kozły pod murem.

Anatol wyniósł gilotynę z wozowni, a pomocnicy przystąpili do jej montowania pośrodku placu Dziurskiego. Pojawili się pierwsi gapie w szczelnie pozapinanych paltach, a w zimnym powietrzu buchała z ich ust para.

Przez ten czas Hipolit siedział w powozie. Kazimierz zawiózł go na ulicę Smoczą, gdzie

właśnie otwierano piekarnię Leona. Jego kulawa synowa z pomocą wiejskiej służącej sprzedawała towar pierwszym klientom.

– Dzień dobry, Hortensjo, przychodzę po Saturnina. Dzień dobry, mała – powiedział do służącej, która się zarumieniła.

Zauważył, jak skwapliwie jego synowa usiłuje go ukryć przed oczami klienteli, niemal wpychając na zaplecze, gdzie jadły śniadanie dzieci wraz z wdową Emilią Bouzouc, która się przeżegnała. Hipolit udał, że jej nie dostrzega, i uśmiechnął się do Saturnina, który odstawił kubek pełen kawy z mlekiem, by się z nim przywitać.

– Skończ śniadanie, mamy jeszcze czas. Hortensja nie mogła się powstrzymać:

– Czy myślisz, teściuniu, że to naprawdę odpowiednie widowisko dla dziecka w jego wieku?

– Zapominasz, że nie jest pierwszym lepszym dzieckiem. To Pibrac! Ósmy! Poza tym ma pierwszą i ostatnią okazję przyjrzeć mi się przy robocie.

Hortensja przestała skubać złoty krzyżyk wiszący na jej szyi.

– Weźmiesz udział w egzekucji?

– Dlaczego robisz taką głupią minę? Czyż oni mi nie ukatrupili syna, wnuka i synowej? Nie mówiąc o Bercie, która zmarła ze zgryzoty.

– Leon! – krzyknęła Hortensja w kierunku pieca. – Słyszałeś, co mówi twój ojciec? Za chwilę zabawi się w kata.

Leon zjawił się natychmiast, zaniepokojony, z rękami białymi od mąki.

– Chyba jednak nam tego nie zrobisz? To niemożliwe, nie masz prawa!

– Prawa? To nie prawo, to obowiązek. A gdybyś nie został... no, tym... piekarzem, to byś zrozumiał.

– Ale pomyśl, co to będzie za skandal. Całe miasto cię zobaczy.

– Właśnie o to mi chodzi. To mi przypomni młodość.

Saturnin pospiesznie dopijał kawę z mlekiem, gdy Pafnucy, jego kuzyn, powiedział:

– Proszę pana, ja bym też chciał pójść.

Hortensja dała mu w twarz.

* * *

Plac Dziurski był zatłoczony; okna domów z pruskiego muru były pełne widzów niecierpliwących się na mrozie. Balkony „Smacznego Jadła” zostały wynajęte prasie, licznie reprezentowanej. Jedyne dysonans: brak szafotu, sprawiał, że większość ludzi mogła oglądać wyłącznie szare niebo. Niektórzy wspięli się na słupy latarni gazowych rozmieszczonych wokół placu i relacjonowali przebieg wydarzeń tym, co stali na dole.

– A co teraz robią?

– Zakończyli montaż gilotyny, a tacy dwaj niosą wiklinowe kosze.

– A kat, jaki on jest?

– Ubrany po mieszczańsku. W szapoklaku. Wygląda na takiego, co swoje wie... Tylko nie rozumiem, co przy nim robi ten pętaś... No, nareszcie, już po nich idą...

Napięcie wzrosło jeszcze o parę stopni.

* * *

Przeniesieni w przeddzień, skazańcy spędzili swoją ostatnią noc w dawnych podziemiach starostwa, przekształconych za Rewolucji w lochy.

Z wyjątkiem Rafllette'a, poróżnionego z Bogiem, trzech palipiętowie gorliwie się modlili na klęczkach przed wojskowym kapelanem.

Weszli: mer Bartłomiej Boutefeux, przepasany trójkolorową szarfą, prokurator, adwokaci, lekarz sądowy, komendant Calmejane w mundurze i parę innych osób, a za nimi Anatol, jego pomocnicy oraz Hipolit. Chociaż większość dygnitarzy ubolewała nad jego obecnością, nikt nie śmiał się wtrącać z obawy przed jego nieprzewidywalnymi i zawsze gwałtownymi reakcjami.

Saturnin pozostał przy gilotynie z Kazimierzem, który tłumaczył mu jej działanie.

Siląc się na uroczysty ton, mer oznajmił, że prośba o łaskę została odrzucona.

– Można się było tego spodziewać – zadrwił Rafllette wskazując otwarte lufciki, przez które dobiegała wrzawa niecierpliwego tłumu.

– Sprawiedliwości niech się stanie zadość – dodał były baron, zwracając się do Deiblera, który tylko na to czekał.

– Do dzieła – powiedział swym ludziom, a ci zaczęli wiązać ręce i nogi skazańców.

Następnie obcięto im włosy i kołnierzyki. Hipolit pozbiarał je i bez słowa schował do kieszeni. Anatol uśmiechnął się pobłaźliwie, odczytując tekst wytatuowany na szyi Gueza z Nîmes.

Rafllette zgodził się na kieliszek rumu i papierosa, pozostali odmówili tłumacząc, że nie chcą stawać przed Bogiem z nieświeżym oddechem.

– Przed BOGIEM? – sarkastycznie zapytał Hipolit wpatrując się w Tomasza.

Kapitan wzdrygnął się, podobnie jak mer.

– No już, panie Pibrac! Rozumiemy pański ból, ale bez przesady!

* * *

– Idą – oznajmili ci, co tkwili na latarnianych słupach, kiedy skazańcy wychodzili z merostwa.

Dostrzegłszy podwójny kordon żołnierzy otaczający gilotynę, Rafllette, kroczący na czele, krzyknął stentorowym głosem:

– Prezentuuuuuj... broń!

Wszyscy wykonali rozkaz. Lufy się uniosły, dłonie klasnęły o kolby. Wówczas usłyszano sarkanie oficera, dowódcy oddziału:

– Przecież ja nic nie powiedziałem! To kto inny! Wieść o incydencie obiegła cały plac, który pokładał się ze śmiechu.

Na znak dany przez Anatola jego asystenci ustąpili miejsca Hipolitowi i Kazimierzowi, którzy pochwycili Raflette'a. Nie minęło osiem sekund, a jego głowa spadła. Gdy tylko nóż był znów gotów do użytku, przysła kolej na Mariusza. Wiklinowy kosz, już pełen, zmieniono. Guez i Tomasz modlili się z zamkniętymi oczami. Dwaj starcy capnęli pierwszego z nich. Nóż spadł po raz trzeci.

Następnie Hipolit z Kazimierzem złapali Tomasza i poczuli, że drży. To, co się stało później, trwało tylko kilka sekund, lecz relacje z tej krótkiej chwili wypełniły łamy dzienników.

Zamiast położyć Tomasza na brzuchu, obaj kamraci położyli go na grzbiecie. Hipolit trącił Anatola ramieniem i sam pociągnął zawleczkę krzycząc do rzezimieszka:

– Popatrz, co się stanie.

* * *

Po klątwie – zemsta byłego kata Pibraka, Skandaliczna egzekucja w Aveyronie. Kat gilotynuje na opak, Sadyzm czy niedbalstwo? – oto tytuły, jakie pojawiły się w prasie. Białka oczu Leona przybrały barwę jaskrawożółtą: zmogła go piorunująca żółtaczka. Anatol Deibler opuścił Bellerocaille, nie uściskawszy ręki Hipolitowi. Nie wybaczył mu samowolnego uruchomienia noża.

– To, co pan zrobił, można uznać za morderstwo z premedytacją. Wie pan lepiej niż ktokolwiek, że ścinać może tylko naczelny egzekutor.

– Nie gniewaj się, przyjacielu, przecież to on osobiście przypalił Henryka i Antosia. No więc, gdy nadeszła taka chwila, po prostu nie mogłem się powstrzymać.

Rozdział III

Leon powoli wygrzebywał się z choroby, bez końca obmyślając zemstę na swym kompromitującym ojcu, i to taką zemstę, która by go ugodziła prosto w serce (lub w wątrobę).

– Teraz już przebrał miarę, trzeba coś zrobić – trąkotała mu nad uchem Hortensja.

– Zgoda, ale co?

– Nie mógłbyś się go wyprzeć publicznie? Tak żeby wszyscy wiedzieli, że nie mamy z tym starym wariatem nic wspólnego?

– Jego nie obchodzi, co sobie pomyślą inni, on się nawet w tym specjalnie szkolił... Mówię ci, że jedynym rozwiązaniem byłoby wyjechać z Bellerocaille do Paryża. Mielibyśmy spokój, bo tam nazwisko Pibrac nic nikomu nie mówi.

– Co to, to nie!

Pomysł wpadł mu do głowy, gdy przestał się nad nim zastanawiać.

– A gdyby tak zmienić nazwisko? To znaczy zmienić oficjalnie... To można zrobić, jeśli się przedstawi poważny powód. Kto jak kto, ale my taki powód mamy.

– I jak byśmy się nazywali?

– Czy ja wiem?... Jak ci się będzie podobać. Do wyboru, do koloru. Ale przyznasz, że nie ma lepszego sposobu, żeby się od niego odciąć.

Gdy tylko mógł wstać z łóżka, Leon udał się do merostwa, gdzie urzędnik poinformował go, że aby zmienić nazwisko, trzeba uprzednio ogłosić swój zamiar w „Dzienniku Urzędowym” oraz w gazetach w miejscu swego urodzenia i w miejscu zamieszkania.

– To uczyniwszy, skieruje pan do ministra sprawiedliwości podanie w dwóch egzemplarzach, wyjaśniające powody zmiany pierwotnego nazwiska. Niech pan nie zapomni do niego dołączyć wszystkich możliwych dokumentów na poparcie swojej prośby, a także egzemplarzy gazet, w których będzie zamieszczone wymagane ogłoszenie.

Leon skrupulatnie wypełnił polecenie, dodatkowo załączając artykuły opisujące wyczyny jego ojca podczas procesu, a następnie egzekucji palipiętów.

Negatywna odpowiedź kancelarii zmartwiła go, lecz nie zniechęciła. Za zgodą Hortensji, pojechał pociągiem do Albi, gdzie mieszkał mecenas Mikołaj Malzac, jeden z najlepszych cywilistów południowo-zachodniej Francji, jedyny, który chełpił się, że nigdy nie przegrał

procesu.

Lokaj w liberii wprowadził Leona do okazałej rezydencji adwokata na ulicy du Tendat, nad brzegiem Tarnu. Nawet nie zwracając uwagi na wyszukane, kosztowne umeblowanie, piekarz wyłożył od razu cel swej wizyty.

– Nazwisko mego ojca stało się zbyt wielkim ciężarem. Już nie mogę z nim wytrzymać. Moja żona nie może. Moich troje dzieci nie może. Zapragnąłem zatem je zmienić, ale administracja nie uznaje moich powodów za wystarczające i odmawia mi tego prawa.

– Przepraszam, a co to za nazwisko?

– Jestem Pibrac – odpowiedział Leon, wpatrując się z zakłopotaniem w czubki swoich butów.

Adwokat pokiwał głową ze współczuciem.

– Rozumiem. A jak by pan chciał się nazywać?

– Moja żona i ja pomyśleliśmy, że może Bouzouc: to nazwisko świętej pamięci mojego teścia.

– Tak, tak. Czy spełnił pan wymogi procedury? Leon wręczył mu odrzucone podanie. Malzac przejrzał je pobieżnie.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Niech pan skłoni kancelarię do zmiany decyzji. Niech pan im wytłumaczy, że nazywać się Pibrac w Rouergue to nieustanna udreka. Tak jakby pan się nazywał Ravailiac lub Troppmann.

– Przecież pański ojciec to nie żaden królobójca ani morderca, przynajmniej w rozumieniu prawa.

– Po tym, co ostatnio zrobił, można mieć wątpliwości.

– Ale pan nieprzejednany! Śledziłem ten proces jak wszyscy i mogę pana zapewnić, że nawet aplikant potrafiłby wykazać, że pańskim ojcem powodowała rozpacz.

Zaintrygowany osobowością swego gościa, adwokat zgodził się poprowadzić jego sprawę. I jemu, swego czasu, piastunka groziła, że jeśli nie skończy zupki, to pożre go żywcem Pibrac.

* * *

Spadkobierca rodziny właścicieli ziemskich, wzbogaconej za Rewolucji wykupem dóbr narodowych, Mikołaj Malzac mógł wieść spokojny żywot i w pełni oddawać się swej namiętności do antyków, gdyby nie odkrył w sobie zamiłowania do procesów i matactw, które skłoniło go do pójścia na studia prawnicze.

Swoją renomę Malzac zawdzięczał sprawie, którą wytoczył potężnemu Towarzystwu Kolei Żelaznych, po przedziurkowaniu przez kontrolera jego biletu. Wykazawszy dobitnie, że raz zakupiony bilet staje się niezbywalną własnością nabywcy na tej samej zasadzie co dom,

koń wyścigowy lub znaczek pocztowy, Malzac oskarżył Towarzystwo o „uszkodzenie dobra prywatnego” i zażądał od niego wysokiej rekompensaty.

– Jeśli prawo pozwala wam sprawdzać bilety użytkowników, nie upoważnia was bynajmniej do wiercenia w nich d z i u r .

Postawił na swoim, a jako odszkodowanie otrzymał dożywotnią sieciówkę ważną na wszystkie linie w kraju (trzydzieści sześć tysięcy kilometrów).

* * *

Z początku adwokat z Albi próbował się dopatrzeć jakiejś nieścisłości w aktach sprawy Leona. Niczego nie znalazłszy, przestudiował ustawy, a potem przekopał się przez archiwa w poszukiwaniu precedensu, rozszerzając pole swych zainteresowań na całą profesję egzekutora. Nieliczne dane, do których dotarł, wprawiły go w zakłopotanie.

Alfons Chopette, były egzekutor departamentalny, a od czasu dekretu Crémieux z 1870 roku emeryt, nie chciał go przyjąć. By przezwyciężyć jego opory, Malzac poprosił o wstawiennictwo swego wuja prokuratora.

Starzec opowiedział mu parę historii mrozących krew w żyłach. Zapytany o Pibraków, rozplątał się w superlatywach.

– To, co Siódmy zrobił Tomaszowi, jest słuszne. Tak należy ich wszystkich ścinać. Niech widzą spadającą na nich śmierć. Doskonale! Ja na jego miejscu, gdyby mi zabito rodzinę, też bym tak postąpił. Tamten podobno jeszcze zdążył się sfajdać w portki. Tak więc mówię: brawo, Hipolicie!

Niewiele się w ten sposób dowiedziawszy, Malzac pojechał pociągiem do Rodez, gdzie przejrzał archiwa sądowe. Dla odprężenia odwiedził następnie paru antykwariuszy oraz handlarzy starzyzną i kupił *Rozprawę o metodzie* w wydaniu z 1637 roku w skromnej oprawie z brązowej cielejącej skóry.

Z kolei udał się do Bellerocaille i pojechał dorożką na ulicę Smoczą, by wysiąść przy piekarni Arseniusza Bouzouka.

– Powinien był pan mnie uprzedzić: wyszedłbym po pana na dworzec – strofował go Leon, zapraszając do salonu na piętrze.

Hortensja osobiście podała im porto oraz talerz daktyli nadziewanych masą migdałową (najnowszy produkt firmy).

– No więc, panie mecenasie, co nowego? – spytał wreszcie Leon głosem pełnym nadziei.

– Jest jeszcze zbyt wcześnie. Na razie staram się ustalić fakty, co wyjaśnia powód mojej dzisiejszej wizyty. Muszę się więcej dowiedzieć o pańskiej rodzinie.

– Co chce pan wiedzieć? – zapytał Leon bez entuzjazmu.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Proszę na przykład opowiedzieć o swoim dzieciństwie. W jakich warunkach pana wychowywano?

– Nie lubię mówić o tych sprawach. Czy to konieczne?

– Może... Na razie trudno powiedzieć. Ma pan rodzeństwo?

– Było nas trzech braci: Justynian, ja i Henryk. Gdy Justynian umarł na tężec, miałem rok. Odtąd ja byłem najstarszy. To nie żarty, jeśli się zna rodzinę. Gdyby nie dekret Crémieux, byłbym dziś Leonem I, Ósmym. No i nie mąkę miałbym za paznokciami.

– Rozumiem, rozumiem... Czy to pański ojciec wykierował pana na piekarza?

– Widać, że go pan nie zna. Jeszcze dziś wierzy, że rząd któregoś dnia przywróci zlecenia prowincjonalne i że rodzina znów obejmie służbę. Tak więc, po śmierci brata zostałem wychowany zgodnie z tradycją. A teraz, nie mogąc już na mnie liczyć, ojciec wpaja ją mojemu bratankowi Saturninowi... To, co powiem, wyda się panu okrutne, ale jestem przekonany, że w gruncie rzeczy nie ubolewa aż tak bardzo nad tym, co spotkało Henryka. Teraz ma swojego Ósmego: zmiana warty jest zapewniona!

– Co pan rozumie przez tradycję?

Na twarzy Leona odbiło się zakłopotanie. Nigdy na te tematy nie rozmawiał z obcymi.

– No więc... hmm... powiedzmy, to wszystko, co trzeba wiedzieć, żeby stać się idealnym egzekutorem... Pozostawił ją po sobie założyciel rodu. To on ją spisał. Z początku w swych pamiętnikach, potem w osobnej książce, którą zatytułował *Tradycja*. Nigdy nikt jej nie przeredagował, z wyjątkiem, oczywiście, Mściciela. Wie pan, on ją nie tyle przeredagował, ile uzupełnił, dołączając swą *Instrukcję prawidłowego ścinania*. Sam Karol Henryk przyjechał tu z Paryża, żeby ją przepisać.

– A kto to taki Karol Henryk? – zapytał nieco zdezorientowany adwokat.

– Karol Henryk Sanson był naczelnym egzekutorem podczas Rewolucji. To on ściął Ludwika XVI.

– Aha... – mruknął ponuro Malzac. – Pod jaką postacią została panu przekazana owa tradycja?

– Jak w szkole. Z lekcjami do wyuczenia na pamięć, z zadaniami domowymi, ćwiczeniami praktycznymi.

– Praktycznymi? W jakim sensie?

– To znaczy... nie wiem, to było tak dawno. Zaraz... Dobrze, na przykład w dniu siódmych urodzin musiałem skrócić o głowę moją pierwszą kozę. Nie udało mi się: to była istna jatka. Dostałem dwóję.

– A poza tym?

– Ponieważ tradycja zabraniała przechodzenia do następnych ćwiczeń, dopóki nie wykona się poprzednich, musiałem próbować aż do skutku... Nie byłem zdolny, a mój ojciec szczerze się tym martwił. W ten sposób mam na sumieniu tuzin kóz. W głosie Leona można było wyczuć ironię i rozgoryczenie.

– Czy ojciec pana bił?

– Nigdy. Czasem bym nawet wołał. Kiedy się gniewał, zachowywał się tak, jak gdybym

był powietrzem, i wszyscy w katowni musieli go w tym naśladować... Nie wyobraża pan sobie, jakie to sprawia wrażenie. Raz trwało to cztery dni. Cztery straszne dni. Rozmawiałem wtedy z psem, z końmi, z jaszczurkami w krypcie.

– Co pan takiego przeskrobał?

– Upuściłem do studni jego nóż. Och, wiem, że to się może wydawać głupie, ale to był nie byle jaki nóż, to była relikwia należąca swego czasu do założyciela rodu, przechodząca z ojca na najstarszego syna.

– Dlaczego c z t e r y dni?

– Tyle czasu zajęło wydobywanie go z dna.

Leon nalał mu następny kieliszek porto i poszedł zawołać swego czeladnika.

– Ferdynandzie! Przynieś nam obwarzanków! Malzac zmieszany wskazał na pusty talerz po nadziewanych daktylach.

– Są tak pyszne, że nawet się nie spostrzegłem. Naprawdę doskonałe.

– Wiem, robię wszystko, żeby takie były. Z moim nazwiskiem nie mam wyboru. Kto by kupował u „katowskiego pomiotu”, gdybym nie był najlepszy w Bellerocaille? To jedyny sposób na przezwyciężenie ostracyzmu.

Przyuczony do zawodu dryblas przyniósł talerz okrągłych dziurkowanych ciasteczek. Adwokat ugryzł jedno z nich. Było ciepłe, pachnące, smakowite.

– To Kazimierz nauczył mnie piec chleb. Tradycja wymaga samowystarczalności. Nauczyłem się więc strzelać ze strzelby i z pistoletu, uprawiać ziemię, jeździć konno itp. Ale najbardziej mi się podobał zapach mąki, drożdży, mieszenie ciasta, formowanie go, rumienienie w piecu. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego.

– Kto to Kazimierz?

– Pacholek szafotowy mojego ojca. Urodził się w katowni. Mieszka w wieży południowej, z dawien dawna przeznaczonej dla służących i ich rodzin. Zbudował ją Pierwszy w czasach, gdy pomocników było ośmiu. Nosili liberię w barwach rodu oraz broń.

– Pierwszy?

– Tak nazywamy założyciela rodu, który pierwszy nosił imię Justynian. Najśmieszniejsze, że najpierw wcale nie chciał być egzekutorem. Został do tego zmuszony. A wie pan, kto go zmusił? Przodek obecnego mera Bellerocaille, baron Raul Boutefeux. Żyjący dziś jego potomek to „czerwony”, który chlubi się popiersiem Robespierre’a w swym salonie!

– Jakiego stanu był pański przodek, zanim został katem?

– Och, opowiedział tę historię w pierwszym tomie swoich pamiętników. Był pisarzem publicznym.

– Co robili jego rodzice?

Leon zastanawiał się dłuższą chwilę. Malzac połknął następne obwarzanki, a do licha z sylwetką, ostatnio coraz bardziej się zaokrąglającą.

– Nic o nich nie wiemy – powiedział wreszcie Leon, zamyślony. – Część archiwów

senioralnych i gminnych została zniszczona podczas Rewolucji. Nawet nie jest pewne, czy pochodzimy z Bellerocaille. Zresztą Pibrac nie jest nazwiskiem z Rouergue, może raczej z departamentu Górnej Garonny.

– Pański przodek niczego w swych pamiętnikach nie wyjaśnia?

– Nie wiem.

– Więc pan ich nigdy nie czytał?

– Nie, a nawet gdybym chciał, tobym nie mógł. Byłem za młody. Tylko ojciec rodziny może otworzyć szafę z pamiętnikami. A zanim dorosłem, wyniosłem się z katowni i zostałem piekarczykiem tutaj.

– Zna pan powody tego zakazu?

– Nie... Może niektóre fragmenty nie są stosowne dla dzieci? Sądząc po tych, które mi czytał ojciec, Pierwszy wygląda na nieprzeciętnego swawolnika, który nie owijał słów w bawełnę.

Adwokat schrupał następny obwarzanek: były tak smaczne na ciepło, że żałowałyby, gdyby ostygły. Leon zmarszczył czoło i palcem wskazującym wykręcił młynka w powietrzu, jak ktoś, kto usiłuje coś sobie przypomnieć.

– Wracając do przodków Pierwszego: jedyną istniejącą wskazówką jest nazwisko **J u l i u s z P i b r a c** wygrawerowane na rękojeści noża, o którym przed chwilą mówiłem, tego, co wpadł do studni.

– Nie bardzo pana rozumiem.

– W naszym drzewie genealogicznym nie ma żadnego Juliusza. Tymczasem, zgodnie z tradycją, ten nóż należał do Pierwszego. Kiedy spytałem ojca, odpowiedział, że wyjaśni mi ten szczegół, gdy dorosnę i będę w stanie zrozumieć.

Malzac wyjął z portfela notes i porobił w nim jakieś zapiski, opatrując je licznymi znakami zapytania. Uwielbiał tajemnice, a w tej rodzinie jakowaś się z pewnością kryła.

– Muszę się spotkać z pańskim ojcem.

– Chyba pan żartuje! Nigdy nie zechce pana przyjąć.

– Mógłbym udawać dziennikarza.

– Tylko nie to: nie cierpi prasy.

– A jednak muszę się z nim spotkać. Wymyślę jakiś pretekst.

Leon zaniepokoił się.

– Za pozwoleniem, panie Malzac. Jeśli pan z tego nie zrezygnuje, niech pan przynajmniej znajdzie jakiś poważny pretekst. A jeśli mój ojciec okaże się nieufny, niech pan spróbuje zobaczyć się z Kazimierzem.

* * *

Po powrocie do Albi Mikołaj Malzac napisał do Hipolita, prosząc go o spotkanie.

Przedstawił się jako prawnik miłośnik historii, poszukujący materiałów do pracy, mającej na celu „ukazanie historycznej prawdy bez przeinaczeń, nazbyt częstych w kwestii najwyższego wymiaru kary”.

Odpowiedź Hipolita nadeszła szybko, a jej początek brzmiał: „Nareszcie Historia się nami interesuje. Nie jest rychliwa.” Kilka szczegółów zdziwiło adwokata. Przede wszystkim papier: prawdziwy welin z delikatnej skórki poronionego cielaczka, następnie herb popielicowy srebrno-czerwony widniejący w nagłówku i na kopercie. Podzielony ząbkowanym krzyżem zawierał w prawym górnym polu sylwetkę dworku o dwóch wieżach. W lewym można było przeczytać na tle belek szubienicznych: „Z woli boskiej i katowskiej”. W polach dolnych figurowały: w prawym piramida szczyrzących zęby czaszek, w lewym zaś pojedyncza szubienica z przystawioną do niej drabiną.

Pismo było duże, proste, wyraźne, bez błędu. Były kat zapraszał go, by przyjechał „kiedy tylko będzie miał ochotę”, nie krył jednak zastrzeżeń co do szans powodzenia jego przedsięwzięcia. „Cokolwiek pan napisze, choćby i prawdę, mentalności ludzkiej zmienić się nie da. Ostracyzm jest naszej funkcji przypisany i zniknie dopiero wraz z ostatnim z nas. A do tego jeszcze daleko, mimo dekretu Crémieux.”

Malzac pojechał znów do Bellerocaille. Dorożkarz zawiózł go do oberży „Smaczne Jadło”, którą polecił mu Leon („najlepszy stół w mieście”). Zaoferowano mu pokój z wykuszem wychodzącym na plac, na co chętnie przystał. Następnie wynajął kabriolet od przedsiębiorstwa przewozowego Cabrela, pytając przy okazji o drogę na skrzyżowanie Sądu Ostatecznego.

- Pan jedzie zobaczyć megalit?
- Nie, jadę do katowni Pibraków.
- Aha – mruknął wynajemca kiwając głową.

Adwokat zjechał zatłoczoną ulicą Prosta, rozpoznając po drodze Smoczą, gdzie mieszkał jego klient. Wyjechał z miasta mostem Republiki i skierował się ku wiązowemu laskowi.

Wielkość megalitu królującego pośrodku skrzyżowania zdumiała go. Wysiadł z powozu, by go obejść. W młodości, podczas letnich wycieczek, przewędrował dolinę Muzy, gdzie megalitów było w bród, nie natknął się jednak na żaden takich rozmiarów. Płyta górna mierzyła sześć metrów. Jak oni ją wciągnęli dwa metry nad ziemię? Potem zaciekawiał go mur obwodowy najeżony czymś, co zidentyfikował jako autentyczne ostrza halabard z XVII wieku.

Pociągnął łańcuszek połączony z niewidocznym dzwonkiem, który natychmiast zadźwięczał. Podziwiał okutą bramę, gdy w nagle otwartym jednym jej skrzydle pojawił się wysoki starzec, łysy, jeśli pominąć wianuszek siwizny, i obrzucił go spojrzeniem ciepłym jak sopol. Towarzyszył mu duży pies.

Adwokat powiedział, kim jest. Starzec się rozchmurzył.

- Proszę, niech pan wejdzie.

Pociągnął drugie skrzydło, by przepuścić kabriolet. Malzac ujrzał katownię i rozpoznał herbowy dworek z okrągłymi wieżami. Zauważył też rozległy park, którego kresu nie było widać, zagajnik, łąkę, na której pasła się krowa i konie, wreszcie kałużę, w której pluskały się kaczki, lecz również dwa tłuste wieprzki.

Zostawiwszy swój wehikuł na podwórzu, Malzac podążył za Kazimierzem zewnętrznymi schodami prowadzącymi na piętro, a następnie wszedł do sali skąpanej w świetle, na której widok oniemiał. Ledwo usłyszał zachętę starego służącego, by spoczął i poczekał, aż on uprzedzi pana domu.

Gdy tylko adwokat został sam, zrobił kilka kroków, nie mogąc się nadziwić zaskakującemu pomieszaniu stylu wiejskiego i wyrafinowanego: surowych bloków piaskowca i kosztownej boazerii.

„Ten stół wart jest majątek”, pomyślał sprawdziwszy, że dębowy blat trzy i półmetrowej długości jest wykonany z jednego kawałka drewna. Wygięte nogi były z orzecha i wyobrażały rozszarpujące się nawzajem smoki.

Następnie Malzaka zaintrygował imponujący komin, tak przepastny, że można by w nim upiec jednocześnie wierzchowca oraz jeźdźca, z nadprożem ozdobionym herbami i z piękną „heraldyczną” płytą paleniskową. Lecz serce zabiło mu mocniej, gdy na zegarze zwieńczonym kostuchą wywijającą kosą odczytał podpisy Liautauda i Le Roy, najsłynniejszych zegarmistrzów XVII wieku. Mogły się z nim równać tylko zegary, które oglądał kiedyś w Wersalu.

Wykonany z drewna orzechowego fotel w stylu Ludwika XIV, wskazany mu przez Kazimierza, miał oryginalne haftowane obicie, na którym dwóch rycerzy w zbrojach otaczały małe zwierzęta i ptactwo na tle ornamentów kwiatowych. Malzac natychmiast dałby za taki mebel sto franków w złocie. A nawet więcej.

W kredensie a la Ludwik XV ujrzał szereg fajansowych talerzy z Moustiers, wyobrażających wszelkiego rodzaju tortury, poczynając od łamania kołem aż po estrapadę poprzez pal, ćwiartowanie, szubienicę i stos. Inne, z sewrskiej porcelany, przedstawiały sceny rewolucyjne, takie jak zdobycie Bastylli, egzekucje Ludwika XVI oraz Marii Antoniny, zamordowanie Marata w wannie... Część ściany zajmowały dziwaczne, misternie rzeźbione chochle. Największa z nich, z drewna wiśniowego, miała kształt otwartej dłoni.

Zaciekawiony gablotką z mozaiki na komódce w kształcie nagrobka w stylu Ludwika XV, stanął jak wryty przed kolekcją nosów, przeważnie z malowanego drewna, ale i ze skóry, a także z metalu. Jeden, orli, był nawet z porcelany.

Osobliwością tych protez był stopień ich zużycia, świadczący o tym, że ktoś je nosił.

Adwokat zaglądał za gablotę, gdy usłyszał głos, na którego dźwięk zadrżał:

– Zrobił ją Roentgen, a mozaika jest dziełem Zicka. Jeśli to pana interesuje, panie Malzac.

Od pierwszego rzutu oka Malzac pojął, że podobnego osobnika jeszcze w życiu nie

spotkał.

– Pan Pibrac, jeśli się nie mylę.

– Nie myli się pan.

Podali sobie ręce spoglądając wzajem na siebie. Adwokat zauważył brak trzech paliczków. Zaskoczyła go też długa, nieskazitelnie czarna czupryna oraz odzież jakby żywcem ściągnięta z ryciny ilustrującej modę epoki Drugiego Cesarstwa.

– Należały do założyciela rodu – powiedział Hipolit wskazując na gablotę z nosami, a następnie na obraz przytwierdzony do boazerii na ścianie w głębi, pierwszy z serii ośmiu.

Malzac podszedł bliżej, napotykał spojrzenie uśmiechniętego młodego człowieka o długim burbońskim nosie przywiązany do karku skórzany rzemykiem. Pozował na szafocie ustawionym przed szubienicą, na której dyndało czterech skazańców namalowanych przez artystę nader realistycznie. Młodzieniec miał po jednej stronie szarego wilka siedzącego na tylnych łapach, po drugiej zaś pień z wbitym weń toporem. Odziany niczym bohater powieści Aleksandra Dumasa, nosił długi rapier i dwa pistolety zatknięte za pas. Katownia nie istniała, na jej miejscu znajdował się barak z desek pomalowanych na cynobrowo. Na miedzianej tabliczce przybitej do kosztownej połączonej drewnianej ramy widniał napis: *Justynian I (1663-1755)*.

– Można pana poczęstować kawą, herbatą, a może winem?

Wybrał alkohol, lecz zanim usiadł, zapragnął obejrzeć pozostałe płótna.

Z enigmatycznym wyrazem twarzy pod czarno-czerwonym trój graniastym kapeluszem *Justynian II (1699-1764)* skrzyżowawszy ramiona stał na stołku przed pustą szubienicą. Katownia z wieżyczkami stała już na swoim miejscu, pomalowana na czerwono, lecz jeszcze nie było muru obwodowego. Jeden komin na czarnym łupkowym dachu dymił. Na chorągwi powiewającej na niebie widniało hasło: „Z woli boskiej i katowskiej”.

Ubrany w giemzową karmaniolę i długie spodnie w żółto-zielone prążki, we frygijskiej czapce, *Justynian III (1732-1804)* skromnie uśmiechał się do malarza, który przedstawił go na placu Dziurskim przy gilotynie ustawionej na szafocie, na tle gwardzistów narodowych i rozentuzjasmowanego tłumu. W wyciągniętej ręce wystawiał na pokaz głowę w peruce.

Tłem dla *Justyniana IV (1772-1850)* było znów Skrzyżowanie Sądu Ostatecznego. Z katowni zeszkrobano warstwę czerwieni, a mur obwodowy już stał, podwyższony halabardami. Gospodarz, w surducie z koronkowym kołnierzem, potrójnie wiązany krawacie i drelichowych spodniach miał na głowie stosowany kapelusz o szerokim wygiętym rondzie. Kazał się namalować na wybrukowanym podwórzu, w postawie stojącej, obok gilotyny na kołkach i z dyszlem.

Następny był portret naturalnej wielkości *Justyniana V (1814-1850)* na tle błękitnosinego nieba, w którego rogu fruwały aniołki podtrzymujące herb rodowy. Ten piąty Justynian wpatrywał się w malarza przebiegłym wzrokiem, doskonale oddanym.

Justynian VI (1832-1850) był nie dokończony. Malzac ujrzał młodzieńca o wesołej,

cokolwiek szelmowskiej minie, z gołą głową, z rękami na biodrach, na tle szafotu i gilotyny ledwo naszkicowanych ołówkiem.

Siódme płótno nie miało legendy. Wyobrażało kobietę w słusznym wieku, o rysach znamionujących energię, odzianą w czarną atlasową suknię z krynoliną, siedzącą na kanapie w towarzystwie chłopca o wyjątkowo zaciętym wyrazie twarzy. Delikatnymi palcami wdowa trzymała rozłożone pismo. Aczkolwiek miniaturowe, literki można było rozróżnić. Malzac pochylił się: chodziło o zlecenie wystawione przez najwyższego egzekutora na nazwisko Hipolit Pibrac.

Ósmy i ostatni obraz w tej galerii przodków ukazywał Hipolita, równie stanowczego, lecz bynajmniej nie starszego niż na poprzednim, dumnie pozującego obok gilotyny, z jedną ręką na dźwigience i z kawałkiem tkaniny w drugiej. Z gołą głową, bez zarostu, prezentował się wspaniale w swym aksamitnym purpurowym surducie, białej koszuli z haftowanym żabotem, czarnych spodniach i takichż butach z jaskrawoczerwonymi wyłogami. Za pas z ozdobną srebrną klamrą wciśnięty był rewolwer. Jak przy siódmym obrazie, tak i tutaj na ramie brakowało miedzianej tabliczki.

– Był pan bardzo młody – powiedział adwokat do gospodarza, który milczał podczas tych oględzin.

– Właśnie obchodziłem czternaste urodziny... Ale oto i Kazimierz. Chodźmy sobie usiąść.

Z emaliowanego kubka, z namalowanym na nim zdobyciem Jerozolimy podczas pierwszej wyprawy krzyżowej, Malzac popijał czerwone wino, które, podobnie jak wszystko, co go tutaj otaczało, okazało się przednie. Hipolit zaś pił wodę z kubka podobnego, lecz ukazującego szczegółowo, niemal co do proporca, wzięcie szturmem Antiochii przez Bohemonda i Rajmunda z Tuluzy.

– Słucham pana uprzejmie – zagaił wreszcie Hipolit. Malzac odchrząknął, po czym wyłuszczył powody, dla których zdecydował się napisać książkę o zawodzie egzekutora.

– Z początku miałem zamiar opowiedzieć historię ogólną, lecz po spotkaniu z pańskim kolegą z Albi, panem Chopette, zmieniłem zdanie. Doszedłem do wniosku, że byłoby o wiele pożyteczniej zilustrować moją tezę dziejami jednej konkretnej rodziny. Lub raczej, rzekłbym, dynastii, bo jeśli o panów chodzi, to mamy do czynienia właśnie z dynastią.

Szerokim gestem ogarnął obrazy.

– Istotnie, jesteśmy jedną z nielicznych rodzin, otrzymujących zlecenia już od siedmiu pokoleń. Chopette to nowus, który miałby panu niewiele do opowiedzenia.

– Nowus?

– Tak nazywamy rodziny czynne zawodowo nie dłużej niż od stu lat. Każda profesja ma swój żargon, a nasza potwierdza regułę.

– Wszyscy pańscy przodkowie mają na imię Justynian. Pan jest jedynym wyjątkiem.

– Tak chrzci się wszystkich pierworodnych, według tradycji. Ja byłem młodszy i gdyby mój brat nie zabił się bezpotomnie, to na tym miejscu siedziałby on, a nie ja.

– Pański brat popełnił samobójstwo?

– Samobójstwo? Co za pomysł! Nie, on uległ śmiertelnemu wypadkowi podczas egzekucji. Ponieważ był kawalerem, mnie przypadło w udziale stanowisko, chociaż nie miałem nawet czternastu lat i najmniejszego doświadczenia w rzemiośle. Gdyby nie wstawiennictwo mojej matki Klemencji, nigdy bym nie otrzymał nominacji i urząd wymknąłby się nam z rąk. Dlatego zajmuje ona poczesne miejsce w galerii.

* * *

Wiść o śmierci Szóstego spadła na katownię jak grom z jasnego nieba.

– Co wy mi tu opowiadacie, nieszczęśni! – wykrzyknęła Klemencja mierząc wzrokiem Wiktora i Kazimierza, pachołków szafotowych, którzy lali łzy.

– To się stało tak szybko. Zrobił o jeden krok w tył za dużo, spadł z szafotu i skręcił sobie kark na bruku. Zginął na miejscu.

W rzeczy samej ów rok 1850 okazywał się wyjątkowo złowrogi dla rodziny. Najpierw Piąty przedwcześnie zszedł z tego świata ugryziony na polowaniu przez lisa, a teraz Szósty, jego syn, który miesiąc wcześniej obchodził osiemnaste urodziny, pozostawiał po sobie urząd, nie obsadzony po raz pierwszy od stu sześćdziesięciu siedmiu lat. Wszystkie nadzieje skupiły się na Hipolicie, jego bracie.

Gdy tylko Szósty spoczął w krypcie, Klemencja udała się do prefektury w Rodez, by żądać mianowania swego młodszego syna.

– Plecie pani głupstwa, to przecież smarkacz – oburzył się prefekt na widok malca.

– Ale to Pibrac, panie prefekcie. Zapewniam pana, że szybko się nauczy. Tymczasowo stanowisko obejmą Feliks i jego syn Kazimierz, nasi pachołkowie, którzy są nadzwyczaj kompetentni.

Mianowany niedawno, niezbyt obeznany z miejscowymi obyczajami, prefekt uznał ofertę za niestosowną, by nie powiedzieć wręcz nieprzyzwoitą. Podzielił się tą opinią z wdową, po czym dał jej do zrozumienia, wskazując drzwi, że uważa rozmowę za zakończoną.

Podnosząc czarną woalkę, łaskoczącą ją w nos, Klemencja powiedziała głosem, który przeniknął na wylot ściany:

– Od stu sześćdziesięciu siedmiu lat zabijamy dla was, od stu sześćdziesięciu siedmiu lat traktujecie nas jak trędowatych, od stu sześćdziesięciu siedmiu lat wasze zakłamanie zamyka nam dostęp do innych urzędów. Jeżeli pan nie mianuje Hipolita, skaże pan nas na bezrobocie i na nędzę, a na to, panie prefekcie, za pozwoleniem, się nie zgodzimy.

– Niech pani wyjdzie, bo inaczej każę ją wyprosić!

– Proszę się tak nie unosić, bo gdy okażemy się potrzebni, mogą wyniknąć kłopoty – powiedziała Klemencja, celując czubkiem parasolki w jego pierś.

Spuściwszy woalkę, obróciła się na pięcie i wyszła wraz z synem.

Prefekt wzruszył ramionami. Czasy się zmieniły. W tym samym dniu, w którym egzekutor tak głupio się zabił, z tuzin chętnych zgłosiło swą kandydaturę. Kiedy jednak w parę dni później wezwał ich, aby dokonać wyboru, zjawił się tylko jeden, w dodatku po to, by odmówić.

– W takim razie po co się było ubiegać? Mężczyzna, były podoficer, smętnie potrząsnął głową.

– Pszep’szam, panie prefekcie, ale myślałem, że już zabrakło Pibraków.

– To przecież dzieciak! Ma ledwo czternaście lat!

– Możliwe, ale jest dość stary, by na mnie rzucić urok. Nie jest pan stąd, inaczej by pan zrozumiał.

– Czy ktoś panu groził?

– Skądże! Ale pachołkowie pani Klemencji rozpowiadają po mieście, że po sprawiedliwości urząd należy się małemu. Każdy głupi wie, co to znaczy.

Dopiero dowiedziawszy się o majątku Pibraków, wysoki urzędnik raczył zmienić zdanie: ludzie zamożni zawsze mają wielkie wpływy i nie należy ich sobie zrażać. Poprosił Klemencję, która mieszkała u Pradelów, i wręczył jej nominację, udzielając następującej przestrogi:

– Pani syn musi być obecny na wszystkich egzekucjach, czy w danym wypadku jest wykonawcą, czy też nie, takie jest prawo.

Klemencja spojrzała nań z bezgraniczną pogardą i powiedziała:

– Rzecz jasna, że będzie obecny. Jak pan myśli, gdzie się nauczy zawodu, jeśli nie na szafocie?

Miesiąc przed tą rozmową Ludwik Magne, bezrobotny wolarz, po trosze włóczęga, po trosze przemytnik zapalek, zasztyletował handlarza winem z dolnego miasta i obrabował go. Popelniwszy tę zbrodnię, zamiast uciec, zaczął opróżniać butelkę po butelce. Kiedy znaleźli go żandarmi, chrapał wyciągnięty na wznak obok swojej ofiary.

Jego proces odbył się w trybie przyspieszonym, a gdy zapadł wyrok śmierci, Feliks i Kazimierz wyszli z sali, by z rąk kancelisty odebrać nakaz egzekucji. Bezzwłocznie wrócili do katowni, gdzie czekała na nich Klemencja.

– A więc śmierć! – krzyknęli, zanim jeszcze zsiadli z koni.

– Macie nakaz?

Podał jej go Feliks. Przeczytała, sprawdziła podpis, pieczęć, datę, a następnie przekazała synowi, który odczytał go na głos:

Egzekutor najwyższego wymiaru kary nie omieszka stawić się dnia 14 września 1850 r. w gmachu sądu w Bellerocaille gwooli wykonania wyroku na skazanym Ludwiku Magne. Egzekucja nastąpi o godzinie czwartej po południu na placu Dziurskim.

Nazajutrz o świcie szafot i gilotynę w częściach załadowano na furgon kryty plandeką.

– Ładnie pachnie – powiedział chłopak, wdychając zapach belek konserwowanych pszczelim woskiem.

Pachołkowie wymienili między sobą porozumiewawcze uśmiechy. Komentarz świadczył o niezłych zadatkach.

– No pewnie, że ładnie – przytaknęła Klemencja, nadzorująca załadunek. – Przecież zrobił go twój pradziadek Mściciel.

– Poszczególne elementy zachodzą na siebie – dodał Feliks krzyżując ręce, by mu to zobrazować. – Jest niezrównany. Wszystkie rody nam go zazdroszczą. Tak samo jak maszynerii.

Hipolit z powagą potwierdził. Wiedział o tym, ponieważ kilka razy przyglądał się takim przygotowaniom, lecz dopiero po raz pierwszy udzielano mu wyjaśnień; poprzednio miał do nich prawo tylko jego brat.

Na siódmą wszystko było gotowe. Pokrzepili się obfitym śniadaniem podanym w kuchni, potem każdy poszedł wdziać swój strój egzekucyjny: pachołkowie czerwono-czarny, Hipolit – surdut z aksamitnymi wyłogami. Na głowę włożył cylinder kupiony dwa tygodnie wcześniej w Rodez.

Przed wyruszeniem w drogę Klemencja wręczyła mu uroczyście parę pistoletów z zapłonem uderzeniowym z cesarskiej manufaktury w Châtellerauld, które poprzednio podarowała jego bratu na szesnaste urodziny.

W mieście przejazd obładowanego furgonu wraz z jego pasażerami wywołał zwyczajowe poruszenie.

– Toć to kobita kata, a z nią jej mały!

Od dawna uodporniona na niezyczliwe zainteresowanie, dające o sobie znać za każdym jej pojawieniem się, Klemencja, udrapowana w czerń, pouczała swego syna:

– Musisz się uważnie przyglądać, jak oni to robią, zwłaszcza z pionem sznurkowym, a gdybyś czegoś nie rozumiał, zapytaj Feliksa.

– Tak, mamó.

Po przyjeździe na plac Dziurski furgon rozładowano. Oszczędni w gestach pachołkowie i ich pomocnicy złożyli szafot, a potem otworzyli wyściełane skrzynie mieszczące gilotynę. Jak zwykle na widok noża rozległ się szmer podniecenia pośród już obecnego tłumu. Klemencja zachęcała Hipolita, by się bardziej pochylił i lepiej przyjrzał, jak Kazimierz dopasowuje go do kafara, pomalowanego na czerwono. Potem wskazała na Feliksa, klęczącego przed maszyną i sprawdzającego poziomnicą, czy stojaki są prostopadłe. Palcem pokazał chłopcu, gdzie powinien się znaleźć pęcherzyk powietrza, by wszystko było idealnie proste.

– To bardzo ważne, żeby ramiona były pionowo, inaczej nóż ześlizguje się opornie i nie do końca tnie. Wtedy trzeba odciąć głowę nożem: tylko się powalasz i nie zdobędziesz uznania publiki.

Gdy wszystko było gotowe do próby na ślepo, Feliks wskazał chłopcu dźwignię i powiedział:

– Zaszczyt przypada tobie.

Onieśmielony, z czerwonymi z podniecenia policzkami, Hipolit spojrział na matkę, która zachęcająco się doń uśmiechnęła. Opuścił dźwignię. Ostrze spadło i z suchym trzaskiem uderzyło w amortyzatory, aż deski zadygotały mu pod stopami. Przez nikogo o to nie proszony, pociągnął sznurek ładując ponownie maszynę, tak jak trochę wcześniej robił to na jego oczach Feliks.

Klemencja, pachółkowie i pomocnicy zrozumieli, że nie grozi brak następcy.

Wrócili do katowni w porze obiadu, pozostawiając dwóch pomocników, którzy rozsiedli się pod szafotem, by posilić się w ukryciu.

Na godzinę przed egzekucją Hipolit w asyście pachółków zgłosił się do więziennej kancelarii, by przejąć skazańca. Matka młodocianego egzekutora, której nie wpuszczono do środka, musiała na nich czekać pod więzieniem, gdzie spacerowała tam i z powrotem z otwartą parasolką, gdyż pogoda była piękna.

Ludwik Magne energicznie smarkał, gdy weszli do jego lochu. Na widok dziecka zapalał oburzeniem.

– A niech mnie dunder świśnie, to przecież nie jest widowisko dla oseska!

– Spokojnie, Magne, spokojnie. To on jest katem – oznajmił mu naczelnik.

– Katem, moim katem, ten gówniarz? Nigdy! Prędzej konam ze śmiechu.

– Dość tego, Magne, dość! – zarządził naczelnik, gotów w razie czego interweniować, a i pachółkowie nie stali z założonymi rękami.

– Otrzymał zlecenie. Musi tu być, takie jest prawo. Wolarz zacisnął pięści, opierając się o ścianę pokrytą rysunkami i napisami.

– Dać się skrócić pędrakowi? Mówię wam: nigdy! Jak a bym wyglądał, co?

– Nie podskakuj, bo oberwiesz – pogroził Feliks, wymachując stołkiem, który zdążył chwycić.

Już mieli się na niego rzucić, gdy Hipolit przemówił łagodnym głosem:

– Nie pozwolę sobie pana tknąć. Jestem tutaj po to, by uczyć się mojego rzemiosła.

W lochu wszystko zamarło, a jak później opowiadał strażnik, Ludwik wyglądał na „kompletnie zbitego z pantałyku”. Wreszcie rozluźnił mięśnie, rozwarł pięści, wydał z siebie przeciągłe westchnienie i pozwolił się skrępować.

– No, nareszcie! Ale to długo trwało – zbesztala ich Klemencja, gdy wychodzili.

Magne usiadł z tyłu furgonu, specjalnie na tę okazję odkrytego. Tłum, który zgromadził się pod sądem, urągał mu, lecz bez wielkiego zapału. Jego zbrodnia była zbyt pospolita, by wywołać podniecenie, jedynie śmierć budziła powszechne zainteresowanie.

Hipolit usiadł między Feliksem trzymającym lejce a Kazimierzem, który miał na oku skazańca. Klemencja szła obok konia, od czasu do czasu stukając parasolką o ściankę, by

upomnieć syna:

– Nie garb się, wszyscy na ciebie patrzą!

– Nie na niego patrzą, tylko na mnie – sprostował Magne, który usiadł, by nie przewrócić się na wybojach.

– A pan – skarciła go wdowa zdyszonym wskutek marszu głosem – lepiej by się zastanowił, co opowie świętemu Piotrowi, kiedy stanie przed nim z głową pod pachą.

Twarz Magne'a poszarzała. Najwidoczniej wzięwszy sobie do serca radę wdowy, spuścił wzrok.

Orszak wychodził na ulicę Proszą, gdy w rozgwarze dał się słyszeć przejmujący kobiecy okrzyk: „Żegnaj, Ludwiku!”, zdolny poruszyć najbardziej zatwardziałe serca. Magne poderwał się jednym susem, z obłędem w oczach, ale zaraz poleciał na dno furgonu, który akurat podskoczył na jakiejś nierówności. Niektórzy mówili, że to była jego stara matka, inni twierdzili, że siostra bliźniaczka, jeszcze inni wreszcie – że kochanka, Owerniaczka, w szóstym miesiącu ciąży. Tak naprawdę nikt nie wiedział ani się nie dowiedział.

Zgodnie z wymogami prawa Hipolit wszedł pierwszy na szafot, który lśnił w słońcu jak lustro.

Pozostawszy pod platformą, Klemencja śledziła wszystkie ruchy swojej latorośli, od czasu do czasu zwijając dłonie w trąbkę, by udzielić jakiejś stosownej wskazówki („Patrz, gdzie stąpasz!”, „Tylko nie zrób tak, jak twój nieszczęsny brat!”).

Ledwo Magne postawił stopę na szafocie, a już zachwiał się na desce pachnącej pszczelim woskiem. Jakieś ręce przytwierdziły go do niej stanowczo, gdy ześlizgiwał się ku podniesionej podtrzymce. Jego ramiona uderzyły o stojaki. Magne ze zdumieniem znalazł się oko w oko z Riquetem, pomocnikiem trzeciej klasy, który chwycił go za uszy i poprawnie ułożył mu głowę na podtrzymce.

– Dobrze się przyjrzyj, Hipolicie, nadszedł czas – to były ostatnie słowa, jakie usłyszał przed swym spotkaniem ze świętym Piotrem.

Później, w drodze do katowni, Feliks z powagą pogratulował Hipolitowi, że się tak łatwo uporał z krnąbrnym wolarzem. Poszperawszy po kieszeniach, wyciągnął i podał mu kołnierzyk koszuli skazańca.

– Proszę, zabrałem go dla pana – powiedział sześćdziesięciosześcioletni pacholek, po raz pierwszy tytułując go „panem”. – Pański dziadek powiadał, że pierwszy zawsze przynosi szczęście.

* * *

„Co za historia”, pomyślał Mikołaj Malzac.

– Proszę za mną, pokażę panu coś, co do tej pory widziało niewiele ludzi – powiedział gospodarz, wstając z miejsca.

Gość podążył za nim do okrągłego pokoju, który Kazimierz rozjaśnił otwierając okiennice na podwórze. Malzac odgadł, że znajdują się w jednej z wież. Na ścianie, w oszklonych gablotach, przyszpilone niczym motyle, wystawione były dziesiątki, setki kołnierzyków. Pod każdym etykieta podawała nazwisko właściciela i datę jego egzekucji. Ten, który należał do Ludwika Magne, opatrzony numerem 1, miał osobną gablotę.

– Na miły Bóg, toż to... jest...

– Jedyne w swoim rodzaju.

Adwokat potwierdził skwapliwie, oszołomiony nagromadzeniem osobliwości, z jakimi zetknął się od swego przybycia do katowni. Niekiedy zapominał nawet o celu swej wizyty, tak jak teraz, pod wrażeniem tych niesamowitych zbiorów. Były tam reprezentowane wszystkie rozmiary, mody, barwy, a także tkaniny, od delikatnej koronki po zgrzebne płótno. Niektóre bez wątpienia stanowiły część stroju kobiecego. Ostatni – biały, przybrudzony kołnierzyk z bawełny – nosił numer 208 i należał do „Tomasza Lerecoux. Piątek 17 stycznia 1902 r., plac Dziurski w Bellerocaille”. Sąsiadujący z nim numer 207, pstrokaty kołnierzyk lniany, nie miał etykiety.

– Dlaczego ten nie został zidentyfikowany?

– To anonim – odpowiedział sucho Hipolit.

Powrócili do dużej sali.

Na godzinę przed zachodem słońca Malzac pożegnał się ze swym gospodarzem, uzyskawszy zgodę na ponowną wizytę nazajutrz.

Jadł z roztargnieniem, mając umysł zaprzątnięty wszystkim, co zobaczył i usłyszał, a w co chwilami powątpiewał. „Czy naprawdę w i d z i a ł e m kolekcję nosów, a także kołnierzyków ludzi skazanych na śmierć?” Poza murami katowni trudno było w to uwierzyć.

Przeczytał swoje notatki, sporządził listę pytań, których zapomniał zadać, i zastanowił się po raz pierwszy poważnie nad pomysłem napisania książki.

Jego nie skrywane zainteresowanie przypadło do gustu staremu katu, który rozgadał się w nieskończoność, przeplatając od czasu do czasu swoje ciekawostki uwagą: „Pan jest pierwszym człowiekiem spoza rodziny, któremu to mówię.”

Nazajutrz, mimo pochmurnego, groźnego nieba, адвокат wrócił do katowni Pibraków, gdzie spędził cały dzień. Na obiad zjadł smakowitą potrawkę z zająca przygotowaną i podaną przez Kazimierza na talerzu z limuzyńskiej porcelany, który po opróżnieniu odsłonił świętego Wawrzyńca na ruszcie, cudownie namalowanego.

Pili mocną kawę, o równie przyjemnym smaku jak zapachu, kiedy Hipolit po raz pierwszy napomknął o istnieniu pamiętników.

– Nasza tradycja to również pisanie dziennika. *Nulla dies sine linea*. Przestrzegał tego każdy z moich poprzedników. Ja sam robię to wieczorami.

„Tu cię mam”, powiedział sobie w duchu Malzac, umyślnie przybierając zdziwioną minę.

– To musi być imponująca liczba tomów.

– Pan to mówi, nie ja.

– Gdzie one są? Mogę zobaczyć?

Zawahawszy się przez moment, Hipolit wstał, by go zaprowadzić do obszernej biblioteki, której trzy ściany wyłożone były książkami, przy czwartej zaś stały średniowieczne biurko i wielka renesansowa dwudrzwiowa szafa z rzeźbionego orzecha. Hipolit otworzył ją odsłaniając rzędy rękopisów oprawnych w płowy safian; na ich grzbietach wyryte były nazwiska autorów. Szybko zamknął drzwi.

– Nie pokaże mi pan kilku?

– Nie, proszę pana. Zabrania tego tradycja. Treść tych pamiętników nie może być rozpowszechniana poza gronem rodzinnym.

Adwokat zakonotował sobie, że szafa nie jest zamykana na klucz, podobnie zresztą jak drzwi biblioteki.

– Czy przyglądał się pan jakiejś egzekucji? – zapytał go potem Hipolit.

– Nie.

– A więc nigdy pan nie widział gilotyny?

– Tylko na rycinie.

– Doskonale, a zatem pokażemy ją panu.

Wyszli z katowni, przecięli podwórze i weszli do szopy, mieszczącej pojazdy różnego rodzaju. Była tam nawet siedemnastowieczna lektyka z połączanego drewna w dość dobrym stanie.

– Należała do naszego protoplasty – wyjaśnił Hipolit, który śledził jego wzrok.

Przeszli do następnej szopy, przylegającej do pierwszej. Tam adwokat ujrzał skrzynie. Otworzył je Kazimierz. Malzac spojrzął i zapytał:

– Kupiliście ją od państwa?

– A gdzie tam, należy do nas od 1791 roku. To Justynian Trzeci, Mściciel, zbudował ją według oficjalnego modelu Tobiasza Schmidta, przysłanego z Paryża. Model ten zresztą udoskonalił. Mogę panu wyliczyć dziesięć modyfikacji, dzięki którym nasza maszyna jest najbardziej funkcjonalna, najlżejsza, najbardziej niezawodna ze wszystkich. A skoro już o tym mowa, to zaraz ją panu złożymy, żeby pisząc o niej wiedział pan, o co chodzi.

Mimo że usiłował ich od tego odwieść, dwaj starcy natychmiast przystąpili do dzieła. Ponieważ w powietrzu wisiał deszcz, pracowali w szopie, bez zbędnego wysiłku wykonując precyzyjne, skoordynowane ruchy.

– Ile? – zapytał Hipolit, gdy machina stanęła pośrodku. Kazimierz zerknął na zegarek.

– Dwadzieścia osiem minut.

Zwracając się do Malzaka, który wpatrywał się w nich jak urzeczony, powiedział z niesmakiem w głosie:

– Kiedyś trwałoby to mniej niż dwadzieścia. Pokazał, jak zamocowany jest nóż, i dla zobrazowania wyjaśnił go. Ostrze z suchym trzaskiem spadło jak błyskawica na

poduszczeni amortyzatorów.

– Natychmiast po ucięciu głowy ciało spada do kosza umieszczonego tam, gdzie pan teraz stoi. Po szybkości cięcia i ilości rozlanej krwi odróżniamy dobrego egzekutora od miernego.

Ponieważ wyraz twarzy Malzaka świadczył o niezrozumieniu, Hipolit wytłumaczył:

– Jeśli pan się zawaha na deskach choćby przez sekundę, ciało traci litr krwi i wszystko jest zapaskudzone. Nie chwałac się, ja byłem jednym z najszybszych. Mogą to panu potwierdzić inne rodziny. Nawet Anatol może zaświadczyć, że ani razu nie przelałem więcej niż pół szklanki. Gdy byłem w wyjątkowej formie, wysączały się ze trzy, cztery krople.

Kiedy tylko maszynię poukładano starannie w skrzyni, były kat zaproponował gościowi obejrzenie posągów w krypcie. Ponieważ jednak zaczęło padać, musieli chwilowo z tego pomysłu zrezygnować. Tymczasem deszcz nie dość, że nie osłabł, ale jeszcze się nasilał. Niebawem dosłownie oberwała się chmura nad katownią i okolicami, a drogi utonęły w błocie.

Hipolit zaoferował mu nocleg.

– Czego jak czego, ale miejsca tu nie brak. Zje pan z nami kolację, a wieczorem spróbujemy się posunąć do przodu w pańskich badaniach.

Malzac nie wiedział, jak dziękować. Okazja była tyleż nieoczekiwana, co wyjątkowa.

Na kolację jedli zupę jarzynową podaną w srebrnej wazie z czasów Pierwszego Cesarstwa. Następnie udziec barani na zimno, sałatkę z rzeżuchy, pięć gatunków sera i szarlotkę. Między jednym a drugim kęsem, zakrapianymi bordeaux, adwokat zadawał pytanie, Hipolit zaś na nie odpowiadał, wdając się nieraz w drobiazgowy dygresje służące wyjaśnieniu takiej czy innej kwestii.

Przeważnie milczący Kazimierz nigdy się zbyt nie oddalał, gotów na pierwsze skinienie uprzedzić każdy rozkaz swego pana. Malzac złapał się na tym, że zazdrości im tej atmosfery zrozumienia, jaka panowała w katowni... A jakim cudem potrafili utrzymać ład i czystość w takim miejscu? Zapytał ich o to.

– Małżeństwo dzierżawców prowadzi gospodarstwo i oporządza zwierzęta. Ale o warzywnik i sad dbamy sami. Przecież musimy się jakoś trzymać na wszelki wypadek...

– Na jaki wypadek, panie Pibrac?

– Na wypadek, gdyby przywrócono zlecenia departamentalne. Wystarczy odwołać ten haniebny dekret Crémieux i hop! wracamy do roboty. I niech pan nie myśli, że jesteśmy za starzy. W naszym fachu nie ma granicy wieku.

Malzac odłożył widelec, by coś nagryzmolić w notesiku, który trzymał otwarty pod ręką.

– Już dwa dni sobie rozmawiamy, a pan robi notatki. Jakie są pańskie wrażenia, panie Malzac?

Ostrożnie, jak gdyby szedł po zamrzniętym stawie, adwokat spróbował się wymigać:

– Jeszcze za wcześnie na podsumowanie. Po prostu słucham i nie mogę się nadziwić.

– Czemu mianowicie?

– Temu na przykład, że urząd kata przyniósł wam taki majątek. Bo przecież trzeba być naprawdę bogatym, by posiadać takie meble.

Kolistym gestem ogarnął jadalnię i jej wyposażenie.

– Tylko dziennikarze i nieuki nazywają nas „katami”. Raczy pan przyjąć do wiadomości, że właściwym określeniem jest „egzekutor najwyższego wymiaru kary” lub „wyroków kryminalnych”, jak mówi się dzisiaj. Byłoby wskazane na przyszłość o tym pamiętać. Zwłaszcza pisząc książkę taką jak pańska.

Ton Hipolita tak się zmienił, że brytan leżący przed paleniskiem nagle wstał.

– Wezmę to pod uwagę. Ale przyzna pan, że właśnie tamten termin jest najbardziej rozpowszechniony w społeczeństwie.

– Możliwe, ale ustawa z 12 stycznia 1787 roku zabrania nas w ten sposób określać pod groźbą odpowiedzialności karnej. Nie możemy uchodzić za katów, skoro jesteśmy zbrojnym ramieniem sprawiedliwości. To my wykonujemy ostatni gest. Bez nas nie byłoby kary śmierci. Obsypuje się zaszczytami wojskowych za to, że zabijają niewinnych, którzy tak samo jak oni służą swojej ojczyźnie, a my, którzy zabijamy winowajców, spotykamy się z powszechną pogardą!

Po kolacji Kazimierz podał im w serwisie z kruchej sewskiej porcelany napar jeżynowo-truskawkowo-porzeczkowy doprawiony szczyptą melisy. Malzac pił z filiżanki, na której widniał Chrystus dźwigający krzyż na Golgotę. Ta jedna filiżanka warta była pięciu tysięcy luidorów. A co dopiero cały serwis? Drogocenne starocie miały to do siebie, że na ogół się nimi nie posługiwano z obawy przed zniszczeniem lub zużyciem. Znał niewielu kolekcjonerów porcelany, którzy odważyliby się pić ziółka z takich rarytasów.

– Nie odpowiedział mi pan, w jaki sposób urząd egzekutora – z lekkim uśmiechem zaakcentował to słowo – wzbogacił pańską rodzinę. Ale może jestem niedyskretny?

Hipolit wskazał mu drewniane chochle, które tak zaintrygowały adwokata za jego pierwszą bytnością, w przeddzień.

– Bynajmniej, to całkiem naturalne. Wzbogaciliśmy się dzięki prawu garściowemu, a umiejętnie obracając naszymi zyskami, nie zbiednieliśmy. Tradycja uczy nas rozsądnego inwestowania. Dlatego też, w przeciwieństwie do wielu innych rodzin, nie ponieśliśmy finansowego uszczerbku wskutek dekretu Crémieux, skazującego nas na dożywotnie bezrobocie.

– Dlaczego pokazuje mi pan te chochle? Co one mają wspólnego z całą historią?

– To chochle podatkowe. Najstarsza ma kształt dłoni wielkoluda. Należała do Pierwszego, który zamówił ją, gdy mieszczanie uprosili barona, by mu zabronił pobierania własną ręką, którą uważali za nieczystą. Ponieważ nie ustalono żadnych rozmiarów, kazał ją wyrzeźbić tej wielkości. Z wyjątkiem kupców i rzemieślników, których ten podatek dotyczył, wszystkich to ubawiło, nawet barona. A kiedy przyszli się poskarżyć po raz drugi, posłał ich

do wszystkich diabłów... No a przechodząc na emeryturę, Pierwszy był już całkiem zamożnym człowiekiem.

– Skoro mowa o założycielu rodu, co on robił, zanim został pierwszym egzekutorem w rodzinie? Kim byli jego rodzice? Czyż Pibrac nie jest nazwiskiem z departamentu Górnej Garonny?

Aby zadać pytanie, które cisnęło mu się na usta, odkąd tylko się tu zjawił, adwokat starannie upozorował obojętność. „Trafiony”, pomyślał, gdy Hipolit, unikając jego wzroku, odparł stanowczym tonem:

– Nie będziemy się cofali do Adama i Ewy. Nasze dzieje rozpoczynają się wraz z Justynianem Pibrakiem Pierwszym.

Malzac fatalistycznie wzruszył ramionami.

– Doskonale, panie Pibrac, doskonale.

Gdy zegar wybił dwudziestą pierwszą, Hipolit powiedział gościowi dobranoc i udał się do biblioteki, by tam dopełnić pisarskiego rytuału.

Kazimierz zgasił świece w lichtarzu wyobrażającym Herkulesa podtrzymującego rękami obie profitki i dał znak, by Malzac poszedł za nim do wieży południowej, gdzie czekało nań łóżko z kolumnkami. Izbę o nagich ścianach ogrzewał koksownik z brązu.

Zanim Kazimierz pozostawił gościa samego, pokazał mu sedes i mahoniową umywalkę znajdujące się za parawanem.

* * *

Zegar w salonie wybił drugą.

Oslaniając dłonią płomień świec, Malzac z mocno bijącym sercem przemknął po schodach prowadzących do biblioteki. Wprawdzie zdawał sobie sprawę z zuchwalstwa swego przedsięwzięcia, lecz zarazem wiedział, że podobna okazja szybko się nie powtórzy. Wstrzymawszy oddech, powoli otworzył drzwi, a następnie zamknął je za sobą z największą ostrożnością. Często mówiono mu, że starcy mają lekki sen. A co dopiero brytan o niedźwiedzim pysku, który ani chybi spał jak zajac.

Postawił świecznik przy szafie z pamiątkami i otworzył ją, nieruchomiejąc przy najmniejszym trzasku. W pokoju unosił się zapach tytoniu i melisy.

Malzac zdjął z półki pierwszy tom w pięknej płowej oprawie safianowej, przetartej od używania, wszelako z metalowymi narożnikami. Grzbiet rękopisu zdobił herb Pibraków, a skuwka ze złota z wrytymi na niej literami JP nie była zamknięta na klucz. Malzac otworzył ją i przysunął wolumin do świec, by łatwiej odczytać pierwszą stronę.

– Do licha! – zaklął już po pierwszych liniijkach. – Tego się nie spodziewałem!

Coś twardego spadło mu na głowę, stracił przytomność.

Gdy otworzył oczy, leżał na podłodze swego wynajętego powozu. Nadal była ciemna

noc, wiał porywisty wiatr, a deszcz bębnił o budę. Obojętny na podłą pogodę, koń w hołoblach skubał trawę. Nie opodał rysowała się sylwetka muru najeżonego halabardami.

– Wyrzucili mnie – stwierdził obmacując z jękiem obolałą głowę.

Zbyt pochłonięty lekturą, niczego nie widział ani nie słyszał, nie wiedział zatem, który ze starców go rąbnął. Parokrotnie omal nie utonawszy w błocie, dotarł wreszcie do Bellerocaille i swego hotelu, gdzie przygotował sobie z chusteczki do nosa zimny kompres, który trochę uśmierzył ból.

* * *

Gdy Malzac wyszedł ze swego pokoju i ruszył w stronę ulicy Smoczej, deszcz ustał, a przez chmury z trudem przebijała blada poświata.

– Co?! Odważył się pan grzebać w szafie! – wykrzyknął Leon. – Proszę mi wierzyć, mecenasie: niedrogo pan za to zapłacił... Z pewnością nakrył pana mój ojciec, bo gdyby to był Kazimierz... miałby pan w tej chwili nie guza na głowie, lecz dziurę w głowie. Czy chociaż było warto?

– Mogłem przeczytać tylko z dziesięć stron, ale już od pierwszej wszystko było jasne: ten, kogo nazywacie założycielem rodu, tak naprawdę został podrzucony jako niemowlę, a Justynianem Trouvé, czyli Znajdą, ochrzcili go ci, co go znaleźli.

Pierwszy znajdą! Leon z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Sam to pisze w nagłówku – powiedział adwokat i dodał – teraz wystarczy odnaleźć księgi parafialne i będziemy mieli prawo ubiegać się o przywrócenie pańskiego nazwiska rodowego: Trouvé.

– Trouvé, Trouvé – powtarzał Leon tak, jak się mierzy kapelusz przed lustrem. – Dlaczego więc przybrał nazwisko Pibrac?

Nagle twarz mu spochmurniała.

– Tak czy inaczej, panie mecenasie, tego dowodu pan nie znajdzie, ponieważ księgi parafialne zostały spalone w czasie Rewolucji.

– Owszem, w Bellerocaille, ale pański przodek powiada, że został znaleziony w Roumégoux, przy wejściu do klasztoru Nieustającej Adoracji.

– Czy podaje także powody zmiany nazwiska?

– Tak. Z tego, co zrozumiałem, wynika, że pańskiego przodka poszukiwała za kradzież milicja z Roumégoux. Zatrzymany w Bellerocaille, podał fałszywe nazwisko, by uniknąć śledztwa.

Leon nie posiadał się ze zdziwienia. Justynian Pierwszy pospolitym złodziejem! Nareszcie pojął, dlaczego pamiętniki otaczano taką tajemnicą: inaczej legenda straciłaby cały blask!

* * *

W czterdzieści osiem godzin później Malzac wysiadał na peron w Roumégoux i polecał zanieść swój bagaż do oberży „Roześmianego Kapłona”, najmniej podupadłej z czterech, jakie pozostały spośród trzydziestu prosperujących w czasach masowego napływu pielgrzymów, którzy składali hołd świętemu napletkowi. Relikwia zrazu przysporzyła grodowi bogactw, by potem go ośmieszyć, gdy wybuchł spór o jej autentyczność.

Rozstrzygnął go papież oświadczając, że prawdziwy napletek znajduje się u Św. Jana na Lateranie, i nigdzie indziej. Z miejsca niegdysiejsi pielgrzymi przedzierzgnęli się w rozbawionych turystów. Czciociele zamknęli przed publicznością kaplicę, powodując prawdziwą katastrofę finansową wśród hotelarzy i sklepikarzy w Roumégoux.

Ponieważ prawo zezwalało na przeglądanie dokumentów mających ponad sto lat, mer nie widział przeszkód, by wpuścić Malzaka do archiwum, lichy oświetlonej klitki, w której panował urzędnik w zarękwkach i binoklach.

– Tysiąc sześćset sześćdziesiąty trzeci, powiada pan? Muszę wziąć drabinę – stwierdził pokazując najwyższą półkę, na której stały księgi w postrzępionych oprawach. – W tamtych czasach rejestr urodzin i zgonów prowadził Zakon Czciocieli. Po ich wywłaszczeniu, za Rewolucji, archiwa przejął mer.

– Rozumiem, rozumiem.

Światło było tak skąpe, że kazał sobie kupić świece po pięć sous. Zużył jedną, zanim uporał się z tomem z roku 1663. Niczego w nim nie znalazłszy, poprosił o akta z roku 1662, potem – z 1661 i 1660. Wciąż nic.

Zmordowany, z oczyma poczerwieniałymi i piekącymi, Malzac powrócił do gospody, prostując obolały krzyż, zjadł kolację i położył się spać. Nazajutrz znów poszedł do archiwum i przeglądał lata 1664, 65 oraz 66.

Zdarłszy od ciągłego wertowania naskórek palca wskazującego, zrobił sobie przerwę, poprosił o dzbanek kawy zakrapianej alkoholem i zaproponował archiwście, by się do niego przysiadł.

Ledwo mu wyznał swe rozczarowanie, a już tamten wpadł mu w słowo:

– Dlaczego mi pan nie powiedział, że szuka Znajdy? Oni figurują w osobnym wykazie, ze względów praktycznych, bo tylu ich wtedy było.

Znajda interesujący Malzaka był siedemnastym w rejestrze z roku 1663. Zidentyfikował go bez najmniejszej wątpliwości po imieniu Justynian, jedynym na liście, a zwłaszcza po następującym dopisku:

Znaleziony 10 czerwca Roku Pańskiego 1663, u stóp posągu fundatora, z odciętym nosem. Ochrzczony tegoż dnia i oddany pod opiekę mamce Coutouly, zam. przy ul. Wykuszowej 5, w Roumégoux.

– Jeszcze jedna sprawa wygrana – powiedział sobie adwokat przepisując powyższe dane.

Rozdział IV

Bellerocaille, sobota, 13 maja 1906 r.

Leon Trouvé zatrzymał bryczkę, czekając, aż Saturnin wysiądzie i wyciągnie spod kozła ogromny bochen chleba.

– Powiedz mu, że wpadnę wracając – wymamrotał pod wąsem, energicznie wskazując podbródkiem katownię.

Saturnin przycisnął chleb do piersi i zdecydowanym krokiem pomaszerował do głównej bramy. Leon przez chwilę nie spuszczał go z oczu. Nie mógł go pokochać ani przełamać jego nieufności, nadmiernej jak na dziesięcioletnie dziecko. „Cicha woda brzegi rwie – mawiała Hortensja. – Nigdy nie wiadomo, co sobie myśli taki ścichapęk. Lepiej mieć się na baczności.” Ale nawet Leon uważał, że jego połowica ma strasznie złośliwy język i że któregoś dnia zatruje się własną śliną.

Zanim odjechał, ujrzał, jak chłopiec otwiera bramę i wchodzi.

Stosunki z ojcem nie uległy poprawie, odkąd za sprawą mecenasa Malzaka kancelaria zmieniła decyzję i zezwoliła mu na przybranie nazwiska Trouvé. Rozgłoszenie w ten sposób „tajemnicy” Pibraków i wydana przez adwokata dwa lata wcześniej książka *Krwawe rzemiosło* nie zmniejszyły bynajmniej niechęci Hipolita do syna, którego nie nazywał już inaczej niż „Zaprzahcem”.

„Zaprzahniec” natomiast stanął okoniem, wypowiadając słowa, których natychmiast pożałował: „Kiedy ojciec przeniesie się na łono Abrahama, bo kiedyś to przecież nastąpi, ja zostanę panem katowni i wtedy każę ją zburzyć. Nie zostanie kamień na kamieniu. Niech nic nie przypomina, kto tu żył i co tu się działo przez niemal trzy stulecia.” Może wówczas nastąpi kres uprzedzeń, które tak zaciążyły nad jego losem.

Wkrótce po swym pochopnym oświadczeniu dowiedział się, że jego ojciec wystąpił do Powszechnego Rejestru Dóbr Kulturalnych Francji o uznanie katowni za zabytek historyczny.

* * *

Saturnin położył bochen pod murem, by oburącz zamknąć ciężką bramę. Ten gest sprawiał mu za każdym razem jednakową przyjemność. Tutaj był u siebie, na swoim miejscu.

Wziął chleb i poszedł na podwórze. Obok studni ujrzał klacz i kabriolet Calzinsa, starego notariusza. Dziadek miał gości. Kuchnia była pusta. Wcisnął bochen w drabinkę na chleb zawieszoną na ścianie.

– Dzień dobry, dziadziu, dzień dobry panu – powiedział, wymierzając kopniaka kurze, która wbiegła za nim po schodach.

Siedząc przy wielkim dębowym stole, Hipolit jadł rzodkiewki w towarzystwie byłego notariusza, który przekazał pałeczkę swemu synowi Witowi Calzins, od jakiegoś czasu zastępcy mera Bartłomieja Boutefeux („Boutefeux tak się zakręcili, że znów zostali panami na Bellerocaille”, podkpiwali ich przeciwnicy polityczni). Jak co miesiąc, starzec przyszedł po swój balsam, niezawodny środek antyreumatyczny, jaki potrafili sporządzać jedynie kaci na bazie ludzkiego tłuszczu pobieranego, w tylko im wiadomych ilościach, ze zwłok przestępców. Im większa popełniona zbrodnia, tym skuteczniejszy był specyfik. Istniała zatem maść ojcobójcza, matkobójcza, dzieciobójcza, palipięcka (idealna na oparzenia), a nawet sodomicka, bardzo pomocna w przypadku hemoroidów.

Tym, którzy dziwili się, że dysponuje jeszcze surowcem, chociaż nie praktykuje już od prawie czterdziestu lat, Hipolit odpowiadał, że po dwóch dziesięcioleciach działalności i dwustu ośmiu egzekucjach jego zasoby są praktycznie nie do wyczerpania. By już nie wspomnieć o zapasach nagromadzonych przez przodków. Czyż nie pozostawały mu jeszcze dobre trzy funty oryginalnej maści z czarownicy z czasów Pierwszego i Drugiego?!

Ponieważ Saturnin sam ją produkował w ramach ćwiczeń praktycznych, wiedział, że jego dziadek używa tak naprawdę tłuszczu baraniego, do którego dodaje, według uznania, różnych aromatów.

Ucałował w oba policzki Hipolita. Ten natychmiast pogładził swe wąsy i piękną, dwuspiczastą bródkę. Na koszuli z koronkowym żabotem nosił swój zwykły zielonkawy surdut z karminowym aksamitnym kołnierzem. Nogi, opięte nogawkami brunatnych spodni do konnej jazdy, wciśnięte były w buty z cholewami, o kanciastych czubkach.

– Leon nie przyjdzie?

– Powiedział, że wpadnie wracając z młyna.

Pozostawiwszy dorosłych zajętych rozmową, Saturnin wziął jedną z licznych gazet rozłożonych na stole, po czym usiadł na skrzyni pod oknem, naprzeciw drzewa genealogicznego rodziny i galerii przodków. Niedawno jego dziadek pozawieszał pod wszystkimi obrazami oprawne w ramki nominacje z odpowiednimi pieczęciami baronowskimi.

Podobnie jak w gminnej szkole nauczyciel odpytywał ich z nazw wszystkich departamentów oraz prefektur i podprefektur, Hipolit kazał mu się wyuczyć na pamięć genealogii i imion przodków („umrzeć to nic, Saturninie, najgorsze to popaść w

zapomnienie”). Pierwszy był, rzecz jasna, dokument Justyniana i jego szarego wilka Pazura, protoplasty dzisiejszego Pazura, mieszańca mastyfa i wilka.

Urodzony w 1663 r., mianowany w wieku lat dwudziestu, w 1683 r., ożenił się w 1692 r. mając lat dwadzieścia dziewięć z Wilhelminą Pradelówną. Na emeryturze od siedemdziesiątego trzeciego roku życia, tj. od r. 1736, przekazał urząd starszemu synowi Justynianowi. Zmarł w swej katowni w wieku lat dziewięćdziesięciu dwóch, w r. 1755...

powtarzał bezmyślnie chłopiec. Justynian i Mściciel byli bezsprzecznie jego ulubieńcami. Obu darzył jednakową sympatią. Pierwszego za cały pełen przygód, pasjonujący życiorys, drugiego – za niesłuchanie płodną wyobraźnię.

Justynian III, zwany Mścicielem Ludu, urodził się w katowni w 1732 r. W wieku lat piętnastu pomocnik swego ojca, w wieku lat trzydziestu jeden – naczelny egzekutor. Mściciel poślubił w osiem lat później Paulinę Plagnes, córkę Bazylego Plagnes, swego pachołka szafotowego pierwszej klasy. Przechodzi w stan spoczynku w siedemdziesiątym pierwszym roku życia, przekazując urząd starszemu synowi Justynianowi IV. Mściciel umiera ze strachu podczas nocnego czuwania, gdy na patelni pękł kasztan, który Paulina zapomniała przedziurawić.

* * *

Podczas lektury uwagę Saturnina rozpraszało imię jego stryja Leona, kilkakrotnie padające w rozmowie dziadka z Calzinsem. Nadstawił ucha.

– Mówię panu, że gdyby to zależało tylko od mojego wiarołomnego syna i tej jego megierzy, to nic by tu nie pozostało. Absolutnie nic! Sam mi to powiedział. Od tej pory, pan wybacz, ale ile razy otwieram oko, obmyślam dla nich niezbyt miłe przebudzanki, urozmaicone przeraźliwą migreną.

Hipolit pociągnął łyk wody i kontynuował kpiarskim tonem:

– Wie pan, ile ten kutas zapłacił za zmianę nazwiska na Trouvé? Ponad pięć tysięcy franków w złocie! Tak jak gdyby wystarczyło zmienić szyld sklepu, żeby ludzie puścili w niepamięć uprzedzenia. Nie mogę uwierzyć, że stał się tak naiwny. Wszystkie swoje pieńki wrzucę w ogień, jeśli to nie Hortensja nim manipuluje.

Schrupał kilka rzodkiewek mamrocząc:

– Matka zawsze mi mówiła: „Jeśli któryś z nas obierze sobie inny zawód, to prędzej czy później nami wzgardzi.”

Stary notariusz pokiwał głową z udanym przejęciem. Nawet Saturnin domyślał się, że spieszo mu opuścić te progi. Ośmielał się przychodzić osobiście po swoją maść, dopiero odkąd przeszedł na emeryturę. Przedtem przysyłał po nią lokaja.

– No więc, panie Pibrac, na razie żegnam. Liczę na pana. Potrzebna mi będzie jeszcze przed Wniebowzięciem, toteż...

– Chwileczkę, panie Calzins – przerwał mu Hipolit podnosząc dłoń, w której brakowało trzech palców. – Przed wyjściem zechce pan przyjąć do wiadomości, że nie zgadzam się z odmowną odpowiedzią Rady Miejskiej na moją prośbę o zaklasyfikowanie katowni do dóbr historycznych. Złożę wobec tego odwołanie i zażądam nowego głosowania. A pański syn jest przeciwny mojemu zamysłowi. Liczę, że pan, jako ojciec, przemówi mu do rozsądku i skłoni do zmiany zdania. W końcu, panie Calzins, czyż swego czasu już nasi przodkowie ściśle ze sobą nie współpracowali?

Notariusz zachnął się. Z całą butą, na jaką go było stać, dał odczuć katu, gdzie jest jego miejsce:

– Bredzisz pan, panie Pibrac! Wiem, że od dawna rozpowszechniasz te kalumnie, ale są one wysane z palca i pan dobrze o tym wiesz! Nigdy moja rodzina nie brała najmniejszego udziału w żadnej egzekucji.

Znaczyło to wywołać wilka z lasu. Nie spuszczać z Calzinsa wzroku, Hipolit powiedział:

– Saturninie, pamiętasz, kto zbudował pierwszy szafot Pierwszego?

Chłopiec uśmiechnął się: to było łatwe.

– Mistrz ciesielski Franciszek Calzins, starszy cechu ciesielsko-stolarskiego... To było w sierpniu 1683 roku...dwudziestego ósmego lub dwudziestego dziewiątego...

– Dwudziestego dziewiątego – rozstrzygnął Hipolit. – Teraz podaj panu Calzinsowi źródła.

Saturnin zagryzł dolną wargę. To już było trudniejsze. Wchodziło w zakres pierwszych lekcji, których dawno nie powtarzał.

– Rachunek za wykonanie szafotu znajduje się w archiwum miejskim, wydział drugi, rząd 326A45.

Rysy Calzinsa ściągnęły się. Jak za każdym razem, poprzysiągł sobie, że jego stopa nigdy więcej nie postanie w tym zakazanym miejscu. Wszelako nie zapominając o swym balsamie z wisielca z mandragorą, rzekł tonem bardziej pojednawczym:

– Zobaczę, co się da wskórać u mojego syna. Ale niczego nie obiecuję, to umysł niezależny, który nie...

Hipolit przerwał mu:

– Ja natomiast obiecuję, że jeśli katownia nie zostanie zakwalifikowana, moje zapasy maści wyczerpią się dla niektórych. Do usług, nie odprowadzam, zna pan drogę.

– Widziałeś, jak wziął nogi za pas? – zapytał wnuka, gdy notariusz znalazł się na schodach. – Chciałbym być muchą, żeby usłyszeć, w jaki sposób nakłoni syna do głosowania na nas. Bez maści i bez mandragory może się pożegnać ze swoją piękną łasiczką z Ségala.

Łasiczką nazywano w dialekcie nie tylko drapieżnika wysysającego krew z drobiu i

doprowadzającego do ruiny gospodarstwo, lecz także piękną leniwą dziewczynę.

Usłyszeli stukot kół na bruku.

– Gdzie Pazur? – zapytał Saturnin.

– Na polowaniu z Kazimierzem.

Ponownie capnął rzodkiewkę.

– Weź sobie, to pierwsze w tym roku; są dobre – powiedział podsuwając talerz wnukowi.

Saturnin, który nie był głodny, zjadł jednak kilka, by mu sprawić przyjemność. Lubił swego dziadka, a chociaż ów nieraz okazywał surowość, a nawet bezwzględność, gdy tylko chodziło o tradycję, był równie sprawiedliwy i bezstronny co aptekarska waga.

– Jedz – zachęcił go starzec. – Jedz i powiedz, co mówią na mieście.

„Na mieście” oznaczało „u Leona”. Saturnin popił ze szklanki dziadka i odparł:

– Stryjenka Hortensja chciałaby kupić takie tilbury, jak ma Cressayet, ale stryjek Leon się nie zgadza.

– Ustąpi. W końcu zawsze ustępuje. A Pafnucy? Był rówieśnikiem Saturnina, chodził do tej samej klasy i podobnie jak on szykował się do straszliwego egzaminu końcowego.

– Jak zwykle. Wolałby pracować przy piecu, ale stryjenka Hortensja chce, żeby został adwokatem.

– Adwokatem, to coś nowego. Czy nie chciała go wykierować na lekarza?

– Zmieniła zdanie, odkąd wygrali proces.

Hipolit chrząknął na samo wspomnienie tej bolesnej chwili, gdy tajemnicę Pierwszego wywleczono na światło dzienne. Odtąd nikt nie miał wątpliwości, że założyciel rodu był po prostu pospolitym złodziejem.

Wielki zegar wybił wpół do dziesiątej.

– Dość gadania. Zobaczymy, czyś powtórzył lekcję. Nie przestając mówić, ułożył w stos gazety i magazyny, które zawałyły stół. Żyjąc w niemal całkowitej izolacji, utrzymywał kontakt ze światem zewnętrznym dzięki prenumeracie wszelkich czasopism politycznych, literackich, naukowych, artystycznych, finansowych, sportowych, humorystycznych i satyrycznych. Otrzymywał nawet dwa żurnale mód, które nieodmiennie przeglądał z drwiącym cmokaniem.

Saturnin wyciągnął z szuflady kredensu zeszyt, piórnik i bibułę, po czym usiadł modląc się, by odpytywanie nie objęło podatku garściowego, o którym miał bardzo słabe pojęcie.

– Jeżeli kafar obciążymy dodatkowo dziesięcioma kilogramami, jak długo będzie spadał nóż?

Chłopiec odetchnął z ulgą: pytanie było łatwe.

– Pół okamgnienia.

– Hmmm, hmmm – zamruczał dziadek głaszcząc się po brodzie. – To nie było trudne. A teraz wymień mi dziesięć podstawowych przywilejów garściowych za Justyniana II.

– Eeee... garściowe za Justyniana Drugiego pobierane było tak, jak za Pierwszego, trzy

razy w tygodniu: w poniedziałek, w... yyy? czwartek... nie, we środę... i w sobotę.

Brwi Hipolita ściągnęły się.

– Jesteś pewien?

Saturnin, niezdecydowany, skrzywił się.

– Kto nie jest pewny, ten nie wie. A kto nie wie, ten zaczyna wszystko od nowa.

Uczeń otworzył zeszyt, zdjął zakrętkę z kałamarza i umoczył w nim stalówkę.

– Określenie „garściowe”, jak sama nazwa wskazuje, oznacza „to, co można wziąć w garść”.

Hipolit udał, że sięga ręką do worka, skąd wyciąga ją pełną.

– Właśnie to prawo wzbogaciło Pierwszego, a nie najwyższy wymiar kary.

Kontynuując lekcję ekonomii, Hipolit uwypuklił sprawiedliwość tego podatku, który oszczędzał ubogich, uderzał zaś jedynie w rzemieślników i kupców, a więc w tych, dla których wymyślono prawa. Zamierzał jeszcze raz potępić Turgota, winnego jego zniesienia, gdy na bruku podwórza zadźwięczały podkute saboty. Niebawem wkroczył Kazimierz, a tuż za nim Pazur, który natychmiast podbiegł do chłopca, by polizać mu czule twarz językiem wielkości ścierki.

Pachołek położył na krześle swą myśliwską strzelbę i zdjął z ramienia torbę, z której wychylił się łebek szczeniaka, ujadającego i szamoczącego się, by z niej wyleźć.

– Ale śmieszny, wygląda, jakby miał je podbite – powiedział Saturnin pokazując czarną obwódkę wokół jego prawego oka.

– Możesz go pogłaskać, możesz go sobie nawet wziąć, bo należy do ciebie. Najlepsze życzenia, Saturninie.

Radość odmieniła oblicze chłopca, nazbyt często pozbawione wyrazu.

* * *

Wozem wyładowanym workami mąki Leon podjechał pod katownię. Niemrawo otworzył bramę, z niechęcią myśląc o ponurej atmosferze, w jakiej przebiegały jego rzadkie wizyty. Nawet Pazur zdawał się na niego popatrywać z wyrzutem... Tak, naprawdę, niech to wszystko zniknie raz na zawsze i żeby już o tym nikt nie wspominał. Co do przodków w krypcie, to proboszcz akceptował ich przeniesienie na cmentarz Św. Wawrzyńca, ale nie chciał nawet słyszeć o statuach i żądał, by szczątki spoczęły w anonimowym grobie. Ksiądz był też nieprzejednany co do trumien założyciela i Wilhelminki, domagając się ich rozkucia. Ten ostatni wymóg martwił Leona, który wprawdzie okazał się renegatem, został jednakowoż wychowany w tradycji. Otóż stanowiąca jej nieodłączną część historia nieposzlakowanej miłości Justyniana o drewnianym nosie i Wilhelminki wycisnęła mu z oczu niejedną łzę. Rozdzielenie ich równało się profanacji.

Przed wejściem do wielkiej widnej izby z trzema oknami Leon zdjął kapelusz.

Skinieniem głowy pozdrowił ojca, który odwzajemnił mu się tym samym. Kazimierz wolał odwrócić się doń plecami. Siedzący na podłodze bratanek piekarza bawił się z czarno-białym szczeniakiem, którego życzliwie obwąchiwał Pazur.

– Jakie złe wiatry cię sprowadzają?

– Chodzi o katownię, ja...

Podobnie jak Calzinsowi, Hipolit przerwał mu gestem.

– Jeśli chcesz mnie odwieść od ponownego złożenia podania, nie strzep sobie języka: to już się stało.

Uzyskawszy odpowiedź na pytanie, którego nawet nie zdążył zadać, Leon z rezygnacją wzruszył ramionami. Nie miał tu już nic do roboty.

– Chodź, idziemy – powiedział do Saturnina, który wstał z żalem, ściskając pieska w objęciach.

– Pamiętaj, że aby być jego panem, tylko ty powinieneś go karmić – przestrzegał chłopca Kazimierz.

– A kiedy będziesz go chciał ukarać – dodał dziadek – przetrzep go kijem, nigdy ręką. Ręka jest przeznaczona wyłącznie do głaskania.

Tu wtrącił się Leon:

– Chwileczkę, chyba nie bierzesz ze sobą tego zwierzaka?

– On jest mój, dziadek mi go podarował.

– Leonie! – huknął Hipolit, zanim tamten zdążył zaproponować. – Wiesz chociaż, jaki dziś mamy dzień?

– Trzynastego maja. No i co? Nie rozumiem... Potem przypomniał sobie i zmieszał się.

Podczas powrotu do Bellerocaille, pogrążony w myślach (czarnych) nie pisnął słowa. Obok niego Saturnin głaskał łebek szczeniaka wciśniętego za pazuchę. Co powie Hortensja? Pokąsana w młodości, nienawidziła psów prawie tak samo jak ludzi.

Dojechali do ulicy Smoczej, przy której wznosił się okazały belkowany gmach piekarni-ciastkarni Leona Trouvé.

Rajmund, najstarszy z czeladników, otworzył bramę wjazdową, by jego zwierzchnik mógł wprowadzić wóz na podwórze.

Saturnin podążył za stryjem ku piecowi, gdy psiak wymknął mu się i skoczył na przechodzącą akurat tamtędy Księżniczkę. Ze zjeżoną sierścią kotka wpadła na zaplecze, gdzie wdowa Bouzouc gotowała obiad, tam przemknęła zygziem między stołowymi nogami i wbiegła do sklepowego sanktuarium z depcącym jej po piętach i wściekle ujadającym psem.

– Bozycku! Ktotocoto? – krzyknęła wdowa.

W sklepiku była właśnie godzina szczytu – wpół do dwunastej. Hortensja nawet z pomocą córek i służącej ledwo radziła sobie z natłokiem klienteli. Wtargnięcie zwierząt spowodowało zamieszanie. Ktoś schodząc im z drogi wpadł na tacę z biszkoptami, które

rozsypany się po posadzce, potęgując panujący bałagan.

Kuśtykając, z rozognionymi policzkami, Hortensja chwyciła psa i wyekspediowała go kopniakiem na zaplecze. Tam uzbrojona w drewnianą chochlę wdowa Bouzouc przejęła inicjatywę. Oszałały z przerażenia psiak zaczął sikać, gdzie popadnie. Wbiegł Saturnin.

– A wciórności! Po kiego licha ta sobaka? – wrzasnęła doń starucha, która z tego wszystkiego zapomniała poprawnej mowy.

Saturnin, który rozumiał gwara, ale nie miał prawa jej używać, gdyż dziadek był na tym punkcie bardzo rygorystyczny, usiłował ją uspokoić.

– On jest mój, podarował mi go dziadek na urodziny.

– Daj spokój, mamu, wytłumaczę ci – uśmiechnął się Leon pojednawczo. – A ty – rzucił do bratanka – wytrzymaj tę szczybę i pilnuj, żeby nie łaził do sklepu; musisz go przywiązać.

Następnie wrócił na podwórze doglądać rozładunku worków z mąką. Hortensja nie omieszkła do niego dołączyć, rozjuszona:

– Co ja słyszę? Ten szajbus twój stary dał Saturninowi psa? A tyś nic nie powiedział?

Jej przeraźliwy głos przyciągnął do okien sąsiadów.

– Nie krzycz tak, proszę. Dał mu go w prezencie, bo dziś są jego urodziny. Dlatego nic nie powiedziałem. Teraz rozumiesz?

– Rozumiem jedno: nie chcę u siebie psa. Wtedy Leon uczynił coś niezwykłego: postawił się.

– Przede wszystkim mój ojciec jest, kim tylko zechcesz, ale nie „szajbusem”, poza tym przy mojej rodzinie zawsze były psy. A zatem będą i U MNIE.

Czyż na szyldzie nie widniało jego nazwisko? Gdyby nadal piekł chleb tak, jak go nauczył Arseniusz Bouzouc, już dawno by splajtował. To dzięki jego umiejętnościom dom przeobraził się nie do poznania. Nawet dach był teraz nowy. Czy to nie jego pieczywo pozwalało jego żonie, a obecnie także i córkom, ubierać się w „Paryskim Szyku” w Rodez i nosić kapelusze po trzydzieści franków? I paradować co niedziela do kościoła?

Wszelako zostawił ją czując, że złość w nim opada, i znikł w piekarni zlorzcząc.

Dopiero przy obiedzie, w chwilę po błogosławieństwie, Hortensja przypuściła kontratak:

– Powiedz, Saturninie, kto się zatroszczy o twojego psa, kiedy będziesz w szkole? Rozumiesz chyba, że mamy co innego na głowie, niż powstrzymywać go przed napadaniem na Księżniczkę czy wycierać po nim siuski.

Ten, o którym była mowa, uwiązany na sznurku, ćwiczył sobie zęby na nodze taboretu Saturnina.

– Kazimierz mówi, że jest z rasy foksterierów i że będzie dobrym szczurołapem. Jak urośnie, można go będzie zostawiać na strychu, gdzie nauczy się polować.

Stryjenka była odmiennego zdania.

– Szczury i myszy to robota dla Księżniczki... Zresztą, kiedy się nad tym zastanawiam, przychodzi mi do głowy tylko jedno rozwiązanie: ponieważ to twój pies, ty musisz się nim

zajmować. Trzeba zatem, byś został tutaj.

– Chciałbym, stryjenko, ale przecież chodzę do szkoły.

– No więc przestaniesz chodzić. W końcu umiesz czytać, umiesz bazgrać, umiesz liczyć do tysiąca, i to wystarczy, jak na twoje przyszłe potrzeby... Musisz po prostu zostać tutaj ze swoim psem. W ten sposób będziesz mógł pomagać stryjkowi przy piecu. To się nawet dobrze składa, bo nadchodzi Wielkanoc, a ten niewdzięcznik Rajmund nas opuszcza.

Rzuciła jadowite spojrzenie ku otwartym drzwiom piekarni, gdzie jedli obiad czeladnicy i służąca.

Po trzech latach terminowania Rajmund oznajmił, że zamierza się ożenić i zamieszkać u teścia, piekarza w Rodez.

– Ale ja też chcę psa! Ja też chcę pracować przy piecu z tatą! – krzyknął oburzony Pafnucy.

– Ty będziesz robił to, co ci każą!

Małgosia i Beata parsknęły śmiechem w serwetki.

– Nie mogę teraz rzucić szkoły. Egzamin jest za miesiąc, a jestem pewny, że go zdam.

Poszukał wzrokiem oczu stryja, lecz na próżno.

– Dość mądrzenia się – ucięła Hortensja. – Musisz wybierać: albo rzucasz szkołę i zajmujesz się psem, albo się go pozbywasz. Nikt tutaj nie może się o niego troszczyć za ciebie. Czy chociaż rozumiesz?

– Ja mogę – podjął się spontanicznie Pafnucy. Tym razem dostał w twarz.

– Jedz i milcz!

Saturnin spojrział na psiaka. Ten, widocznie uznawszy drewno taboretu za zbyt twarde, chwycił zębami sznurek i żuł go zawzięcie. Chłopiec pochylił się, by go pogłaskać po łebku. Jeszcze nigdy nie miał na własność niczego żywego.

– No więc, Saturninie? Słyszałaś, co do ciebie mówiłam, czy nie?

– Słyszałam, stryjenko... Ale byłoby głupio nie dostać świadectwa, skoro dziadek mówi, że warto je mieć.

– Co on o tym wie, ten twój dziadek? Przecież on nigdy nie wychodzi z domu. A czy on sam ma jakieś świadectwo?

Do pokoju weszła Księżniczka. Pies skoczył, zrywając sznurek, i na zapleczu rozpoczęła się hałaśliwa kotłowanina, która niebawem przeniosła się do sklepiku.

– Bozycku, Bozycku! – lamentowała stara Bouzoukowa podnosząc ręce do sufitu.

* * *

Oparty o poręcz balkonu, nie zważając na chłód, Leon palił ostatniego papierosa i przyglądał się latarnikom zaciemniającym ulicę Smoczą. W głębi pokoju, za wielkim parawanem w chińskie wzory, Hortensja wkładała nocną koszulę. Tę samą, którą miała na

sobie osiemnaście lat wcześniej, w noc poślubną. Wtedy była nowa, a szorstkość szarego płótna dziwiła go niemal tak samo jak wąski pionowy rozporek na odpowiedniej wysokości, wokół którego czerwonym ściegiem krzyżykowym wyhaftowano napis „Bóg tak chce”. Leon nigdy nie widział jej nocą bez tej koszuli.

Po drugiej stronie przepierzenia, jak co wieczór przed pójściem spać, Saturnin i Pafnucy klęczeli przed wielkim wspólnym łóżem i szybko odmawiali pacierz.

– Spraw, Panie Boże, żeby Saturnin zmienił zdanie i został w szkole ze mną – dodał Pafnucy, który we wszystkim skrupulatnie naśladował kuzyna.

– Jak go nazwiesz? – zapytał później.

– Wszystkołam.

– To nawet do niego pasuje – zaaprobował Pafnucy, patrząc na szczeniaka rozszarpującego okładkę jego podręcznika arytmetyki.

Rozdział V

*Nazajutrz, niedziela 14 maja 1906 r.,
ulica Smocza, godzina 4 rano*

– Obudź się, już czas!

Piesek zaszczekał pod łóżkiem. Saturnin z żalem otworzył oczy i ujrzał Benedykta, drugiego czeladnika, ze świecą w ręku.

– Zostaw mnie, chce mi się spać.

– Wstawaj, obiboku. Szef nie lubi, jak się guzdrzemy. I niech ta szczekaczka zamknie pysk, bo obudzi panią Hortensję, no a wtedy...

Saturnin przypomniał sobie umowę zawartą ze stryjenką. Zrzucił pościel i ześlizgnął się na podłogę. Poglaskał po łebku Wszystkołama, który pomerdał ogonkiem. Gdy był już gotów, wziął psa na ręce.

– Zabierasz go? – zdziwił się piekarczyk.

– No pewnie, jeśli go zostawię samego, będzie bez przerwy szczekał.

W piekarni, powalany mąką po łokcie, Leon żwawo miesił ciasto. Lubił swoją pracę, co było widoczne w każdym jego geście. Przyjął bratanka życzliwie, podając mu niebieski fartuch.

Saturnin rozejrzał się za pieskiem, by dodać sobie odwagi, i zobaczył, jak sika pod dewizą wymalowaną już dawno temu przez Arseniusza Bouzouka:

Im mniej ci się udaje, tym więcej mówisz o trudnościach.

Ten, komu się udaje, nigdy o tym nie mówi.

Czyś dobrze wypełnił dzień?

Zadawaj sobie to pytanie co wieczór.

Jego stryj westchnął.

– Wytrzymaj, a potem weź się do roboty. Na początek wyczyścisz popielnik. Benedykt pokaże ci, gdzie wyrzucić popiół.

Wstawał dzień, gdy wdowa Bouzouc pojawiła się, jak każdego ranka, w piekarni z nocnikiem w ręku. Potraktowawszy kopniakiem psa, który obszczekiwał jej łydki, opróżniła naczynie na podwórku, po czym udała się na zaplecze, skąd niebawem dobiegł aromat świeżej kawy zmieszany z wonią gorącego chleba. Wówczas dało się słyszeć nierytmiczne stąpanie Hortensji po schodach i wtórujące mu kroki Małgosi i Beaty. Ostatni dowlóknął się Pafnucy. Z zazdrością spojrział na kuzyna, zeskrobującego tłuszcz z blach do wypieku rogalików.

Kiedy Saturnin podążył za swym stryjem na zaplecze, stwierdził, że jego kubek i krzesło znikły.

– Piekarczykowie nie jadają z państwem – wyjaśniła Hortensja, wskazując mu piekarnię, gdzie Rajmund z Benedyktem siedzieli przy stoliku. – I zabierz tego psa. Nie życzę go sobie tutaj, a tym bardziej w sklepie. I marny jego los, jeśli nie posłucha!

Saturnin spojrział na stryja, który umoczył kromkę chleba z masłem w kubku.

Nieco później Saturnin zamiatał podwórze, gdy Pafnucy, w stroju odświętnym, z książeczką do nabożeństwa pod pachą podążał na religię, stąpając ostrożnie, przykazano mu bowiem, aby się nie pobrudził. A kiedy Hortensja ze swą matką i córkami wychodziły, trzymając się pod rękę, do kościoła Św. Wawrzyńca, gdzie obecność na sumie o dziesiątej należała do dobrego tonu, on czyścił skrobaczką dziedzę. O jedenastej Leon zdjął fartuch i wszedł na piętro, by przygotować się do niedzielnego zebrania Przyjaciół Starych Dobrych Czasów, które odbywało się w tylnej salce „Smacznego Jadła”, bastionu konserwatystów (podczas gdy „Palcelizac” było twierdzą „czerwonych”). Podejmowano tam, i z przejęciem omawiano, najrozmaitsze tematy. Leon, należący do stowarzyszenia od pięciu lat, był w nim ledwie tolerowany jako milczący członek. Nikt go nie pytał o zdanie i nie spodziewał się, że kiedykolwiek zabierze głos.

Ponieważ sklepy zamykano w niedzielę po południu, Saturnin z Wszystkołamem udali się na brzeg Dourdou, by się nawzajem lepiej poznać. („Posłuszeństwo wyegzekwujesz czterema sposobami – przestrzegał go Kazimierz. – Są to spojrzenie, gest, modulacja głosu i uzasadniony wyrzut. Psy, tak samo jak my, nie lubią niesprawiedliwości. Za to zawsze wiedzą, kiedy się niewłaściwie zachowują. Dlatego należy je karać bez wahania.”)

Wyczerpany po tak długim dniu chłopiec pośpiesznie zjadł kolację w towarzystwie czeladników i poszedł na górę, by się położyć. Zasnął, ledwo przyłożył głowę do poduszki.

Nazajutrz, o czwartej, potrząsnął nim Benedykt.

– Wstawaj, już czas.

O wpół do siódmej zjawiły się stara Bouzoukowa i jej nocnik. Dopiero widząc, jak Pafnucy wpycha do tornistra cukierki, by móc za nie kupować ściągę od kolegów, Saturnin uznał za krzywdzący układ wymuszony przez stryjenkę. Gdyby tylko pozwoliła mu zdawać egzamin... A co powie dziadek, kiedy się dowie, że przestał chodzić do szkoły? Na pewno trzeba będzie oddać psa, a na to Saturnin nie mógł się zdobyć. Dlatego też skłamał, gdy

Hipolit zagadnął go tradycyjnie: „No i co, dobrze pracowałeś w tym tygodniu?” Ponieważ jego kłamstwo „chwyciło”, powtarzał je podczas swych kolejnych wizyt.

Nadszedł dzień egzaminu.

* * *

Gdy jednostka zaspokoi stłumione pragnienie, wszyscy inni członkowie społeczeństwa muszą odczuć potrzebę uczynienia tego samego. Aby przeciwdziałać tej pokusie, należy karać zuchwalstwo tego, czyja satysfakcja budzi zazdrość, i zdarza się, że kara stwarza tym, co ją wymierzają, okazję do popełnienia, pod płaszczykiem pokuty, tego samego nieczystego czynu. W tym właśnie tkwi jedna z podstawowych zasad wynalezionej przez ludzi systemu karnego.

Nie mogąc się skupić, Hipolit przestał czytać i spojrzął z niepokojem na zegar, który lada moment miał wybić czwartą po południu. Nie będąc w stanie usiedzieć na miejscu, odłożył książkę i wyszedł z gabinetu, by wspiąć się na szczyt wieży północnej. Był tam już Kazimierz.

– Więc i ty uważasz, że to nie w porządku. Powinien tu być co najmniej od godziny.

– Może spóźniają się z wynikami?

– Może.

Gdy zegar wybił piątą, Kazimierz zaprzęgnął konia do landa, a Hipolit dopiął rzemień swego dziesięciostrzałowego lefauchteux.

Najpierw przejechali obok szkoły, która była zamknięta. Udali się więc na Smoczą. Kazimierz zatrzymał Pędziwiatra przed piekarnią-ciastkarnią Leona Trouvé, do której jeszcze na chodniku ciągnęła się kolejka.

– Jezus, Maria, Józefie... kat! – szeptano na widok Hipolita wysiadającego z powozu o szkarłatnych kołach i zdążającego w stronę wejścia, które migiem opustoszało.

Hortensja, która obsługiwała kucharkę Beaulouisów, wybełkotała:

– Tata! Co za niespodzianka!

– Dzień dobry, Hortensjo – powiedział Hipolit zdejmując cylinder. – Gdzie Saturnin?

Klienci w sklepiku zaszemrali.

– To przecież on, to Pibrac!

– Saturnin? Jest przy piecu. Dlaczego?... O, dzień dobry, Kazimierzu, widzę, że i pan tu jest.

Pachołek nie odpowiedział. Wpatrywał się kolejno w klientów tak długo, aż spuszczał wzrok. Pachołkowie szafotowi tradycyjnie odznaczali się arogancją, a Kazimierz pod tym względem nie miał sobie równych.

– Przy piecu – powtórzył bezmyślnie Hipolit.

Obszedłszy wielką marmurową ladę i słoiki z lukrecją oraz nadziewanymi czekoladkami,

wkroczył na zaplecze, gdzie stara Bouzoukowa patroszyła właśnie królika. Oszołomiona, przeżegnała się widząc, jak kat przechodzi przez pokój do piekarni.

Saturnin zmywał posadzkę szmatą, którą Wszystkołam próbował pochwycić. Miał zaczerwienione oczy.

„Oblał i bał się przyjść”, błędnie ocenił starzec, pochylając się, by go ucałować. Chłopiec zawisł mu na szyi i zapłakał.

– Przepraszam, dziadku, przepraszam.

– Nie płacz, nic się nie stało. Zgłosisz się na egzamin poprawkowy na jesieni i wtedy zdasz, zapewniam cię.

Chłopiec rozszlochał się na dobre. Hipolit zmarszczył brwi.

– Przede wszystkim, co to ma znaczyć, że zmywasz posadzkę jak jakiś parobek? Ukarano cię? Coś przeskrobałeś? Nie mów, że to za obłany egzamin.

– Ja go nie oblałem, dziadku, ja do niego nawet nie przystąpiłem.

W tej sytuacji Saturnin musiał wszystko opowiedzieć. W miarę jak mówił, oczy jego dziadka zaczęły ciskać błyskawice.

– Mieli czelność TO zrobić!!! Idź po swoje rzeczy i wskakuj do landa. Stoi przed sklepem.

– Mam wziąć wszystkie swoje rzeczy?

– Wszystkie. Będziesz mieszkał w katowni.

Rozpromieniony Saturnin wbiegł pędem po schodach, a Hipolit wrócił na zaplecze. Hortensja cicho rozmawiała tam z matką. Jej córki i służąca zajmowały się klientelą.

– Gdzie jest Leon? – zapytał obojętnym tonem.

– We młynie – odparła synowa.

Hipolit bez słowa stanął przed nią. W pokoju zaległa dławiąca cisza. Stara Bouzoukowa, by odzyskać kontenans, wróciła do czyszczenia królika. Za nią, na kredensie z Nowej Galerii, Księżniczka bacznie śledziła przebieg operacji.

– Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego Saturnin wymachiwał szmatą w piekarni, zamiast zgłosić się na egzamin? – odezwał się wreszcie Hipolit głosem, który zaniepokoił Kazimierza.

Ten bowiem dołączył do nich na zapleczu i rozglądał się uważnie, gotów na wszystko. Stara Bouzoukowa odłożyła nóż i ponownie się przeżegnała. Obecność kata pod jej dachem była gorsza niż przypiekanie na wolnym ogniu. Gdy była małą dziewczynką, matka groziła, że ją porzuci na Skrzyżowaniu Sądu Ostatecznego pod katownią, której mieszkańcy byli znani z pożerania na surowo nieposłusznych dzieci.

– Co ojciec chce przez to powiedzieć? Nie rozumiem. Po co mówić tak głośno? – zaoponowała Hortensja, lecz bez wielkiego przekonania.

Hipolit zrobił krok w jej kierunku. Hortensja cofając się uderzyła plecami o róg kredensu.

– Kto wam pozwolił zabrać Saturnina ze szkoły?

– To on sam... to on tego chciał. Żeby móc się zajmować swoim psem. Wystarczy go

zapytać.

Po sobie tylko znanych oznakach (pewne usztywnienie kręgosłupa, szczególnie przymrużenie oczu, lekkie drżenie dolnej wargi) Kazimierz zorientował się, że musi wkroczyć do akcji. Łagodnie położywszy rękę na ramieniu swego pana, szepnął mu do ucha:

– Nie warto, chodźmy. Saturnin jest w powozie.

Znacznie później, gdy odzyskała zdolność składowego formułowania myśli, wdowa Bouzouc stwierdziła, że tylko smok lub jakiś drapieżnik mógł działać tak błyskawicznie.

Wyciągnąwszy przed siebie lewą rękę z szybkością kameleona połykającego muchę, Hipolit złapał Księżniczkę za kark. W tej samej chwili jego prawa ręka chwytła nóż staruchy. Przycisnąwszy kotkę do drzwi piekarni, przybił ją do nich, grmiąc głosem zmienionym nie do poznania:

– *Eloim, Essaim, frugativi et appellavi!* Na Lucyfera i Belzebuba, którzy nie mogą mi niczego odmówić, przeklinam was, Bouzouków, aż po grób, i na całą wieczność!

To rzekłszy, obrócił się na pięcie i wyszedł dość zadowolony ze wstrząsającego wrażenia, jakie po sobie pozostawił, zlizując krew z ręki podrapanej przez nieszczęsne zwierzątko.

* * *

Po zbiegowisku przed swym sklepem Leon z daleka poznał, że stało się coś nieprzyjemnego.

Musiał rozpychać się łokciami, by dostać się do siebie, niechętnie przyjmując rzucane mu litościwe spojrzenia. Wewnątrz wszystko było poprzewracane do góry nogami. Jego teściowa leżała w łóżku i bełkotała w dialekcie: „To nie po człeczemu, Bozycku, Bozycku! To nie po człeczemu.”

Siedząca u jej wezglowia Hortensja, która kładła jej zimne kompresy, poderwała się na równe nogi na widok męża i warknęła doń:

– A to masz piękną rodzinę! Twój ojciec, ten furiat, właśnie stąd wyszedł: przeklął nas w naszym własnym domu! Zobacz, w jaki stan wpędził mamę.

– A dlaczego to wszystko zrobił?

– Kiedy się dowiedział, że Saturnin nie chodzi do szkoły, jakby go coś opętało.

Pokazała mu nacięcie w drzwiach pozostawione przez nóż i wilgotne plamy po wytartej krwi.

– Przygwoździł do nich Księżniczkę, rzucając na nas przekleństwo. Coś strasznego!

– Czy byli klienci?

– W sobotę po południu? Też pytanie! Pełen sklep. Mam nadzieję, że nareszcie coś zrobisz. Poza tym zabrał Saturnina i wszystkie jego rzeczy. Nie można go wydawać na pastwę tych dwóch starców. A skoro odszedł od nas Rajmund...

Leon wzruszył ramionami. To, co się przed chwilą stało, można było przewidzieć.

Wiedział od dawna, że z ojcem nie ma żartów. Westchnął wspominając Księżniczkę. To rzeczywiście w jego stylu, takie widowisko... Musiał zaklinać Belzebuba, Lucyfera i całą diabelską zgraję, wściekle błyskając białkami. Nic dziwnego, że stara Bouzoukowa leży w łóżku... Jak jej wytłumaczyć, jak ją przekonać, że jego ojciec nie jest czarownikiem i że nie utrzymuje bezpośrednich kontaktów z mocami piekielnymi? Jak świat światem, ludowy przesąd utożsamiał katów i znachorów z czarownikami, a tradycja uczyła, jak z tego korzystać. Aż za dobrze pamiętał lekcje inwektyw, podczas których Hipolit, metodą poglądową, uczył go najlepszych sposobów rzucania przekleństwa. „Najpierw zmieniasz głos. Ludzie wtedy myślą, żeś «nawiedzony», i połowę roboty masz z głowy.”

– Na co czekasz? Zamiast tu stać i na mnie patrzeć, lepiej byś poszedł złożyć zażalenie: przecież musi być jakiś paragraf na to, co on nam zrobił – zganiała go Hortensja, podpierając się pod boki. – Ja w każdym razie porozmawiam o tym z proboszczem.

– Bez sensu! – powiedział idąc do Benedykta, by pomóc mu w rozładowaniu worków z mąką.

* * *

O ile historia ukrzyżowanej na drzwiach kotki cieszyła się wielkim powodzeniem, o tyle piekarnia-ciastkarnia Trouvé chwilowo odnotowała zmniejszone obroty. Nikt by się nawet nie zdziwił, gdyby nagle z jej wyrobów zaczął się wydzielać swąd siarki.

Lato było suche.

Żniwa miały się ku końcowi, kiedy Saturnina ponownie ujrzano w szkole. Zapisał się na egzamin poprawkowy i uzyskał drugie miejsce wśród wszystkich kandydatów. Pogratulował mu dyrektor, wręczając świadectwo. Hipolit okazał się mniej wylewny. Winszując mu, nadmienił zarazem, że tylko miejsce prymusa jest dobre.

– Drugi to pierwszy z ostatnich.

Rozdział VI

Mimo wysiłków, nacisków i łapówek katownia Pibraków nie została wpisana do Powszechnego Rejestru Dóbr Kulturalnych Francji. Hipolit chodził tam i z powrotem, jedną rękę trzymając za plecami, drugą zaś tarmosząc czubki swej czarnej brody. Saturnin widział, jak pogrąża się kolejno w księgach prawniczych i wertuje je aż do obiadu, którego zresztą ledwo skubnął.

– Postawimy ich przed faktem dokonanym – powiedział po pewnym czasie łagodnym głosem. – Właśnie sprawdziłem, że żadne prawo nie zabrania nam przekształcić katowni w muzeum. Prywatne, płatne muzeum.

Po raz pierwszy tego dnia zaśmiał się. Kazimierz sprzątnął ze stołu. Saturnin mu w tym pomógł, a Hipolit rozwinął swą myśl:

– Najważniejsze to dać o sobie znać turystom odwiedzającym zamek lub kościół Świętego Wawrzyńca. Muszą wiedzieć, jak do nas dotrzeć... Och, gdyby nie ten Las Wstydlivy, widziano by nas z miasta, jak dawniej. Można by wówczas ustawić wielką tablicę w jaskrawych kolorach... Och, och, załóżę się, że wszyscy zzielenieliby z zazdrości.

Wybuchnęli śmiechem.

– Wydrukujemy katalog i bilety. Zareklamujemy się w *Michelinie* i w *Baedekerze*. Kazimierz będzie otwierał drzwi, Saturnin sprzedawał bilety, a ja... robił za przewodnika.

Ponownie się zaśmiali. Psy jak na komendę pomerdały ogonami.

– Można by też zamówić widokówki z katownią – zaproponował chłopiec.

– Dobry pomysł. Kazimierz zgłosił zastrzeżenie:

– Może trochę za dużo inwestycji jak na początek. Do Bellerocaille przyjeżdża przecież najwyżej stu turystów rocznie.

– Wiem, ale urządzimy muzeum nie po to, żeby się wzbogacić, ale żeby ochronić zabytek. Jeśli ma nas przeżyć, musi się stać o b i e k t e m w y ż s z e j u ż y t e c z n o ś c i . W końcu jego dzieje, tak samo jak nasze, wiążą się nierozdzielnie z historią wymiaru sprawiedliwości. Nasze muzeum ukaże w pełnym świetle najusilniej skrywane oblicze systemu.

* * *

Po smutnym epizodzie z zasztyletowaną Księżniczką Leon nie postawił więcej stopy w katowni, zaprzestając dostarczać jej mieszkańcom swoich bochnów, a tym samym zrywając ostatnią łączącą ich więź.

Później, kiedy Pafnucy opowiedział, jak brawurowo Saturnin zdał poprawkę, w skrytości ducha ucieszył się. Sam Pafnucy ją oblał. Czasami, acz niechętnie, Leon przyznawał, że tęskni za bratankiem. Niechlujstwo i tępota jego obecnego czeladnika niewątpliwie miały z tym coś wspólnego. Mimo że pozbawiony entuzjazmu dla rzemiosła, Saturnin okazał się zręczny, systematyczny, sumienny. Odmowa Rejestru włączenia katowni do katalogu sprawiła Leonowi niemalą radość. Wydało mu się nawet, że wygrał wojnę: wystarczyło tylko poczekać na śmierć starego, i adieu Fruziu, katoweńko!

Niestety, satysfakcja trwała krótko, z uszczerbkiem dla jego nerwów. Pewnego dnia, udając się do młyna, wybrał dłuższą drogę, przez Skrzyżowanie Sądu Ostatecznego, skąd z niepokojem dostrzegł rusztowania wokół wież, a także robotników restaurujących blanki. Inni wrywali trzykrotki spomiędzy kamieni muru obwodowego. Jeszcze inni siedząc na drabinach zeskrobywali z halabard farbę, dziarsko przy tym pogwizdując.

Zima 1906 roku była łagodna i przebiegła bez jakichkolwiek niecodziennych wydarzeń. Dopiero wiosną, gdy pojawiły się kwiaty na łąkach, a pryszcze na policzkach wyrostków, zdano sobie sprawę, że Las Wstydlivy nie uczestniczy w dorocznym cudzie. Nic w nim nie zieleniało i – o zgrozo! – katownia bezczelnie tkwiła na widoku. Gdy ludzie zaniepokojeni udali się na miejsce, z przerażeniem stwierdzili rozmiary katastrofy: z wszystkich drzew pozostały tylko kikuty, prawdziwa gratka dla wieśniaków z wyżyn, którzy je łamali i wiązali z szybkością wygłodniałych termitów.

Dokładniejsze oględziny wykazały, że na każdym pniu brak metra kory. Ktoś dosłownie zamordował Las Wstydlivy.

– Ci, co to zrobili, zastosowali średniowieczną technikę umożliwiającą uprawę bez konieczności karczowania lasu – wyjaśnił nauczyciel. – Zabija się drzewa, obdzierając je w ten sposób z kory. Liście opadają i już nie odrastają. Słońce może zatem padać na ziemię, a ona nadaje się wtedy pod uprawę.

Bartłomiej Boutefeux, mer, zarządził dochodzenie. Komendant Calmejane zaaresztował kilku wieśniaków, których musiał jednak zwolnić z braku dowodów. Magistrat zlecił wywieszenie na skraju lasu tablic zakazujących ścinania pod karą grzywny, lecz znikły one następnej nocy.

Aczkolwiek nikt nie śmiał ich otwarcie oskarżać, nazwisko Pibraków cisnęło się wszystkim na usta, nawet jeśli motywy ich postępku wydawały się niejasne. Magistrat nie wywiesił nowych tablic. Znów pojawili się wieśniacy, a na Wszystkich Świętych Las Wstydlivy w zasadzie znikł. Odtąd z Bellerocaille, zarówno z górnego, jak i z dolnego

miasta, widać było wyraźnie megalit i katownię. Wówczas Hipolit pomalował gmach wraz z wieżami na czerwono, wszystkie halabardy w murze obwodowym – na złocisto. Było ich ponad trzysta, odkupionych przez Drugiego od milicji, która wycofała je z użycia.

Te innowacje podziały na umysły zacnych mieszczan jak muleta na psychikę byka. Z inicjatywy Wita Calzinsa, zastępcy mera, puszczono w obieg petycję domagającą się zaprzestania tych prowokacji. Zebrano pod nią ponad trzy i pół tysiąca podpisów, m.in. Leona i Hortensji Trouvé, piekarzy-ciastkarzy. Dołączono do niej list z nagłówkiem merostwa, wzywający Hipolita do przywrócenia katowni jej barwy oryginalnej, gdyż obecnie „szpeci ona krajobraz”, stercząc niczym „wrzód na nosie naszego pięknego grodu”.

Nazajutrz Kazimierz składał w merostwie kopertę zawierającą odręczną kopię karty spisanej w 1683 roku, która stanowiła, iż siedziba egzekutora, jako też jego odzienie winny być „barwy byczej krwi”. Pibrac uzupełnił dokument następującym dopiskiem: „Ponieważ niniejsza karta nie została anulowana, obecny kolor katowni Pibraków jest całkowicie zgodny z przepisami.”

* * *

Alfons Puech wywoływał właśnie zdjęcia z chrzcin córki bankiera Duvaliera, kiedy dzwonek nad drzwiami oznajmił wizytę klienta.

– Już idę – zawołał z za przepierzenia.

Mimo że urodzony w Bellerocaille trzydzieści lat wcześniej, Puech uważany był za „imigranta”, bo jego rodzice pochodzili z Requisty, sporej osady położonej bliżej Albi niż Rodez. Jedyne fotograf w mieście, Alfons Puech był autorem czterech kart pocztowych z Bellerocaille: widoku ogólnego, kościoła Św. Wawrzyńca z XIII wieku w dniu procesji, widoku średniowiecznego zamku tudzież placu Dziurskiego wraz z ratuszem z XV wieku.

Zdziwił się spostrzegając pośrodku swej pracowni byłego kata i jego nieodłącznego pachółka o aparycji szubienicznika. Z tak bliska widział ich po raz pierwszy. Emanowało z nich coś osobliwego.

– Panowie sobie życzą?

W ostatniej chwili powstrzymał się od zwyczajowego „do usług”.

– Panie fotografie, zamieniłem moją katownię na muzeum. Chciałbym, żeby ją pan obfotografował i wyprodukował, powiedzmy, pięć tysięcy widokówek.

– Pięć tysięcy!

– Na początek... Czyżby to było za mało?

– Wręcz przeciwnie, to dużo.

– Ile czasu panu trzeba?

Wśród setek plotek krążących z dawien dawna na temat Pibraków jedna nie budziła najmniejszych wątpliwości: Pibrakowie byli wyplacalni.

– Przynajmniej ze sto dni od wywołania negatywów.

– Psiakość, trochę dłużej! Liczyłem, że w najgorszym razie na świętego Idziego.

– Miesiąc? Niemożliwe, panie Pibrac. Muszę przecież podkolorować każdą widokówkę ręcznie. To delikatna i czasochłonna robota, szczególnie jeśli się jej nie chce spartaczyć.

– Daję panu czas do świętego Jana. Jeśli pan nie może, trudno, poproszę któregoś z pańskich kolegów w Rodez.

Alfons Puech jakoś się utrzymywał ze swej artystycznej działalności dzięki miejscowym ślubom, chrzcinom, fotografiom klas na koniec roku szkolnego oraz jasełek organizowanych w kościele Św. Wawrzyńca. Nie mógł przepuścić takiego zlecenia. Zgodził się.

– Doskonale. Trzeba jednak panu wiedzieć, że to wszystko musi pozostać między nami. W przeciwnym razie mój obecny tu pacholek wytarga pana za uszy z mojej poręki. A taka z niego fajtłapa, że mogłyby mu zostać między pakami. Sługa uniżony, panie artysto!

* * *

W dniu św. Jana gotowych było tylko dwa i pół tysiąca kart pocztowych. Hipolit nie miał o to pretensji do fotografa i wyznaczył mu bardziej realistyczny termin dostarczenia reszty. Tę pobłażliwość usprawiedliwiała jakość wykonanej roboty. Puech umieścił katownię między kamiennym portalem a tarczą herbową. Na kobaltowym niebie odcinały się blankowane wieże. Na szafocie naprzeciw fasady wznosiła się gilotyna. U stóp schodów Hipolit, Saturnin i Kazimierz szczerzyli zęby w uśmiechu.

Tego wieczora, dzięki pocziarce, całe miasto dowiedziało się, że Kazimierz nie tylko wykupił wszystkie znaczki w urzędzie, ale jeszcze zamówił trzy tysiące, zgodnie z pozycją taryfy: „karty pocztowe”.

Tego samego wieczora w katowni Hipolit naklejał pierwszy znaczek na pierwszej widokówce.

– Po sprawiedliwości należy się Leonowi. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dostanie przez to po raz drugi żółtaczki.

* * *

Po kpiarskim oku listonosza i jego jowialnym: „Dzień dobry także i panu, panie Trouvé”, Leon domyślił się, że „coś” wisi w powietrzu. Przejrzał korespondencję. Widokówka wprawiała go w zdumienie.

– No nie, staruszkule, po prostu śnisz, a jak się obudzisz, ta... RZECZ zniknie jak każdy koszmar naruszający porządek naturalny.

Pocztówka nie znikła! Leon powlókł się na zaplecze, gdzie nalał sobie i wychylił duszkiem kielich porto.

– Coś nie tak? – zaniepokoiła się Hortensja.

– Istotnie, coś nie tak.

Napełnił drugi kielich. Wówczas Hortensja dostrzegła widokówkę i zrozumiała. Och, najgorsza nie była wcale żenująca obecność jej teścia, jego obrzydliwego pachółka oraz Saturnina, bez trudu dających się rozpoznać u stóp śmiercionośnej maszynerii, lecz podpis, za jednym zamachem obracający wniwecz całe lata wysiłków i zaprzepaszczający tysiące franków (w złocie):

ZWIEDZAJCIE JEDYNE MUZEUM HISTORYCZNE
NAJWYŻSZEGO I NIŻSZYCH WYMIARÓW KARY
W BELLEROCAILLE (DEPARTAMENT AVEYRON)

widniało po jednej stronie, na odwrocie zaś:

KATOWNIA-MUZEUM: KOLEBKA
RODZINY TROUVÉ-PIBRAC,
EGZEKUTORÓW OD OŚMIU POKOLEŃ

Trouvé-Pibrac!

Następował krótki wykaligrafowany tekst. Hortensja rozpoznała pismo swojego teścia:

Serdecznie zapraszamy na obławianie obiektu w niedzielę, pierwszego września 1907 roku.
Niniejsza pocztówka stanowi kartę wstępu.

Trouvé-Pibrac!

* * *

To poczciarka powiadomiła Leona, że jego ojciec nie zadowolona się wysyłaniem kartek do notablów z Bellerocaille, lecz także ekspediuje je do dygnitarzy w Rodez, Albi, Tuluzie, Montpellier, Nîmes, Lille i w całej Francji.

– W tempie stu dziennie. Pismo nie jest jednakowe, rozróżniam trzy charaktery.

Hipolita, Kazimierza i Saturnina, rzecz jasna... a gdyby psy potrafiły pisać, też by je zatrudniono.

Równie pracowita jak życzliwa poczciarka dostarczyła mu listę nazwisk adresatów. Jego ojciec najwyraźniej przebrał wszelką miarę. Teraz nadawał zaproszenia do kustoszów głównych muzeów paryskich, do generalnego inspektora zabytków historycznych, a także do prezydenta Republiki Armanda Fallières (i małżonki), do Rady Państwa i Rady Sądownictwa,

do ministra sprawiedliwości, jak również (zbiorowo) do wszystkich pozostałych urzędujących członków gabinetu.

Było nawet jedno do Mikołaja Malzaka. Pod podpisem Hipolit umieścił dziwaczne „Z obrazem bez obrazy”.

– Do czego on teraz zmierza?

– Kto weźmie na serio takie zaproszenie? Muzeum katów, dobre sobie, no nie? Nikt nie przyjedzie, i on dobrze o tym wie. Wie, że poczciarka wszystkim rozpowie. Robi to, aby nam dokuczyć. Choć raz to zignorujmy.

* * *

Jak przewidziała piekarczowa, nikt w Bellerocaille nie potraktował pocztówek poważnie. Uznano je za jeszcze jedną gorszą prowokację, i każdy postarał się o nich zapomnieć. Wszelako Leon nie zdawał sobie sprawy z jednego. Oto Hipolit zaprosił także wszystkich byłych egzekutorów departamentalnych, ich rodziny oraz pachołków. Do wzięcia udziału w uroczystości zostali również zachęcani egzekutorzy zagraniczni, jak np. słynny „*hangman*” z Londynu (Hipolit zwracał się do niego per „*old chap*”), dusiciel z Madrytu („*Hola, caballero, qué tal?*”), egzekutorzy z Turynu, Mediolanu i Rzymu („*cari amici*”), scharfrichterzy z Monachium, Linzu i Berlina („*lieber Kollege*”), a także z Brukseli („drogi stary kompanie”), Lizbony („*meu compadre*”), Tokio („*Konnichi wa, Isseyeke san*”) i nawet z Dżiddy w Arabii Saudyjskiej wirtuoz bułata, niedościgły w kamienowaniu („*Salamalejkum, Hadż Abdul*”).

Te zaproszenia wysłano przezornie z poczty w Racleterre, co tłumaczy kompletne zaskoczenie bellerokajczyków w chwili, gdy ponad połowa emerytowanych katów w odpowiedzi na nie zaczęła zjeżdżać do miasta pojedynczo lub w małych grupkach.

Pierwsze przybyły trzy wynajęte powozy. Jechali nimi egzekutorzy z Pau, Tarbes i Auch w towarzystwie żon, dzieci, pachołków oraz rodzin tychże. W sumie szesnaście osób, które zajęły całe pierwsze piętro „Smacznego Jadła”.

Z pociągu o dziesiątej wysiadły na peron rodziny z Nicei, Sisteron, Draguignan i Brignoles, które rozlokowały się na drugim piętrze zajazdu. Mimo że zachwycony powodzeniem swego lokalu, oberżysta uznał za intrygujący taki napływ gości poza sezonem. W dodatku coś w ich wyglądzie go niepokoiło.

Rodziny z Marsylii i Tulonu, które spotkały się w Montpellier z tymi z Carcassonne, Béziers i Bordeaux, przyjechały wczesnym popołudniem czterema dyliżansami wynajętymi w przedsiębiorstwie przewozowym Cabrela w Rodez. Podczas gdy żony z dziećmi w pierwszej kolejności podążyły do kościoła Św. Wawrzyńca, by podziękować Panu Bogu za dotarcie na miejsce zdrowo i cało pomimo piekielnych traktów, mężowie szli się pokrzepić do „Palcelizać”.

– Ki diabeł? – zastanawiali się stali klienci wobec tego napływu starców (beniaminek

liczył sobie sześćdziesiąt pięć lat) skromnie odzianych w czerń i wytwarzających jakieś osobliwe napięcie. Dopiero przyjmując od nich zamówienie, kelner spostrzegł, że są uzbrojeni. Powiadomił o tym szefa, który z miejsca udał się na komisariat.

– Pan jest pewien, że to broń? – zapytał poruszony komendant Calmejane.

– Nawet się z nią nie kryją. Najbardziej zdumiewający jest ich wiek, bo wszyscy są dobrze po sześćdziesiątce... Wygląda to na jakieś stowarzyszenie. Ale jakie? Znajdzie ich pan także w „Smacznym Jadle”.

Żandarm wziął ze sobą dwóch ludzi i podążył do „Palcelizać”. Po drodze minął omnibus z Rodez, z którego przed przedsiębiorstwem Cabrela wysiedli trzej osobnicy o podejrzanych minach, ubrani staroświecko. Najmłodszy był osiemdziesięcioletkiem i wystawiał na widok publiczny karabin lagrese z ozdobną kolbą. Tym razem bez wątplenia działa się coś nienormalnego i należało natychmiast dowiedzieć się co. Calmejane podszedł do trzech starców nadzorujących wyładunek bagaży i zażądał od nich broni.

– Do kaduka! A to z jakiego tytułu? – oburzył się jeden z nich, z silnym akcentem bretońskim.

– Z tytułu zakazu noszenia broni bez zezwolenia.

– No to może lepiej nas zapytać, czy takowe posiadamy? – odparł sucho Cyprian Gloanec, były egzekutor z Brestu, który w asyście swych pachółków szafotowych odbył długą podróż.

Komendant obejrzał ich zezwolenia, odczytał w rubryce „zawód”: „emeryt”, po czym im je oddał.

– Niezwyczajniśmy w naszym miasteczku oglądać na ulicy uzbrojonych obywateli.

– A to dopiero! A Siódmy? Nie mów mi pan, że wychodzi bez swojego lefauchoux.

– Pan zna Hipolita Pibraka?

– A co byśmy robili w takiej dziurze, gdyby było inaczej?

– Wie, żeście przyjechali?

– No przecie, skoro nas sam zaprosił.

Bretończyk przybrał zafrasowaną minę.

– I nie opowiadaj pan, że tylko myśmy się tu pofatygowali.

Nagle jego oblicze pojaśniało. Żandarmi spojrzeli w tę samą co on stronę.

– O właśnie, o wilku mowa – powiedział Bretończyk. – Oto i on. Hej, wy, spójrzcie – rzucił w stronę swoich pachółków. – Obok niego siedzi Kazimierz Plagnes, syn Feliksa, a ten chłopak pośrodku to Ósmy, ten sam co na widokówce.

Nadjechało czerwono-czarne lando z herbami na drzwiczkach. Calmejane przypomniał sobie kartkę otrzymaną przed dwoma miesiącami. A więc „oblewanie” się odbędzie! Jeszcze raz miasto nie doceniło zdolności swego dawnego kata do przysparzania mu kłopotów.

„Znam niejednego, co będzie się zżymał na ten jubel”, pomyślał tu szczególnie o Leonie.

Ten zaś znajdował się w swoim sklepiku, kiedy kilku starszych jegomościów weszło, by

zapytać o drogę do katowni Trouvé-Pibrac.

– Zauważyliśmy nad witryną to samo nazwisko – wyjaśnili. – Pan jest krewnym?

– Po co się tam panowie wybierają?

– Na inaugurację muzeum. Powinien pan coś o tym wiedzieć, jeśli jest krewnym.

Leon wskazał im drogę na Saint-Flour, biegnącą akurat w przeciwnym kierunku niż ku Skrzyżowaniu Sądu Ostatecznego. Gdy znikli, wziął drabinę i zdjął szyld z napisem „Piekarnia-Ciastkarnia Leona Trouvé”.

* * *

Pojawienie się Hipolita, Kazimierza, Saturnina i trzech Bretończyków w oberży „Palcelizać” wywołało radosną wrzawę wśród już obecnych egzekutorów. Jeden przez drugiego ściskali sobie ręce, obejmowali się, walili po plecach i posyłali drapieżne uśmiešky, odsłaniając uzębienie nieraz zbyt białe, by było prawdziwe.

Zgromadzeni w głębi sali klienci próbowali coś z tego zrozumieć.

– Chyba ci wszyscy starcy nie są katami?

– Słuchajcie, każdy mówi innym akcentem.

– Masz rację. Kto mógłby tak fetować Pibraka, jeśli nie inny kat? Zresztą spójrzcie, jak się zachowują.

– A niech mnie gęś kopnie! Idą następni, toż to istny najazd.

– Widzieliście? Ten ma czelność farbować sobie włosy w takim wieku!

– Myślicie, że to legalne: tylu katów jednocześnie?

– Tego nie wiem. Wiem natomiast, że na pewno ich o to nie zapytam.

* * *

Mimo nieobecności prezydenta Fallières’a i członków jego gabinetu, inauguracja pierwszego muzeum najwyższego i niższych wymiarów kary odniosła wielki sukces. Ponad stu sześćdziesięciu gości podpisało złotą księgę wyłożoną w salonie, a liczba i wartość darów wzruszyły Hipolita do łez.

Nie zważając na odległość i gabaryt przedmiotu, dusiciel z Madrytu przywiózł wspaniałą szesnastowieczną ławę do rozciągania, z drzewa orzechowego, w idealnym stanie, noszącą liczne ślady użycia. Były egzekutor z Périgord dał w prezencie tuzin cyzelowanych knebli ze srebra z XIII wieku, jak również nadzwyczajnej rzadkości wyrywacz piersi o czterech ostrzach, stosowany niegdyś wobec czarownic i niezamężnych kobiet winnych przerwania ciąży.

Dębowe dwumiejscowe dyby, w których umieszczano twarzą w twarz kłótników, by mogli zawrzeć ze sobą bliższą znajomość, przywiózł Gutman z Monachium, którego

umięśnione uda, uwypuklone przez parę *Lederhosen*, budziły podziw wśród pań.

Wierny swej reputacji wesołego sowizdrzała, dziewięćdziesięcioletni Aleksy Chargasse z Dijon ofiarował oryginalne wydanie z roku 1781 *Podręcznika teorii i praktyki biczowania kobiet niewolnych*, dzieła trudno dostępnego, lecz dobrze znanego w hermetycznym kręgu egzekutorów. Autor, hiszpański plantator z Kuby, sklasyfikował sto trzy rozmaite sposoby smagania niewolnicy, by dojść do wniosku, popartego niezbitym dowodem, że wolą Stwórcy jest, by czarne niewiasty grzmocić siarczyście, w przeciwnym bowiem razie „po cóż by Bóg, którego mądrość jest nieskończona, wyposażył je w tak rozłożysty i wystający zadek?”

Oczekiwani przez wszystkich Anatol i Rozalia Deiblerowie wzbudzili olbrzymią sensację. Czyż nie on ostami sprawował urząd? Jego serdeczne uściski z Hipolitem zostały tym lepiej przyjęte, że powszechnie znano ich sprzeczkę z czasów sprawy palipiętów.

– Wiedziałem, że nam nie skrewisz. Gdyby nie jedyny spośród nas wciąż czynny zawodowo, ta uroczystość byłaby połowiczna. Nie ma twoich pachółków?

– Zostali na warcie w Paryżu. Chętnie by przyjechali, ale ktoś przecież musiał zostać, na wypadek gdyby...

Tłoczono się wokół nich, bo każdy był świadom historycznej chwili, która dostarczy tematu do rozmów na całe lata („I ja tam byłem...”).

Z kieliszkiem szampana w ręku Alfons Puech nieśmiało umizgiwał się do córki byłego kata w Arras, kiedy kiwnął nań Kazimierz:

– Pan Deibler przyjechał. Chodź pan go sfotografować razem z Siódmym, zamiast uderzać w koperczaki do zaproszonych pańienek!

Nie zagustowawszy w wyniosłym tonie pachółka, Puech ociągał się czas jakiś z pożegnaniem ładnej rudowłosej, a potem z założeniem kliszy do swego nowego aparatu za sto franków, luksusowego pascala, całkowicie zautomatyzowanego.

Chociaż sumka była okrągła, Pibrac bez zmrżenia oka natychmiast uregulował rachunek za pięć tysięcy kart pocztowych i zamówił u niego ilustracje do przygotowanego przez siebie katalogu. Aby się z tego wywiązać, Puech podążył do katowni i przystąpił do obfotografowywania wszystkich eksponatów przyszłego muzeum. Jeszcze nie ukończył tej pracy, a już Hipolit poprosił go o uwiecznienie inauguracji kilkoma zdjęciami.

– Gdyby panowie zechcieli wystawić twarz do słońca – zwrócił się Puech do Hipolita i Deiblera.

Ci spełnili prośbę. Pozostali egzekutorzy otoczyli ich półkolem. Kobiety, dzieci i pachółkowie stanęli z boku.

Ponieważ do owego dnia widywał go zawsze manipulującego ogromnym aparatem ustawionym na trójnogu, Hipolit zdziwił się niewielkimi rozmiarami czarnej skrzynki, której tamten właśnie zamierzał użyć.

– Mam nadzieję, że ten aparat nie robi małych zdjęć. Nam są potrzebne duże, zwłaszcza w takim dniu jak dziś!

Puech go uspokoił.

Gdy negatywy (dwanaście) były gotowe, Anatol Deibler otworzył jeden ze swoich kufków i wyciągnął zeń tabliczkę formatu 40 x 25 cm, na której widniał napis:

BEZBOŻNIK, ŚWIĘTOKRADCA I BLUŻNIERCA,
WSTRĘTNY I OBRZYDLIWIY

– Do tysiąca stryczków! Anatonu, skąd tyś TO wziął? – zdziwił się Hipolit obracając tabliczkę w rękę.

Przyklejona do niej etykieta wyjaśniała, że 1 lipca 1776 roku niósł ją idąc na szafot kawaler de La Barre. Hipolit rozpoznał staroświeckie pismo Karola Henryka Sansona.

Nie odpowiedziawszy, Anatol wyjął z kufra hebanową szkatułkę o pokrywce ozdobionej złotą lilią. Wewnątrz, na poduszczyku z gronostaja, leżała chusteczka, która posłużyła do związania przegubów Ludwika XVI w dniu jego egzekucji.

W cisnącej się wokół nich ciżbie rozległ się pomruk niedowierzania. Hipolit podawał dalej relikwie, w miarę jak Anatol gestami arcykapłana wydobywał je ze swego bagażu.

Wszyscy tu znali na pamięć ostatnie słowa Marii Antoniny wypowiedziane w chwili, gdy nadepnęła Sansonowi na piętę: „Przepraszam pana, zrobiłam to nieumyślnie”, ale nikt nawet nie marzył, że któregoś dnia ujrzy na własne oczy słynny trzewik. Nie królowej, lecz Karola Henryka, wyciągnięty przez Anatola z jego cudownego kufka.

Nabożna cisza zaległa, gdy ukazał się elegancki but z klamerką (stopa prawa, rozmiar 43). Niestety, na czarnej skórze nie widniał najmniejszy ślad królewskiego faux pas.

– Panna Zofia przekazuje ci je do twojego muzeum – wyjaśnił Deibler. – Zamknęła się w klasztorze w Neuil-l'Espoir i nie mogła przyjechać. Zresztą w jej wieku, po takich jak tu drogach, byłoby to ryzykowne... Tak ją zachwycił twój pomysł, że podarowała ci wszystko, co odziedziczyła. Twierdzi, że drugą połowę zniszczyła jej starsza siostra, która wyrzekła się rodziny i wyszła za jakiegoś medyka.

Niejedna rodzina doznała podobnego losu. Można było nawet skonstatować, że tego dnia nie stawiły się rodziny, które od czasu zniesienia ich urzędu usiłowały „przejsć Rubikon”, roztapiając się w anonimowości, zmieniając nazwisko lub znikając za granicą.

Dbający o stopniowanie efektów Anatol wyciągnął i otworzył aktówkę.

– Zawiera brudnopisy wszystkich ważniejszych listów, jakie napisał. Przeczytałem kilka w podróży: pasjonujące. Są też kopie rachunków. A przede wszystkim jest jego r e j e s t r .

Zgodnie z tradycją zawodu egzekutorzy mieli w zwyczaju prowadzić dokładny wykaz swoich dokonań. Wiadomo zaś było, że Karol Henryk Sanson pobił wszelkie rekordy. Posiadać jego rejestr, to było wręcz nie do wiary!

Więść zachwyciła całe towarzystwo. Wszyscy byli ciekawi bilansu.

– Gdy byłem mały, dziadek mówił, że przekroczył tysiąc. Ale jakoś nigdy w to nie

mogłem uwierzyć – powiedział Doublot, dawny egzekutor z Blois.

– Ile wobec tego? Ile? – niecierpliwiono się. Hipolit przekartkował zeszyt i znalazł podsumowanie.

Na widok cyfr zaniemówił.

– Ile? Powie nam pan wreszcie?

– Dwa tysiące dziewięćset osiemnaście.

Dał się słyszeć szum wiatru w drzewach rosnących wokół krypty. Kobiety przerwały ploteczki, zwracając twarze ku nagle oniemiałym mężczyznom.

Karol Henryk Sanson nie zadowalał się mechanicznym notowaniem tożsamości tych, których wyprawiał *ad patres*, lecz wykorzystał emeryturę, by ich poklasyfikować według wieku, płci, zawodu i rangi. I tak można się było dowiedzieć, że w ciągu siedemnastoletniej kariery ściał dwudziestu dwóch młodzieńców w wieku poniżej osiemnastu lat, stu trzech starców w wieku od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu lat, a także dziewięciu dziewięćdziesięciolatków. W ogólnej liczbie dwa tysiące dziewięćset osiemnaście było dwa tysiące pięćset trzynastu mężczyzn i czterysta jeden kobiet. Pozostałych czworo scharakteryzowano jako „płci nieokreślonej”.

Karol Henryk skrócił o głowę sześciu biskupów i arcybiskupów, dwudziestu pięciu marszałków i generałów, dwustu czterdziestu sześciu urzędników sądowych i parlamentarzystów, trzystu dziewiętnastu księży i zakonników, czterystu dziewiętnastu finansistów, adwokatów, lekarzy i notariuszy, trzystu osiemnastu szlachty płci obojga, szesnastu artystów różnych dyscyplin, jednego króla, jedną królową.

* * *

Pan domu zaplanował, jak mu się wydawało, z rozmachem uroczystość na pół setki gości; tymczasem zjechało się stu sześćdziesięciu, których trzeba było rozlokować, nakarmić i napoić.

Zgromadziwszy wszystkie małżonki, Hipolit podzielił się z nimi swym problemem kwatermistrzowskim.

– Powołuję was w imię wyższej konieczności. Ponieważ zarzniętych wcześniej Wiktora i Hugo nie starczyło, poświęcono też piętnaście kur i osiem gęsi tuczonych kukurydzą, jak również jedenaście królików karmionych lucerną i marchwią.

– Bierzcie, bierzcie. Gdy czegoś będzie za mało, to zawsze jeszcze się znajdzie – powtarzał im Hipolit, gdy zjawiał się w kuchni, by doglądać wydawania posiłków.

Rozpalono piec chlebowy i ogołocono warzywnik tudzież sad. Łańcuch studzienny bez przerwy zgrzytał, tak wielkie było zapotrzebowanie na wodę.

– Gdy wam czego zabraknie, poproście Kazimierza. A jeśli zapasy się wyczerpią, sprowadzimy je z miasta.

Muzykanci i miejska orkiestra odmówili przybycia, toteż Hipolit posłał Kazimierza do Racletterre, by zapewnił usługi wiejskiego kwartetu wyspecjalizowanego w ślubach i bankietach.

Z początku bardzo nieufni, zwłaszcza odkąd Hipolit wskazał im szafot w roli estrady, grajkowie odprężyli się po gorącym przyjęciu ich pierwszej polki. Później przynoszono im szampana i regularnie pytano, czego im potrzeba.

Gdy przyszła kolej na ciasto, Hipolit polecił im przerwać występ i przyłączyć się do biesiadników, co im szczególnie pochlebiło. Następnie, zachęceni nader kulturalnym potraktowaniem, zagrali z taką werwą, że nawet młodzi z Bellerocaille zaczęli miarowo przytupywać. Zgromadzeni na wszystkich trzech placach rozróżniali dźwięki skrzypiec.

– Czemu nam nigdy nie urządzają takiego ubawu?

Nie jeden myślał o ładnych buźkach dostrzeżonych pośród starych katów. Pod pretekstem przechadzki wzdłuż brzegu Dourdou ci z placu Dziurskiego zeszli do dolnego miasta, gdzie już znajdowały się gromady z placów Republiki i Św. Wawrzyńca. Zmierzając ku źródłu muzyki przeszli przez most i szli tym, co dawniej było Lasem Wstydlwym. Niebawem dotarli do muru obwodowego katowni. Kierując się słuchem podążyli wzdłuż niego, aż jeden z nich zajrzał na drugą stronę, podsadzony przez kilku innych.

Ktoś wypatrzył jego głowę między halabardami i ostrzegł Hipolita.

Ów, podejrzewając jakieś nieczne podchody, skinął na Kazimierza i wyszedł przez furkę wieży wschodniej, by zejść od tyłu ciekawskich, którzy zmartwieli z przerażenia.

– No co, młodzieniaszki? Co to znaczy? Zrozumiawszy pomyłkę, Hipolit opuścił lufę mauzera.

– Banda kretynów! Na co czekacie? Chodźcie potańczyć z naszymi dziewczętami!

Żaden się nie ruszył.

– Dziwicie się? Nie ma czym. O ile wiem, wszyscy zostaliście zaproszeni. Wasi rodzice otrzymali zawiadomienia, opiewające również na ich progeniturę... Wiem, że uchodzimy poniekąd za wilkołaków, ale przecież jesteście już zbyt duzi, żeby wierzyć w takie dyrdymały. No już, mówię, wchodźcie i bawcie się dobrze!

W tym momencie kwartet uderzył szatańskiego rigodona, który sprawił, że z okrzykami podniecenia przebiegli bramę zapominając, gdzie się znajdują, a zwłaszcza u kogo.

W ciemnościach, zaniepokojeni, że nie widzą swych latorośli szwendających się po placu, jak co niedziela, ich rodzice nawoływali się od jednego domu do drugiego:

– Nie widzieliście mojego Kubusia i jego brata? Ach, tak! Państwo też szukają swojego Antosia!

Gdy wreszcie zrozumieli, a ich wzrok skierował się ku jaskrawoczerwonej katowni, z której od rana dobiegało to drażniące rzepolenie, poczuli się nieswojo.

Powiadomiono żandarmerię, która odmówiła interwencji.

– Ci ludzie świętują w obrębie prywatnej posesji. Z jakiego tytułu mielibyśmy im w tym

przeszkadzać? Chyba nie oskarżacie pana Pibraka o zmuszanie waszych dzieci do zabawy na jego terenie?

Zdecydowani odzyskać swe pociechy za wszelką cenę, niektórzy rodzice wsiedli do paru powozów i pojechali do katowni, by zadzwonić do bramy.

Ledwo dysząc od cake-walka, którego musiał przerwać, Hipolit we własnej osobie powitał ich z otwartymi ramionami:

– A więc nareszcie się namyślili! Wchodźcie, wchodźcie, zabawcie się i wy.

Ponieważ nikt się nie kwapił, zapytał:

– Czego chcecie? Powiedzieli mu.

– Nie łudźcie się, że zepsuję przyjemność tym dzieciakom. Zróbcie to sami.

Nie widząc, by ktokolwiek się ruszał, zostawił ich tam, gdzie stali, nie zamykając bramy, na wypadek gdyby ktoś zmienił zdanie.

* * *

Nie podano kolacji, lecz głodni i spragnieni mogli chodzić do kuchni, gdzie zmieniający się dyżurni prowadzili szwedzki stół.

Przez cały czas dyskretnie krążyło zlecenie dotyczące młodzieży z miasta: „Nie powinni się upijać, bo później my za to będziemy odpowiadać. Dawajcie im lemoniady, a jeśli nalegają, wzywajcie Kazimierza.”

Gdy zapadła noc i pojawiły się pierwsze gwiazdy, pośrodku podwórza rozpalono wielkie ognisko i tańczono gigę, kuranta tudzież sarabandę.

Okolo dziewiątej wieczorem najstarszych zmogło zmęczenie, toteż udali się do swych hoteli, podśpiewując po drodze:

Stryczek, pal czy gilotyna

To dla kata nie nowina

Gdy mu każą – migiem ścina

Chłopa, pana, mieszczanina

Inni bawili się jeszcze długo po północy.

* * *

Jak każdego ranka, Wszystkołam wskoczył na łóżko swego młodego pana i wcisnął mu swój wilgotny, owłosiony pysk do ucha. Saturnin, w jego mniemaniu, budził się zbyt długo, więc zaszczeakał. Karmiono go tylko raz dziennie i właśnie nadeszła pora. Saturnin wstał.

Ponieważ nie widział Kazimierza, który go odwoził do szkoły, zjadł śniadanie sam i

wyruszył pieszo. Idąc przypominał sobie główne wydarzenia z przedednia. Szczególne wrażenie zrobiły na nim oznaki szacunku okazywanego jego dziadkowi: spodobało mu się, że jego samego traktowano jak następcę tronu.

Ruiny zamku jakby olbrzymiały z każdym jego krokiem. „Szkoda, że go podpalili za Rewolucji”, pomyślał. W pamiętnikach Mściciela czytał, że winę za to ponosił ówczesny dziedzic, baron Ferdynand Boutefeu. Rozjuszony do szaleństwa wiadomością o ścięciu króla, chciał zmusić całe miasto do przybrania żałoby. Dla przykładu sam odział się w czerni, po czym kazał wlać hektolitry atramentu oraz czarnej farby do zamkowej fosy. Następnie porozwieszał kir na wszystkich drzewach i pomalował wszystkie meble w zamku na kolor antracytowy.

Reakcja Komitetu Ocalenia Publicznego w Bellerocaille nie dała długo na siebie czekać. Zamek wzięto szturmem, a baron wprawdzie zdołał uciec na koniu, lecz nie miał czasu go osiodłać.

Dopiero gdy spalono katastry, owe pergaminy, na których spisane były senioralne prawa baronii, zamek stanął w płomieniach i został w trzech czwartych zniszczony. Dzięki zbiorce zorganizowanej przez mera – bądź co bądź Boutefeu – częściowo go odrestaurowano. Miejskie muzeum znalazło siedzibę w dawnej wielkiej sali. Specjalny kącik urządzono tam dla wykopalisk spod megalitu na Skrzyżowaniu Sądu Ostatecznego.

Tego dnia klasowi koledzy Saturnina na wszystkich przerwach między lekcjami otaczali go kołem i wypytywali o zabawę, będącą teraz na ustach wszystkich.

Jeżeli jeszcze w początkach swej nauki, kiedy mieszkał u stryja, odczuwał powszechną niechęć, jego uprzejmość i brak złośliwości, a także duch koleżeństwa rychło podbiły zarówno współtowarzyszy, jak i nauczycieli. Ci ostatni zgodnie oceniali go jako powolnego, lecz drobiazgowego, upartego, gdy czegoś nie rozumiał, a także nie pozbawionego zmysłu syntezy, nader rozwiniętego jak na swój wiek.

– To prawda, że tam byli sami kaci emeryci?

– To wcale nie są „kaci emeryci”, jak ich całkiem niepoprawnie określasz, ale egzekutorzy na przymusowym bezrobociu. U nich nie ma granicy wieku. Mam przodka, który praktykował do osiemdziesiątego pierwszego roku życia.

– A katownia naprawdę zostanie przerobiona na muzeum kary śmierci?

– Naprawdę. Wejście będzie kosztowało franka, jak w zamku. Mamy prawdziwe bilety i zamówiliśmy pocztówki z najładniejszymi eksponatami.

Wyjął kilka z tornistra i dał innym do oglądania. Musiał szczegółowo tłumaczyć, co to za skrzynie pełne kołnierzyków.

Tego ranka Pafnucy spóźnił się o dwie godziny. Wyjaśnił profesorowi, że w nocy jacyś nieznani sprawcy rzucali kamieniami w okna jego rodziców.

– Musiałem pomóc posprzątać, psze pana.

– Tata mówi, że to wasi goście tak nas urządzili – wyznał później Saturninowi.

– A po co by mieli to robić? Większość spała w katowni, bo w hotelach nie było miejsc.

Pafnucy wzruszył ramionami. Miał to w nosie. Byle tylko kuzyn zdążył odrobić za niego zadanie z geometrii, którego nie kapował „ani w ząb”. Wszystko, co usiłowano mu kłaść do głowy w szkole, pozostawało dlań niezgłębioną tajemnicą. W jakim celu dręczono go tymi pogmatwanymi historyjkami o dyliżansach, które nie tylko nie wyjeżdżają o tej samej godzinie, ale jeszcze poruszają się z różną szybkością? Albo z kranami ciekącymi tyle i tyle na godzinę? Po co komu takie wiadomości? Czyż jego rodzice nie przeżyli już tylu lat bez wymawiania słów tak podejrzanych jak „bezokolicznik”, „przeciwprostokątna” albo „równoboczny”? Wbrew twierdzeniom matki nie powodowała nim jakaś zła wola. Chętnie by to wszystko zrozumiał, choćby dla świętego spokoju, ale po prostu nie potrafił. Wszystko, co mówił nauczyciel, wychodziło mu z głowy, ledwie do niej weszło.

Gdy lando, którym powoził Kazimierz, podjechało pod szkołę, obydwaj chłopcy grali w kostki pod kasztanem o pniu pokrytym rysunkami i napisami.

– Chcesz, żebym cię podwiózł? – zaproponował pacholek.

Pafnucy wyglądał na zmartwionego.

– Lepiej nie. Jeśli mnie mama zobaczy, dostanę wciury. Saturnin usiadł sam na koźle i powiedział:

– Wybili szybę stryjowi Leonowi. Mówi, że to któryś z naszych gości.

– Jeśli może to udowodnić, niech idzie na komisariat, a jeśli nie, niech siedzi cicho.

W pół godziny później powóz zajechał do katowni, gdzie wszystko wróciło do normy: podwórze było wymiecione, naczynia pozmywane i poukładane, posadzka wyszorowana, szafot rozmontowany. Zaprzęg Deiblerów stał na podwórzcu, kufry były załadowane z tyłu.

Saturnin wszedł do budynku. Jego dziadek siedział przy stole w towarzystwie gotowych do drogi Anatola i Rozalii. Spojrzeli nań życzliwie. Wydało mu się, że o nim mówili, co zresztą potwierdził Hipolit.

– Czekamy na ciebie. Zanieś na miejsce tornister i zjeżdż do nas. Anatol chce ci coś powiedzieć na odjezdnym.

Wbiegł na schody przeskakując stopnie, lecz zwolnił, gdy usłyszał, jak Kazimierz opowiada o wybitej szybie stryja Leona. Jego dziadek zaśmiał się radośnie.

– To na pewno Artault z Poitiers. Wspomniał mi, że zapytał o drogę w jakiejś ciastkarni, a potem okazało się, że bez sensu drałuje na Saint-Flour.

Saturnin wpadł do swego pokoju, rzucił tornister na łóżko i obróciwszy się na pięcie, zbiegł na łeb, na szyję.

Usiadł wyprostowany obok dziadka czekając na to, co Anatol będzie miał do powiedzenia.

– Chciałbyś pojechać do Paryża na naukę zawodu? W spojrzeniu chłopca pojawił się błysk niepokoju.

– Teraz?

– Oczywiście że nie teraz. Najpierw skończ szkołę. Masz mnóstwo czasu do namysłu. Twój dziadek jest pewien, że zostaniesz prymusem. Ja mówię, że aby mieć pewność, trzeba poczekać na twoją pierwszą egzekucję.

– Już jedną widziałem, proszę pana. To pan wtedy ścinał, razem z dziadkiem. Byłem mały, ale dobrze pamiętam.

Hipolit i Anatol sposepniali: przez te dwa dni ani słowem nie napomknęli o swej ówczesnej zwadzie. Ich uwagę odwróciła Rozalia.

– Chciałbyś poznać Paryż?

– Tak, proszę pani.

Na tym stanęło. Deiblerowie pożegnali się, zabierając sto widokówek do rozdawania, kiedy tylko nadarzy się okazja. Nie wystarczyło przecież otworzyć muzeum: jego istnienie powinno być znane wszem i wobec.

– Pomysł asystowania Anatolowi najwyraźniej nie budzi twojego zachwytu – dziwił się później Hipolit.

– Nie podoba mi się tylko myśl o wyjeździe, dziadku. Poza tym bardzo bym chciał pojechać do Paryża i zostać egzekutorem, tak jak ty. Ale tu jest mi dobrze i nie mam ochoty się stąd ruszać.

Rozdział VII

Paryż, dworzec Austerlitz, czwartek 3 września 1913 r.

Anatol Deibler przeżył szok rozpoznając Saturnina wysiadającego z pociągu. Pamiętał chłopaka w krótkich spodenkach, a teraz witał barczystego młodego człowieka, który energicznie uściśnął mu rękę.

Miał gołą głowę, czarne włosy zaczesane do tyłu i odsłaniające szerokie, gładkie czoło. Nosił wygodną myśliwską kurtkę z czarnego aksamitu, fantazyjną kamizelkę z haftowanego jedwabiu, białą koszulę z żabotem, zamszowe pumpy i czarne buty z cholewami bez wyłogów, sięgające do kolan. Przypominał hreczkosieja z ubiegłego wieku.

– Dzień dobry, panie Deibler.

– Dzień dobry, chłopcze. Witaj w Paryżu. Jak się miewa dziadek? A Kazimierz?

– W porządku. Przesyłają panu pozdrowienia. Anatol wskazał na swego towarzysza, mężczyznę o zadartym nosie, pod którym sterczały wąsy jak nać pietruszki.

– To jest Iwo, mój asystent pierwszej klasy. On cię wprowadzi w arkana.

Saturnin uściśnął mu prawicę, potem zaś odezwał się do Deiblera głosem pozbawionym zuchwalstwa.

– Tym już się zajął dziadek. Mówi, że tylko pan i on wiecie o tym więcej niż ja... Oczywiście, o teorii.

Anatol zrobił zakłopotaną minę, Iwo – okropny grymas.

– Jak na ćwoka prosto z wiochy zabitej dechami, kawał zarozumialca.

– Daj mu czas, by się trochę otrząsał – powiedział Anatol. – I nie stójmy tak na tym peronie.

Saturnin podążył za nimi zastanawiając się, jak potraktować zniewagę, za jaką poczytał owego „ćwoka”. Co by uczynił jego dziadek?

Ten ostatni, z myślą o wyjeździe wnuka, poświęcił poprzednie miesiące na przygotowanie go do stawienia czoła stolicy, tak jak szkoli się żołnierza do walki z nieprzyjacielem. „Kieruj się rozsądkiem i wszystko analizuj. Bądź krytyczny, dedukuj, indukuj. Postępuj tylko zgodnie z logiką. A twoją pierwszą reakcją na cokolwiek lub

kogokolwiek winno być pytanie: o co tu chodzi?”

Krzyki, pośpiech, przepychanki do wyjścia, wrzawa ulicy – to mu przypadło do gustu. Czuł się bezimienny, i to było przyjemne. Nikt tu na nich nie zwracał uwagi, nikt się nie żegnał przemykając pod murem, jak podczas jego spacerów z dziadkiem po mieście.

– Och, to darracq! – wykrzyknął, gdy Anatol polecił mu włożyć walizki do bagażnika samochodu zaparkowanego przed dworcem.

– Wiesz, co to jest? – zdziwił się egzekutor.

– Dziadek prenumeruje „Ilustrację”. Czytałem w niej, że konstruktor będzie je produkował seryjnie, żeby obniżyć cenę.

– No więc już to robi. A wielu innych konstruktorów idzie w jego ślady.

Zamieniwszy melonik na marynarską czapkę, Anatol zasiadł za kierownicą, podczas gdy Iwo energicznie kręcił korbą.

Saturnin widział już samochody (Bellerocaille liczyło ich cztery), ale dopiero po raz pierwszy do jakiegoś wsiadał.

Szerokim mostem dostali się na drugi brzeg Sekwany i jechali nabrzeżem. Młodego Aveyronczyka zaskoczyły liczne latarnie wzdłuż ulic i alej. Anatol pokazał mu plac Grève, gdzie niegdyś dokonywano straceń, plac Zgody, na którym pełnił swoją powinność wielki Karol Henryk Sanson...

Deiblerowie mieszkali w Auteuil, opodal fortyfikacji, w willi zamykającej zaułek, podobnej do szwajcarskiego szaletu, otoczonej ogródkiem, który zmieściłby się w stodole przy katowni. Akacja rosła obok okratowanej bramy, nad którą wisiała tabliczka: „Nie przyjmujemy gości.”

– To dla dziennikarzy – wyjaśnił Anatol. – Często się tu pałętają, mają nieprzeciętny tupet... A przy okazji, pamiętaj, że nigdy nie należy z nimi rozmawiać.

– Tak jest, proszę pana. Dziadek też za nimi nie przepada, nawypisywali o nas tyle bredni!

– Mów mi: szefie. Tak wolę.

– Dobrze, szefie.

Iwo otworzył bramę. Przemierzyli mały ogródek i weszli po schodkach przez werandę do willi.

Siedząc w salonie urządzonego w stylu Dufayet, Rozalia z sąsiadką rozmawiała przy herbacie. Na dywanie dziewczynka bawiła się z żółwiem. Przy oknie parka kanarków kołysała się na huśtawce.

– Dzień dobry pani.

Rozalia wstała, również zaskoczona jego przemianą.

– Aleś zmężniał! Pamiętam, że byłeś najwyżej... o taki.

Podał rękę sąsiadce i uśmiechnął się do dziewczynki, która zwała się Marcysia.

– Pokażę ci twój pokój – powiedziała Rozalia prosząc, by wszedł za nią na piętro.

Saturnin wkroczył do pokoiku, w którym jedynymi meblami były łóżeczko, krzeselko i szafka o pojemności niewielkiej szuflady. Miniaturowe okienko wychodziło na tyły ogródka.

– No więc, podoba ci się?

– Jest mały.

Z upudrowanej twarzy jego gospodyni znikł wyraz uprzejmości.

– Mały? Jak to mały?

– Jak na pokój, mały. Nawet nasza spiżarnia jest większa.

Paryżanka z urodzenia, Rozalia wychowała się u sióstr. Ta córka mechanika była dumna ze swego awansu społecznego, którego wyznacznikiem była dla niej różnica dochodów ojca i męża. Ten ostatni zarabiał dziesięć razy więcej. To ona wybrała tę willę i wypieściła ją, tak samo jak swą jedyną córkę. Tak więc jakakolwiek krytyka nie była mile widziana. Prawdę mówiąc, nikt na nią się jeszcze nie odważył. A jednak pozbawiony bezczelności ton młodzieńca nie uraził jej.

– Musi ci wystarczyć. Rozgość się zatem, a potem zejdź do nas.

Już miała wyjść, gdy Saturnin ją zatrzymał.

– Proszę pani, dziadek powiedział, żebym jej powierzył moje kieszonkowe. Dodał, że gdyby pani poniosła z mojego powodu choćby najmniejszy wydatek, może go pani potracić z tej sumy.

Mówił to rozpinając kurtkę, by wydobyć spod niej skórzaną sakiewkę przewiązaną rzemieniem. Przy okazji odsłonił futerał rewolweru, przytroczonego do pasa.

– Nie muszę wszystkiego wydawać, ale dziadek nie chce, żeby mi czegośkolwiek brakowało i żebym był na czyimś garnuszku.

– To pięknie o nim świadczy – powiedziała Rozalia zafascynowana ciężarem sakiewki.

Jej wyczulona dłoń oceniła wielkość monet, a słuch utwierdził ją w przekonaniu, że są złote. Rozwiązawszy rzemyk, przeliczyła ludwiki i napoleony, mówiąc raz po raz z podziwem: „No proszę, no proszę...”

– Tak sobie pomyślałam, że może jednak masz trochę racji... ten pokoik jest ciasniutki... Nie przypuszczałam przecież, że tak bardzo urośniesz. Dobrze, weź swoją walizkę, pokażę ci inny.

Tym razem zaproponowała mu obszerniejsze pomieszczenie, bardziej widne dzięki dużemu oknu wychodzącemu na bulwar Point-du-Jour.

Gdy tylko został sam, Saturnin otworzył walizkę, by ją opróżnić, poczynając od zdjęcia Hipolita, Kazimierza, Pazura i Wszystkołama zrobionego przez Puecha tuż przed jego wyjazdem. Położył je na nocnym stoliku. Ubrania poukładał w komódce i porozwieszał w szafie, a całą szufladę przeznaczył na przybory do konserwacji pięciostrzałowego webleya, podarowanego mu na piętnaste urodziny przez Kazimierza.

Przed zejściem do gospodarzy odpiął broń i włożył ją do szuflady wraz z kartonikami kul kalibru 32. Zostawił pas, w który było wszytych dwadzieścia pięć dziesięciofrankowych

napoleonów. Sakiewka była jedynie wybiegiem Hipolita mającym lepiej usposobić Deiblerową do jego wnuka. Jej skąpstwo było przysłowiowe.

– Szybko się zorientujesz, że ludzie żywią nieklamany szacunek dla bogaczy. Dla niejednego pieniądź to prawdziwa sprężyna działania.

– A dla nas nie?

– Nie, ale tylko dlatego, że mamy go pod dostatkiem. W przeciwnym razie postępowalibyśmy jak wszyscy.

Gdy wrócił do salonu, Rozalia częstowała winem Iwona i sąsiadkę. Anatol, z córeczką na kolanach, palił papierosa, uważając, by nie dmuchać na nią dymem. Młodzian usiadł na jedynym pustym krześle i znieruchomiał czekając, aż się do niego odezwą. Rozalia podała mu kieliszek, którego nie śmiał odmówić. Pociągnął łyk, odstawił kieliszek i już go nie tknął.

– Nie smakuje ci moje porto?

– Nie, proszę pani, jest niedobre.

Pani domu spiekła raka, Iwo czknął, sąsiadka z trudem kryła satysfakcję. Spodziejając się najgorszego, wszyscy spojrzeli na Anatola. Ten uważnie przypatrywał się Saturninowi. Wreszcie z uśmiechem zapytał:

– Czy to Hipolit nauczył cię mówić zawsze to, co myślisz?

– Tak. Powiada, że to łatwiejsze niż kłamać.

– Ma z pewnością słuszność, ale czy nie przestrzegł cię przed kłopotami, jakie mogą z tego dla ciebie wyniknąć?

– Dziadek mówi, że prawda czyni wolnym i że lepiej unikać tych, co są odmiennego zdania.

– Skąd się wziął taki ćwok? Z bezludnej wyspy? – zapytał Iwo.

– A żebyś wiedział – mruknął Anatol, przypomniawszy sobie mur obwodowy katowni Pibraków.

– Już drugi raz używa pan tego określenia. Zechce mi pan podać jego definicję, żebym mógł się do niego ustosunkować?

Przybycie Henryka Desfourneaux, jego żony Żorzety i jej ojca Ludwika Rogisa zwolniło Iwona od odpowiedzi. Anatol powitał nowo przybyłych.

– Nie pamiętasz mnie? – zagadnął Saturnina korpulentny Ludwik o zawsze jowialnej minie. – Zresztą to normalne, przecież wtedy byłeś o, tycki...

Wskazał oparcie swego krzesła. Czterdziestopięcioletni Gruby Ludwik, jak go wszyscy nazywali, łączył funkcję asystenta drugiej klasy i palacza na stateczkach wycieczkowych po Sekwanie. Gry półsłówki, kalambury, łaskotki i rozliczne psikusy wyrobiły mu opinię zadowolonego z życia pocziwca, przesłaniającą fakt, że jego jedyną racją bytu jest ścinanie głów. Przynajmniej wówczas, w tych cudownych chwilach, czuł się kimś ważnym.

Jego zięć, Henryk Desfourneaux, był potomkiem starego rodu egzekutorów z Vierzon, a z zawodu – mechanikiem samochodowym. Specjalność ta pozwoliła mu zwiedzić Europę, lecz

także Rosję, a nawet Indie, gdzie dał sobie wytatuować na nadgarstku sztylet opleciony przez węża wyciągającego rozwidlony język. Do objęcia stanowiska asystenta drugiej klasy Anatola namówiła go żona. „Nie stracisz przecież zajęcia w warsztacie, a to będzie nam przynosiło dodatkowo jedenaście tysięcy franków rocznie.” Od czasów swej pierwszej głowy Henryk marzył o urzędzie naczelnego egzekutora (z dochodem dwudziestu pięciu tysięcy franków rocznie). W pojawieniu się młodego Pibraka dostrzegł cień zagrożenia.

Mimo werwy Grubego Ludwika posiłek przebiegł w atmosferze nieco wymuszonej, a Rozalia po raz pierwszy nie przymawiała się o pochwały dla swych kulinarnych umiejętności. Obecność kogoś, kto był zdolny mówić prosto z mostu, napawała ją bladym strachem.

Przy jedzeniu Anatol przypatrywał się Saturninowi, Podobała mu się powściągliwość jego gestów, już to przy łamaniu chleba, już to przy krojeniu mięsa lub nalewaniu wody... Gdyż on w ogóle nie pił wina, co zdumiewało Iwona i Ludwika, którzy go sobie nie żalowali. Anatol spostrzegł również, jak łatwo młody człowiek oczarował Marcysię rozmawiając z nią jak z dorosłą, bez modulowania głosu, jak to robili inni, gdy zwracali się do dziecka bądź do zwierzęcia.

Z pomocą Żorzety Rozalia zmieniła zastawę, szykując się do podania sera oraz kosza z owocami, gdy Saturnin zapytał:

- Wiecie, kiedy będzie najbliższa egzekucja?
- Czy on sobie kpi, czy o drogę pyta?
- Zamknij się, Iwo. Skąd ma wiedzieć?

U Deiblerów istniało tylko jedno tabu, a on właśnie je naruszył: nigdy nie mówić o sprawach zawodowych z rodziną, a tym bardziej przy stole.

– Posłuchaj, Saturninie. Tutaj nigdy się nie rozmawia o najwyższym wymiarze. O tym mówimy tylko między sobą, nigdy przy stole, rozumiesz?

– To rozumiem, ale zupełnie nie rozumiem powodów – odpowiedział po dłuższym namyśle, który uświadomił im, że nigdy nie mówi, co mu ślina na język przyniesie.

Anatol zaczynał pojmować, co w tym młodym Pibraku jest nie w porządku: miał talent do zapędzania ludzi w kozie róg.

– U mnie nigdy się nie rozmawia o sprawach zawodowych, i basta. Po prostu bądź posłuszny. Chyba dziadek uczył cię, że jeśli chcesz kiedyś rozkazywać, musisz umieć słuchać.

Ku ogólnemu zdumieniu Saturnin wstał, podszedł do drzwi, otworzył je i powiedział:

- Czy mógłbym z panem pomówić, szefie?

Zbity z tropu Anatol spojrzął kolejno na żonę i na swoich pomocników, po czym wyszedł do niego na ganek.

- Po co te wszystkie tajemnice? Słucham cię.
- Czy wie pan, kiedy się odbędzie następna egzekucja? – zapytał go Saturnin po cichu.

* * *

Po obiedzie kobiety zajęły się zmywaniem, mężczyźni zapalili papierosy w salonie, a Marcysia wróciła do swego zółwia.

– Jedźmy na Folie-Régnault – powiedział Anatol, spojrzawszy na zegarek. – Pokażemy mu instrument. To nam da jakieś pojęcie.

– Wielkie wzdęcie – składnie zrymował Gruby Ludwik.

Już mieli wychodzić, gdy Saturnin zawrócił na schody.

– Dokąd idziesz? – zapytał szef. – Zaraz wyjeżdżamy.

– Wiem, ale skoro wychodzimy, zabiorę rewolwer.

– Zapewniam cię, że to zbyteczne. Tu jesteś w Paryżu, a nie w Bellerocaille.

– On ma rewolwer? – zdziwił się Henryk.

Hipolit wyraźnie zabronił mu wychodzenia bez broni, więc nie wahał się ani chwili.

– Muszę go sobie przytroczyć do pasa, szefie; jestem szybki.

I już przeskakiwał stopnie.

– Ale ziółko – westchnął Iwo.

Gdy wszyscy już siedzieli stłoczeni w darracq, wóz ruszył w kierunku XI dzielnicy. Wciśnięty z tyłu między Henryka a Grubego Ludwika Saturnin odkrywał Paryż ze średnią szybkością 25 km/godz.

Wskazując wypukłość jego myśliwskiej kurtki, Iwo poprosił:

– Możesz mi go pokazać?

Młody człowiek odpiął skórzaną klapę futerału i wyciągnął rewolwer, który podał trzymając go za lufę.

– Chyba masz przy sobie zezwolenie? – zaniepokoił się kierowca.

– Tak, szefie, na cały kraj.

– Nieduży – ocenił Iwo obmacując broń ze wszystkich stron.

– Mam też większy: webley army express, kaliber 45, ale waży kilo osiemset, a ten tylko trzysta dziesięć gramów i jest dwa razy mniejszy.

Wjechawszy w ulicę Folie-Régnault, darracq zatrzymał się przed numerem 60 bis. Weszli na podwórko, gdzie stały kubły na śmiecie. Z okien zwieszała się bielizna. Anatol zapukał do jednego z nich, na parterze. Pojawiła się w nim kobieta w wieku nieokreślonym.

– Dzień dobry, pani Klarencjo. Przedstawiam pani nowego – powiedział, dając Saturninowi znak, by podszedł.

– Oto pani Klarencja. To ona przechowuje zapasowe klucze od hangaru. Gdybyś ich któregoś dnia potrzebował, a mnie akurat nie było, wiesz, kogo poprosić.

To powiedziawszy, otworzył drzwi lokalu swoim pękiem kluczy. Ukazała się gilotyna. Druga, rozmontowana, oparta była o ścianę.

– Zawsze ją trzymacie w pogotowiu? – zdziwił się Saturnin.

– To najlepszy sposób, by niczego nie zapomnieć, kiedy ją przewozimy.

Saturnin podszedł do maszyny. Zobaczyli, jak przejeżdża dłonią po jednym ze stojaków, potem palcem po podtrzymce, jak ogląda zamek i krzywi się. Wreszcie wyprostowany obszedł ją, tym razem już niczego nie dotykając.

Gruby Ludwik przerwał ciszę.

– No i? Co mój adiutant sądzi o naszej maszynie?

– Jest brudna, a i węzły na postronkach są nieprawidłowe.

Gdyby im opluł buty, nie poczuliby się bardziej znieważeni. Nawet Anatol stracił spokój.

– Co cię upoważnia do takiego stwierdzenia? Saturnin położył palec na podtrzymce.

– Proszę spojrzeć samemu. Prowadnica ani zamek nigdy nie zostały gruntownie wyczyszczone. Dostała się do nich krew, która po dłuższym czasie skisła, i stąd ten smród. A że węzły są złe, to widać od razu. Przy dźwigni musi być podwójny, a przy kafarze marynarski.

– Najgorsze to, że ma rację – przyznał Henryk, odpowiedzialny za techniczną sprawność gilotyny. – To nie moje węzły.

Co do fetoru, to każdy od dawna go czuł, nie mogąc go sobie jednak wytłumaczyć. A ten gołowąs w niecałe trzy minuty...

Zakłopotany, zmarszczywszy czoło, Anatol osobiście sprawdził węzły i musiał mu przyznać słuszność. Myśl, że Hipolit niechybnie dowie się o złym konserwowaniu jego warsztatu pracy, raniła jego zawodową miłość własną.

Teraz Iwo wystąpił z oskarżeniem:

– To stróżka, jestem pewien. W kiosku na rogu mówili mi kilka razy, że pod naszą nieobecność wpuszcza tu ciekawskich. Zgarnia nawet po pięć franków od łebka, a za spuszczenie noża dodatkowe pięć.

Szef wyszedł z hangaru, a po chwili usłyszeli, jak znów łomoce do okna stróżówki. Podczas gdy ostro beształ panią Klarencję, Iwo wskazał na gilotynę, mówiąc:

– Powiadasz, że jest brudna, powinieneś więc ją wyczyścić, żeby nas nauczyć zawodu.

Spostrzegłszy na stole śrubokręt, Saturnin zaskoczył ich raz jeszcze, klękając przy podtrzymce i odkręcając śruby w tempie ekspresowym.

– Już jakąś rozmontowywałeś?

– Owszem, naszą, w katowni. Kiedy już było wiadomo, że tu przyjadę, dziadek kazał mi ją rozkładać i składać raz na tydzień.

Pomocnicy nie wierzyli własnym uszom.

– Macie u siebie maszynkę? Prawdziwą? – dopytywał się Iwo.

– No pewnie że prawdziwą. Skonstruował ją jeden z moich przodków. Jest zresztą znacznie lepsza niż ta. Waży pięćset dziesięć kilo, włącznie z kafarem. A wasza – przynajmniej sześćset.

Mówiąc, ustawiał wymontowane elementy na podwieszanej desce. Każdy z jego gestów

był celowy i gładko przechodził w następny.

Z policzkami jeszcze czerwonymi od łajania samowolnej dozorczyńni Anatol wrócił do hangaru. Jego nowy pomocnik wskrobywał właśnie śrubokrętem skrzepłą krew z rowków.

– Natychmiast wszystko poskładaj, bo się spóźnimy do cyrku. Kto ci kazał tego dotykać?

– To ja, szefie. Żeby zobaczyć, czy się zna. Pan mi powie: to prawda, że mają swoją własną maszynkę?

– Prawda. Można do niej nawet założyć koła i dyszel, żeby ją przetaczać.

Ten ostatni szczegół na dobre przekonał Henryka o niebezpieczeństwie, jakie dla jego ambicji wiązało się z tym małym wirtuozem gilotyny. Odkąd dzięki niedyskrecji Żorzety dowiedział się, że Rozalia już nie będzie mogła mieć dzieci, był pewny, że ród Deiblerów wygaśnie. Po śmierci szefa urząd przechodzi automatycznie na asystenta pierwszej klasy, w danym wypadku Iwona, który był zarazem fryzjerczykiem w salonie na ulicy Saint-Denis. Henryk obiecywał sobie, że go wyroluje. Ale oto przyjazd tego Aveyrończyka stawiał wszystko pod znakiem zapytania.

* * *

W przeciwieństwie do asystentów, którzy nie zrezygnowali ze swych „cywilnych” zajęć, Anatol Deibler był egzekutorem w pełnym wymiarze godzin, nie wolno mu zatem było opuszczać stolicy bez pisemnej zgody jego zwierzchnika, szefa pierwszego biura Dyrekcji Spraw Kryminalnych. Z drugiej strony dysponował jak chciał czasem wolnym, niebagatelnym, skoro ścinał najwyżej trzydziestu „klientów” rocznie. Rozporządzał mniej więcej trzystoma dniami, które wypełniał licznymi rozrywkami.

Uprawiał fotografię, jeździł na rowerze, grał w bilard i na wyścigach konnych, łowił ryby, zabierał córkę do wesołego miasteczka i wsiadał z nią na drewniane koniki. Przepadał za kinem, ale jeszcze bardziej za cyrkiem. Na występach kłownów śmiał się do rozpuku, a wizyta w menażerii przypominała mu pobyt w Algierii. Nie był też obojętny na toczone uda wołyżerki w kostiumie z cekinami. Tego czwartku Cyrk Zimowy dawał przedstawienie na rzecz sierot, w dodatku jakałów. Kłowni Żygot i Potyradło widnieli na plakacie obok istniej sensacji: niesamowitego garbatego karła El Pequeño i jego partnerki: gigantycznej anakondy imieniem Komedor. Oczekiwano od tej drugiej, że połknie w całości tego pierwszego i wypłuje go w stanie nienaruszonym. Takiego numeru nie wolno było przegapić pod żadnym pozorem.

– Już składam, ale jest jeszcze brudna – stwierdził Saturnin.

Był zarazem zmartwiony, nie mogąc dokończyć tego, co zaczął, i podniecony na myśl o wyprawie do cyrku.

Henryk, Gruby Ludwik i Iwo z zazdrością patrzyli na odjeżdżające auto. Im nie pozostawało nic innego, jak wrócić do swoich normalnych zajęć.

* * *

W niecałą godzinę później Saturnin siedział w pierwszym rzędzie namiotu tak pełnego widzów, że aż pękającego w szwach, obok Marcysi tupiącej z niecierpliwości nóżkami oraz jej ojca, który z trudem powstrzymywał się od naśladowania córki.

Jeśli pominąć numer z akrobatami (nikt nie spadł) i żonglerów, którzy go znudzili (nie stłukli ani jednego talerza), Saturnin siedział oczarowany. Gwoździem programu był bezsprzecznie nadzwyczajny występ El Pequeño w roli ludzkiej przekąski.

Odziany w obcisły trykot na moltonowym podbiciu, powleczone jakimś szarym tłuszczem, nieustraszony garbaty karzeł dał się połknąć, a następnie wypluć.

Wprawdzie przebywał tam tylko krótką chwilę, niemniej jednak zniknął we wnętrzu potwora, który go niezwłocznie zwymiotował z nie ukrywanym obrzydzeniem.

Znalazszy się z powrotem na wolności, El Pequeño, jeszcze lepki od śliny, szybko nałożył kaganiec swojej partnerce. Następnie, wśród zasłużonych oklasków, odprowadził ją do klatki, gdzie czekało koźle, skubiące słomę, która wyścielała pomieszczenie, i zapewne nieświadome losu, jaki mu zgotowano.

– Niech się ma na baczości, bo jeszcze ta Komedor któregoś dnia nie zechce go zwrócić i przystąpi do trawienia – skomentował później występ Anatol, kiedy wracali do Auteuil. – Nawet oswojone, węże tej wielkości mogą być wyjątkowo podstępne.

– Tym bardziej że on nawet nie jest uzbrojony – uzupełnił Saturnin, wciąż pod wrażeniem widowiska. – Ja na jego miejscu wybrałbym się tam tylko z nożem. A gdyby nie chciała mnie wyrzygać, już ja bym sobie utorował drogę.

Wjeżdżali do Auteuil, gdy Anatol zahamował przed „W Porządeczku”:

– Poczekajcie, to króciutka sprawa – poprosił wyskakując z darracqą, by zniknąć w czeluściach kawiarni.

– Mój tata ucina głowy i ma dużo forsy – oświadczyła Marcysia bawiąc się kauczukową gruszką klaksonu.

– Mój dziadzio tak samo – powiedział Saturnin tym samym tonem.

Nie odezwali się więcej do powrotu szefa, który miał niezadowoloną minę. Właśnie się dowiedział, że żaden z obstawionych przezeń koni nie dobiegł do mety. Silnik uruchomił korbką Saturnin.

* * *

Wkrótce po kolacji Saturnin życzył dobrej nocy swym gospodarzom i wszedł po schodach do swego pokoju.

Przed położeniem się do łóżka usiadł przy stole, by napisać list do dziadka, Kazimierza,

Pazura i Wszystkołama:

Moi drodzy,

szczęśliwie dojechałem do Paryża, a pan Deibler na mnie czekał. Ma auto, które wyciąga trzydzieści na godzinę, ciasny domek z ogródkiem, w którym ziemia jest nic niewarta, a mój pokój jest nieładny. W dodatku nie ogrzewany i bez kominka.

Widziałem ich maszynię. Jest źle konserwowana, a oni trzymają ją w wilgotnym hangarze, gdzie drewno po dłuższym czasie butwieje. Pachółkowie nawet nie wiedzieli, że po użyciu trzeba zdjąć okucia podtrzymki. Jest ich trzech i nazywają się „asystentami”, a na maszynię mówią „maszynka” albo też „instrument”.

Pani Deiblerowa źle gotuje. Nawet Kazimierz robi lepsze omlety, wyobraźcie sobie. On przynajmniej wyrzuca skorupki.

Pan Deibler zabrał mnie do cyrku i widziałem węża grubego jak pień czereśni. Połykał i wymiotował karła nie wyższego niż kłoc. Dobrze się przyjrzałem, że to nie żadne szachrajstwo.

Obrugali mnie, bo mówiłem o najwyższym wymiarze przy stole. Tu się tego nie robi. Porozmawiać o tym można tylko na osobności, to przecież tak samo jak z załatwianiem się.

Pan Deibler nie wie, kiedy będzie najbliższa egzekucja. Mówi, że powiadamią go w przeddzień, jeśli ma być w Paryżu, a dwa dni wcześniej, jeśli na prowincji.

Tęsknię za Wami i chciałbym teraz z Wami siedzieć przy kominku, jeść kasztany i słuchać, jak Kazimierz skarży się na reumatyzm.

Przypominam, żebyście nie pozwalali Wszystkołamowi łązić koło chlewu, bo tam łapie kleszcze.

No dobrze, kończę, bo mi się chce spać. Dobranoc.

Wasz kochający Saturnin

Położył się do łóżka, obojętny na podejrzone zgrzyty i na szorstką pościel wydzielającą zapach taniego mydła.

Rozdział VIII

Życie codzienne w willi Deiblerów toczyło się zgodnie z od dawna ustalonym porządkiem, który mogła zakłócić jedynie wizyta wysłannika ministerstwa.

Jak każdego ranka o tej samej godzinie, Anatol zakończył śniadanie pierwszym w tym dniu papierosem, którego wypalił z prawdziwą przyjemnością w swoim gabinecie, czytając „Paris-Jour”, przyniesiony trochę wcześniej przez służącą razem z rogalikami. Przeglądał właśnie listę uczestników popołudniowej gonitwy, gdy zadźwięczał dzwonek przy bramie. Nie podnosząc głowy usłyszał odgłos kroków swojej żony na żwirku, a po chwili ostrożne pukanie do drzwi.

– Przepraszam, że przeszkadzam, kochanie, ale to z ministerstwa.

Anatol wziął różową kopertę myśląc o Saturninie, który wreszcie przejdzie c h r z e s t b o j o w y i pokaże, co potrafi. Rozpieczętował ją z nadzieją, że nie chodzi o egzekucję na prowincji, wymagającą zawsze bardziej skomplikowanych przygotowań niż egzekucja na bulwarze Arago.

– Ach, draństwo! – zaklął odkładając gazetę, na której dalszą lekturę przeszła mu ochota.

– Co się stało? Całyś czerwony – zaniepokoiła się Rozalia, gdy wychodził z gabinetu.

– Gdzie Saturnin?

– Odprowadza Marcysię do szkoły.

Powstrzymała się od dalszych pytań czując, że jego rozdrażnienie wiąże się z wezwaniem. A przecież nie było ono pierwsze, bynajmniej. Ilekroć widziała u niego tak pomarszczone czoło, to albo zepsuł się darracq, albo przegrał na wyścigach.

– Prowincja czy Arago?

– Arago.

„Szkoda”, pomyślała. Chętnie spędziłaby w domu parę dni bez mężczyzn.

* * *

Saturnin kucnął, by ucałować Marcysię w policzki. Oddała mu swego żółwia pod opiekę, on zaś poczekał, aż dziewczynka wejdzie do szkoły, i wyruszył w drogę powrotną.

Hipolit w ostatnim liście domagał się odeń zdjęcia z nagrobkiem Karola Henryka na cmentarzu Montmartre, by umieścić je w sali poświęconej Sansonom. Szef obiecał mu, że wyjaśni, jak działa jego aparat.

Wszedł do sklepiu tytoniowego przy bramie Saint-Cloud i kupił pięć paczek piccadilly dla Deiblera, który przepadał za angielskim tytoniem do tego stopnia, że zużywał dwie paczki dziennie, wskutek czego kaszlał jak ostatni nędzarz. Taki nałóg po prostu nie mieścił się w głowie Saturninowi, który sam nigdy nie palił.

Miał już wyjść, kiedy weszła służąca z willi „Sen”. Odsunął się i przytrzymał jej drzwi, lecz ona przemknęła bez słowa, nawet bez jednego spojrzenia.

– *Menas en bilo un co de borio, so prumié que gafo en un paisan* (zaprowadźcie do miasta wiejskiego psa, a pierwszym człowiekiem, którego ugryzie, będzie jakiś wieśniak) – powiedział na tyle głośno, by go usłyszała.

Z satysfakcją ujrzał, jak się odwraca i rzuca mu nienawistne spojrzenie.

W kilka dni po swym przyjeździe dowiedział się, że służąca z sąsiedniej willi też pochodzi z Aveyronu. Wybrał się tam i zastał ładną wieśniaczkę, która robiła co mogła, by pozbyć się akcentu. Przyjęła go nader niechętnie, toteż nigdy już do niej nie zaglądał.

Kiedy wszedł do willi, w przedpokoju Anatol wkładał właśnie swoje zimowe palto.

– Och, nareszcie! Przekładamy lekcję fotografii, muszę jechać do ministerstwa. Ty przez ten czas pójdziesz powiadomić pozostałych, żeby się szykowali na jutro rano.

Twarz chłopca rozpromieniła się.

– Będziemy cięli?

– Tak.

– Mogę zobaczyć wezwanie? Nowoczesnego jeszcze nigdy nie widziałem.

Szef podał mu różowy formularz.

Pan... ANATOL FRANCISZEK DEIBLER... naczelnny egzekutor wyroków kryminalnych uda się na... plac Vendôme, aby odebrać polecenia od Pana Prokuratora Generalnego przy Sądzie Apelacyjnym w... Paryżu... dotyczące egzekucji MARTYNY GOUDUT... skazanego (-ej) na karę śmierci dnia... 16 sierpnia 1912 r.... za ojcobójstwo... przez Ławę Przysięgłych... w Paryżu...

Wraz z nim stawią się... asystent(ci) pierwszej klasy i... asystent(ci) drugiej klasy.

Wezwany okaże niniejsze pismo Panu Prokuratorowi Generalnemu. Egzekucja odbędzie się na... bulwarze Arago... dnia 16 października 1913 r.... o świcie.

Pod żadnym pozorem nie może ona zostać przyspieszona.

Saturnin oddał wezwanie.

– Dziadek się ucieszy. Już mijają czterdzieści dwa dni, odkąd tu jestem.

– Zauważyłeś, że chodzi o kobietę?

– Tak, będę uważał na palce.

Nawiązywał do brakujących paliczków Hipolita.

– I nie przeszkadza ci, że to kobieta? – dopytywał się Anatol zbity z tropu taką bezdusznoscą.

– Szyja jest szyją. Co do formularza, zauważyłem ręczny dopisek.

– Owszem, i co stąd wnosisz?

– Że administracja nie dysponuje formularzami w rodzaju żeńskim.

* * *

O pierwszej pięćdziesiąt w nocy darracq zaparkował pod numerem 60 bis przy ulicy Folie-Régnault. Małe podwórko wypełniała para starych koni zaprzężonych do prostopadłościennego furgonu o zielonych kołach. Drzwi hangaru były otwarte na oścież. Wewnątrz panowało ogromne ożywienie. Siedząc na stołku, Henryk przeciągał ostrzem noża po osełce, Iwo z Grubym Ludwikiem kończyli rozmontowywanie „maszynki”, Saturnin już powkładał do furgonu łopate, wiadra, szmaty i ścierki oraz worki z wiórami i zamierzał podnieść wiklinowy kosz, kiedy wszedł Anatol.

– Wszystko w porządku? – zapytał, zamiast ich pozdrowić.

– Tak, szefie – odrzekli chórem.

Wszystko było gotowe za kwadrans trzecia. Gruby Ludwik zgasił lampy naftowe, Anatol zamknął hangar na klucz, Saturnin zdjął koce chroniące konie przed zimnem i wskoczył na miejsce woźnicy.

Nie znając drogi, jechał za darracqiem, który posuwał się dość wolno, z zapalonymi reflektorami. Przejechali przez opustoszały, upiorny Paryż, który raz po raz przecinały wzdłuż i wszerz patrole policjantów na rowerach. Niektórzy, dostrzegłszy furgon, puszczały na chwilę kierownicę, by pozdrowić jego pasażerów.

Wszystkie kawiarnie na bulwarze Arago aż do placu Denfert-Rochereau, za zgodą prefektury otwarte przez całą noc, były pełne ciekawskich, których od wyjścia na świeże powietrze powstrzymywał tylko chłód.

Policjanci w pelerynach zagrodzili wszystkie przecznice, a kompania gwardzistów narodowych przytupywała sobie na rozgrzewkę pod murem więzienia Sante.

Anatol wysiadł z darracqą i zaprowadził Saturnina na miejsce egzekucji, na róg ulicy Sante i bulwaru. Zawartość furgonu wyladowano na chodnik. Anatol wyciągnął zegarek i mierzył czas montażu gilotyny, interweniując jedynie w momencie kontroli jej ustawienia poziomnicą wodną i ołowianym pionem.

Wokół nich gwardziści przypatrywali się im chuchając w dłonie. W dwadzieścia osiem minut później wszystko było gotowe. Tymczasem kawiarnie się wyludniły, a liczni gapie przywarli do barierek. Niektórzy oklaskiwali Anatola, gdy wypróbował nóż.

Była dopiero czwarta, a egzekucję zapowiedziano na wpół do siódmej. Saturnin wjechał

furgonem między więzienne mury, a za nim Anatol swoim pojazdem. Strażnicy zaprosili ich do swej kantyny, gdzie było ciepłej.

– Dobry wisiór, panie i panowie! – rzucił Gruby Ludwik, wchodząc do zadymionej sali, gdzie zażywało wypoczynku z dziesięciu funkcjonariuszy nadzoru, w rozpiętych mundurach.

Odpowiedzieli śmiechem, klepiąc się po udach. Anatol z pomocnikami usiadł przy jednym z wolnych stołów. Niebawem tamci przysunęli krzesła, by przybliżyć się do nich i porozmawiać. Nie ukrywali fascynacji tymi, których obowiązkiem jest ucinanie głów, i szukali jakichś szczegółów, które świadczyłyby o ich makabrycznej działalności. Anatol przypominał zamożnego przemysłowca, jego asystenci – sympatycznych robotników. Jeden, najmłodszy, trochę od nich odstawał, ale nie sposób było powiedzieć, na czym ta różnica polega.

Rozmawiano o pogodzie, „zimnej i wilgotnej”, jaka panowała od paru dni, i popijano bulion bądź kawę zbożową. Wspomniano bandę Bannota dopiero co przyskrzynioną.

– Wtedy to już roboty panu nie zabraknie. Stanie ich przed sądem dwudziestu dwóch – powiedział zwierzchnik straży i dodał: – Ale, ale... czy pan po raz pierwszy gilotynuje kobietę?

– Nie – odparł Anatol – już po raz czwarty, ale wszystkie poprzednie egzekucje pozostawiły mi niezbyt miłe wspomnienia... Ejże, co się dzieje, czemu macie takie miny? – zapytał swych podwładnych, nagle bardzo zmarkotniałych.

Jedynie Saturnin siedział nieporuszony, dmuchając na wciąż zbyt gorącą kawę w filiżance.

– Ale, szefie, myśmy nie wiedzieli, że to kobieta! – powiedział Iwo.

– Więc ty im nic nie powiedziałeś? – zapytał surowo Anatol Saturnina.

– Powiedziałem im, że ścinamy jutro rano, a oni na to: „Zgoda”.

– Ale czemuś nam nie powiedział, że chodzi o kobietę? – nalegał Henryk, który nie cierpiał niespodzianek, zwłaszcza przykrych.

– Nie pytaliście. Co w tym złego, panie Henryku? Mężczyzna czy kobieta, ciąc i tak trzeba. Jak mówi dziadek: „Kiedy lis grasuje ci po kurniku, a ty go ustrzelisz, to nie obchodzi cię, czy to przypadkiem nie lisica.”

– Rozumiem taki punkt widzenia, Saturninie, ale uważam go za nazbyt teoretyczny. Widzisz, ściąć kobietę to nie to samo... Kobieta to... poniekąd matka, rozumiesz?

– Nie. Dziadek mówi, że egzekutorowi nie wolno ulegać nastrojom. Chyba że nie jest p r a w d z i w y m egzekutorem.

W jego głosie nie było ani śladu zuchwalstwa, po prostu suche stwierdzenie.

– To dopiero jego chrzest bojowy, a paple, jakby miał dorobek, że ho, ho! – zdenerwował się Iwo. – Za chwilę zobaczymy, czy nadal będziesz taki chojrak. Czy chociaż wiesz, że jesteś fotografem?

– No pewnie, skoro to mój chrzest. Niech się pan nie kłopotce, panie Iwo, pamiętam, co

do mnie należy.

– Zobaczymy, zobaczymy...

– Powiedział ślepy – dodał machinalnie Gruby Ludwik.

Ale humor mu się popsuł. Myśl o manipulowaniu kobiecym ciałem nie dawała mu spokoju i bał się, że pozostali to zauważą. „Byle tylko była stara i brzydka”, pomyślał, otwierając piersiówkę, z której nalał sobie koniaku do filiżanki po bulionie.

Jeden ze strażników zaproponował partyjkę remika.

Na zewnątrz rosła liczba ciekawskich. Wszyscy byli wpatrzeni w gilotyne, samotnie tkwiącą pod latarnią. Tylko nadejście pierwszych sprzedawców gorących kasztanów odciągnęło ich na moment od tego widowiska.

* * *

Punkt o piątej Anatol wrócił do furgonu, gdzie się umył, ogolił i przebrał, podczas gdy Saturnin parzył kawę na kocherze. Wkrótce zapach kawy przebił inne: mydła do golenia i wody kolońskiej szefa.

Młody człowiek karmił konie mieszanką owsa i marchewki, kiedy do furgonu weszli asystenci, by dołączyć do Anatola. Po kolei ogolili się i umyli, wypili kawę przygotowaną przez Saturnina, doprawiając ją już to koniakiem (Gruby Ludwik), już to rumem Negrita (Iwo). Henryk, który dobrze wiedział, że Anatol jest temu przeciwny, pił ukradkiem. Nie dla dodania sobie odwagi przy robocie, ale aby wyostrzyć swe doznania, podobnie jak dodaje się pieprzu do już przesolonej potrawy. Za dziesięć szóstą egzekutor i jego pomagierzy wyszli, by po raz ostatni skontrolować swoje narzędzie pracy.

Ponieważ fotografie lub karykatury Deiblera nieraz zajmowały pierwsze strony gazet, jego twarz była znana. Widząc go publiczność zaklaskała. Było zimno, niektórzy już od wielu godzin czekali przytupując na bruku.

– Zaczynać! Zaczynać! Zaczynać! – krzyczano groźnym tonem.

– Dopóki nie wrzeszczą: „Zwracać forse!”, jakoś to będzie – powiedział filozoficznie Anatol.

O szóstej pięć wszedł do biura dyrektora więzienia, gdzie około trzydziestu osób dyskutowało z ożywieniem. Większość to byli autentyczni turyści, którzy pod różnymi pretekstami otrzymali zaproszenie na widowisko.

Saturnina zaskoczyło grono elegancko ubranych dam, które odpowiedziały mu spojrzeniami. Dostrzegł, jak jedna z nich pochyła się ku swemu sąsiadowi, i usłyszał:

– Ten wygląda na bardzo młodego, ma najwyżej dwadzieścia lat.

Komisarz Delguay, który aresztował skazaną i był obecny z tego tytułu, odrzekł:

– To jakiś nowy, nigdy go nie widziałem.

– Czy to normalne, żeby tak młody człowiek pełnił taką funkcję?

– Pan Deibler w pełni odpowiada za rekrutację. To zapewne jakiś kuzyn z prowincji, który się przyucza do zawodu. Przedstawię go paniom, jeśli je interesuje. Ale chodźmy, zaraz się zacznie!

Anatol podpisał akt zwolnienia. Dyrektor podał mu formularz, który on włożył do kieszeni, po czym powiedział zwięźle:

– Naprzód.

Na ten sygnał biuro opustoszało. Nieliczna grupka podążyła długim korytarzem, weszła po schodach i znalazła się na oddziale ścisłego nadzoru. Anatol zatrzymał się przed drzwiami pilnowanymi przez strażnika, który wstał, gdy się zbliżali.

Główny nadzorca z wielką ostrożnością otworzył drzwi celi. Rozległ się straszliwy krzyk:

– Nnnniieeeee!

– Cholera! – zaklął szef stwierdzając, że kobieta waży około stu kilo, a pewnie i więcej.

– Można było mnie powiadomić – poskarżył się dyrektorowi.

– Myślałem, że pan wie. Jej proces odbył się w lipcu ubiegłego roku, pisały o nim wszystkie gazety.

– W lipcu jestem w La Baule, a na wakacjach nigdy nie czytam prasy.

– Niech pan spojrzy: więzienie jej posłużyło, jeśli się tak mogę wyrazić. Podczas procesu nie była taka gruba.

– Nie chcę! – oświadczyła stanowczo korpulentna Martyna Goudut, rzucając się na szyję księdzu, który się zachwiał.

– Przyda się lewarek – pół żartem, pół serio stwierdził Gruby Ludwik.

– Uspokój się, córko. Bądź dzielna i nie stawiaj oporu, to nie potrwa długo – pocieszył ją duchowny, usiłując się uwolnić z uścisku: jej ręce były grube jak uda, uda zaś...

Chwycili ją Gruby Ludwik z Iwonem. Szamotała się, wydając przeraźliwe wrzaski podobne do ultradźwięków, drapała i chciała gryźć. Jakby dostała wścieklizny. Wymierzyła pięścią cios, który trafił Iwona w ucho i go powalił. Nadbiegający z odsieczą Saturnin otrzymał kuksańca w pierś i stracił dech.

– Nie chcę tam iść! Nie chcę umierać!

Doskoczyli Anatol, Henryk, nadzorca i dwaj strażnicy. Nastąpiło ogólne zamieszanie. Na korytarzu tłoczono się wokół drzwi, by zobaczyć.

Martyna upadła, a jej kok się rozsypał. Anatol wykręcił jej nadgarstki i związał je za plecami. Następnie trzeba było ją podnieść i posadzić na taborecie, który znikł pod potężnymi pośladkami.

– Nie chcę go oglądać – zaszlochała niczym mała dziewczynka. – Proszę, przyjaciele, nie zabijajcie mnie.

Jej pucołowate policzki błyszczały od łez. Wyjaśniła, że boi się nie tyle śmierci, ile spotkania „na tamtym świecie” z ojcem, którego udusiła, gdy spał. Ta myśl ją przerażała.

Martyna zadrzała, kiedy Saturnin zgarnął jej długie włosy i obciął je nożyczkami o

zaokrąglonych ostrzach. Wręczył mu je w przeddzień wyjazdu dziadek. Należały do Mściciela, który zamówił je na miarę u najlepszego nożownika w Laguiole.

Po włosach młody człowiek obciął kołnierzyk, zaczynając od szyi, jak go uczył Kazimierz. „Gdy chodzi o kobietę, musisz przestrzegać obyczajności i nie wycinać zbyt nisko.”

Skoncentrowany na swoim zadaniu, nie zdawał sobie sprawy, że mruczy jak podczas ćwiczeń i że stał się ośrodkiem powszechnego zainteresowania.

– Wycięcie pionowe na dziesięć centymetrów... Dobra, w porządku... Wycięcie poziome musi przechodzić pod drugim guziczkiem... Tak jest...

– Co on tam mamrocze? – pytali ci z korytarza. Gdy skończył, włożył do kieszeni kołnierzyk, wcisnął nożyczki do futerału z rybiej łuski i poszukał wzrokiem Anatola. Poczzerwieniał, zorientowawszy się, że wszyscy się w niego wpatrują.

– Jest gotowa, szefie.

Zgodnie z rytuałem, dyrektor podszedł do skazanej i zapytał, czy nie pragnie wypowiedzieć jakiegoś ostatniego życzenia.

– Owszem, nie chcę umierać – odparła z miejsca tonem pełnym nadziei.

– Obawiam się, że akurat tego nie mogę spełnić. Czy nie życzy sobie pani kieliszka alkoholu albo papierosa?

Tęga niewiasta spuściła głowę i znów uderzyła w płacz. Anatol dał znak, że nadszedł czas. Iwo z Grubym Ludwikiem bez ceregieli złapali ją za ręce. Henryk pozostał z tyłu, na wypadek gdyby jego pomoc okazała się potrzebna. Martyna posuwała się małymi kroczkami, skrepowana więzami u stóp.

– Zrobić przejście! – zarządził egzekutor, zwracając się do widzów na korytarzu.

Trasa na dziedziniec dłużyła się w nieskończoność. Zazwyczaj asystenci nieśli skazańca w tempie wyścigowym, ale w obecnych okolicznościach...

Była szósta trzydzieści pięć i Anatol miał pięciominutowe opóźnienie w stosunku do programu, kiedy doszli do furgonu. Regulamin stanowił kategorycznie: nawet przy najmniejszej odległości skazaniec nie może udawać się na miejsce kaźni pieszo.

Na widok furgonu w tłumie zgromadzonym pod murami więzienia wezbrało pełne satysfakcji „Aaaaach!”. Już dojeżdżał do rogu. Szpaler gwardzistów przerwał się, by go przepuścić. Saturnin zauważył policjantów nakazujących ciekawskim, by zeszli z drzewa. Dostrzegłszy gilotynę, Martyna zawyła, a co gorsze – przewróciła się na chodnik.

– Szybko, trzeba ją podnieść – zarządził Anatol, pochylając się, by pomóc swym asystentom.

– Powstań, córko, nie opieraj się – zaapelował ksiądz z pewnej odległości.

Ponieważ miotała się ile sił, powlekli ją po oszronionym bruku. Na jej sukni ukazała się rozległa aureola i zaczęła parować w mroźnym powietrzu.

– Wszystko obsika, tylko tego brakowało! – warknął Anatol między zębami zaciśniętymi

z wysiłku.

– Nieee! – wrzasnęła ponownie, gdy byli ledwo o metr od maszynerii.

Jej krzyk przeszył ciszę. Chciała zawyć jeszcze raz, gdy Saturnin, odwróciwszy się plecami do osłupiałego tłumu, brutalnie ścisnął jej kciukiem i palcem wskazującym szyję, uszkodzając tchawicę, tak że głos uwiązł jej w gardle.

– I raz, i dwa, i trzy – wyskandował szef. Podnieśli ją jak wór kartofli i rzucili na ruchomą deskę, która trzasnęła. Iwo wrzasnął z bólu.

Kucnąwszy przy podtrzymce, Saturnin ujrzał Martynę ześlizgującą się ku niemu. Kaszłała, oczy zrobiły jej się okrągłe jak spodki: najwyraźniej sparaliżował ją strach. Chwyciwszy ją za uszy, podniósł jej głowę, tak jak prostuje się przekrzywiony obraz. Anatol już zablokował podtrzymkę i uruchomił nóż. Saturnin, który ciągnął za szyję, by ją lepiej naprężyć (stąd określenie „fotograf, nadawane temu – na ogół asystentowi najniższego stopnia – kto „naciąga migawkę” skazańcowi), był zaskoczony, że wszystko poszło tak szybko, i nawet stracił równowagę. Przewrócił się, nie puszczając głowy, która obryzgała go krwią. Natychmiast wstał i włożył ją do kosza, między uda, twarzą w dół, by nie potoczyła się podczas transportu.

Na zegarku Anatola była szósta czterdzieści, a jeszcze nie dniało.

– Zastąp mnie, proszę. Zdaje się, że mam przepuklinę – tłumaczył się Iwo Henrykowi, gdy mieli wpakować kosz do furgonu.

Tłum rozpraszał się z zalem, asystenci rozmontowywali gilotynę, Saturnin wylał na bruk parę wiader wody, by splukać krew, która pod wpływem mrozu już zdążyła skrzepnąć. Uśmiechnął się słysząc, jak któryś z gwardzystów mówi do kolegi:

– Podobno tym podlewają kwiaty.

– Czemu nie? To byłby świetny nawóz! – zawołał do nich.

Nie odpowiedzieli.

Anatol podążył za dygnitarzami, którzy wrócili do ciepłego więzienia, i niezbyt się przejął tym, że goście odwracają odeń wzrok, podczas gdy trochę wcześniej chętnie by się z nim trącili kieliszkiem. Tak było zawsze. Podchodząc do komisarza Delguay, którego dobrze znał, Anatol wyjął swój notatnik z ponumerowanymi stronami i rzekł:

– Wiem, że zabiła swego ojca, ale nie są mi znane powody, nie miałem okazji zainteresować się sprawą.

Komisarz nie dał się prosić. Znał obyczaj egzekutorów i szanował go, sam prowadził szczegółowy wykaz swoich aresztowań i miał zamiar kiedyś go opublikować.

– Był obłożnie chory, a ona udusiła go we śnie. Nigdy nie chciała powiedzieć dlaczego.

– Jakie było narzędzie zbrodni? Delguay zareagował suchym śmiechem.

– Zastanawiam się, co pan wpisze, panie Deibler, gdy się dowie, że usiadła mu na twarzy.

* * *

Ponieważ żaden krewny nie zgłosił się po jej zwłoki, Martyna Goudut została przewieziona na cmentarz w Ivry, gdzie znany tylko wtajemniczonym skrawek ziemi był przeznaczony dla ofiar gilotyny.

W obecności komisarza z Ivry, który sporządził protokół pochówku, Henryk, Gruby Ludwik i Saturnin opróżnili wiklinowy kosz nad świeżo wykopanym dołem. Pierwsza poleciała głowa, a na nią spadło ciało. I już grabarz zasypywał; była siódma pięćdziesiąt. Wszyscy powrócili do swych zajęć: Anatol do domu, pomocnicy na swoje stanowiska pracy. Saturnin oczyścił konie, wysprzątał furgon, a przedpołudnie poświęcił na szorowanie poszczególnych elementów maszynierii i pucowanie stojaków miękką ściereczką, ubolewając nad tym, że pociągnięto je lakierem, co uniemożliwiało konserwację pszczelim woskiem.

Gdy wrócił do Auteuil, w willi nie było nikogo oprócz służącej, która zmywała naczynia w kuchni. Anatol był w Longchamp, Rozalia na parafialnym podwieczorku, a Marcysia w szkole.

Zjadł resztki kurczaka, ser i dwa jabłka. Umył się, przebrał i zmył zimną wodą plamy krwi z ubrania. Kiedy je szorował, przypomniał sobie trzy nierówne strumienie, które tryskały z uciętej szyi: dwa szersze, czerwone, z tętnicy i jeden węższy, białawy, z kręgosłupa. Nie poruszywszy go tak naprawdę, widok ten uświadomił mu jednak w pełni nie o d w r a c a l n y charakter śmierci i to, że wiedza o jakimś fakcie a rozumienie go to dwie zupełnie różne rzeczy. Od tej chwili znacznie lepiej zdał sobie sprawę z niewiarygodnej władzy, jaką powierza im społeczeństwo.

* * *

Saturnin pomagał Marcysi odrabiać lekcje, kiedy Anatol wrócił z wyścigów. Dał znak, by poszedł za nim do jego gabinetu.

– Rad jestem z ciebie – powiedział, zamknąwszy drzwi. – Hipolit może być dumny... To on czy Kazimierz nauczył cię tak umiejętnie tłamsić gardziołko?

– Dziadek.

Anatol zapalił papierosa i puścił dym pod sufit.

– Następnym razem jednak uważaj i nie daj się zaskoczyć. To robi złe wrażenie, tak leżeć jak neptek z głową w rękach.

– Wiem, szefie, ale nie myślałem, że pan utnie tak szybko.

Egzekutor uśmiechnął się nieskromnie.

– To prawda, ja tam się nie guzdam.

Zupełnie odwrotnie niż jego ojciec Ludwik, znany z powolności.

– Myślę, że będzie z ciebie dobry szef. Możesz napisać do dziadka, że ci to powiedziałem. Nie dziwiłbym się zresztą, gdybyś go któregoś pięknego dnia prześcignął.

– Gdyby on tu był, powiedziałby, że to normalne, skoro sam nie korzystał z nauk tak znakomitego mistrza... Ale właśnie, dużo myślałem o najwyższym wymiarze. Być pańskim następcą to dla mnie wielki zaszczyt, ale musiałbym zamieszkać w Paryżu, a tego nie chcę.

– Ale dlaczego, do diabła? Żle ci u nas?

– To nie to, szefie. Tęsknię za ojczystymi stronami. Codziennie myślę o dziadku i Kazimierzu, takich samotnych tam. Widzi pan, już są leciwi, a roboty przy gospodarstwie i przy muzeum co niemiara. Tęsknię za nimi i wiem, że oni też za mną tęsknią... Zresztą, tu nie jestem u siebie. Tu nikt mnie naprawdę nie potrzebuje, tymczasem w katowni...

Tego samego wieczora Saturnin napisał do dziadka list zaczynający się od: „Dobra nasza, już po chrzcie! A nie były to przelewki.”

* * *

Po ośmiomiesięcznym pobycie w Paryżu (i dziewięciu egzekucjach) Saturnin wracał do Bellerocaille.

Anatol, Rozalia i Marcysia Deiblerowie odprowadzili go na dworzec, życząc mu szczęśliwej podróży. Byli też obecni Henryk z Grubym Ludwikiem i nowym adeptem – Andrzejem. Brakowało tylko Iwona, który jakoś nie doszedł do siebie po przepuklinie i znów został fryzjerczykiem na całym etacie.

Zawiadowca gwizdnął, lokomotywa dmuchnęła obłokiem pary. Przepełniony radością Saturnin wszedł na stopień. Pociąg ruszył.

– Wiesz, że możesz wrócić, kiedy zechcesz, zawsze będzie dla ciebie u nas miejsce.

– Dzięki, szefie, nie zapomnę.

Pomachawszy im po raz ostami pograżył się w swoim przedziale pierwszej klasy, wyściełanym jak wnętrze bombonierki.

Uśmiechnął się na samą myśl o niespodziance, jaką sprawi dziadkowi i Kazimierzowi, ofiarowując im prezenty umieszczone w wagonie bagażowym. Dla pachółka była najnowocześniejsza kuchenka, model szwedzki, czterofajerkowa, z regulowanym piekarnikiem i pogrzebaczem z hartowanej stali. Dla Hipolita kupił patefon oraz ze trzydzieści płyt z muzyką operową i klasyczną. Sobie zaś zafundował reporterskiego klappa 13 x 18, który przyprawi o zazdrość Alfonsa Puecha.

Rozdział IX

Katownia Pi braków, niedziela 2 sierpnia 1914 r.

Kiedy rozległ się dzwon, Kazimierz wydzielał karmę kurom, zachęcając je usilnym cip, cip, cip, cip. W katowni Hipolit usadowiony w fotelu rozwiązywał krzyżówkę w „Dzienniku Aveyrońskim” i biedził się nad słowem na jedenaście liter: „Można go wpakować do skrzyni, a się nie obrazi.” Przy końcu stołu Saturnin wypisywał na widokówkach zaproszenia do krewnych ostatnich ofiar krwawych zbrodni, by odwiedzili muzeum podczas najbliższych wakacji. Listę nazwisk dostarczył Hipolit, który sporządził ją dzięki systematycznej lekturze prasy paryskiej i prowincjonalnej.

Saturnin wyszedł na podwórze, gdzie Kazimierz pociągając nosem szukał na lazurowym niebie jakiegoś obłoczka dymu. Dzwony na alarm z trzech kościołów nie dość, że nie cichły, to jeszcze zostały zasilone dźwiękami dzwonek: cieniutkim merostwa oraz bardziej głuchym – szkolnego.

Teraz wyszedł również Hipolit i powiedział do wnuka: – Powinieneś tam pojechać, pewnie to coś poważnego. Poprzedniego dnia zginął w zamachu Jaurès. Ale wówczas tylko szkoła i merostwo okazały oburzenie, opuszczając sztandary do połowy masztów. Aby merostwo, szkoła i kościoły dzwoniły unisono, musiałby zostać zamordowany sam prezydent Poincare! Chyba że...

Saturnin osiodłał Pomponetkę, perszeronkę zakupioną tydzień wcześniej na targu w Rodez. Kazimierz poszedł otworzyć bramę. Hipolit wdrapał się na blanki wieży północnej.

– No to tymczasem – powiedział Saturnin, kierując klacz na drogę.

Kazimierz przytrzymał Wszystkołama, który chciał za nim pobiec, zamknął bramę i dołączył do swego pana. Ten przez lunetę obserwował horyzont.

– W każdym razie to nie pożar – rzekł, podając mu przyrząd, by się sam przekonał.

– Ma pan jakieś wytłumaczenie? – Raczej obawę.

– Wojna?

– Tak, wojna.

Śledzili wzrokiem Saturnina, który okrążając megalit wzbijał kurz.

– Hejjj hooo! – krzyknęli doń dla draki.

– Hejjj hooo! – odpowiedział im spinając wierzchowca i naprowadzając go na rząd topól rosnących wzdłuż brzegu rzeki.

– Nawet jeśli to wojna, pan doskonale wie, że synowie egzekutorów nigdy nie są wciągani na listy losowań. Saturninowi nic nie grozi.

– To nie jest takie pewne, czasy się zmieniły. Saturnin nie jest bezpośrednim potomkiem, więc z tego przywileju skorzysta Leon ze swoim Pafnucym. Jak się tak dobrze zastanović, to już szczyt wszystkiego.

By jakoś wypełnić czas oczekiwania, Kazimierz wrócił do swoich cip, cip, cip, a Hipolit do krzyżówki. Ledwo usiadł, a już przyszło mu do głowy to oporne słowo na jednaście liter: „nieboszczyk”.

Genealogia

Justynian (znajda) Pibrac I (1663?-1755)

Znaleziony w Roumégoux 10 czerwca 1663 r.

Egzekutor w wieku lat 20 1683 r.

Na emeryturze w wieku lat 73 1736 r.

Zm. w wieku lat 92 1755 r.

Żeni się w 1692 r. z Wilhelminką. Trzech synów: Marcin, Juliusz i Justynian.

Justynian II (1699-1764)

Ur. w Bellerocaille 1699 r.

Egzekutor w wieku lat 37 1736 r.

Na emeryturze w wieku lat 64 1763 r.

Zm. w wieku lat 65 1764 r.

Żeni się w 1731 r. z Adeliną. Jeden syn: Justynian, i dwie córki: Berta i Lucynka.

Justynian III, zw. Mścicielem Ludu (1732-1804)

Ur. w Bellerocaille 1732 r.

Egzekutor w wieku lat 31 1763 r.

Na emeryturze w wieku lat 71 1803 r.

Zm. w wieku lat 72 1804 r.

Żeni się w 1771 r. z Paulina. Pięć córek i trzech synów: Justynian, Ludwik i Antoni.

Justynian IV (1772-1850)

Ur. w Bellerocaille 1772 r.

Egzekutor w wieku lat 31 1803 r.

Na emeryturze w wieku lat 68 1840 r.

Zm. w wieku lat 78 1850 r.

Żeni się w 1812 r. z Bianką. Dwóch synów: Justynian i Robert.

Justynian V (1814-1850)

Ur. w Bellerocaille 1814 r.

Egzekutor w wieku lat 26 1840 r.

Zm. w wieku lat 36 1850 r.

Żeni się w 1832 r. z Klemencją. Dwóch synów: Justynian i Hipolit.

Justynian VI (1832-1850)

Ur. w Bellerocaille 1832 r.

Egzekutor w wieku lat 18 1850 r.

Zm. w wieku lat 18 1850 r.

Umiera w bezżeństwie. Funkcję przejmuje brat Hipolita.

Hipolit I, zw. Siódmym (1836-)

Ur. w Bellerocaille 1836 r.

Egzekutor w wieku lat 14 1850 r.

Przymusowa emerytura w wieku lat 34 1870 r.

Żeni się w 1857 r. z Bertą. Trzech synów: Justynian, Leon i Henryk.

Justynian zm. w wieku lat 11, w 1869 r.

Leon, ur. w 1868 r., poślubił Hortensję. Jeden syn: Pafnucy, i dwie córki: Małgosia i Beata.

Henryk, ur. w 1870 r., poślubił Adelę. Dwóch synów: Antoni i Saturnin.

Saturnin Pibrac (1896-)

Glosariusz

Jednostki miary

1 mila francuska = 4 kilometry

1 mila angielska = 1620 metrów

1 sążen równa się 6 stopom = 1,944 metra

1 stopa równa się 12 piędziom = 32,4 centymetra

1 piędź odpowiada 12 linijkom = 2,7 centymetra

1 linijka to 12 cali = 0,225 centymetra

1 cal = 0,01875 centymetra

Monety

W XVII w. na terenie Królestwa było w obiegu ponad 38 rozmaitych rodzajów monet.

1 luidor = 24 liwry

1 liwr = 20 solidów

1 solid = 12 denarów

pół denara = 1 obol

1 obol = praktycznie bez wartości

Istniał miedziak 6-denarowy zwany liardem i 3-denarowy zwany szelągiem.

Krażyły także miedziany talar 10-solidowy oraz talary srebrne: 3-i 6-solidowy.

Jednostki czasu

Jutrznia północ

Laudy godz. 3

Pryma godz. 6

Tercja	godz. 9
Seksta	południe
Nona	godz. 15
Nieszpory	godz. 18
Kompleta	godz. 21

Aby odliczyć minutę, odmawiano dwa *Ojcze nasz*. Przez godzinę odmawiano ich sto dwadzieścia.